



HISTORIA  
PRAWDA  
TERAŻNIEJSZOŚĆ



FUNDACJA IM.  
JANUSZA KURTYKI

# HISTORIA PRAWDA TERAŻNIEJSZOŚĆ

JAK PROWADZIĆ STOSUNKI MIĘDZYNARODOWE W KONTEKŚCIE PRZESZŁOŚCI? 3.0

*diagnozy, recepty,  
zapis debat*

opracowanie merytoryczne  
i redakcja

**Damian Bębnowski**  
**Artur Goszczyński**

[WWW.FUNDACJAKURTYKI.PL](http://WWW.FUNDACJAKURTYKI.PL)

Warszawa 2021

Fundacja im. Janusza Kurtyki

# HISTORIA PRAWDA TERAŻNIEJSZOŚĆ 3.0

JAK PROWADZIĆ STOSUNKI MIĘDZYNARODOWE  
W KONTEKŚCIE PRZESZŁOŚCI?

*diagnozy, recepty,  
zapis debat*

REDAKCJA: Damian Bębnowski, Artur Goszczyński

Warszawa 2021



Fundacja im. Janusza Kurtyki  
02-521 Warszawa, ul. Rakowiecka 37  
www.fundacjakurtyki.pl  
e-mail: nauka@fundacjakurtyki.pl

TRANSKRYPCJA: Sara Gibska  
KOREKTA JĘZYKOWA: Zbigniew Żońnierczyk

OPRACOWANIE GRAFICZNE: Piotr Perzyna

ISBN 978-83-949511-7-7

© Copyright by Fundacja im. Janusza Kurtyki, Warszawa 2021

Materiał dostępny na licencji CC BY NC ND Creative Commons

Egzemplarz bezpłatny



Dofinansowano ze środków  
Muzeum Historii Polski w Warszawie  
w ramach Programu „Patriotyzm Jutra”



Zadania finansowane ze środków otrzymanych  
od Narodowego Instytutu Wolności - Centrum Rozwoju  
Społeczeństwa Obywatelskiego w ramach  
Programu Rozwoju Organizacji Obywatelskich  
na lata 2018-2030



# HISTORIA PRAWDA TERAŻNIEJSZOŚĆ 3.0

JAK PROWADZIĆ STOSUNKI MIĘDZYNARODOWE W KONTEKŚCIE PRZESZŁOŚCI?

*diagnozy, recepty,  
zapis debat*

opracowanie merytoryczne  
i redakcja

**Damian Bębnowski  
Artur Goszczyński**



FUNDACJA IM.  
JANUSZA KURTYKI

Warszawa 2021

# SPIS TREŚCI

## Wstęp

6

### I. Relacje polsko-francuskie

1. Republikanizm w XVIII w. (*Remigiusz Forycki, Adam Wielomski*)

Glosa 1: Remigiusz Forycki, 1789–1791: francuski i polski republikanizm – odniesienia w relacjach bilateralnych

2. Relacje w XX i XXI w. (*Anna Ambrochowicz-Gajownik, Anna Biłos*)

Glosa 2: Anna Ambrochowicz-Gajownik, Dynamika relacji polsko-francuskich w XX i XXI wieku

Glosa 3: Magdalena Heruday-Kiełczewska, Do jakich historii wracamy dzisiaj? Pamięć o wspólnej przeszłości jako czynnik kształtowania polsko-francuskich relacji

### II. Relacje polsko-brytyjskie

1. Związki w myśli liberalnej (*Dorota Pietrzyk-Reeves, Maciej Zakrzewski*)

2. Relacje w XX i XXI w. (*Dariusz Jeziorny, Przemysław Biskup*)

Glosa 4: Dariusz Jeziorny, Londyn – Warszawa w XX i XXI wieku

Glosa 5: Tomasz Korban, Wielka Brytania – „wieczne interesy”. Uwagi do stosunków polsko-brytyjskich w XX wieku

### III. Relacje polsko-amerykańskie

1. Republikanizm: inspiracje i osiągnięcia (*Jolanta Daszyńska, Rafał Prosta*)

Glosa 6: Jolanta Daszyńska, Kilka refleksji na temat amerykańskiego republikanizmu

2. Strategiczne partnerstwo w XX i XXI w. (*Marcin Fatałski, Mirosław Habowski*)

Glosa 7: Mirosław Habowski, Stosunki polsko-amerykańskie

### IV. Studia przypadków

1. Dyplomacja naukowa (*Marek Konarzewski, Patryk Pleskot, Monika Szkarłat*)

2. Współczesne kryzysy migracyjne w Europie (*Marek Kornat, Marta Jaroszewicz, Michał Bruszewski*)

Glosa 8: Michał Bruszewski, Kryzysy migracyjne – jak efektywnie pomagać?

spis zrobię na końcu



## WSTĘP

*Historia vero testis temporum, lux veritatis, vita memoriae, magistra vitae, nuntia vetustatis* – w taki sposób znaczenie minionych dziejów podsumował Cynceron na kartach drugiej księgi swego dzieła „O mówcy”. Rzymski polityk z właściwą sobie przenikliwością zawarł w tych słowach uniwersalne przesłanie na temat postrzegania historii jako świadka czasów, światła prawdy, życia pamięci, nauczycielki życia i postanki dawnych dziejów. Trudno temu zaprzeczyć zważywszy chociażby na fakt, iż jest ona tworzona przede wszystkim przez ludzi, którzy bez względu na okres, w jakim żyją, kierują się w swoim postępowaniu podobnymi pobudkami, stosują zbliżone schematy działania oraz ulegają tożsamym pokusom i namiętnościom.

Tylko ta, pozornie banalna, refleksja może łatwo prowadzić do wniosku, iż powinniśmy traktować przeszłe wydarzenia jako naukę i wyciągać z nich wnioski na potrzeby terażniejszości i przyszłości. Sama Klio na kartach licznych źródeł i opracowań obrazuje nam zresztą konsekwencje „nieodrobionej lekcji historii”. Studiując minione dzieje, nietrudno również zauważyć charakterystyczne dla niektórych państw modele prowadzenia polityki, które od wielu dekad pozostają niezmiennie. Imperialne ambicje, dążenia do ekspansji gospodarczej i zdominowania sąsiednich krajów, stałe strategie w zawieraniu aliansów wymierzonych w słabsze podmioty oraz bałamutność wobec sojuszników to tylko niektóre z wielu niepokojących zjawisk, które nie znikły wraz z zakończeniem obydwu wojen światowych czy upadkiem żelaznej kurtyny. Rozważając o sytuacji oraz polityce międzynarodowej nie można również zapominać o sentencji przypisywanej Henry’emu Temple, lordowi Palmerston, który z podobną Cynceronowi przenikliwością określił dewizę polityki zagranicznej Wielkiej Brytanii stwierdzając, iż nie ma ona ani stałych sojuszników, ani stałych wrogów, stałe są zaś tylko jej interesy. Naturalnie podejście, stawiające na pierwszym miejscu rację stanu oraz własne korzyści nie jest wyłączną domeną rządzących za Kanałem La Manche, podobnie bowiem starają się postępować także politycy kierujący innymi państwami. W związku z tym, ponownie istotne wskazówki co do przyjmowania określonych strategii może przynieść zgłębianie np. geopolityki minionych wieków czy też dziejów dyplomacji. Historia wyposażała nas więc w oręż wiedzy ukuty z doświadczeń poprzednich pokoleń, aby odpowiednio prowadzić stosunki międzynarodowe w kontekście przeszłości.

W podobnym tonie przeszłe dzieje postrzegał profesor Janusz Kurtyka, który twierdził, iż „Mamy prawo czerpać argumenty z własnej historii, uczestnicząc w wyścigu o prestiż narodów europejskich”. Obecnie, w kontekście zaniedbania w ostatnich dekadach prowadzenia przez Polskę polityki historycznej, należałoby powiedzieć, że mamy nawet taki obowiązek. Tylko w ten sposób będziemy bowiem w stanie stać na straży pamięci osób, które poświęciły życie za Ojczyznę oraz bronić się przed manipulacjami. Bazując na własnych doświadczeniach, łatwiej jest również oceniać naszych potencjalnych partnerów, którzy, naturalnie, posiadają własne interesy. *Historia magistra vitae est.*

Po raz kolejny oddajemy do rąk Czytelnika tom, który zwieńczył trzecią edycję cyklu debat pt. „Historia, prawda, terażniejszość. Jak prowadzić stosunki międzynarodowe w kontekście przeszłości? 3.0”, zorganizowanego między 23 kwietnia a 4 listopada 2021 roku. Odrębne bloki tematyczne koncentrowały się wokół relacji Polski z Francją, Wielką Brytanią i USA. Dwie dodatkowe rozmowy traktowały o polskiej dyplomacji naukowej oraz współczesnych kryzysach migracyjnych w Europie. W oparciu o rozbudowaną analizę historyczną, eksperci, reprezentujący różne obszary wiedzy, wskazywali główne problemy stosunków naszego państwa z partnerami oraz starali się formułować na tym polu określone recepty.

Przedmiotowy cykl debat stanowił część następujących projektów oraz zadań publicznych: „Podium – trójpaństwowy i trójstopniowy rozwój Fundacji im. Janusza Kurtyki. W stronę umiędzynarodowienia, innowacyjności i pełnej profesjonalizacji działalności edukacyjnej, «parasolowej» i związanej z promocją Rzeczypospolitej Polskiej za granicą” (Narodowy Instytut Wolności – Centrum Rozwoju Społeczeństwa Obywatelskiego, Program Rozwoju Organizacji Obywatelskich na lata 2018–2030); „Historia, prawda, terażniejszość. Jak prowadzić stosunki międzynarodowe w kontekście przeszłości? 3.0” (Muzeum Historii Polski w Warszawie, program „Patriotyzm jutra”). Partnerami medialnymi przedsięwzięcia byli „Do Rzeczy”, „Historia Do Rzeczy” oraz portale: [blogpress.pl](http://blogpress.pl), [historia.org.pl](http://historia.org.pl), [historykon.pl](http://historykon.pl).

Publikacja przybiera układ problemowy, odbiegając od chronologicznej kolejności spotkań. Na każdy rozdział składają się transkrypcje przeprowadzonych rozmów. Konsekwencją jest forma zapisu charakterystyczna dla języka mówionego. Ze względu na pandemię koronawirusa debaty zostały zorganizowane w formie zdalnej. Wsparcia technicznego w tym zakresie udzielił po raz kolejny portal [blogpress.pl](http://blogpress.pl). Każdy rozdział rozpoczyna się prezentacją pełnego tytułu dyskusji, daty oraz wykazu gości. W pracy redakcyjnej zostały pominięte pytania widzów. Dodatkowe teksty, które zechcieli przesłać uczestnicy debat, włączono do książki jako glosy.

Wyrażamy nadzieję, że niniejsza publikacja spotka się z serdecznym przyjęciem Czytelników. Powinna być ona pomocna zarówno dla decydentów politycznych w kraju, elit intelektualnych, jak i wszystkich zainteresowanych historycznym kontekstem współczesnych wyzwań polityki zagranicznej Polski.

dr Damian Bębnowski  
dr Artur Goszczyński

# RELACJE POLSKO-FRANCUSKIE

Debata pt.  
„1789-1791: francuski i polski republikanizm – odniesienia w relacjach bilateralnych”  
odbyła się 27 maja 2021 roku.

## REPUBLIKANIZM W XVIII W.

W dyskusji udział wzięli:

**prof. Remigiusz Forycki** (Uniwersytet Warszawski)  
oraz **prof. Adam Wielomski** (Uniwersytet Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie).

Rozmowę poprowadziła  
**dr Marta Maj** (Wyższa Szkoła Umiejętności Społecznych w Poznaniu).



**Dr Marta Maj:** Dzień dobry. Na wstępie chciałabym powiedzieć, że temat wydaje mi się bardzo aktualny i ciekawy. Temat bazuje na tych wspólnych tradycjach i ma się odnosić do wspólnych doświadczeń historycznych. Również ma zahaczać o hasło samego republikanizmu, myśli republikańskiej. Spróbujemy znaleźć te wspólne punkty. Aby stworzyć jakąś bazę do dalszej dyskusji, na początek chciałabym zadać pytanie, czym tak naprawdę jest ten republikanizm? On jest często mylnie równany z demokracją. Często jest stawiany znak równości, że jeżeli mamy jakieś państwo o ustroju republikańskim, to jest z pewnością państwem demokratycznym. Gdy sięgniemy do historii republikanizmu, do czasów starożytnych, to mamy Arystotelesa, który był prekursorem tej republiki, a demokrację bardzo krytykował. Republikanizm to takie pojęcie, które jest nie do końca sprecyzowane, z jednej strony popularne, a z drugiej to pojęcie jest zaniedbane i wieloznaczne. Moje pierwsze pytanie brzmi: Jak panowie profesorowie zdefiniowali republikanizm? W jaki sposób rozumiecie, panowie, to pojęcie myśli, idei republikańskiej? Czym ten republikanizm tak naprawdę jest?

**Prof. Adam Wielomski:** Wbrew pozorom pytanie wcale nie jest proste, ponieważ nasze pojęcia republikanizmu i republiki są zmienne w czasie. Wszystko zaczyna się jeszcze w starożytnym Rzymie, gdy pojawia się pojęcie *res publica*, które my tłumaczymy sobie jako „republika” albo „rzeczpospolita”. To jest pojęcie, które zawiera w sobie jakby dwa słowa to znaczy zarówno państwo jako takie, jak i jego konkretny ustrój, w postaci ustroju republikańskiego, który w żaden sposób nie jest ustrojem demokratycznym, jest ustrojem arystokratycznym, elitarnym. Wyraźnie się oddziela od demokracji rozumianej jako rządy tłumu, motłochu, kierującego się najniższymi emocjami. Opisał nam to głównie starożytni autorzy, którzy do demokracji miłością nie pałali. Uważali ją za jakąś zdeprawowaną republikę. Tak naprawdę, pojęcie republikanizmu odżywa w epoce renesansu. Wtedy, gdy odżywa zainteresowanie starożytnością, starożytnym Rzymem i Grecją. Przez dłuższy czas obserwujemy taką sytuację, że pojęcia republika i państwo są tożsame. Gdy w 1576 r. Jean Bodin napisał swoją znaną pracę, którą na język polski tłumaczymy „Sześć ksiąg o Rzeczpospolitej”, w języku francuskim ona ma tytuł „Les six livres de la Republique”, czyli dosłowne tłumaczenie to sześć ksiąg o republice. Jeszcze w Anglii za panowania Elżbiety I, pod koniec XVI wieku, w literaturze angielskiej bardzo często spotyka się pojęcie, że Anglia jest republiką, mimo że ma monarchię. Nasi przodkowie uważali ustrój Rzeczpospolitej szlacheckiej za ustrój republikański. Zauważmy, że polski republikanizm utrzyma takie rozumienie, aż do rozbiorów. Konfederaci barscy, broniący tego ustroju przed narzuceniem monarchii absolutnej, mówili, że są republikanami. Jednak wcale nie przeszkadzało to temu, że Polska posiadała króla, elekcyjnego, ale jednak króla. Można powiedzieć, że republikanizm w żaden sposób nie wykluczał monarchii, a z pewnością monarchii elekcyjnej. Podobnie najjaśniejszą republiką była Wenecja, która posiadała dożywotniego dożę, czyli jakbyśmy dzisiaj powiedzieli, też dożywotniego monarchę. Dlatego pojęcia republikanizmu i pojęcia państwa są przez dłuższy czas ze sobą tożsame.



Instytucja monarchii od instytucji republiki zaczyna się oddzielać dopiero koło XVII wieku. Tutaj decydującym wydarzeniem jest powstanie Niderlandów jako niepodległego państwa, które autentycznie posiada ustrój republikański. Dopiero wtedy zaczyna się oddzielenie pojęć państwa i republiki oraz dojście do klasycznego podziału. Państwa dzielą się na monarchie i na republiki. W Polsce proces jest późniejszy dlatego, że doświadczenie Holandii jest Polakom bardzo odległe i mało znane. Powiedziałbym, że wtedy była olbrzymia przepaść kulturowa, cywilizacyjna i geograficzna z racji tego, że nie było dróg, telegrafów, telefonów i tak dalej. W Polsce pojęcie republikanizmu utożsamianego ze słabą monarchią utrzymuje się aż do rozbiorów. We Francji taką szlachecką tradycję, którą już się nie określa jako republikańską będzie utrzymywał myśliciel Henri de Boulainvilliers. W swoich książkach historycznych o historii parlamentu i Francji będzie on pokazywał bardzo podobny wzorzec do tego, który podobał się ideologom szlacheckiej Rzeczypospolitej. Ideał monarchii również nie dziedzicznej, tylko dożywotnio wybieralnej, jeszcze istniał w państwie frankijskim, opartym na arystokracji rodowej, szlachcie. U Boulainvilliersa nie ma tego pojęcia, że to jest republika, ponieważ uważa, że skoro już jest król, to on klasyfikuje Francję z epoki Karola Wielkiego albo wcześniejszą jako państwo monarchiczne. Przypadek Polski jest szczególny, ponieważ ten tradycjonalizm językowy w kwestiach nazywania ustrojów zachował się zdecydowanie dłużej. Podobny program do boulainvilliersowskiego w Polsce, który reprezentują na przykład konfederaci barscy, już jest nazywany republikanizmem.

Do tego trzeba doliczyć jeszcze drugą rzecz, to znaczy drugą falę republikanizmu, która pojawia się w drugim, trzecim pokoleniu myślicieli oświeceniowych. Mam na myśli encyklopedystów, Denisa Diderota, Jeana Jacquesa Rousseau. Oni zaczynają przypominać republikanizm nie rzymski, czyli arystokratyczny, tylko nawiązują do rozwiązań ateńskich, które kojarzą się z rządami wszystkich obywateli. Nie należy tego łączyć z rządami ogółu, bo niewolnicy i kobiety nie są traktowani jako obywatele. To jest nowy republikanizm, który mocno akcentuje zasadę suwerenności obywateli, a nie tylko elit i arystokracji. W Polsce ten republikanizm pojawia się w czasie powstania kościuszkowskiego, na lewym skrzydle. Tam się pojawiają polscy jakobini. Zwracam uwagę, że pomiędzy tymi dwoma projektami nie ma punktu styczności poza słowem „republika”, ponieważ ten klasyczny, tradycyjny republikanizm jest oparty o arystokrację. Jest republikanizmem dla kilku procent dorosłych mężczyzn, szlachty. Druga fala republikanizmu, która kojarzy nam się z oświeceniem, sięga do Rousseau, czyli do suwerenności wszystkich obywateli pojętych jako *peuple*. Potem rewolucja francuska z *peuple*, czyli ludem, utożsamia *nation* czyli naród, co w Polsce gdzieś tam się pojawi w czasie insurekcji kościuszkowskiej. To są dwa różne republikanizmy. Należy je stanowczo oddzielić, podobnie zresztą, jak tradycje współczesne na przykład Francji lub Polski, które wiążą się z republikanizmem demokratycznym, a nie arystokratycznym, jakim był na samym początku.

**Prof. Remigiusz Forycki:** Pan profesor Wielomski bardzo dobrze wyjaśnił ogólną zasadę ustroju republikańskiego, w związku z tym mogę się zająć ideą republikańską we Francji i w Polsce w okresie przedrewolucyjnym. Jeżeli się uda, to doprowadzę historię Francji do etapu, gdy powstała Republika, nie pierwsza, bo ta powstała na bardzo krótko i zaraz została zawieszona „na kołku”. Potem, w 1848 r., była Wiosna Ludów i Alphonse de Lamartine chciał wprowadzić drugą Republikę, ale i ta również spaliła na panewce. Dopiero po klęsce w bitwie pod Sedanem w 1870 r. powstała trzecia Republika, czyli realnie pierwsza; można powiedzieć, że była *de facto* pierwsza, ponieważ to ona stanowiła już pełną realizację idei republikańskiej. Jeżeli chodzi o Polskę, to sądząc po tym co Joachim Lelewel twierdził i napisał, można



wnioskować, że tradycja polska jest wyjątkowa – inna niż tradycje europejskie. Nie mówię antyczne, ale współczesne, europejskie tradycje republikaństwa; nasza rodzima wywodzi się z gminowładztwa. Natomiast to, o czym powiedział mój przedmówca, dotyczy Narodu szlacheckiego, czyli procesu formowania się idei republikańskiej, która powstawała przez na przykład *pacta conventa*, artykuły henrykowskie czy *liberum veto*. Dokumenty, które musiał podpisać nasz pierwszy elekcyjny król po Jagiellonach, Henryk Walezy (późniejszy król Francji Henryk III, który w Polsce dowiedział się – to był właśnie on! – do czego służy widelec). Henryk Walezy zainaugurował w Polsce system elekcyjny. Wtedy też powstają zobowiązania (*pacta*), dzięki którym król musi oddać szlachcie bardzo dużą część władzy. Tutaj zaczyna się proces, o którym mówił pan profesor Wielomski.

Jeżeli chodzi o czasy kształtowania się koncepcji idei republikańskiej we Francji i w Polsce, to dla Polaków i naszej konstytucji kapitalne znaczenie ma Jan Jakub Rousseau, bowiem jest twórcą pierwszej, głównej zasady demokratycznej: suwerenności obywatelskiej. Różnie to wyglądało po 1789 roku: była to albo suwerenność ludowa (*populaire*), albo suwerenność narodowa (*nationale*). Ta ostatnia ujawniła się w czasie rewolucji francuskiej, wraz z pojawieniem się idei narodu i narodowości. Zasada suwerenności jest w dzisiejszych czasach bardzo często nadużywana: lud jest suwerenem, naród jest suwerenem, mniejszość jest suwerenem, wszyscy chcą być suwerenem. A jednak kto nim jest określił bardzo dokładnie w swoich pismach filozoficzno-politycznych, Jean Jacques Rousseau; jest to zasada, która wchodzi do panoplii systemu republikańskiego.

Druga zasada, którą dali nam uczeni Francuzi, i jaka funkcjonuje do dzisiaj, to zasada Monteskiusza rozdziału władz, stanowiąca, że władze wykonawcza, ustawodawcza i sądownicza muszą być rozdzielone. Jeżeli nie ma rozdziału władz, to zachodzi podejrzenie manipulacji i korupcji rządów. W wypracowaniu koncepcji Konstytucji 3 maja i Konstytucji Republiki Francuskiej z 3 września 1791 roku miał pośredni udział tak Monteskiusz, jak i Rousseau. Oni dali podstawę intelektualną, prawną i filozoficzną do pewnych zapisów konstytucyjnych, obowiązujących do dnia dzisiejszego.

Druga rzecz, niezwykle ważna, dotyczy faktu, że Rousseau stworzył projekt konstytucji dla rządu polskiego. W swoich „*Considérations sur le gouvernement de la Pologne*” („Uwagi o rządzie polskim”), dzieło napisanym na zamówienie Konfederatów barskich, którzy zwrócili się przez Wielhorskiego do autora „Umowy społecznej”, aby opracował Polakom projekt konstytucji, stworzył on intelektualne podstawy do spełnienia największego marzenia w ówczesnej Europie: żeby narody miały swoją konstytucję. Polacy dostali taką konstytucję, z którą możemy się zapoznać w pismach Rousseau. Taka była i jest tradycja polska, która wywodzi się z przemyśleń między innymi tych dwóch, ważnych filozofów.

Trzecim myślicielem, niezwykle ważnym był Alexis de Tocqueville. Co prawda opracował on dla Stanów Zjednoczonych Ameryki prototyp demokracji, ale widać tu wyraźnie, że chodzi również o europejską ideę republikańską. Można założyć, że Polska posiłkowała się, owszem, myślicielami francuskimi, ale Naród szlachecki i gminowładztwo ma tu swój trzon, który nie musiał być w całości „kupowany” na Zachodzie. Zwraca na to uwagę właśnie Lelewel.



Natomiast jeśli chodzi o sytuację francuską, to mamy tu do czynienia z całą serią myślicieli i ich projektów reform, którzy wypracowują taki upragniony model państwa konstytucyjnego. Do nich należą między innymi: Rousseau, Monteskiusz, Diderot, tam będą encyklopedyści, no i oczywiście publicysta Wolter. Rewolucja Francuska w dobie Oświecenia rodziła się poprzez prasę, opinię publiczną, o której mówił i pisał Habermas. Przedstawiciele narodu francuskiego, którzy na początku nie chcieli zabijać króla, postanowili spisać swoje postulaty, tak zwane „Kajety skarg”. Współautorami zażaleń do władcy byli ci, którzy znali się na prawie i którzy umieli pisać, na przykład: Danton, Robespierre, Saint-Just... W zasadzie „Kajety skarg” ukazały źródła i następstwa tego, co się działo przed, w trakcie i po rewolucji francuskiej. Alexis de Tocqueville dokładnie to ocenił i wysnuł wniosek o bezsensowności zrywu rewolucyjnego – reforma państwa francuskiego postępowała systematycznie do przodu i nie było sensu jej przerywać zawieruchą rewolucyjną, czy czasami napoleońskimi.

**Dr Marta Maj:** Dziękuję bardzo panom profesorom za wspaniałe wyjaśnienie nam terminu republikaństwa. Profesor Forycki zrobił świetny wstęp do mojego kolejnego pytania. Już określiliśmy sobie czym jest ten republikański. Pojęcie jest obszerne, ogromne. Mamy jakąś bazę i z tej bazy chciałabym przejść do kolejnej kwestii. Republikaństwo na pewno jest jednym z najbardziej kluczowych pojęć, jeżeli chodzi o francuską myśl polityczną. Dla Francuzów to nie tylko filozofia, doktryna, ideologia. To jest cały kanon haseł, pojęć, które nadają całą specyfikę francuskiej myśli, kulturze, tradycji. O czasie jej proklamowania aż po czasy, które są nam współczesne. Często się mówi o tym ideale francuskim, ideale republikańskim. Czym tak naprawdę jest ten francuski ideał republikański? Co sprawia, że on jest takim osobnym pojęciem? Co sprawia, że on jest tak specyficzny i we Francji tak kulturowany i czczony? To pytanie zadam jako pierwszemu profesorowi Foryckiemu.

**Prof. Remigiusz Forycki:** W tym pytaniu chcę zająć się tym, jak była oceniana rewolucja francuska przez myślicieli (niekoniecznie filozofów), którzy uczestniczyli w wydarzeniach jeszcze nie opracowanych, gorących, „pachnących świeżością”: gilotyną, topieniem księży, eksterminacją ludności cywilnej w Wandei, deizmem, kalendarzem republikańskim, itp.). Inaczej mówiąc, na już wypracowany kanon tematów na przykład: śmierci króla na szafocie, teatru gilotyny (Guillotin wymyślił maszynę, która miała być instrumentem humanitarnym – nazwano ją na przykład: „wielka brzytwa narodowa”, „vasistas”, „młyn ciszy”, „wdowa”, gilotyna; miała karać duszę a nie ciało, okazała się jednak strasznie skomplikowanym narzędziem śmierci) chciałbym mówić o ocenie rewolucji francuskiej jeszcze w czasie jej trwania, albo zaraz po jej zakończeniu. Nie chodzi mi tutaj o de Tocqueville’a, który zrobił swój bilans dużo później, tylko o tych, którzy brali bezpośredni udział w wydarzeniach.

Jak się wydaje, jednym z pierwszych myślicielem był François-René de Chateaubriand. Napisał on bardzo ważną książkę pod tytułem: „*Essai sur les révolutions*” (1797) („Esej o rewolucjach”). Miał wtedy jeszcze przekonania liberalne, umieszcza nawet w swojej książce słowa Marsylianki. Jest to więcej niż osobliwe, dlatego, że jako arystokrata musiał mieć świadomość, że *passus* o „nieczystej krwi”, która „zrosi nasze skiby” z hymnu Francuzów odnosi się właśnie od „krwi błękitnej” takich jak on szlachetnie urodzonych. Pierwsza funkcja terminu rewolucja, odnosząc się do Pani pytania, to są rewolucje na niebie. Pierwotna myśl związana z rewolucją pojawia się w systemie kopernikańskim (*De revolutionibus orbitum coelestium*) i jest



to powrót do punktu wyjścia cyklicznej konfiguracji ciał niebieskich. Można użyć tutaj terminu nietzscheańskiego „wieczny powrót” – stale powracający cykl. Chateaubriand wyjaśnia swoje rozumienie rewolucji, wpisując historię we własne przeżycia egzystencjalne. Ten człowiek najpierw był we Francji, potem uciekał do Anglii, gdzie głodował, wreszcie wyjechał do Stanów Zjednoczonych i do Kanady. Był emigrantem, egzulem. Opisuje on wydarzenia z 1789 roku jako coś, co już się działo dawniej. Wpisuje to w cykl, który rozpoznajemy w książce księdza Bathélémy „Le voyage du jeune anacharsis” („Podróż młodego Anacharsisa”). Osiemnastowieczny autor kreuje postać Scyty, który ogląda cywilizację grecką i, zawiedziony, chętnie wraca do swojej Scytii, bo w cywilizacji europejskiej, greckiej, zobaczył przerażające systemy polityczne. Książka była bestsellerem przełomu XVIII/XIX wieku. Służyła ona jako lekcja historii do poznania dziejów starożytnej Grecji. Natomiast Chateaubriand wpisał rewolucję francuską i jej kolejne fazy (a więc „pożerającą własne dzieci”) w dzieje Aten, Sparty itp. Dostrzegał pewne elementy i podobieństwa między rewolucją, która odbywa się w jego epoce i której doświadcza, a tym co się działo w starożytnej Grecji oglądanej przez mądrego Scyta. „Esej o rewolucjach” wydany przez wydawnictwo Gallimard w serii „Bibliothèque de la Pléiade” ma ogromną ilość stron, chociaż pierwszy wariant rękopisu jest bardzo szczupły. Całe życie, kiedy następowały kolejne zmiany polityczne i społeczne, Chateaubriand poprawiał swoją książkę. Wykreślał i zmieniał rzeczy dlań kompromitujące. W ten sposób przez całe życie tworzył palimpsest na swoim pierwotnym dziele. Właśnie te poprawki wydał Gallimard. Konkluzja książki jest bardzo ciekawa – pisarz znajduje się w Kanadzie nad Niagarą i poznaje wśród plemion indiańskich Francuza, Philipa Le Cocq, który go zaskoczył, bo, trochę zniekształcając swoją francuszczyznę, zapytał go: „Co się dzieje we Francji?” Chateaubriand odpowiedział mu, że była rewolucja francuska. Nowo poznany Francuz odpowiedział mu na to, że nic o tym nie wie. Wtedy autor książki snuje bardzo ciekawą ideę, że rewolucja jest w nas. Philippe Le Cocq nie zdawał sobie nawet sprawy, że coś takiego mogło zaistnieć – jego niewiedza wymazała cały tragiczny epizod historii Francji nieistniejący dla niego.

Innym świadectwem dotyczącym rewolucji francuskiej jest książka Pani de Staël pod tytułem: „Considérations sur la révolution française” (wydana pośmiertnie w 1818 r.). Córka Jacquesa Neckera, który – przypomnijmy – został zdjęty z urzędu intendenta, co było jedną z przyczyn wybuchu rewolucji francuskiej, interpretuje wydarzenia rewolucyjne z punktu widzenia mieszczaństwa (Necker mimo ogromnej fortuny należał do trzeciego staniu) i ministerialnej pozycji swego ojca, którego uwielbiała. Ta rodzinno-mieszczańska perspektywa stanowi o słabości jej bardzo subiektywnej analizy.

Trzecim myślicielem, który zrelacjonował w 1797 roku Rewolucję Francuską również „na żywo”, był Joseph de Maistre. Opisał on wydarzenia rewolucyjne w „Considérations sur la France” („Rozważania o Francji”). Jego koncepcja jest związana z zasadą predestynacji: „Pan Bóg wymierzy karę narodowi francuskiemu za to, że podnieśli zbójce rękę na króla, monarchię i ludzi bezbronnych. W takim razie będzie strzyga ciał”. Autor „Wieczorów petersburskich” przyznał, że powrót do pierwotnego stanu sprzed rewolucji to tak, jakby ktoś „chciał wlać do butelek jezioro genewskie” – inaczej mówiąc, nastąpiła już taka zmiana strukturalna przestrzeni społeczno-politycznej, której nie da się odkręcić.



**Dr Marta Maj:** Dziękuję. Niewątpliwie rewolucja francuska miała ogromny wpływ na rozwój myśli republikańskiej. Jeszcze profesor Adam Wielomski. To samo pytanie. Wspomniał pan też w swojej poprzedniej wypowiedzi o tej suwerenności ludu, narodu, tej *volonté generale*. Czym jest ten francuski ideał republikański? Czemu jest tak specyficzny?

**Prof. Adam Wielomski:** Jakiś czas temu w bibliotece w Berlinie studiowałem temat Jacquesa Bossueta i jego myśl polityczną. Znalazłem tam książkę o retoryce Bossueta, która zaczyna się od świetnej anegdoty, którą przetoczę. Autorka mówi w ten sposób: Kiedy rozmawia się z Francuzami to właściwie wszyscy Francuzi twierdzą i deklarują się jako szczerzy republikanie i zwolennicy republiki. Jednak, gdy tych samych Francuzów spytać, kiedy Francja miała największą chwałę w świecie, to wszyscy bez wahania, jak jeden mąż odpowiadają, że za Ludwika XIV. To jest jakby ten problem i dylemat, dlatego, że republikanizm kojarzy się z pewnymi wartościami, które ewoluują w czasie. We Francji republikanizm pojawia się w XVIII wieku, w epoce oświecenia w wyniku reakcji na słabe rządy następcy Ludwika XIV, czyli Ludwika XV oraz późniejszej tak zwanej regencji i słabe rządy Ludwika XVI. Pojawia się niejako w marzeniu, że ojczyzna odzyska swoją chwałę, *gloire*. Jakby z poczucia tego, że rola Francji w świecie i Europie słabnie. Stąd pojawia się ten ideał republikański, starożytnego Rzymu, ateński, Sparty, to znaczy ideał połączenia obywatela i żołnierza, po to żeby ojczyźnie nadać chwałę. Republika kojarzy się nie z demokracją lub liberalizmem, tolerancją i tak dalej jak to nam się dzisiaj łączy. Filozofom oświecenia i myślicielom, politykom rewolucji francuskiej kompletnie się to tak nie kojarzy. Jest taka znana książka Jakuba Talmona, która pojawiła się w polskim tłumaczeniu pod tytułem: „Demokracja totalitarna”, polegająca na tym, że jest to demokracja kompletnie nie pluralistyczna. Demokracja polega na tym, że naród wypowiada się bezpośrednio, bez króla, ale jednogłośnie. Naród przede wszystkim żyje ideą patriotyzmu. Sięgano do Cycerona, który definiował, że istotą republiki jest patriotyzm, a nie rządy ludu. W momencie, w którym królowie nie dali Francji chwały i wielkości, trzeba sięgnąć po republikę, po lud, po naród francuski, który tą chwałę wreszcie zdobędzie ponownie i dorówna Ludwikowi XIV. On jest tak naprawdę wielkim nieobecny rewolucji francuskiej. Rewolucja jest bardziej republikańska, ale od drugiej strony chce wielkiego przywódcy, który poprzez patriotyzm da narodowi chwałę. Właśnie stąd rewolucja kończy się na postaci Napoleona, czyli nowego cesarza, władcy, nowego Karola Wielkiego, Ludwika XIV, który poprowadzi Francuzów ku budowie francuskiej Europy i przewadze na kontynencie. To nie jest przypadek. Republika kojarzy się przede wszystkim z patriotyzmem i wielkością Francji. To ma dać republika w okresie rewolucji francuskiej. Potem mamy tą tradycję republikańską, która sobie funkcjonuje dość długo w ten sposób. Nie jest ona tradycją demokratyczną. Znalazłem u Louisa Barrésa anegdotę, która mówi, że znał kiedyś starego republikanina, któremu zadał pytanie: Czy chcesz demokracji? Odpowiedział, że chce demokracji. Kontynuując rozmowę zapytał: Czyli chcesz, żeby lud się wypowiedział? Stary republikanin się z tym zgodził. Zadał więc następne pytanie: Co będzie, jeśli lud wybierze króla? Rozmówca odpowiedział: To będę protestował. Zadał swojemu rozmówcy kolejne pytanie: A co będzie, jeśli protestami nie da się nic zrobić? Republikanin odpowiedział: To wezmę strzelbę, wyjdę na ulice i będę walczył o republikę. Także bym powiedział, że to nie są ci republikanie z tymi wartościami mieszczańskimi. Z wartościami mieszczańskimi kojarzy się dopiero trzecia republika ukonstytuowana na dobre dopiero w 1875 roku i istniejąca do 1940 roku. To jest republika mieszczańska, kupiecka, handlowa, antyklerykalna, wolnomularska, wolnomysłcielska i tak dalej. Wtedy pojawia się ta wizja republikanizmu mieszczańskiego, który nie jest tak silnie połączony z patriotyzmem, tylko jest połączony z rozwojem kapitalizmu. W tej republice jest cały czas wielka zadra w postaci utraty Alzacji i Lotaryngii w 1870 roku, jest Leon Gambetta, który ciągle mówi, że Francuzi myślą o tych terenach, ale nie mówią o





tym głośno. Republika tak nie mówiła o tym głośno, że praktycznie o tej Alzacji i Lotaryngii zapomniano. Właśnie stąd potem słynne wielkie afery na przełomie XIX i XX wieku – afera Georgesa Boulanger’a, czy panamska Alfreda Dreyfusa. Ta ostatnia była skandalem finansowym, który przeistoczył się w polityczny. Tamte afery są autentycznie politycznymi, które tak naprawdę toczą się o to, żeby republika odzyskała swój patriotyzm i myślała o Alzacji i Lotaryngii. Paradoksalnie stąd ostatecznie wyjdzie zanegowanie republiki z czystego republikanizmu, poprzez neobonapartyzm Paula Dérouléda i Barrésa odwołanie się do monarchii absolutnej Burbonów przez Charlesa Maurrasa i Action Française. To są dwa modele. Jeden to jest chwała Francji poprzez republikę. Republika tutaj jest traktowana tylko i wyłącznie jako pewne narzędzie, gdy królowie się nie sprawdzili. Potem jest ta republika liberalna, mieszczańska, w takim pojęciu jakie my dzisiaj uznajemy za pojęcie republikańskie. Trzeba te pojęcia zdecydowanie od siebie odróżnić, ponieważ ci późniejsi republikanie uważają tych pierwszych za jakichś wariatów nawiedzonych, którzy chcieliby wywoływać wojny na chwałę Francji i temu podobne, a ważniejsze są rzeczy takie jak konto bankowe, akcje, giełda i tak dalej. Ta republika się zmienia. W okresie III Republiki republikanizm nabiera innego sensu. To są przede wszystkim wartości mieszczańskie, kapitalistyczne, takie jak oszczędności, praca, inwestycje, giełda. Z drugiej strony radykalny antyklerykalizm III Republiki, połączenie chrześcijaństwa, dokładniej katolicyzmu z monarchizmem i zlanie się republikanizmu z wojującym laicyzmem. To nie jest laicyzm na zasadzie, uznającej, że kto chce wierzyć, to niech sobie wierzy, a kto nie chce, niech nie wierzy. To jest narzucanie Francji katolickiej liberalnego i antyklerykalnego światopoglądu poprzez laicką i republikańską szkołę. Współczesny republikanizm francuski się kojarzy przede wszystkim z tymi wartościami laickimi, suwerennością ludu. Chwała Francji gdzieś sobie istnieje. Każdy Francuz by chciał, żeby ta Francja była wielka, ale ta republika traktuje tych republikanów patriotów już jako marzycieli. To jest wyraźnie widoczne. Traktuje ich na zasadzie młodych i naiwnych ludzi. Ta współczesna republika francuska w tej chwili idzie w całkowity rozkład, ponieważ jakby główna idea francuskiej republiki, *état nation*, państwo narodu. Państwo, w którym jest homogeniczny naród na wzór Rousseau, absolutnie nie jest liberalny, tylko homogeniczny kulturowo, cywilizacyjnie, językowo i tak dalej. Cały proces centralizacji. Ona się w tej chwili rozpada pod wpływem imigrantów, powstawania społeczeństwa wielokulturowego itd. Już wprost się mówi o tym, że nie ma jednej Francji, są oddzielne Francje: Francja burżuazji z bogatych dzielnic, robotnicza, imigrantów, kultury LGBT i tak dalej, francuski *état nation* ulega dezintegracji. Właśnie stąd takie ostatnie idee, które pojawiają się we Francji, szczególnie na centroprawicy, to znaczy idee jakiegoś zachowania jedności poprzez laicyzm jako taką oficjalną doktrynę francuską. Paradoksalnie ten postulat rewolucji francuskiej, republikanizmu patriotycznego, w którym wszystko trzeba poświęcić dla Francji, idea, którą najlepiej wyrazili kiedyś jakobini. On w tej chwili stał się wprost konserwatywny i reakcyjny we Francji. Napisałem ostatnio tekst, w którym sformowałem tezę, że paradoksalnie te ugrupowanie, które uchodzi za skrajnie prawicowe, naprawdę realizuje postulaty rewolucji francuskiej, homogenicznego republikańskiego *état nation*. Podczas gdy francuska klasa polityczna z tym *état nation* się pożegnała. Głosi społeczeństwo wielokulturowe, w którym *état nation* uległ całkowitej dezintegracji. We Francji cały czas jest rozdźwięk pomiędzy republiką Habermasa, czyli taką pluralistyczną, światopoglądową, mocno nihilistyczną, w której każdy sobie wierzy w co chce, a tą republiką patriotów, dla których Francja jest ponad wszystko i która traktuje Francję i chciałyby ją widzieć jako jeden skonsolidowany naród wokół wartości republikańskich. To jest tradycja republikańska, ale nie liberalna.



**Dr Marta Maj:** Dziękuję. Myślę, że temat francuskiego ideału republikańskiego i czym we Francji jest samo pojęcie republiki, został omówiony. W takim razie moje kolejne pytanie. Tematem dzisiejszej debaty jest przyjrzenie się tym wspólnym tradycjom republikańskim Francji i Polski. W takim razie, co z tą Polską? Co z polskim republikanizmem? Mówimy o I, II, III Rzeczypospolitej, czyli tak naprawdę mówimy o republice. Czy te idee, które przyświecają Rzeczypospolitej, polskiej republice, polskiej myśli republikańskiej, są podobne do tych francuskich? Czy rzeczywiście widzimy jakiś punkty wspólne, czy jednak to są dwa zupełnie osobne pojęcia?

**Prof. Adam Wielomski:** To różnie bywa. Najpierw zaczęliśmy mówić od republiki 1789–1791. To są dwa inne republikanizmy. Polski republikanizm jest republikanizmem szlacheckim konfederatów barskich. Podczas gdy wtedy we Francji republikanizm jest nurtem rewolucyjnym, który dąży z jednej strony do oddania władzy narodowi, obywatelom. To są przede wszystkim osoby płacące podatki. Można powiedzieć, że we Francji jest to model demokratyczny, mieszczański. W Polsce natomiast funkcjonował wówczas przez cały czas model szlachecki. Gdy na przykład spojrzysz na to, co w tej chwili może się wydawać dziwne dla współczesnego Polaka, skąd jest ta popularność Jeana Jacquesa Rousseau. Popularność pośród polskiej szlachty myśliciela, który głosi suwerenność ludu, a nie szlachty. Popularność ta wynika z tego, że Jean Jacques Rousseau jest traktowany przez konfederatów barskich jako wyraziciel suwerenności narodu, a naród to szlachta. Myślę, że Michałowi Wielhorskiemu i innym konfederatom barskim nie przychodzi do głowy to, że chłopci pańszczyźniani są częścią suwerennego narodu. Im się wydaje, że naród szlachecki jest narodem. We Francji również jest grupa zwolenników rządów starej arystokracji. Tutaj mam na myśli przede wszystkim Emmanuela-Louis-Henri de Launay’a, hrabiego d’Atraigues, i jego jakby frakcję, która też uważa, że suwerenny lud we Francji, o którym pisze Rousseau, to francuska szlachta. Rousseau jest bardzo popularny w opozycji tak zwanego parlamentu paryskiego, czyli grupy prawników, strzegących starych praw, ponieważ lud, naród, łączony jest ze szlachtą, a nie z ogółem społeczeństwa.

**Prof. Remigiusz Forycki:** W tekście Konstytucja 3 maja był projekt, aby podnieść do rangi szlachty cały naród.

**Prof. Adam Wielomski:** Konstytucja 3 maja jest bardzo niespójna, jeśli chodzi o pojęcie narodu. Z jednej strony przyznaje prawa polityczne narodowi szlacheckiemu, a z drugiej strony mówi o wszystkich Polakach jako o suwerenie. Z resztą z samej konstytucji jakby wynika to, że suwerenem w znaczeniu obywatelskim, już nie jest tylko szlachta, tylko są posesjonaci. Z tej grupy suwerennej wyeliminowana zostaje szlachta gołota, a do tej grupy dołączone zostaje zamożne mieszczaństwo. Jakby takimi ideologami, doktrynerami tego nowego pojęcia obywatelstwa byli Hugo Kołłątaj lub Stanisław Staszic, w Polsce w tym czasie. Właściwie do Polski w tym czasie, poza jakimiś polskimi Jakobinami, co wieszali obrazy zdrajców w Warszawie, ten radykalizm jakobiński, republikanizm w tym rozumieniu, nie dochodzi. Caryca Katarzyna albo Prusacy po Europie rozprowadzają, że idą gasić burzę rewolucyjną w Polsce, ale tak nie jest. Pomiędzy rewolucją francuską, a tą nazwijmy to rewolucją polską jest zasadnicza



różnica. Rewolucja francuska jest skierowana przeciwko władzy i wzmocnieniu tej władzy poprzez jej przeniesienie na lud. Podczas gdy rewolucja polityczna w Polsce zwińczona Konstytucją 3 maja skierowana jest na wzmocnienie władzy i stworzenie monarchii konstytucyjnej. Można powiedzieć, że w pewnym momencie te projekty zbliżają się do siebie, to znaczy wtedy, gdy w Polsce ma miejsce uchwalenie Konstytucji 3 maja, rośnie pozycja króla, a we Francji w tym czasie pozycja Ludwika XVI jako króla spada. Ostatecznie ten projekt republikański przemienia się w swoje przeciwieństwo, we Francji w postaci bonapartyzmu, a Polska niknie. W Polsce, emigranci, wielka emigracja szczególnie, w okresie międzypowstaniowym najchętniej przebywa we Francji. Z tego prostego powodu, że język francuski jest językiem znanym wśród warstw kulturotwórczych, które stoją na czele poszczególnych powstań. Z tego wynika, że naturalny kierunek to jest Francja. Nie jest tym kierunkiem na przykład świat anglosaski, bo język angielski nie był językiem znanym w Europie, w XIX wieku, szczególnie w pierwszej połowie. Język angielski uchodzi jeszcze za język pospólstwa, a nie ludzi kultury. We Francji sprawa polska jest popularna. Szczególnie wśród demokratów, którzy chcą, w imię patriotyzmu republikańskiego, wojny. Chcą wojny o wyzwolenie wszystkich ludów świata za pomocą armii francuskiej, po to, żeby stworzyć jakąś federację europejską, której stolica będzie w Paryżu. Pamiętajmy, że, co by nam Francuz nie opowiadał i nie twierdził o tym, że jest kosmopolitą, chce znieść państwa narodowe i tak dalej, to jak go zapytamy: Jak postanie ta republika europejska, to gdzie będzie miała ona stolicę? Każdy Francuz, największy kosmopolita, bez wahania spojrzy na nas jak na wariata i odpowie, że oczywiście w Paryżu. To jest takie przekonanie trochę mesjanistyczne Francuzów. Sprawa polska traktowana jest jak taki papierak lakmusowy prawdziwego republikanizmu. Oznacza to wojnę z reakcyjnymi mocarstwami, Prusami, Austrią, a potem Austro-Węgrami i przede wszystkim z taką reakcją reakcji w postaci Rosji carskiej.

Wpływ Francuski na polską myśl polityczną będzie się uzewnętrzniał w okresie międzywojennym. Konstytucja marcowa, która jest próbą przepisania na warunki polskie konstytucji z 1875 roku, konstytucji III Republiki Francuskiej, która traktowana jest jako wzór. Z resztą paradoks. We Francji opozycja prawicowa po aferach Boulanger'a i Dreyfusa uważa, że republika się nie sprawdza i do niczego się nie nadaje. Przykładowo Charles Maurras rzucił swoje słynne pytanie: republika czy ojczyzna? Z kolei w Polsce prawica na czele z endecją, z Romanem Dmowskiem, uważa, że model francuski jest świetny. Francja wydaje się być państwem słabym, republikańskim, w którym ciągle są zmiany rządu, ale Francja w 1918 roku, pokonała Cesarstwo Niemieckie. Wydawałoby się, że silne zwarte i tak dalej zostało pokonane przez Francję. Z tego powodu Francja uchodzi za wzór, prawdziwy wzorzec. Endecja popiera francuski model konstytucjonalizmu. Jak się spojrzy na okres międzywojenny, to rzeczywiście, myśl polityczna w Polsce jest bardzo mocno uzależniona od myśli francuskiej. Stanisław Cat Mackiewicz ciągle się powołuje na to, co pisali w *Action Française*, a co napisał Jacques Bainville. Inni myśliciele to samo, studiują we Francji. Wielu z nich do Francji jeździ. Francja wtedy, dla Polski jest pewnego rodzaju centrum świata. Upragnionym zachodem, czymś takim, czym dziś dla Polaków jest świat anglosaski, Stany Zjednoczone. Wpływ francuski upada w XX wieku. On jeszcze funkcjonuje gdzieś tam za epoki Gierka, a tak naprawdę upada po 1989 roku. Wtedy, gdy w Polsce rosną wpływy anglosaskie, szczególnie amerykańskie, wpływy polityczne, kapitałowe i inne. Wraz z tym również upada znajomość języka francuskiego. W tej chwili w Polsce język francuski jest kompletnie nieznan. To, co Polacy wiedzą o Francji to głównie już recepcja za pośrednictwem literatury anglosaskiej. Można powiedzieć, że Polska przestała być frankofilska, ponieważ w tej chwili Polacy Francji już absolutnie nie znają, nie rozumieją, nie doceniają. Francja w Polsce traktowana jest jak taki kraj, jak na przykład Portugalia. Tylko może bliżej geograficznie, ale kulturowo jest Polakom już całkowicie obcy.



**Prof. Remigiusz Forycki:** Wstyd przyznać, ale Francja popadła dzisiaj w zapomnienie. Jeżeli chodzi o wspólne wartości, to na pewno Polacy z Francuzami mieli podobne zapatrywania po Powstaniu Listopadowym: modnym sloganem propagowanym w prasie paryskiej było: „Toute la France est polonaise” („Cała Francja jest polska”). Był olbrzymi entuzjazm i nie tylko w przywitaniu uchodźców. Warto przypomnieć, że ogromna rzesza największych artystów: Chopin, Mickiewicz, Norwid, Słowacki wyemigrowała i znalazła się na „paryskim bruku”. Wartości etyczne-moralne po okresie restauracji i dążeniu do wyzwolenia ludów były wspólne. Francja z Polską dogadywała się również co do Rosji. Wojna krymska stała się totalną klęską Mikołaja I Romanowa, który niedługo potem umiera; wojnę rozpoczynają Anglicy i Francuzi, a Polacy czynnie ich popierali. Do 1848 roku sytuacja jest klarowna, panuje „le beau fixe” („piękna pogoda”); te wspólne wartości idą w parze z polskim programem walki „Za Naszą i Waszą Wolność”. Jeżeli chodzi o Powstanie Styczniowe, to Napoleon III kokietował Polaków i do końca nie było wiadomo, jak Francuzi realnie chcieli poprzeć narodowo-wyzwoleńcze starania naszych rodaków. Natomiast rzecz się zupełnie skomplikowała po klęsce Francji pod Sedanem w 1870 roku. Wtedy na horyzoncie pojawia się Rosja jako ich sojuszniczka i przeciwaga potęgi Prus. Jest to już widoczne na wystawie światowej, gdy Francja obchodziła setną rocznicę rewolucji francuskiej (z tej okazji powstaje wówczas wieża Eiffela). Zaraz potem, zawiązuje się sojusz rosyjsko-francuski. Dla Polaków była to totalna katastrofa. Taka sytuacja trwa do I wojny światowej. O okresie międzywojennym mówił pan profesor Wielomski. Honor Francji w czasie II wojny światowej ratuje Charles de Gaulle, który nie kupczył ze Stalinem naszymi sprawami jak w Jałcie Churchill i Roosevelt. Natomiast jego sytuacja była ciężka, bowiem alianci uznawali wówczas rząd Philippa Pétainé'a; kiedy był w Rosji prowadził na Kremlu rozmowy dla nas nie zawsze korzystne. Po II wojnie światowej de Gaulle nie dochodzi od razu do władzy. Powstaje sytuacja, kiedy budując kolejną, V Republikę, ma w rządzie zarówno prawicę jak i lewicę z komunistami i socjalistami włącznie. Uznał też, za cenę rozbrojenia komunistów, ZSRR. To mu stworzyło dobry klimat i nawiązanie współpracy z władzami peerelowskimi. Ch. De Gaulle był tolerowany, a może nawet poważany, przez Moskwę. Ciekawe, że prawie wszyscy obecni politycy francuscy przyznają się do sympatii i korzeni gaullistowskich.

Jak to wygląda dzisiaj? Prezydent Emanuel Macron, po wygranych wyborach, zlikwidował zarówno lewicę jak i prawicę; bardziej jednak lewicę – mogą oni liczyć najwyżej na 2-7 procent poparcia w przyszłych wyborach. Część polityków prawicy przeszła na jego stronę. Obecny prezydent jest w obecnie faworytem w kwietniowych wyborach. Ponieważ jednak nie zrobił obiecanych reform (bezrobocie, zadłużenie państwa, emigracja) Francja jest w tej chwili narodem, który ma w swoim łonie formacje anarchizujące („żółte kamizelki”, rabusie z przedmieścia – „les casseurs”, muzulmańscy integryści). Według wykładni Hannach Arendt to jest początek anarchii, która doprowadza często do systemów dyktatorskich. Po drugiej stronie jest obóz Marine Le Pen, która jest naturalnym kontrkandydatem w przyszłych wyborach. Kto zwycięży? Jeszcze nie wiadomo, ale „czarnym koniem” wyborów może się okazać trybun ludowy Éric Zemmour. Wydaje się, że bardzo poważne szanse ma „skrajna” prawica, bowiem ludzie się nie przyznają, że będą na nią głosowali.

We Francji rocznie płonie około 120 kościołów. Ponieważ w 1905 roku Francja zniosła własność prywatną kościoła i świątynie przeszły pod kuratelę państwa, to rząd powinien dbać o to mienie. Ale często jest tak, że lepiej po cichu spalić kościół niż go remontować, albo, bardziej się opłaca zrobić parking w miejscu świątyni i wtedy wyrzuca się księdza na bruk (często widzi się takie szokujące sceny w laickiej do bólu telewizji francuskiej). Wydaje się, że Francji potrzebna jest terapia szokowa.



**Dr Marta Maj:** Dziękuję. Pan profesor trochę już wyprzedził moje kolejne pytanie, które miało dotyczyć tych terażniejszych stosunków i stosunków historycznych. Ja te stosunki historyczne układały się wzajemnie między Polską a Francją w dobie tego rozwoju historycznego? W jaki sposób przekładają się te wspólne wartości na to, jakie obecnie są te stosunki polsko-francuskie? Jak to jest ze stosunkami historycznymi polsko-francuskimi, a jak obecnie?

**Prof. Adam Wielomski:** Polska formalnie ma stosunki dyplomatyczne z Francją, ale tak naprawdę Francja w ogóle nie budzi zainteresowania w Polsce i odwrotnie. Widać to chociażby po programach stypendialnych na propagowanie kultury francuskiej, dla polskich stypendystów we Francji. Mało idzie funduszy, coraz mniej, jakby Francuzi ten kierunek sobie odpuścili. To co się dzieje w stosunkach polsko-francuskich, to szukanie niezręcznych wypowiedzi, typu, że Polska miała okazje, żeby siedzieć cicho albo że ktoś tam uczył nas jedzenia widelcem i tak dalej. Tak naprawdę są to jedyne realne stosunki pomiędzy Polską a Francją, to znaczy Francuzi jakby z góry zakładają, że jest to część Europy, która leży w zainteresowaniu Niemiec. Za to oczekują jakby, że w ich strefie zainteresowania będzie północna Afryka i Niemcy będą to respektowali. Polska również nie ma żadnych relacji z Francją, ponieważ w układzie sojuszników przede wszystkim patrzy na Stany Zjednoczone, a w układzie gospodarczym na Niemcy. Z punktu widzenia polskiej polityki zagranicznej Francja jest dosyć problematyczna na przykład pan profesor Forycki wspominał o de Gaulle'u, który cieszył się dużym szacunkiem w Polsce z okresie peerelowskim. To wynikało nie tylko z tego, że był otwarty na komunistów. Wynikało to również z tego, że wyprowadził Francję z struktur wojskowych NATO. Budował własny niezależny od Stanów Zjednoczonych program nuklearny. Dlatego był dla Polski cennym sojusznikiem, ponieważ był to kraj kapitalistyczny, ale antykomunistyczny i antyamerykański. Nie był traktowany jako kraj specjalnie wrogi, ale też nie jako koalicjant i sojusznik Stanów Zjednoczonych. W tej chwili polskie elity traktują Francję bardzo podobnie, to znaczy ponieważ Francja manifestowała i będzie manifestować swoją odrębność polityczną w stosunkach międzynarodowych, dyplomacji, od Stanów Zjednoczonych. Polskie władze uważają Stany Zjednoczone za głównego, w gruncie rzeczy jedynego sojusznika, więc traktują Francję jako partnera kłopotliwego. Natomiast Francuzi traktują Polskę jako wasala Stanów Zjednoczonych, z którym też nie ma co rozmawiać, ponieważ nie jest to państwo, które będzie chciało emancypować się spod amerykańskiej hegemonii, co chwilę manifestując swoją odrębność i niezależność. W tej chwili, póki nic się nie zmieni na scenach politycznych obydwóch tych państw, to nie ma cokolwiek liczyć na lepsze i bardziej dobre stosunki polsko-francuskie, ponieważ elity polityczne obydwóch państw zupełnie inaczej wyznaczają swoje interesy, inaczej je widzą, a przede wszystkim inaczej oglądają cały system sojuszy międzynarodowych. Polska i Francja tak naprawdę są może nie w przeciwnych obozach, ale w obozach, które patrzą na siebie z pewną niechęcią. Nie ma co liczyć na to, że to się szybko zmieni bez wymiany elit politycznych przynajmniej w jednym kraju, jak nie we dwóch. To się oczywiście będzie przekładało na kulturę francuską i jej popularność w Polsce i odwrotnie. Francuzi generalnie inwestują w kulturę tam, gdzie chcą również rozwijać stosunki polityczne i ekonomiczne. Tych w Polsce praktycznie nie ma.



**Dr Marta Maj:** Dziękuję. Historia stosunków Polski i Francji jest dość bogata, ale niestety dochodzimy do takiej tezy, że obecnie gdzieś te stosunki nie są najlepsze. Co pan profesor Forycki w tej kwestii by nam powiedział?

**Prof. Remigiusz Forycki:** Mam trochę inną wizję. Wynika ona z pewnych rzeczy, które zdarzyły się w polityce ostatnich lat. Trzeba bardzo dużo spraw przewartościować, żeby się zorientować w jakim kierunku idzie Europa. Pierwszy, niezwykle ważny element, to sprawa brexitu. Anglia wyszła z Europy, a przecież razem z Francją miały bardzo silną armię. Armia angielska nie należy już do Unii Europejskiej i nie będzie walczyła ani o Warszawę, ani o Paryż, czyli jedyną siłą wojskową, z arsenałem nuklearnym, która się liczy w Unii Europejskiej jest armia francuska. Trzeba przewartościować sprawę obronności europejskiej, na przykład wiem, że istniał projekt, aby Francja otoczyła Europę obronnym parasolem atomowym po brexicie. Na spotkaniu w którym uczestniczyłem online były Ambasador Francji w Polsce tego nie potwierdził, ale też tego nie wykluczył. Polacy w tej chwili są w takiej sytuacji, że jeżeli Niemcy dogadają się z Rosjanami (sprawa Nord Stream 2 szczyry złowieszczko zęby), to powtórzy się układ, który aż nadto znamy. To nie jest dobra, szczęśliwa sytuacja. Zakładam, że sprawy nie pójdą na tak daleko, ale nikt nie wie, jak one się potoczą. Moim argumentem, żeby przewartościować stosunek Polski do Francji jest właśnie sprawa armii. Kissinger mówił: „Nowy Jork nie będzie się bił o Warszawę albo o Paryż”. Tutaj mamy taką niewyraźną sytuację; oczywiście bardzo dobrze, że jesteśmy w NATO, ale jesteśmy również w źle poukładanej Europie.

Druga rzecz to jest sprawa koncepcji Zbigniewa Brzezińskiego, który zakładał, że dla Polaków ważniejsze niż NATO i wejście do Unii Europejskiej jest wejście do NATO Ukrainy – był rzecznikiem wolnej Ukrainy. On to głosił bardzo wcześniej, jeszcze zanim Polska weszła do NATO, albo zaraz po tym fakcie. Tak się składa, że ta koncepcja jest obecnie realizowana w Stanach Zjednoczonych. To jest kluczowy kraj i słusznie Polacy kupują F-16, a nie francuskie miraży. Natomiast, koncepcja Brzezińskiego wolnej Ukrainy jest obecnie bardzo niepewna po Krymie, Donbasie i ostatnich wydarzeniach na Białorusi. Francuzi bardzo dbają o basen Morza Śródziemnego – dla nich to właśnie ta przestrzeń jest najważniejsza; Polska zaś walczy o bezpieczną granicę na wschodzie. W tej chwili Białoruś i Ukraina stanowią istotny problem. Powinno się tutaj dogadać z partnerami z Unii Europejskiej i znaleźć konsensus, aby wypracować wspólną politykę zagraniczną Zjednoczonej Europy. Basen śródziemnomorski i flanka wschodnia – to są priorytety, od których nie ma ucieczki.

Oczywiście rolnictwo nas nie dzieli tylko łączy; jakbyśmy obserwowali, jak w Unii Europejskiej Francuzi i Polacy głosują przy sprawach rolniczych, to wiosek jest prosty: jesteśmy na tej samej długości fal i głosujemy w taki sam sposób. Rolnictwo w Polsce i we Francji jest niezwykle ważne i tutaj nie ma poważnych kontrowersji.

Po wyjściu Wielkiej Brytanii z Unii Europejskiej jest tak inna sytuacja, że co prawda język angielski nie straci swojej siły przewodniej, ale bardzo osłabi siłę uderzeniową. Język angielski nie będzie już wehikułem cywilizacji „British Commonwealth” w Unii Europejskiej.



**Dr Marta Maj:** Dziękuję bardzo. Proszę o słowa końcowe. Przejdźmy do zakończenia. Teza główna, którą sobie postawiliśmy, czyli „1789–1791. Francuski i polski republikanizm. Odniesienia w relacjach bilateralnych”. Może w kilku zdaniach na podsumowanie, jak ta historia wpłynęła na stosunki polsko-francuskie. Prosiłabym o ostateczne zdanie.

**Prof. Remigiusz Forycki:** Przytoczę opinię Hannah Arendt, która w swoich ocenach politycznych bardzo się wzorowała na A. de Tocqueville'u, chociaż między nimi była zasadnicza różnica: Hannah Arendt uważała, że Europa już wyczerpała swoje korzenie, z których może czerpać i korzystać w budowaniu swojej potęgi. Jest to szczególnie widoczne po II wojnie światowej i po tragicznym bilansie dwóch systemów totalitarnych: niemieckim i radzieckim. W związku z tym miała ona przekonanie, że Tocqueville ma całkowitą rację i jest coś takiego jak niezrywanie z historią. Nie ma „punktu zero historii”. Zawsze to powtarzał Czesław Miłosz i ludzie, którzy badają systemy totalitarne, że istnieje pewna ciągłość w społeczeństwie obywatelskim, której nie udało się zdławić ani nazistom, ani sowietom. Dla Hannah Arendt ta ciągłość jest w rządzie rad. Nie chodzi tutaj oczywiście o sowieckie rady ludowe, tylko o koncepcję rad według Jeffersona. Mamy do czynienia z czymś takim jak skupienie władzy w pewnych okręgach, na przykład w samorządach, instytucjach charytatywnych i tak dalej. Wtedy ogniskuje się władzę, która nie powinna być rozdrobniona – żeby być skuteczną, musi ona być władzą pełną. W swojej książce „O rewolucji” H. Arendt porównuje rewolucję francuską z rewolucją amerykańską. Rewolucja amerykańska ma dla niej tę przewagę, że jest rewolucją wolnościową: wprowadza hasło wolności na sztandary i wokół tej idei organizuje się społeczeństwo obywatelskie. Natomiast rewolucja francuska była nastawiona na równość i braterstwo. Ta idea wyroiła to, co najgorsze mogła wyroić: systemy równościowe w wypadku Sowietów i nacjonalizm oraz faszyzm włoski i niemiecki. Alexis de Tocqueville obserwując i czytając „Kajety skarg”, doszedł do wniosku, że ludność nie chciała śmierci króla, a w swoich żądaniach, o które prosił król Ludwik XVI (przypomnijmy wnuk Marii Leszczyńskiej) nie chciała też zmian rewolucyjnych, gwałtownych. Tocqueville przestudiował wszystkie te dokumenty, z których dowiedział się, że przed 1789 r. chłopci kupowali ziemię i stawiali się bogaci. Zaczęło się reformować państwo, a potem, niestety, zatrzymała to rewolucja francuska i epoka napoleońska. Dopiero za restauracji wróciła dobra passa reformowania. Na podstawie opracowań ze „Starego i nowego porządku” można wywnioskować, że rewolucja francuska była, dla Tocqueville'a, bezsensowną stratą ludzi i czasu; zatrzymała ona reformy, które były już zaawansowane i wyrządziła ogromne zniszczenia duchowe oraz materialne. Uważam, że idea republikańska, ale nie narzucona przemocą i zadekretowana z góry, wniosła bardzo dużo do mentalności Europejczyków. Republikańska Polska – z piękną tradycją Konfederacji barskiej – jest dzisiaj dziedziczką tej idei. Warto ją kontynuować i pogłębiać, gdyż może nas jeszcze niejednego nauczyć. To jest moja, optymistyczna, konkluzja.

**Prof. Adam Wielomski:** Spotkaliśmy się, by porozmawiać, o tradycjach Polski i Francji, szczególnie z lat 1789–1791. Na zakończenie powiem, że szczęśliwy jestem z tego, że nasi przodkowie we wspomnianym okresie z tradycji francuskiej nie korzystali. Nie mieliśmy polskich Robespierrow, Saint Justów, Babeufów, czyli wszystkich tych masowych morderców, którzy chcieliby gilotynować wszystkich tych, którzy o polityce myśleli inaczej niż oni. Polska rewolucja w tej perspektywie francuskiej była kontrrewolucją, dlatego że była w kierunku wzmocnienia państwa, a nie jego anarchizacji. Dlatego pomimo pewnych podobieństw używanych



pojęć, na przykład Tadeusz Kościuszko przetłumaczył na język polski francuskie słowo niepodległość – *indépendance*, wprowadzając je do języka polskiego. Na szczęście mimo tych wszystkich podobieństw te rewolucje poszły zupełnie w innych kierunkach. O ile tradycja rewolucji francuskiej dla Francji jest mordercza i zabójcza, o tyle tradycja polskich reformatorów z tego samego okresu jest dla Polski tradycją wielką i wspaniałą, bo pokazującą, że wykrzesaliśmy sami własne siły, aby reperować własne państwo, chociaż nie zdążyliśmy, bo państwo to upadło. Generalnie, myślę, że te dwa zderzenia tych dwóch różnych światów – francuskiego i polskiego z tej epoki, świetnie wyraża powieść Henryka Rzewuskiego „Listopad”, w której dwaj główni bohaterowie to są dwaj bracia, Polacy, w tym jeden wychowany jako tradycyjny polski szlachcic, a drugi jako francuski arystokrata. Oni mogą się wzajemnie kochać i miłować jako bracia, ale tak naprawdę oboje należą do dwóch cywilizacji. Nie chodzi o to, że ten francuski jest wyperfumowany i chodzi w pończoszkach, co dla jego polskiego brata wydaje się być czymś dziwnym. Tamten pierwszy, francuski, jest przede wszystkim produktem ideologii oświecenia, podczas gdy ten polski jest produktem nie sztucznym, tylko naturalnym, organicznym polskiej tradycji narodowej. Możemy podpatrywać inne tradycje, musimy je badać i wiedzieć o nich jak najwięcej chociażby z tego powodu, że człowiek wykształcony musi wiedzieć, jak wygląda świat. Człowiek wykształcony musi się światem interesować, ale to nie oznacza, że powinien go papugować. Jeżeli dokonuje papugowania i zaczyna plagiutować cudze wzorce, to tylko znaczy, że wstydi się samego siebie, swojej narodowej kultury i tradycji. Polacy nie mają się wstydzić swojej tradycji i kultury. Patrmy na Francję, bierzmy z tej Francji, korzystajmy z tego co tam jest ciekawe, wielkie i wspaniałe, a tradycję rewolucyjną, jakobińską schowajmy sobie głęboko pod poduszkę i lepiej tam nie zaglądamy, bo mogą z niej wyjść tylko na światło dzienne, potwory.



Glosa 1.

Remigiusz Forycki  
Uniwersytet Warszawski

## 1789–1791: FRANCUSKI I POLSKI REPUBLIKANIZM – ODNIESIENIA W RELACJACH BILATERALNYCH

### IDEA REPUBLIKAŃSKA W POLSCE PRZED ROKIEM 1789

Jeżeli chodzi o Polskę, to warto rozważyć myśl polityczną Joachima Lelewela i jego wykładnię naszego republikanizmu, który – zdecydowanie inny niż większość systemów europejskich – wywodzi się, jego zdaniem, z gminowładztwa. Natomiast późniejszy republikanizm szlachecki ewoluuje od XVI wieku i wytyczają jego drogę takie etapy jak: wprowadzenie w 1573 roku systemu elekcyjnego, *Artykuły henrykowskie* (*Articuli Henriciani*), *Pacta conventa*, czy – zapoczątkowana w XVII wieku – zasada *liberum veto*. W ten sposób rola króla w Polsce maleje kosztem magnatów i ich klienteli, co doprowadzi w wieku Oświecenia do anarchii i upadku kraju rozgrabionego przez monarchów „oświeconych” (Katarzynę II, Fryderyka II i Marię Teresę).

Ważną rolę w politycznych rachubach polskich republikanów odgrywał Jan Jakub Rousseau i jego zasada suwerenności obywatelskiej (*la volonté générale*). Dużo zamieszania robi zresztą tłumaczenie tego terminu na język polski. Sformułowany w *Umowie społecznej* koncept był określany w okresie rewolucji francuskiej jako „suwerenność narodowa”, później – szczególnie w okresie Komuny Paryża, Frontu Ludowego, rządów socjalistów, a u nas w PRL-u – jako „suwerenność ludowa”. Trzeba tu wyraźnie zaznaczyć, że Rousseau nie może być uznany za prekursora ani marksizmu, ani liberalizmu – kto tak twierdzi, bardzo poważnie się myli, bowiem kierunki te nie mają nic wspólnego z wykładnią jego zasady suwerenności obywatelskiej.

Innym myślicielem francuskim, który odegrał bardzo dużą rolę w kształtowaniu polskiego republikanizmu był Monteskiusz i jego zasada rozdziału władzy wykonawczej, ustawodawczej i sądowniczej (warto zaznaczyć, że nawet Katarzyna II w swoim *Nakazie* wzorowała się na *Duchu praw* Monteskiusza). Zarówno Rousseau, jak też Monteskiusz odegrali pośrednią rolę w powstaniu pierwszej w Europie Konstytucji 3-go Maja i – późniejszej o kilka miesięcy – Konstytucji Republiki Francuskiej.

Ale bodaj największe zasługi w kształtowaniu się polskiej myśli republikańskiej miał jednak twórca *Emila*, który był autorem projektu konstytucji dla wolnej Polski. W swoim tekście zatytułowanym *Considérations sur le Gouvernement de Pologne* (*Uwagi o Rządzie Polskim*), a napisanym na prośbę Michała Wielhorskiego, reprezentującego konfederatów barskich, francuski filozof wyłożył republikańską zasadę rządów, wynikającą z jego doświadczeń i przemyśleń jako obywatela Republiki Genewy (gdzie dorastał) oraz dokumentacji, którą otrzymał od barszczan. Mimo że zaadresowany do Polaków, projekt Rousseau wykracza daleko poza granice naszego kraju. W postępowej Europie, w której wielkim, niespełnionym marzeniem większości narodów było posiadanie własnej konstytucji, jego projekt był szeroko dyskutowany i omawiany. Intelktualna Europa podzieliła się wręcz na zwolenników „oświeconych monarchów” (Volter, Diderot, encyklopedyści) i republikanów (Mably, Rousseau, Rulhière). Maurycy Beniowski, na wygnaniu w Pietropawłowsku (Kamczatka), wprowadzał nawet w życie republikańskie zasady, które później zaszczepił na Madagaskarze. Nie dziwi zatem popularność Jana Jakuba, jaką się cieszył wśród polskich emigrantów, którzy stworzyli w północnej części Paryża dzielnicę, tzw. „La petite Pologne”, aby być jak najbliżej Ermenonville, gdzie rezydował ich filozoficzny idol.



Warto w tym miejscu wspomnieć też o A. de Tocqueville'u, który co prawda opisał model demokracji w Ameryce, ale jak się porówna rewolucję amerykańską i francuską (jak to zrobiła m.in. H. Arendt), to wyraźnie widać, jak ważne jest republikańskie spojrzenie autora *Dawnego ustroju i rewolucji* na obie te, jakże różne, rewolucje.

## REPUBLIKAŃSKIE KORZENIE FRANCJI

Idea republikańska we Francji – gdzie król Ludwik XIII i kardynał Richelieu zepchnęli arystokrację do opozycji, a Ludwik XIV „uwięził” ją w złotej klatce (Wersalu) – wyżyła się długo i w bólach. Nie licząc kilku myślicieli oraz przegnanym przez „Króla słońce” i potępianym papieską bullą *Unigenitus* jansenistów (którzy w 1789 roku poparli „Konstytucję cywilną kleru”!), idea demokracji republikańskiej musiała poczekać do drugiej połowy XVIII wieku, aby skutecznie zaistnieć w myśli politycznej Francji. Pierwszym symptomem kształtowania się idei wolnościowych było zapewne powstanie opinii publicznej, dogłębnie opisane między innymi piórem pani de Staël. Wymarzone przez mieszczaństwo państwo konstytucyjne powstało na zebraniach frakcji, w klubach dyskusyjnych, wśród encyklopedystów, na łamach prasy codziennej, czy pod „Drzewem Kraków” (francuski odpowiednik londyńskiego Hyde Parku). Jak się wydaje, najbardziej jednak znaczące w ewolucyjnym dążeniu do politycznych zmian we Francji były tzw. „Kajety skarg” (*Cahiers de doléances*). Ludwik XVI zwrócił się do trzeciego stanu, aby przez swoich przedstawicieli (głównie prawników, późniejszych przywódców rewolucji, takich jak: Robespierre, Danton, Saint-Just, Desmoulins) wyrazili na piśmie chęć wprowadzenia korzystnych zmian, aby uzdrowić poważną sytuację kryzysową. W ten sposób powstał ogromny materiał dokumentacyjny, który posłużył między innymi Tocqueville'owi do oceny sytuacji politycznej, gospodarczej, społecznej i religijnej przed, w trakcie i po rewolucji francuskiej oraz w okresie napoleońskim. Na bazie tych świadectw, wyrażających wolę ludu, została powołana do życia Konstytuanta, której obrady doprowadziły do uchwalenia Konstytucji I Republiki Francuskiej.

## ŚWIADECTWA PISARZY O WYDARZENIACH Z ROKU 1789

Pierwszym myślicielem, który przychodzi na myśl jako świadek i uczestnik wydarzeń rewolucyjnych, jest François René de Chateaubriand, autor osobliwego dzieła pt. *Essai sur les révolutions* (*Esej o rewolucjach*). Jego liberalne przekonania polityczne wyraźnie odczuwalne w pierwszej fazie rewolucji, kiedy sytuuje się w tradycji oświeceniowej (szczególnie bliskie mu są poglądy społeczno-polityczne Rousseau), nie przeszkadzają mu umieścić w swoim tekście słowa *Marsylianki*, gdzie obraz „nieczystej krwi, która zrosi nasze skiby” odnosi się do nienawidzonych arystokratów, mających jak on partykułę *de* przed nazwiskiem. W myśleniu autora *Pamiętników zza grobu* koncept „rewolucja”, to przede wszystkim ewolucja ciał niebieskich na niebie, owa kopernikańska *De revolutionibus orbium coelestium*, czy – posługując się terminologią Nietzschego – idea „wiecznego powrotu”. Wzorując się na książce J. J. Barthélemy'ego, *Voyage du jeune Anacharsis en Grèce* (wielki bestseller epoki Oświecenia), wpisuje on swoje przeżycia czasów rewolucji francuskiej w cykl rewolucji w antycznej cywilizacji greckiej i, podobnie jak Anacharsis, chętnie wraca do swojej barbarzyńskiej krainy, którą przedkłada nad, budzące przerażenie i wstręt, systemy polityczne, jakie widział w Atenach czy Sparcie. Książka Chateaubrianda została wydana w prestiżowej Bibliothèquę de la Pléiade i stanowi ponad 450-stronicowe dzieło, chociaż pierwotny rękopis liczy tych stron zaledwie kilkadziesiąt. Różnica bierze się stąd, że pisarz całe życie poprawiał swój tekst, wykreślał lub dobudowywał z upływem czasu piętrową narrację, tworząc osobliwy palimpsest nakładających się warstw egzystencjalnych przeżyć, ściśle związanych z rewolucją francuską. Konkluzja eseju jest zaskakująca: Chateaubriand znajduje się w Kanadzie, niedaleko Niagary (symbol wulkanu namiętności), gdzie spotyka wśród plemienia Indian swojego rodaka, mówiącego już słabo po francusku. Pisarz opowiada mu o Francji i, z ogromnym zdziwieniem, dowiadyuje się, że ten nic nie wie o wybuchu rewolucji i zdobyciu



Bastylili. Wtedy Chateaubriand snuje ciekawą ideę – stwierdza, że rewolucja francuska jest w nas i, że jak nic nie wiemy o jej wybuchu i przebiegu, to rewolucji po prostu nie ma, ginie z naszej „nieokreślonej” przestrzeni egzystencjalnej.

Innym ważnym dziełem poświęconym wydarzeniom 1789 roku jest książka pani de Staël pt. *Considération sur la France* (*Rozważania o Francji*). Według córki Barona Neckera (jednego z najważniejszych aktorów rewolucji francuskiej), tylko przez umysłowe Oświecenie (*les Lumières*) można osiągnąć wyższy poziom cywilizacyjny państwa. Baronowa była zwolenniczką angielskiego systemu politycznego, gdzie wolność zagwarantowana przez Wielką Kartę Swobód (*Magna Charta Libertatum*) i Commonwelfare of England (*Wspólnotę Anglii*) współistniała z monarchią konstytucyjną. Stworzyła ona w swoim pałacu w Coppet grupę wybitnych myślicieli, którzy studiowali tradycję republikańską, nacechowaną liberalnym duchem teorii Rousseau i Monteskiusza. Obok Benjamina Constanta, spotykamy tu między innymi: Charlesa Victora de Bonstetena, Augusta Wilhelma Schlegla, Jeana de Sismondi'ego, Mathieu de Montmorency'ego, Wilhelma von Humboldta, Josepha-Marie de Géranda, Chateaubrianda, Friedricha Schlegela, Barante'a, Victora de Broglie'a, Juliane de Krüdener, Zachariasę Wernera, Auguste'a de Prusse'a, Juliette Récamière czy George'a Byrona. Stendhal nazwał bywalców spotkań w Coppet „stanami generalnymi intelektualnej Europy”.

Również Joseph de Maistre z entuzjazmem przyjął w swojej książce pt. *Considérations sur la France* (*Rozważania o Francji*) pierwszą fazę rewolucji francuskiej, chociaż to on właśnie stanie się – obok Edmunda Burke'a – głównym rzecznikiem i teoretykiem konserwatyizmu, którego podstawowy cel wyznacza walka z ideologią Oświecenia oraz historycznymi przeobrażeniami, które przyniósł rok 1789. W swojej profetycznej wizji Europy de Maistre wyznaczył Rosji (gdzie przebywał od 1803 do 1817 roku) wyjątkowo dużą rolę. Kraj ten jako potężna siła niszcząca ma wymierzyć karę, jaką Opatrzność zesłała na zwyrodniałą Europę dotkniętą widmem rewolucji. Jego zdaniem, Rosja będzie katem narodów i gwarantem ładu oraz porządku boskiego na ziemi. Doprowadzi ona do utworzenia „chrześcijańskiego państwa uniwersalnego”. Traktat o Świętym Przymierzu stanowi jakby próbę realizacji pomysłów de Maistre'a; „żandarm Europy” to nic innego jak rosyjska konkretyzacja zasady, w której de Maistre mówi o służebnej roli w niszczeniu zła „aż do śmierci śmierci”. Kat z *Wieczorów petersburskich* jest figurą Rosji; bez kataru (i bez Rosji) „porządek zmieni się w chaos, trony runą, a społeczeństwo zniknie”.

## KONFLIKT ŚWIATOPOGLĄDOWY PRZEŁOMU XVIII I XIX WIEKU

Ideologiczne spory i dyskusje nasiliły się szczególnie mocno w epoce napoleońskiej. Współcześni obserwatorzy życia politycznego mieli poważne wątpliwości i trudności z jednoznaczną oceną takich wydarzeń jak konkordat, amnestia dla emigrantów, czy uprowadzenie i zamordowanie księcia d'Enghien. Jednocześnie cenzura cesarska i despotyzm władcy (przejawiający się m.in. bezlitosnym rozprawieniem się z niezależną opozycją: Ideologami, Chateaubriandem, panią de Staël...) nie pozwalały na swobodną wymianę poglądów czy otwarte deklarowanie sprzecznych z ustrojem przekonań politycznych. Często uciekano się do „języka ezopowego”, aby w ten zawołany i aluzyjny sposób dyskutować o rzeczach zakazanych. Jest rzeczą wielce znamieną, iż w debatach nad takimi zagadnieniami, jak: polityka imperialna, despotyzm władzy, suwerenność narodu (ludowa), projekt rewolucyjny, jakobinizm, wolność republikańska, egalitaryzm, rolę owego „płaszczka”, pod którym ukrywano prawdziwe realia społeczno-polityczne, odgrywały Rosja i Polska. Nie mogąc otwarcie wypowiedzieć się na temat dziedzictwa rewolucji francuskiej, emigracji, ultramontanizmu, cesaryzmu napoleońskiego, myśliciele francuscy rozprawiali o despotyzmie carów, samodzierżawiu, ucisku ludu, deptaniu wolności czy postępowych hasłach i ideach konfederacji barskiej, Konstytucji 3 maja lub ustroju Rzeczypospolitej. Określone opcje i wybory (prorosyjskie lub propolskie) były jednoznaczne z deklaracjami politycznymi, potępiającymi albo gloryfikującymi przemiany rewolucyjne, kontrrewolucję, Cesarstwo, Napoleona, hr. d'Artois etc.



W sporach, o których tutaj mowa, rola Rosji była szczególnie ważna i urastała do rangi symbolu. Już na wiele lat przed kongresem wiedeńskim i uchwalaniem zasad tzw. Świętego Przymierza znaleźli się myśliciele, którzy nie tylko sformułowali pryncypia trwałego „porządku” w Europie, lecz także wyznaczyli Rosji rolę strażnika ładu na Starym Kontynencie. Jednym z piewców zbawczej roli państwa carów był, jak wiemy, Wolter. Obrońca Calasa i nieprzejednany wróg kleru (*écrasez l'infâme*) witał w „pokojoyej armii” Katarzyny II, depczącej suwerenność narodu polskiego, „jutrzenkę wolności i nadziei”. Postawę Woltera, pełną nienawiści i uprzedzeń do Polski i Polaków, a czołobitną wobec Rosji, możemy uznać za paradygmat mentalności, specyficznej dla niektórych intelektualistów francuskich, którzy – prześladowani we własnym kraju, gnębieni przez cenzurę, policję, terror, antyklerykalizm itp. – w Rosji, tej „czystej, niezapisanej karcie”, doszukiwali się idei postępu oraz możliwości zbawienia z okowów bezprawia czy przemocy.

Z postawą idealistyczną, często utopijną, nieliczącą się z realiami politycznymi związana jest natomiast opcja propolska, gloryfikująca złotą wolność i republikańskie zasady ustroju polskiego, czyniąca z Rzeczypospolitej zwiastunkę wolności i postępu. Michel Cadot nazywa taką postawę „ekranem polskim”; chodzi tu o interpretację wydarzeń i faktów politycznych przez pryzmat historycznych doświadczeń narodu i państwa polskiego. Bardzo często w opcjach propolskich pojawia się gloryfikacja indywidualizmu, nieograniczonej wolności, egalitaryzmu społecznego, a nawet anarchii (już Rousseau zachęcał konfederatów barskich do zachowania w konstytucji wolnej Polski zasady *liberum veto*). Ale *de facto* był to spór o zasadę polityki imperialnej vs. polityki republikańskiej. Niezwykle ciekawa, a zarazem symptomatyczna pod tym względem była debata, jaka odbyła się w Instytucie Francuskim w 1810 roku na temat książek C.-C. Rulhière'a pt. *Histoire de l'anarchie de Pologne* oraz P.-C. Levesque'a, *Histoire de la Russie*, Paris An VIII. Materiały z tej dyskusji zostały opublikowane w przedmowie do paryskiego wydania książki Rulhière'a i stanowią osobliwe świadectwo „sporu” o Rosję i Polskę w porewolucyjnej, imperialnej Francji.

## KONKLUZJA

Aby podsumować dotychczasowe rozważania, chciałbym powołać się na ważną w naszej debacie książkę Hannah Arendt pt. *O rewolucji*, w której wybitna filozofka i politolożka amerykańska porównuje rewolucję francuską z amerykańską. Punktem odniesienia w jej komparatystycznej pracy był – wszechobecny w omawianej książce – Alexis de Tocqueville. Zdaniem Arendt, Europa, doświadczona dwoma systemami totalitarnymi, wyczerpała już swoje możliwości intelektualne i nie może dalej korzystać z korzeni, które już uschły. Natomiast zgadza się ona z wykładnią autora *Dawnego ustroju i rewolucji*, że nie ma „punktu zero historii” i że niemożliwy jest jakiś nowy porządek świata (*novus ordo seclorum*). Badając wspomniane „kajety skarg”, Tocqueville zauważył bowiem, że zapoczątkowane reformy w dawnym ustroju (*l'Ancien regime*) zostały brutalnie przerwane w okresie rewolucji francuskiej i Pierwszego Cesarstwa, po czym za Restauracji wróciły na swoje dawne tory. Nie trzeba było uciekać się do gilotyny, krwawej rzezi w Wande, topienia księży w Nantes (*les noyades*), pierwszego w dziejach ludzkości użycia gazu przeciwko ludności cywilnej etc., aby przeprowadzić reformy państwa. Porównując rewolucję amerykańską z francuską, dostrzega Arendt wyższość tej pierwszej, bowiem była ona liberalna i wpisywała na swoich sztandarach hasła wolności; rewolucja francuska natomiast była nastawiona na równość i egalitaryzm, co później, w epoce rewolucji październikowej, zainspirowało (zdaniem Alaina Besançona), intelektualnie leninizm i bolszewizm. Dla utrzymania ciągłości państwowej i uniknięcia anarchii Arendt widziała rozwiązanie w Jeffersonowskim „rządzie rad”, a więc skupieniu władzy w pewnych politycznych przestrzeniach i okręgach (np. w samorządach lokalnych, instytucjach charytatywnych, fundacjach itp.). Twierdziła, że rozproszenie i zatimizowanie władzy prowadzi zwykle do anarchii, a nawet staje się pożywką dla totalitaryzmów różnej maści.



Idea republikańska, jaka rozwijała się w Polsce, a której ukoronowaniem było uchwalenie Konstytucji 3 maja, była immanentnym tworem polskiej racji stanu oraz twórczym formantem władzy Rzeczypospolitej. Miała swoich cichych i głośnych bohaterów, którzy najpełniej wypowiedzieli się programowo i na polu walki w Konfederacji barskiej. Kazimierz Puławski, Jan Jakub Rousseau, Maurycy Beniowski, Michał Wielhorski, Gabriel Mably – to nazwiska znane i cenione do dziś na całym świecie. Jak pisał w swojej *Konfederacji barskiej* Władysław Konopczyński: „...legenda Baru stanie się dla narodu na przyszłość moralnym skarbem”. Nic dodać, nic ująć, chyba tylko, że czas przyszły „stanie się” wypadałoby zamienić na terażniejszy i tryb dokonany „jest” – republikańska legenda Konfederacji barskiej jest zaiste klejnotem i moralnym skarbem wszystkich współczesnych Polaków.

## Bibliografia:

- Arendt, H., *O rewolucji*, Warszawa 2020.  
 Barthélemy, J. J., *Voyage du Jeune Anacharsis en Grèce*, Paris 1860.  
 Besançon, A., *Les origines intellectuelles du léninisme*, Paris 1996.  
 Cadot, M., *La Russie dans la vie intellectuelle française (1839-1856)*, Paris 1967.  
 Chateaubriand, F. R. de, *Essais sur les révolutions*, Paris 1978.  
 Czarna księga Rewolucji francuskiej, Kraków 2008.  
 Fabre, J., *Stanislas-Auguste Poniatowski et l'Europe des Lumières*, Paris 1952.  
 Furet, F., *Penser la Révolution française*, Paris 1978.  
 Konopczyński, W., *Le liberum veto. Étude sur le développement du principe majoritaire*, Paris 1930.  
 Konopczyński, W., *Konfederacja barska*, t. 1-2, Poznań 2017.  
 Maistre, J. de, *Œuvres suivies d'un Dictionnaire Joseph de Maistre*, Paris 2007.  
 Maistre, J. de, *Wieczory petersburskie*, Warszawa 2011.  
 Mably, l'abbé de, *Œuvres complètes : Gouvernement et les loix de la Pologne*, Lyon 1792.  
 Rousseau, J.-J., *Œuvres complètes (vol. III)*, Paris 1964.  
 Rulhière, C.-C., *Histoire de l'anarchie de Pologne*, (tom I-IV), Paris 1807.  
 Staël, G. de, *Considérations sur les principaux événements de la Révolution française, ouvrage posthume de Madame la Baronne de Staël*, Paris 1818.  
 Tocqueville, A. de, *Dawny ustrój i rewolucja*, Kraków 1994.  
 Tocqueville, A. de, *O demokracji w Ameryce*, Kraków 1996.  
 Voltaire, F. M., *Pisma przeciw Polakom*, Kronos, Warszawa 2017.



Debata pt.  
„Dynamika relacji polsko-francuskich w XX i XXI w.”  
odbyła się 14 października 2021 roku.

## RELACJE W XX I XXI W.

W dyskusji udział wzięły:

**dr Anna Ambrochowicz-Gajownik**  
oraz **Anna Biłos** (Dyrektor Instytutu Polskiego w Paryżu).

Rozmowę poprowadziła  
**dr Magdalena Heruday-Kiełczewska** (Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu).



**Magdalena Kiełczewska:** Francja i Polska mają wielowiekową i bardzo bogatą wspólną przeszłość, jeżeli chodzi o relacje międzynarodowe. Wiek XX nie jest pod tym względem wyjątkiem. Stulecie to było bardzo trudne, w związku z czym relacje międzypaństwowe również były złożone i skomplikowane. Będziemy dzisiaj rozmawiać o historii i o punktach, na bazie których dzisiaj możemy prowadzić wspólną politykę. Zaczniemy od dwudziestolecia międzywojennego. Zaryzykowałabym stwierdzenie, że był to najtrudniejszy w XX w. okres dla stosunków międzynarodowych. W tym czasie został zawarty sojusz polsko-francuski, który na różne sposoby angażował sygnatariuszy i był dla nich niełatwy. Czy faktycznie ten sojusz był problematyczny i trudny dla Warszawy i Paryża? Jeśli tak, to z czego to wynikało i jakie czynniki na to wpływały? A może można powiedzieć także o jakichś pozytywnych cechach tych relacji?

**Dr Anna Ambrochowicz-Gajownik:** Faktycznie, sojusz polsko-francuski w okresie międzywojennym był bardzo trudny, ale również relacje między jego sygnatariuszami były niezwykle dynamiczne. Oczywiście, zmieniały się one w kontekście realiów, tego co działo się na arenie międzynarodowej. Zaczniemy od samego początku. Sojusz pomiędzy Polską a Francją został zawarty w 1921 roku. Był on obwarowany pewną klauzulą, która dotyczyła spraw gospodarczych. Tak naprawdę wszedł on w życie dopiero w momencie podpisania układu gospodarczego, niezwykle ważnego i potrzebnego dla Francji. Jego konotacje i przyczyny sięgają okresu wcześniejszego, czyli I wojny światowej, kiedy utworzono Komitet Narodowy Polski i zawarto w związku z tym pewne zobowiązania. Można powiedzieć także o wojnie polsko-bolszewickiej, gdzie rzeczywiście Polska uzyskała wsparcie strony francuskiej. Pomoc ta była obwarowana różnymi czynnikami, które determinowały ten czynnik ekonomiczny. Można powiedzieć, że stosunki między Warszawą a Paryżem postępowały równolegle w aspekcie politycznym i gospodarczym. Nie należy również zapomnieć o tym, że podpisano także sojusz wojskowy, czyli tajną konwencję wojskową. Niezwykle ważna była też konwencja emigracyjna. Dopiero połączenie tych wszystkich elementów daje pełny obraz stosunków polsko-francuskich w czasie dwudziestolecia międzywojennego. Jednakże dla strony francuskiej niezwykle ważny był aspekt gospodarczy, który determinował całość wzajemnych stosunków. Należy jednak mieć w tym miejscu na względzie zmieniającą się dynamikę na arenie międzynarodowej – relacje polsko-francuskie odbijały się w soczewce relacji Francji z Niemcami i ze Związkiem Sowieckim.





**Anna Biłos:** Gospodarka w stosunkach polsko-francuskich jest tematem podstawowym. We Francji wszystko było determinowane gospodarką i zyskiem ekonomicznym, także wspieranie krajów bądź ich niewspieranie. To jest bardzo istotny punkt. W 1919 roku została podpisana konwencja, tak zwana emigracyjna, czyli o wymianie pracowników. Była to tak naprawdę umowa dwustronna, która jest przykładem naszych działań bowiem we Francji po Wielkiej Wojnie, nie było ludzi do pracy. Rzeczpospolita odzyskała niepodległość po trzech rozbiorach i usiłowała „skleić” się na nowo z ziem odebranych przez trzech zaborców. W związku z tym wielu ludzi nie miało pracy, przez co Polska i Francja postanowiły podpisać umowę dwustronną o wymianie pracowników. W założeniu celem tego nie było wyłącznie wysyłanie Polaków do pracy we Francji, a faktyczna ich wymiana. W rzeczywistości jednak to polscy pracownicy masowo wyjeżdżali do pracy. To było setki tysięcy osób w ciągu dwudziestolecia międzywojennego.

W obustronnych relacjach w tym okresie następowały zmiany, które miały charakter falowy w konsekwencji czego Polacy byli często wydalani. Niemniej, co jest bardzo istotne, we Francji istnieje pamięć o przybyciu pracowników z Rzeczypospolitej między wojnami, których zaangażowano w głównie w kopalniach i rolnictwie. Nie miało to, co prawda, miejsca na terenie całego państwa, niemniej objęło różne regiony na dużej połaci jego terytorium. Chodziło o zagospodarowanie pustych miejsc po ofiarach I wojny światowej, w której Francja odniosła gigantyczne straty ludzkie. Jednak w państwie tym nie mówi się ani nie przypomina, że była to umowa dwustronna. To nie było tak, że biedni Polacy spontanicznie wyjeżdżali do pracy nad Sekwanę w poszukiwaniu lepszego losu, ale znaleźli się tam w konsekwencji podpisania umowy między dwoma niezależnymi krajami. To był oficjalny wyjazd, urzędowe wysyłanie ludzi do pracy. Same realia mogą budzić skojarzenia ucieczek spowodowanych trudną sytuacją materialną, jednakże nie odbywało się to na takiej zasadzie. Oczywiście, obie strony zyskiwały na zawartych umowach. We Francji jest to zawsze przedstawiane, że Polska jako biedny kraj, szuka szczęścia we Francji. Ukazuje się to w ten sposób, w związku z tym, że tych ludzi było bardzo dużo i ich potomkowie żyją do dzisiaj żyją, czego potwierdzeniem są licznie występujące polskie nazwiska. To są bardzo często osoby, które nie władają już językiem polskim i nie mają wielu związków z Polską. Ludzie, którzy wyjeżdżali do pracy do Francji myśleli, że ich pobyt potrwa parę miesięcy czy rok. Nie znali języka. Oczywiście, później sytuacja się rozwijała. Niektórzy zostawali tam na zawsze, a inni wracali do ojczyzny.

Drugi punkt to gospodarka. Państwo francuskie i firmy z nad Sekwany przyczyniły się do odbudowy Polski po 1918 r., na przykład port w Gdyni powstał w dużej mierze przy udziale tamtejszych konsorcjów. Oczywiście Francuzi też mieli w tym swój interes, zresztą gdyby nie to, Polacy tak szybko by go nie zbudowali. Gospodarka jest bardzo ważna w kontekście obustronnych relacji.

**Dr Anna Ambrochowicz-Gajownik:** Oczywiście, ta konwencja emigracyjna była dwustronna, aczkolwiek w dokumentach dyplomatycznych czy konsularnych to nie wygląda zbyt wesoło. Sytuacja bowiem wyglądała zupełnie inaczej w chwili zawierania umowy, która była podpisywana jeszcze w Polsce, inaczej zaś, gdy Polacy przyjechali już do Francji. Polacy uchodzili, za dobrych pracowników, ale byli oni również wyzyskiwani. Trzeba to podkreślać, to jest normalny, naturalny aspekt. Zgadzam się, że Francja potrzebowała rąk do pracy w tym okresie. Można powiedzieć, że w przypadku polskiej emigracji, to również miało charakter sinusooidalny. Był moment, kiedy Polacy byli rzeczywiście potrzebni na ziemi francuskiej, jednak



przyszedł kryzys gospodarczy, który odwrócił tę tendencję. Francuzi zaczęli wówczas chronić własny rynek stosując obostrzenia i pewne dekryty, które umożliwiały wydalanie Polaków. Z czasem doszło do ich masowego relegowania. Wykorzystywano różne podstawy prawne do tego, żeby akurat stosować masowe ekspulsje. W 1936 roku nagle fala reemigracji zaczęła się niwelować – Polacy znowu do pewnego stopnia byli mile widziani we Francji. Ten okres prosperity trwał w zasadzie dwa lata. Potem, w czasie rządów gabinetu Eduarda Daladiera miała miejsce „powtórka z rozrywki”. Sytuacja emigracji polskiej nie była łatwa. Przechodziła ona różne ewolucje, co można odnosić także do aspektu kulturalnego. Wszystko bazowało na tym, jaki głos płynął bezpośrednio z Francji. W niektórych kwestiach, jeśli chodzi o emigrację, Francja miała ważniejszy głos od Polski, nawet jeżeli mówimy o dwustronnych stosunkach, czyli o podpisaniu dwustronnej konwencji.

**Anna Biłos:** Stosunek rządu francuskiego i tamtejszego społeczeństwa do Polski i Polaków to dwie osobne kwestie. Wydalano bowiem nie tylko samych robotników, ale także ich rodziny, które zdążyli oni ściągnąć nad Sekwanę. Mówiła Pani o kulturze, a to jest bardzo szeroka kwestia – Wystarczy wspomnieć o powstawaniu szkół. Ludzie, którzy przyjeżdżali do Francji nie znali języka urzędowego i walczyli o to, aby ich dzieci mogły uczyć się języka polskiego. O tym też się nie mówi, a była to faktyczna walka.

Wszyscy wiemy, czym jest ciężka praca w kopalni – jedno z gorszych zajęć, zwłaszcza w tamtych czasach. Natomiast w rolnictwie rzeczywiście panował wyzysk. Ludzie byli wykorzystywani ponad swoje możliwości. To jest trochę przerażające i należy podjąć tę kwestię. Potomkowie tych osób mieszkają dzisiaj we Francji i pamiętają o tym, jak zarabiali ich dziadkowie i ojcowie oraz na czym polegała ich praca, a właściwie katanga. Należy bowiem pamiętać, że kilkadziesiąt lat temu praca na roli była trudniejsza niż dzisiaj. Trwało to bardzo długo, bowiem do wyzysku na tym polu dochodziło zarówno w dwudziestolecu międzywojennym, jak i po wojnie.

**Dr Anna Ambrochowicz-Gajownik:** Oczywiście trzeba pamiętać o kwestiach materialnych, ale nie można również zapominać o aspekcie egzystencjalnych. Czytając wspomnienia polskich emigrantów można natrafić na przerażające opisy warunków, w jakich tamci ludzie pracowali i żyli. Problem ten powinien zostać poruszony w historiografii polskiej albo francuskiej. Można powiedzieć, że profesor Janine Ponty, która badała ten temat, dokładnie opisała emigrację polską we Francji. Niemniej wciąż odkrywane są różnego rodzaju elementy, które należałoby w aspekcie emigracyjnym cały czas poruszać. Dotyczy to organizacji, kwestii szkolnictwa czy szeroko pojętej kultury. Wszystkie te kwestie powinny być jeszcze wyartykułowane. Społeczeństwo francuskie zupełnie inaczej mogło odnosić się do emigrantów niż rząd, łącznie z prefektami albo merami danego departamentu. Rząd wydawał swoje decyzje, niemniej to, co działo się na szczeblu lokalnym, też miało swoje znaczenie.



**Anna Biłos:** W Polsce obecnie prowadzona jest dyskusja na temat sytuacji chłopów na przełomie wieków. Spojrzałam na to z perspektywy polskiego chłopca we Francji, którego warunki życia w XX wieku nie były lepsze od tych w Polsce. Zawsze podkreślano, że włościanie w Galicji byli biedni, zaś w całym kraju sytuacja chłopstwa była trudna. Natomiast we Francji, jawiącej się jako kraj, w którym można spodziewać się lepszego życia, poprawić swój byt mogło dopiero trzecie pokolenie emigrantów. Profesor Janine Ponty zrobiła bardzo dużo, jednakże myślę, iż niektóre tematy niewystarczająco zostały przez nią naświetlone, na przykład listy i świadectwa kobiet, które pracowały w rolnictwie, ich świadectwa. Badaczka wydała te źródła, jednak praca nad nimi nie poszła dalej, nikt tak naprawdę nie pochylił się nad tym problemem.

**Dr Anna Ambrochowicz-Gajownik:** Aby mówić o całości emigracji polskiej we Francji, to tak naprawdę trzeba byłoby zgłębić każdy departament, w którym mieszkali Polacy. Mówimy tutaj o północy i południu Francji. Do tego jeszcze dochodzą osoby, które wyemigrowały do kolonii francuskich w Afryce. To jest dodatkowy aspekt. Wracając do spraw gospodarczych, to rzeczywiście, wszystkie inwestycje, kapitały francuskie, które były lokowane w Polsce, odzwierciedlają w jaki sposób Francja chciała eksploatować Rzeczpospolitą, i w jaki sposób rzeczywiście ją traktowała. W okresie międzywojennym Polska była traktowana przez Francję jako półkolonia.

**Anna Biłos:** Zgadza się, ale staram się na to spojrzeć tak, że gdyby nie pieniądze płynące z Francji i jej gospodarcze inwestycje w Polsce, to Polska byłaby ciężko. Bardzo wiele rzeczy wtedy powstało, które nie istniałyby bez zagranicznych inwestycji, oraz pieniędzy, które pożyczono Rzeczypospolitej. Nie moglibyśmy wiele zrobić.

**Dr Anna Ambrochowicz-Gajownik:** Warto podkreślić, że w relacjach polsko-francuskich nie brakowało także różnego rodzaju niedopatrzeń z polskiej strony, przez co nie można mówić, że wszystkie negatywne elementy leżały wynikały z działań i interesów Paryża. To nie jest tak, że tylko Francja była tą złą ze względu na wyzyskiwanie Polski. Po stronie naszego kraju też były niedociągnięcia, zwłaszcza w kwestiach gospodarczych. Trudno zresztą dziwić się pewnego rodzaju naciskom, które Francja wywierała na Rzeczpospolitą w okresie międzywojennym, nawet w aspekcie gospodarczym. Każde państwo chce bowiem dla siebie jak najlepiej. Jeżeli ma swoje inwestycje w danym kraju, to dąży do eksploatowania go oraz uzyskiwania dodatniego bilansu handlowego, tak aby uzyskać jak największe zyski z tej relacji.



**Magdalena Kiełczewska:** Jak widać, choć okres międzywojenny trwał zaledwie dwadzieścia lat, to bardzo wiele działo się w tym czasie. Panie poruszyły bardzo wiele wątków. Osobnym problemem jest emigracja: to co się z nią później działo, jak wpływała chociażby na postrzeganie Polaków przez Francuzów. To jedna rzecz. Natomiast mamy także kilka umów gospodarczych. Mnóstwo firm znaną z Sekwany, z francuskim kapitałem wchodzi na polski rynek, co dzieje się między innymi na Śląsku. Kopalnie funkcjonujące w Rzeczypospolitej często były w dużej części finansowane ze środków znaną z Sekwany. Wedle mojej wiedzy bardzo różnie to funkcjonowało, czasami po prostu źle. Były też takie kopalnie, które dzięki temu kapitałowi mogły w ogóle egzystować. Pieniądże z Francji pozwalały utrzymać miejsca pracy, sami pracownicy zachowali zresztą bardzo dobre wspomnienia o francuskim kierownictwie. Historycy mówią wprost, że był to przejaw imperialnej polityki Francji. W każdym razie, charakterystyczne dla stosunków Warszawy z Paryżem są nierówności, które pojawiają się we wzajemnych relacjach. Na zupełnie innej pozycji była Polska, szczególnie jeśli chodzi o francuskie inwestycje albo o traktowanie Polaków we Francji. Chciałabym teraz przejść do nieco późniejszego okresu. Duża liczba Polaków pozostałych we Francji po II wojnie światowej była w drugiej połowie lat czterdziestych XX wieku problemem dla rządu w Paryżu, który odnosił z rezerwą warszawskich władz. To się będzie zmieniało. W jakim kierunku to szło? Dlaczego dynamika wzajemnych stosunków w drugiej połowie dwudziestego wieku była sinusoidalna? Relacje te były początkowo złe, potem uległy ociepleniu, następnie zaś znowu się ochłodziły. Z czego to wynikało?

**Anna Biłos:** To jest ciekawy temat, który ostatnio powraca. W innym świetle zaczyna się ukazywać chociażby generała Charlesa de Gaulle'a. Niedawno Henri-Christian Giraud opublikował artykuł, w którym dowodzi, że ów po II wojnie światowej postawił na Sowiecie nie zważając na interes Polaków. To teza coraz częściej pojawia się w dyskusjach naukowych i zasadniczo zmienia nasze postrzeganie jego osoby. Okazało się bowiem, że bliski polskim sercom generał, który jeszcze jako kapitan sprzyjał Rzeczypospolitej i był obecny w Warszawie podczas wojny polsko-bolszewickiej, w pewnym momencie zrezygnował z Polski. Gdy przyjechał nad Wisłę w 1967 r. był witany przez tłumy, co władza chciała wykorzystać na własny sposób. Jego przyjazd był bowiem oznaką tego, że ów nawiązuje kontakt z rządem. To jest dosyć istotne – nastawienie ludzi i władzy. W polskiej historii już od XIX w. można zauważyć sytuacje, w których poparcie ze strony mas nie zawsze przekłada się na realną władzę. W XIX w. jest to bardzo wyraźne i zauważalne w XX stuleciu, po II wojnie światowej. Historycy szeroko zgłębili temat stosunku Francji do Rzeczypospolitej oraz traktowania polskich obywateli w tym kraju. Wiele miejsca poświęcono również priorytetom polityki zagranicznej Paryża, określenia, wokół których krajów starano się ją budować. Na pewno to nie była Polska.

**Dr Anna Ambrochowicz-Gajownik:** Zgadza się z tym, co pani powiedziała. Stosunki po 1945 roku wyglądały zupełnie inaczej niż wcześniejsze relacje i miały inny charakter. Emigracja również różniła się od tej w dwudziestolecu międzywojennym. Zasadniczym problemem jest fakt, iż emigranci w pewnym momencie stali się dla Francji niewygodni. Owszem, niezmiennie funkcjonowały jej załączki oraz organizacje społeczne, niemniej, należy patrzeć na ten problem także przez pryzmat partii komunistycznych, które miały swoje „macki”, jakimi wpływały w różny sposób na społeczeństwo. Szybko stawało się to niewygodne, na co warto zwrócić. Warto również wspomnieć w tym miejscu o powrotach Polaków do Polski Ludowej,



której rzeczywistość znacznie różniła się od realiów międzywojennych. W okresie powojennym emigracja miała zupełnie inny charakter i kształt. W pewnym momencie, w jakiś sposób stawała się niewygodna. Zwłaszcza, jeśli mówimy o komunizmie.

**Anna Biłos:** Wałbrzych stał się takim miastem docelowym dla wielu Polaków, którzy wracali znad Sekwany do tego „raju na ziemi”. Komunizm nareszcie był realizowany. Jak wiadomo, te powroty często nie kończyły się szczęśliwie. Wiele jest świadectw, opowieści ludzi, którzy utyskiwali na to, że byli oderwani od swojego domu, którym stała się Francja. Tam toczono normalne życie. Przyjeżdżając do państwa komunistycznego, jakim była Polska, zauważano, że nie jest to normalny kraj. Część osób się zaadaptowała, aczkolwiek za cenę całkowitej zmiany stylu życia. Propaganda partii komunistycznych, która namawiała do powrotów do Polski, gdzie można realizować marzenia była fałszywa, niektórzy jednak na to się „łapali”. To jest jeden aspekt.

Istnieje jeszcze druga, bardzo istotna kwestia. Generał de Gaulle wsparł paryską „Kulturę”, niemniej trzeba pamiętać, że faktycznie nie była ona paryską, lecz rzymską bowiem założoną ją w Wiecznym Mieście. W Rzymie jednak nie mogła pozostać ze względu na sytuację zmuszającą redakcję do opuszczenia Włoch. Osoby związane z tym środowiskiem były bowiem, jako antykomuniści, źle przyjmowane. Francja stwarzała natomiast możliwość istnienia i działania. Znane są historie, że budynek w *Maison Laffitte* był obrzucany kamieniami, butelkami przez francuskich komunistów. Jednak władze państwowe nie ugięły się przed tym i udzielały cichego wsparcia, niektórzy wspominają nawet, że „Kultura” była pod opieką władzy. Niewątpliwie mogła ona funkcjonować ponieważ we Francji było na to przyzwolenie. W Polsce stosunek do władzy był inny niż we Francji. We Francji o wszystkim decydowała głowa państwa w sposób absolutny i wyrażone przez nią zgody w bardzo wielu kwestiach były szybko wdrażane w życie.

**Dr Anna Ambrochowicz-Gajownik:** Na moment wróć do de Gaulle’a. Każdy decydent, który kieruje państwem, ma własną wizję i swoją politykę. On tak naprawdę umiejętnie lawirował między Moskwą, NRF, Stanami Zjednoczonymi czy Wielką Brytanią. Tak naprawdę od tego zależały stosunki polsko-francuskie w tym czasie. W przypadku ochłodzenia w stosunkach na zachodzie można było spodziewać się zbliżenia do Moskwy. Relacje te były wówczas również inaczej rozpatrywane, ze względu na uzależnienie PRL od ZSRS. Państwo polskie nie decydowało samodzielnie o sobie, lecz było to podległe kierownictwu na Kremlu. Jest w tym wiele rozbieżności oraz różnych pobocznych kwestii, które mimo wszystko należałoby uwypuklić.

**Magdalena Kiełczewska:** Zarysowała się właśnie ta jedna droga, którą podążały polsko-francuskie stosunki, czyli uzależnienie tych relacji kontaktów między Francją a ZSRS. Czy odnoszą panie wrażenia, że to się z jednej strony kształtuje na linii politycznej właśnie w taki sposób? Z drugiej strony warto zauważyć podejście Francuzów do polskiego społeczeństwa.



Przykładowo, w czerwcu 1956 roku wydarzenia z Polski były komentowane nad Sekwaną. Prasa rozpisywała się na ten temat. W zasadzie Francja reagowała na każdy polski miesiąc: marzec 1968 roku, grudzień 1970 roku. Wypadki z tych lat wywoływały ogromną eksplozję euforii, przykładowo kiedy doszło do podpisania porozumień sierpniowych. Niecałe półtora roku ogromny szok i niedowierzanie, jak sami Francuzi o tym piszą, spowodowało wprowadzenie stanu wojennego. Z czego wynika takie podejście francuskiego społeczeństwa? Czy jest to kwestia tego, że Polacy byli mu znani poprzez polską emigrację, kulturę, instytucje oraz wymianę kulturalną i naukową? Warto również wspomnieć o przyczynie takich reakcji. Czy były one wywołane niechęcią do Związku Radzieckiego, którą pomimo sympatii dla Rosji, Francuzi mieli i mają do tej pory?

**Anna Biłos:** Odwołam się w tym miejscu do XIX wieku i okresu Wielkiej Emigracji, czyli pierwszego kontaktu Francuzów z masowym „najazdem” Polaków. Francuzi dostrzegali ich walkę o wolność, co nad Sekwaną odgrywało znaczną rolę. Francja uważa się bowiem za kraj, gdzie rewolucja i tego rodzaju wartości są podstawowe, a wspieranie ruchów wolnościowych jest głęboko zakorzenione w społeczeństwie. Poczucie solidaryzowania się z uciśnionymi, którzy walczą o swoje prawa i swobodę przejawiało się w różny sposób. Czasami były to tylko słowa, niekiedy zaś dochodziło do znaczących gestów. Przywołała Pani ten najważniejszy moment w XX wieku. Najcieplejsze stosunki polsko-francuskie, czyli dla Polaków najtrudniejszy okres stanu wojennego. W tym czasie masowe wsparcie Polaków przez społeczeństwo francuskie było bezinteresowne, co jest zaskakujące ponieważ było ono wyrażane bez udziału władzy i trochę wbrew niej. Podstawą był człowiek, ogromne poczucie chęci pomagania

**Dr Anna Ambrochowicz-Gajownik:** Zgadzam się z tym. Faktycznie, jeśli mówimy o „Solidarności”, było to niesamowite wsparcie. Polityka na szczeblu państwowym to inny wytwór, inny trzon niż to, co dzieje się na poziomie społeczeństwa. Zupełnie inne są także reakcje na rozgrywające się wydarzenia. Rozpatrując te dwa podłoża należy uznać, że okres lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych XX wieku, w stosunkach polsko-francuskich był burzliwy. Natomiast to, co wydarzyło się w latach osiemdziesiątych XX wieku, czyli tworzenie się „Solidarności” i cały aspekt budowania wolności państwa polskiego rodził pozytywne reakcje. Czy rząd odnosił się do tego oficjalnie? – Nie. Oczywiście, gdzieś tam wspierał politycznych emigrantów, ale jego oficjalne stanowisko było zupełnie inne. Politycy francuscy zawsze charakteryzowali się zgrabnym i umiejętnym prowadzeniem polityki. Można określić ją jako wstrzymującą, ukierunkowaną na to, aby nie narobić sobie problemów i oglądać się na to, co dzieje się w geopolityce, pilnując aby jej konsekwencje nie wymuszały podejmowania kroków, które wymuszałyby podjęcie różnego rodzaju ruchów i decyzji, które mogłyby zaszkodzić francuskim interesom.



**Magdalena Kiełczewska:** Dla okresu „Solidarności” czy stanu wojennego, to z tym rządem odrobinę bym polemizowała. Pierwsze reakcje były bardzo ostrożne, włącznie z tym, że Claude Cheysson mówił, że Sowietom nic nie zrobią. Rząd zmienił swoją retorykę, gdy zorientował się w sytuacji w społeczeństwie, dostrzegając, że ich własna partia socjalistyczna oficjalnie potępiła stan wojenny, idąc tym samym na wojnę z partią komunistyczną we Francji. Przejawem tego były wypowiedzi François Mitterranda i Pierre’a Mauroya dowodzące zmiany ich stanowiska. Dodatkowo uruchomiono pomoc dla osób, które chciały przyjechać z Polski do Francji.

**Anna Biłos:** Wszyscy Francuzi, z którymi rozmawiałam, jednogłośnie mówią, że francuskie władze nie zauważyły „Solidarności”. Porozumienia sierpniowe i cały ten ruch gdzieś się dla nich przewinął. To, o czym pani mówi, to ewoluowało i dopiero z czasem Paryż zaczął wspierać Polskę, w której wprowadzono stan wojenny. Niemniej nad Sekwaną zainteresowanie okresem „Solidarności” było małe, nawet na poziomie społeczeństwa. Oczywiście pewne relacje istniały. Trzeba też pamiętać o tym, że wydarzenia te były trudne do zrozumienia. Powiedziała pani o konflikcie partii komunistycznej z partią socjalistyczną. Mówi się, że wtedy ich drogi się na zawsze rozeszły, dzięki „Solidarności”. Partia socjalistyczna odrzuciła komunizm, uważając że należy z nim walczyć. Nie był to zresztą system, do którego dążyli jej członkowie. Niemniej pomimo zerwania partii socjalistycznej z komunistyczną czasami wchodziły one w koalicje. Chociaż nastąpił całkowity rozłam, nawet mentalny, Francuzi nie mieli takiej „Solidarności”. Ta polska „Solidarność” była ideałem, aczkolwiek nie do końca zrozumiałym. Często mówiło się o tym, jak wyglądał ten ruch, co działo się na spotkaniach i manifestacjach oraz w stoczni. Był krzyż i modlitwy – to coś, co dla Francuzów jest całkowicie niezrozumiałe, tj. oddawanie się modlitwie przez ruch robotniczy. Z jednej strony czuli sympatię do „Solidarności”, a z drugiej zaś nie mogli do końca jej zrozumieć. Francja dzięki Polakom nauczyła się pewnych rzeczy, o czym Francuzi pamiętają. Niezależnie jakie są dzisiaj stosunki polsko-francuskie, to ta kwestia jest ponad wszelkimi dyskusjami. „Solidarność”, stan wojenny, to moment, kiedy Francuzi byli z Polakami.

**Magdalena Kiełczewska:** Mocno wybrzmiał tutaj element, który pojawia się w dyskursie o pamięci państwa autorstwa francuskiego dziennikarza i publicysty Bernarda Guetty, który wydał swoje wspomnienia. Pisze on w nich, że bardzo wiele nauczył się od Polaków, między innymi tego, że ci sami robotnicy strajkować i chodzić do kościoła.

**Anna Biłos:** Bernard Guetta, był jedną z pierwszych osób, które zaakceptowały nagranie odcinka cyklu solidarnościowego. Połowa jego wypowiedzi dotyczyła Jana Pawła II. A przecież wiadomo, jaki ma on dzisiaj stosunek do Polski.



**Magdalena Kiełczewska:** Chciałam zapytać, jak Polska jest postrzegana przez Francję w aspekcie stosunków międzynarodowych? Czy nadal żyją nad Sekwaną reminiscencje z przeszłości? Czy też Francja jest bardziej nastawiona na dzień dzisiejszy? Eksperci mówią o tym, że dzisiejsze relacje są najgorsze od wielu lat. We wzajemnych kontaktach nic się nie dzieje i ani Francja, ani Polska, mając rozbieżne cele, tak naprawdę nie są nimi zainteresowane. Czy coś można zrobić w tym kierunku, żeby poprawić te stosunki? Czy możemy bazować i odwoływać się do historii?

**Dr Anna Ambrochowicz-Gajownik:** Uważam, że powinniśmy w dalszym ciągu odwoływać się do historii i wyciągać z niej odpowiednie wnioski. Cały czas w stosunkach polsko-francuskich widoczne są odwołania do przeszłości, aczkolwiek odnoszę wrażenie, że nie są wyciągane z niej stosowne wnioski. Stosunki polsko-francuskie w obecnej dobie są bardzo chłodne, chociaż czasami wydawać by się mogło, że następuje w nich jakieś ocieplenie. Faktycznie jest ono widoczne, ale tylko w niektórych aspektach. Wydaje mi się, że w dalszym ciągu, nawet w społeczeństwie francuskim, Polska jest postrzegana w dalszym ciągu jako kraj wschodni, który ma za sobą przeszłość w bloku socjalistycznym. Przyjęcie przez Rzeczpospolitą polityki proamerykańskiej również odbiło się negatywnie na tych stosunkach, co wcale nie dziwi. Jeżeli istnieją związki, które opierają się na tradycji, które mają swoje fundamenty i podłoże, to tak naprawdę, wydawać by się mogło, że powinny one, pomimo wszystko, w dalszym ciągu się rozwijać. Oczywiście Polska uzyskała wsparcie od Francji w kwestii wstąpienia do Unii Europejskiej, aczkolwiek wiadomo, że początkowo nad Sekwaną obawiano się jej wstąpienia do tej wspólnoty i raczej optowano za tym, aby akcesja nie nastąpiła zbyt szybko. Nasuwa mi się myśl, że żeby rozmawiać z dobrym partnerem, to tak naprawdę musi mieć on w sobie potencjał. Zazwyczaj jest tak, że polityka łączy się z finansami. Pytanie jest takie: czy jesteśmy godnym i dobrym partnerem do rozmów jeżeli chodzi o finanse?

**Anna Biłos:** Obecne stosunki polsko-francuskie są chłodne. Problem jest dwustronny. Nigdy bym nie powiedziała, że wina leży po stronie Francuzów, raczej byłabym skłonna uznać, że wina leży po stronie Polaków, co jest wynikiem lat zaniedbań. Po 1989 roku polska polityka skupiała się na innych kwestiach. Polityka zagraniczna została odstawiona niejako na bok, poza strategicznymi celami, czyli wstąpienia do NATO i Unii Europejskiej. Tymczasem stosunki międzypaństwowe należy podtrzymywać przez cały czas. Trzeba podtrzymywać kontakty, rozmawiać, tworzyć sieć w celu wymiany informacji. Tego rodzaju relacje onegdaj istniały, potem jednak obydwie strony ich nie podtrzymywały i uległy one zerwaniu. Trzeba więc budować od początku, co wymaga dobrej woli, także z naszej strony, dobrej woli. Nie zawsze jest to proste, szczególnie kiedy po raz kolejny można usłyszeć, że Francja wypowiedając wojnę Niemcom stanęła po stronie Rzeczypospolitej. To mit. Polska raz a dobrze powinna go obalić – państwo francuskie nie pomogło Polsce podczas II Wojny Światowej. Już 12 września 1939 roku, zdecydowano, że taka pomoc nie będzie mieć miejsca pomimo zobowiązań traktatowych. Naturalnie jest to trudne, ponieważ w Paryżu nikt nie chce o tym słyszeć. Były prezydent François Hollande kilka lat temu, w wywiadzie dla polskiej prasy powiedział, że przecież Francja wypowiedziała wojnę. Nad Sekwaną nie chcą słuchać, że gdyby zrobiono wtedy coś więcej, to, być może, nie byłoby Holokaustu. Żeby budować relacje sami musimy opowiedzieć swoją historię. Poza tym niezbędny do tego jest szeroko rozumiany dostęp do polskiej kultury, tymczasem Francuzi nie mają szerszych możliwości zapoznania się z klasycznymi dziełami



polskiej literatury. W kraju gdzie tłumaczy się niemalże wszystko nieznanymi są polscy autorzy. Jedyne nazwisko znane szerzej nad Sekwaną to Witold Gombrowicz. Ostatnio, własnym sumptem, niewielkie wydawnictwo wydało „Przedwiośnie” Stefana Żeromskiego. To pierwsze wydanie tego dzieła we Francji. „Lalka” Bolesława Prusa nigdy natomiast nie została tam wydana. W związku z tym, jak Francuz, który czyta książki i ma kontakt ze światem kultury, może traktować poważnie kraj, z którym nie może zapoznać się, chociażby poprzez zgłębianie wywodzącej się z niego literatury? Pojawiają się w tej sytuacji pytania, czy Polska w ogóle posiada klasyczny kanon. Mówimy o tym, czy można jakoś to poprawić? Z pewnością można i powinno się to robić. Myślę tutaj o stronie polskiej. Francuzi sami z siebie nie podejmą inicjatyw w celu wydawania klasyki polskiej literatury – musi być po temu wola z polskiej strony. Predysponowane do tego są przede wszystkim nasze rodzime instytucje, które mają duże budżety, a do tej pory nie zajęły się tym problemem. Zresztą wiele zagadnień zostało zaniedbanych. Najwyższa pora, żeby zacząć działać. Jeśli chodzi o stosunki dzisiejsze, Polska wiecznie się broni. Tymczasem my nie możemy się bronić, musimy narzucać pewne rzeczy. Musimy coś pokazywać. Nie możemy wiecznie czekać, na to aż ktoś nam coś zaproponuje, albo że wykona jakiś atak na nas, a my mamy tylko na ten atak odpowiedzieć.

**Dr Anna Ambrochowicz-Gajownik:** Rzeczywiście, związki kulturowe powinny cały czas wybrzmiewać. Podtrzymanie i utrzymanie związków kulturalnych między Polską a Francją powinno zaistnieć i trwać. Niemniej w dalszym ciągu problem stanowi bariera chociażby językowa, która utrudnia relacje. Pomimo wszystko – to też jest aspekt do dyskusji. Większe natężenie wymiany kulturalnej albo uniwersyteckiej, powinno nieprzerwanie funkcjonować. Jest to bardzo ważny aspekt. Nawet na tym podłożu można byłoby zauważyć, jak kształtują się wzajemne relacje. Oczywiście, polityka polityką, ale oddolne inicjatywy muszą mieć również swoje szerokokątne odzwierciedlenie.

**Anna Biłos:** trzeba pamiętać, że pomimo iż Francja się zmienia, a ekonomia rządzi, to wiele spraw się załatwia przez kulturę. W Polsce często nie dostrzega się tego, jak ważna jest kultura i jak ważną rolę odgrywa w przekazywaniu treści, na których nam zależy. Wielu Polaków nie zdaje sobie z tego sprawy i nie rozumie, że należy o nią trzeba dbać, promować i wspierać. Polityka, polityką, natomiast pewne sprawy można załatwić dzięki tak zwanej *soft power* – tutaj powinniśmy działać. W Rzeczypospolitej jest bardzo dużo instytucji, które mają w swoim programie tego typu działania kulturalne. Mam jednak wrażenie, że brakuje strategii ogólnej odnośnie tego, co powinniśmy zrobić, jak powinny wyglądać te działania, które elementy należy uzupełnić, żeby móc pójść do przodu.

Historia – tutaj są potworne zaniedbania, szczególnie jeśli chodzi o dostęp do publikacji na temat polskiej historii we Francji. Nie mieści się to w głowie normalnego człowieka. W kraju, gdzie się czyta, w którym słowo pisane jest ważnym elementem a ludzie świata polityki odnoszą się do niego, jest dobrze widziane, aby takie teksty się pojawiały. W porównaniu z Wielką Brytanią we Francji o wiele trudniej uzyskać dostęp do tekstów dotyczących przeszłości Rzeczypospolitej oraz jej kultury. Zdecydowanie więcej wydaje się bowiem publikacji w języku angielskim, szerszy jest również wachlarz tematów, których one dotyczą. Przykładowo, we Francji nikt nie drukuje książek na temat Polaków na Syberii, armii Andersa albo chociażby życia codziennego na okupowanych przez Niemców ziemiach polskich. Zresztą sam termin



„okupacja”, używany w Polsce w kontekście zajęcia jej terytoriów podczas II wojny światowej jest stosowany także przez Francuzów dla tego okresu. Używanie tej samej terminologii w tym samym kontekście wrogiego najazdu powoduje narzucenie na ich temat pewnego wyobrażenia. Tymczasem, przeciętny Francuz nie ma zielonego pojęcia o tym, co się działo na ziemiach polskich podczas II wojny światowej. Oczywiście, poza najgorszym koszmarem, który się w tym czasie wydarzył, czyli zagładą Żydów. Poza tym mieszkańcy kraju nad Sekwaną nie mają absolutnie żadnej wizji na temat tego, jak wyglądało życie w okupowanej Polsce oraz tego, że każdego dnia można było stracić życie bez powodu. Francuzi o tym absolutnie nie wiedzą, a publikacji na ten temat nie ma

**Dr Anna Ambrochowicz-Gajownik:** Jakie jest zainteresowanie Francuzów, jeśli chodzi o promowanie polskiej kultury, literatury i obyczajów?

**Anna Biłos:** Czy jest zainteresowanie? Czy w ogóle warto? Przecież o Szwecji też niewiele wiedzimy, aczkolwiek stosunki Szwedów z Francuzami to zupełnie inne zagadnienie. Polska i Francja to kraje, które są i były przez wieki bardzo sobie bliskie. Kto pamięta o tym, że długi Honoriusza Balzaca spłacała pani Ewelina Hańska, którą poślubił przed śmiercią? Poza tym pisarz spoczywa w grobie ufundowanym przez małżonkę, sam bowiem nie miał pieniędzy, aby zadbać o takie sprawy. Czy jakiś Francuz o tym wie, że doczesne szczątki najważniejszego francuskiego pisarza nie miałyby gdzie spocząć, gdyby nie Polka? Myślę, że mieszkańcy kraju nad Sekwaną są zainteresowani i otwarci na te kwestie, niemniej nie mając skąd czerpać informacji dysponują bardzo małą wiedzą na ten temat. Pewien kłopot stanowi bariera językowa, aczkolwiek języka polskiego również można się nauczyć. Jednakże Polacy także powinni zrozumieć, że Francuzi nas nie rozumieją ponieważ nie znają języka polskiego i naszej kultury. Polska kultura jest niezwykle ciekawa i może wzbudzać zainteresowanie, tyle że w dzisiejszym świecie sami musimy pracować nad tym, aby zachęcić innych do jej poznawania. Powinien to robić sztab ludzi. Francja to naród chłonny, nieprawda jest stwierdzenie, że są oni zamknięci, czego dowodzą tłumaczenia dzieł literackich z całego świata na jej język.

W Paryżu działa stacja Polskiej Akademii Nauk, uważam, że powinno to być miejsce stałych spotkań polskich naukowców zajmujących się różnymi dziedzinami wiedzy. W naukach ścisłych współpraca z Francuzami jest bardzo częsta, zaś w humanistyce jest to zaniedbane. Te stosunki to utrwalanie stałych kontaktów, które funkcjonowały kiedyś, trochę tak, jak za „Solidarności”. Mamy takiego Bernarda Guettę, który powtarza to, co mówią w Polsce jego znajomi, których poznał w czasach „Solidarności”. Należy wyjść do innego środowiska. Nie ma tak, że jedna osoba ma rację i powie wszystko to, na czym opiera się kraj. Zarówno w Polsce, tak i we Francji, żeby wyrobić sobie jakąś opinię trzeba rozmawiać z różnymi ludźmi a następnie to konfrontować i się zastanawiać. To już jest nasza decyzja, co wybierzemy. W humanistyce istnieją jednak swego rodzaju ograniczenia środowiskowe. Tak to wygląda, cały czas, to są te same kontakty.



**Dr Anna Ambrochowicz-Gajownik:** Nawet gdybyśmy zaczęli mówić o trudnych sprawach, niekoniecznie nawet w kontekście historii, to powstaje pytanie, czy w Rzeczypospolitej nie doszłoby do wzbudzenia kontrowersji i jak „góra” by się do tego odnosiła?

**Anna Biłtos:** Myślę, że będzie to wzbudzało kontrowersje. Oczywiście, że „góra” może patrzeć nie całkiem przychylnie. Wszystko zależy od tego, jak się pewne rzeczy robi i w jaki sposób rozmawia się o niektórych sprawach. Naukowcy nie powinni jednoznacznie narzucać opinii, tylko wchodzić w dialog. Tego dialogu brakuje. Nie mam w tym miejscu pretensji do Polaków. We Francji, zwłaszcza jeśli chodzi o historię, też istnieją pewne środowiska, które są zamknięte i będą go utrudniały, niektórych bowiem urzędują, żeby cała prawda nie wyszła na jaw. Zależy im na tym, aby przedstawiano w przestrzeni publicznej niekompletny obraz rzeczywistości, który jest prawdziwy, ale niepełny. Naszą rolą jest, aby pokazać go szerzej, trzeba jednak zrobić to w taki sposób, żeby chciano z nami rozmawiać. Trzeba też postawić się na miejscu drugiej strony. My żyjemy w swoim świecie, jesteśmy przyzwyczajeni do pewnych rzeczy, niektóre sprawy są dla nas oczywiste. W stosunkach międzynarodowych niezwykle ważne jest porozumiewanie się podobnym językiem. Jeżeli Polak będzie rozmawiał swoim językiem, nie mówię tutaj o polskiej mowie, tylko o sposobie komunikowania się i przedstawiania pewnych kwestii, musi to robić tak, żeby inni chcieli przyjąć jego rację, nawet jeżeli jest ona niepodważalna. Polacy powinni już dorosnąć do tego, że trzeba rozmawiać i dążyć do dialogu. Należy robić to w sprytny sposób. Polacy czasami są zbyt szczerzy dla Zachodu. To co mówię jest trochę abstrakcyjne, ale chodzi mi o to, że nasz przekaz powinien być taki, aby mógł zostać przyjęty, nawet jeżeli druga strona nie będzie się z nim zgadzała i będzie stawiać opór. Wysunie ona zapewne jakieś argumenty, nie będzie mogła jednak powiedzieć, że go nie akceptuje bez uzasadnienia swojego stanowiska. Wymiana zdań coś zasieje. To ziarno, które wyda owoce. To proces długofalowy, ale straciliśmy już trzydzieści lat na polu przedstawiania własnej wizji polskiej historii. Może nie jest na to za późno, ale wymaga to konsekwentnych działań.

**Magdalena Kiełczewska:** Wiem o bardzo długich relacjach naukowych pomiędzy konkretnymi ośrodkami, między innymi Poznaniem i Strasbourgiem, który w stolicy Wielkopolski organizuje cyklicznie konferencje. Wiem też o naukowcach z Paryża, którzy mają kontakty z Polską, piszą na temat polskiej historii i dziejów Europy Środkowowschodniej. Relacje naukowe istnieją, ale zbyt mało widoczne. To jest coś nad czym można byłoby popracować. Bardzo ważna w tym kontekście jest kwestia języka. Polska mowa jest trudna dla Francuzów, tak samo zresztą jak francuska dla Polaków. Co można zrobić, żeby zachęcić naszych rodaków do tego, żeby uczyli się francuskiego? Czy można skłonić Francuza żeby przyswoił język polski chociaż trochę? Znam przypadki mieszkańców kraju nad Sekwaną, którzy nie chcą uczyć się żadnych języków obcych. Polska mowa jawi im się jako coś bardzo egzotycznego. Czy możemy na tym polu podziałać? My się też nie rozumiemy, jeżeli nie będzie w tej warstwie typowo leksykalnej jakiegoś wspólnego punktu.



**Dr Anna Ambrochowicz-Gajownik:** Tak, wymiana akademicka jak najbardziej funkcjonuje. Wszystkie wiodące polskie uczelnie nawiązują kontakty z ośrodkami francuskimi w różnych miastach. Należałoby jednak zacieśnić bardziej współpracę kooperacyjną na zasadzie nie tylko wymiany studentów i pracowników, ale także tworzenia różnego rodzaju projektów, które są bardzo ważne. Wtedy zespoły badawcze prowadzące badania z danej dziedziny uwzględniałyby perspektywę obydwu stron, co mogłoby dać zupełnie inny wymiar postrzegania wzajemnych stosunków. Rzeczywiście, może wtedy dialog naukowców spowodowałby, że władze na „górze” inaczej chciałyby rozmawiać i postrzegać te relacje. Uczyć się historii i wyciągać z niej wnioski. Jednak, żeby to były wnioski, które rzeczywiście będą je budować i rozwijać a nie tylko wspominać o nich w kontekście historycznym podkreślając przeszłe kontakty posiadanie wspólnej tradycji. Co dalej? Jak rozwijać tą wspólną tradycję? Co zrobić żeby te stosunki polsko-francuskie na każdym szczeblu mogły się dobrze rozwijać? W tym miejscu warto pamiętać również o aspekcie gospodarczym. Gospodarka bowiem też odgrywa bardzo ważną rolę w relacjach Polski i Francji.

**Anna Biłtos:** Mówimy o współczesnych relacjach polsko-francuskich. We Francji nie podnosi się w debacie publicznej tego, jak bardzo skorzystano z wejścia Polski do Unii Europejskiej. Mało mówi się o tym, jakie profity tamtejsze społeczeństwo ma z tego, że ich państwo prowadzi w Polsce inwestycje i jak dużo Francja z tego tytułu zyskała. Według wycień Thomasa Piketty’ego wynika, że państwa Europy Zachodniej zdecydowanie więcej pożytków na rozszerzeniu wspólnoty niż strat. Ciągłe w debacie publicznej we Francji pojawia się argument, w myśl którego Polska funkcjonuje wyłącznie dzięki unijnym, faktycznie zaś okazuje się, że bilans wcale nie jest taki zły. Zachód przez cały czas przedstawia bilans, z którego wynika, że nasze państwo żeruje na Unii Europejskiej. Co więcej podnosi się, że Polska nie jest pełnoprawnym członkiem wspólnoty, dzięki któremu Unia Europejska i kraje zachodnie się rozwijają. Przedstawia się ją nad Sekwaną jako biedny kraj, który prosi o fundusze europejskie. Niestety, taka narracja trochę dominuje. To jest bardzo populistyczne. Chodzi w tym między innymi o to, aby Francja mogła zakryć swoje własne problemy. Będzie szukała kozła ofiarnego do zrzucenia winy, tym zaś często bywa Polska. Podczas ostatniej kampanii prezydenckiej we Francji miała miejsce głośna sytuacja, kiedy Emmanuel Macron odwiedził fabrykę Whirlpoola w Amiens i rozmawiał z robotnikami. Konkluzja płynąca z tego spotkania była taka, że wstrętna Polska zabiera im fabrykę do Łodzi. Tymczasem, to nie jest nasza wina, że firma zdecydowała się przenieść produkcję nad Wisłę.

Bardzo wielu Francuzów mieszka w Polsce i dobrze im się wiedzie. Poziom życia w Rzeczypospolitej często jest zresztą wyższy niż we Francji, z czego nie wszyscy zdają sobie sprawę. Francuzi nigdy jednak otwarcie nie powiedzą, że w Polsce żyje im się dobrze, że w tym kraju po ulicach chodzą normalni ludzie. To jest zabieg czysto polityczny, stosowany po to, żeby przypadkiem Francuz nie usłyszał, że w innych miejscach na świecie też można żyć i to wcale nie najgorzej. Polska kojarzy im się ze zdjęciami z okresu stanu wojennego – pustymi półkami, szarymi ścianami, brudem i smutkiem i wielu Francuzów uważa, że państwo to takie właśnie jest. Najgorsze jest to, że mediach usiłują podtrzymywać ten stereotyp. Zabieg ten ma charakter populistyczno-polityczny. Rolą ludzi nauki jest, żeby wchodzić w tematy głębiej, omawiać i przybliżać ich szczegóły. Nie powinno się to kończyć na opublikowaniu pracy w naukowym czasopiśmie, ale musi iść dalej w świat. Na naukowcach spoczywa obowiązek



rozpowszechniania wiedzy. Wiadomo, że nie wygramy z podejściem politycznym i populistycznym. We Francji Polska jest przedstawiana w sposób populistyczny, jako niegrzeczny chłopczyk, którego należy zrużać i może wtedy będzie taki, jak my. Zapomina się natomiast, ile ta Polska również daje od siebie oraz ile jeszcze może dać. Polacy sami powinni zadać sobie pytanie, co mamy do zaoferowania?

**Dr Anna Ambrochowicz-Gajownik:** To chyba jest jeszcze wynik przeszłości. Polska była traktowana przez Francję jako nierównorzędny partner. Możliwe, że gdzieś tam jeszcze pozostały te naleciałości. Na ten temat należałoby dyskutować podkreślając znaczenie Polski. Rozmawiamy o przeszłości, ale w innym aspekcie. Rzeczpospolita już nie jest siostrą, którą trzeba prowadzić za rękę i kierować jej polityką, chociaż dawniej tak nas traktowano.

**Anna Biłos:** Takie były nasze losy, nasza historia. We Francji gospodarka jest najważniejsza, Polska zaś była przez wiele lat upośledzona pod tym względem. Historia naszego kraju nie jest gorsza od przeszłości Francji. Jest po prostu inna, tak jak losy obydwu krajów. To nie jest tak, że jedna jest lepsza, a druga gorsza, jedna jest ciekawsza, a druga mniej ciekawa. To były zupełnie inne dzieje. Ich poznanie może być wzbogacające dla mieszkańców obydwu państw, dawałoby możliwość przejrzania się w ich zwierciadle, zrozumienia samych siebie i nabrania dystansu do pewnych rzeczy. Polacy jeżeli chcą osiągnąć sukces muszą też trochę stłumić swoje emocje, co jest niezbędne w działaniu, zwłaszcza dla Francuzów, którzy są pragmatycznie nastawieni do rzeczywistości. Uczucia i sentymenty są dobre, ale trzeba bardzo pragmatycznie podchodzić do pewnych spraw.

**Dr Anna Ambrochowicz-Gajownik:** Również chłodna kalkulacja.

**Anna Biłos:** My musimy osiągnąć cel, a nie wypaść z pierwszego zakrętu. W Polsce jest ten problem, że emocje bardzo często biorą górę, co nie powinno mieć miejsca w relacjach z zagranicą. Na historii powinni uczyć się nie tylko Francuzi, ale wnioski z niej powinni wyciągać również Polacy. Jeżeli my tę pracę wykonamy, to być może uda nam się zachęcić do tego również drugą stronę.

Głosa 2.  
**Anna Ambrochowicz-Gajownik**

## **DYNAMIKA RELACJI POLSKO-FRANCUSKICH W XX I XXI WIEKU**



**R**elacje polsko-francuskie naznaczone były i są zmiennością nie tylko w przestrzeni polityki, ale także spraw gospodarczych i społecznych. Dynamika tychże stosunków zmienia się w zależności od prowadzonej gry dyplomatycznej na arenie międzynarodowej. Nie ulega wątpliwości, iż pomiędzy Polską a Francją istnieje nierozdzielna nić sympatii, która sięga czasów nowożytnych, a nasiliła się od przełomu XVIII i XIX wieku sprzed I wojny światowej.

Zagłębiając się jednak w okres międzywojenny, należy stwierdzić, iż więź łącząca oba te kraje była niezwykle trudna. Francja widziała bowiem swego głównego sojusznika we wschodniej Europie w Rosji, którą wspierała w latach Wielkiej Wojny. Umocnienie władzy Lenina i jego towarzyszy skierowało wzrok francuskich polityków w stronę odradzającej się Rzeczypospolitej. Rola państwa francuskiego w okresie wojny polsko-bolszewickiej także nie była jednoznaczna. Natomiast od momentu zawarcia układu sojuszniczego w 1921 roku uwidoczniły się różnice we wzajemnym postrzeganiu. Układ polityczny był bowiem przez stronę francuską obwarowany koniecznością zawarcia korzystnych dla niej porozumień gospodarczych. Skąd wzięło się tego rodzaju uzależnienie? Francja wyniszczona działaniami z okresu I wojny światowej chciała odbudować swoją gospodarkę i odzyskać zaciągnięte przez carską Rosję zobowiązania finansowe. Kolejne lata okresu międzywojennego wraz ze zmieniającą się dynamiką polityki wewnętrznej Francji oraz sytuacją na arenie międzynarodowej sprawiły, że sojusz ten z pozoru nierozdzielny, stał się później niewygodny. Dlatego należy zgodzić się z historykami, iż sojusz polsko-francuski był wypadkową relacji z Rosją i Niemcami. I właściwie można byłoby i dziś dojść do podobnego konsensusu.

Wracając jednak do okresu międzywojennego, trzeba podkreślić, iż Francja eksploatowała Polskę gospodarczo, politycznie zaś – traktowała ją jak młodszą siostrę, starając się nie pozwolić na uzyskanie przez nią samodzielności politycznej w polityce międzynarodowej. Sytuacja ta zmieniła się w latach 30. XX wieku, w chwili gdy Józef Piłsudski zdecydował się na zawarcie dwustronnych układów z ZSRR w 1932 roku oraz Niemcami w 1934 roku i zainicjowanie polityki równych odległości, co – rzecz jasna – zostało negatywnie odebrane we Francji. Nie zmienia to faktu, że stopniowe ochładzanie dwustronnych relacji między Warszawą a Paryżem nastąpiło od momentu podpisania niekorzystnych dla Polski postanowień konferencji w Locarno. Ewoluuująca od 1924 roku polityka zagraniczna Francji była początkiem zmian w jej relacjach z bolszewikami oraz Niemcami. Zbliżenie do tych państw miało zabezpieczyć Francję przed kolejną wojną. Locarno, pakt Brianda-Kelloga oraz konferencja rozbrojeniowa w Genewie to wydarzenia, które ostatecznie utwierdziły Józefa Piłsudskiego w przekonaniu o bezużyteczności polityki multilateralnej, a odpowiedzią na zmieniającą się w Europie sytuację geopolityczną była wspomniana polityka równych odległości.

Z racji uzależnienia sojuszu politycznego od podpisania traktatu handlowego warto temu zagadnieniu poświęcić nieco miejsca. Początki tychże relacji sięgają nieco lat wcześniejszych niż 1922 rok. Polska, odbudowując swoją państwowość, rozpaczliwie szukała środków finansowych w celu rozwijania własnej gospodarki. Dlatego też z pomocą przyszła jej Francja, mająca na uwadze możliwości wykupienia akcji przedsiębiorstw niemieckich na ziemiach polskich oraz widząc słabnące szanse wyegzekwowania



zainwestowanych pieniędzy w carskiej Rosji. Przeniosła zatem swój punkt ciężkości właśnie na Polskę, lokując tam swój kapitał. Pierwszych inwestycji dokonano w 1920 roku i były one początkiem zawiązywania się relacji gospodarczych. Francja zainwestowała wówczas w przedsiębiorstwo „Skarboferm” na Górnym Śląsku w celu osłabienia niemieckich wpływów, chociaż w późniejszym czasie obie strony bardzo dobrze ze sobą współpracowały. Strona francuska wysunęła wobec Polski propozycję zawarcia umowy naftowej korzystnej tylko dla Francuzów. Negocjacje jednak przerwano ze względu na niesatysfakcjonującą deklarację ze strony polskiej. W tym też czasie eksportowano 15 tysięcy ton polskiego cukru na rynek francuski. Bez wątplenia wymiana handlowa między Polską a Francją miała wpływ na kształtowanie się relacji politycznych, wojskowych i społeczno-emigracyjnych.

Układ handlowy podpisany 6 lutego 1922 roku był korzystny dla strony francuskiej, która otrzymała klauzulę najwyższego uprzywilejowania. Kolejne zawierane układy czy traktaty handlowe także nie były atrakcyjne dla Polski i oznaczały niewielkie zyski w zakresie wymiany handlowej czy w ogóle dodatniego bilansu handlowego. Jedynym traktatem handlowym, który mógł poprawić ten stan rzeczy był dokument z 1929 roku, który nie wszedł w życie ze względu na sprzeciw strony francuskiej. Polska wówczas miała szansę na klauzulę najwyższego uprzywilejowania. Kolejny układ podpisano dopiero w 1936 roku, do którego droga była wyboista i niezwykle uciążliwa ze względu na liczne żądania Francuzów. Oczywiście miało to swoje uzasadnienie. Po pierwsze, w latach 30. XX wieku światowy kryzys gospodarczy dokonał ogromne спустoszenia. Po drugie, Francja dostosowywała swoją politykę do tego, co działo się na arenie międzynarodowej, bacznie przyglądając się balansowaniu Polski między Rosją Sowiecką a Trzecią Rzeszą. Ponadto, nad Sekwaną patrzono na sprawy gospodarcze z Polską punktowo, zaś nad Wisłą całościowo. Dojście do kompromisu w tamtym czasie było niezwykle trudne i obwarowane naciskami strony francuskiej, pomimo że pewnych niedopatrzeń nie uniknęła również strona polska. Francja do 1936 roku próbowała wszelkimi sposobami wymuszać na Polsce, w ramach nowego układu handlowego, zakup samochodów, budowę okrętów wojennych, przymknięcie oka na skutki afery żyrdardowskiej w zamian za co Polska miała otrzymać większe kontyngenty na węgiel i inne produkty. Ponadto, nad Sekwaną skwapliwie wykorzystywano trudności występujące w relacjach ekonomicznych Polski z jej sąsiadami. Ożywienie sytuacji gospodarczej nastąpiło po dojściu Leona Bluma do władzy, było ono jednak chwilowe, tak jak i stosunki polityczne między sojusznikami.

Pomoc Francji w postaci udzielonych kredytów przyczyniła się do budowy portu w Gdyni oraz magistrali kolejowej, łączącej Górny Śląsk z tymże miastem. Wsparcie okazała francuska grupa Scheider-Creuzet w budowie odcinka Herby Nowe-Gdynia. Kwestia ta była o tyle ważna, ponieważ Polsce zależało na eksporcie polskiego węgla do Francji, a transport towarów odbywał się właśnie drogą morską, która była stosunkowo tańsza od lądowej. Ponadto, niezwykle istotną sprawą było nawiązanie stosunków gospodarczych z koloniami francuskimi, które zwłaszcza w latach 30. XX wieku, w dobie kryzysu ekonomicznego, miały stanowić rynek zbytu. Niestety kolonie nie odegrały znaczącej roli w wymianie handlowej przede wszystkim z powodu braku większego zainteresowania, odległości i dobrej reklamy towarów. Polska wówczas nie posiadała domów handlowych, dzięki którym zainteresowane firmy mogłyby zapoznać się z danym produktem. Stąd też strona polska postanowiła ustanowić w największych portach kolonii francuskich w Afryce Północnej Zachodniej i na Madagaskarze konsulaty honorowe, na czele których stali francuscy obywatele, mający szerokie kontakty w świecie biznesu.

Nieodłącznym elementem stosunków polsko-francuskich były kwestie wojskowe, a z nimi łączyły się także sprawy gospodarcze. Pierwsze zobowiązania finansowe w tym zakresie zostały zawarte przez Komitet Narodowy Polski w Paryżu, którego koszty funkcjonowania pokrywała strona francuska. Powołana wówczas do życia Armia Polska, dzięki dekretowi z 4 czerwca 1917 roku, również była finansowana z budżetu francuskiego. Jej organizacją kierowała Francusko-Polska Misja Wojskowa, na czele której stał Louis Archinard. Od 4 października 1918 roku dowódcą Armii Polskiej został Józef Haller. Rolą strony francuskiej





było umożliwienie dotarcia armii Hallera do Polski w 1919 roku, a także wyszkolenie polskich żołnierzy. Francja na ten cel przeznaczyła środki finansowe, które traktowano jako część zaciągniętego kredytu. Ponadto, pokryta została dostawa materiałów wojennych dla armii polskiej, pochodzących ze składów armii francuskiej z okresu I wojny światowej. Najważniejszą kwestią w wymiarze wojskowym, wynikającą z konwencji wojskowej z 1921 roku, była sprawa otrzymania od strony francuskiej kredytu. W aneksie do niej Francja przyznawała Polsce kredyt w wysokości 400 milionów franków francuskich jako pomoc w rozbudowie i dozbrojeniu armii. Dodatkowo pamiętać należy o francuskiej misji wojskowej. Kolejny zastrzyk dużej gotówki na cele zbrojeniowe Polska otrzymała w Rambouillet w 1936 roku.

Następny czynnik, wpływający na kształtowanie się bilateralnych stosunków gospodarczych stanowiła emigracja polska we Francji. Była ona ważnym elementem, determinującym napędzanie koniunktury ekonomicznej. Początkowo dla Francji emigranci polscy stanowili dodatni czynnik oddziaływania na gospodarkę. W okresie *prosperity* prawie półmilionowa emigracja zasilala wewnętrzny rynek poprzez dokonywanie licznych operacji finansowych. Natomiast dla strony polskiej w tej materii niezmiernie istotną kwestią było przekazywanie przez emigrantów oszczędności dla pozostałych w kraju rodzin. W latach kryzysu ekonomicznego Polonia stanowiła niestety kartę przetargową w negocjacjach politycznych i gospodarczych. Dodatkowo następował proces reemigracji, który osiągnął apogeum w 1934 roku. Odwilż w stosunkach polsko-francuskich dała pewną ulgę także w kwestiach emigracyjnych, by za chwilę znów przejść do fazy pozbywania się cudzoziemców.

Wybuch II wojny światowej spowodował, iż zobowiązania sojusznicze Francji względem Polski zostały wypełnione dopiero z początkiem września 1939 roku. Francuskie czynniki polityczne, wywierając naciski, doprowadziły do powołania rządu Władysława Sikorskiego, blokując jednocześnie możliwość wydstania się z Rumunii władz Rzeczypospolitej. Równocześnie wydano, początkowo w ograniczonym zakresie, zgodę na tworzenie jednostek Polskich Sił Zbrojnych oraz na przyjęcie uchodźców cywilnych. Przyjęcie nowo ukonstytuowanego rządu we Francji pod koniec września pozwoliło na tworzenie Wojska Polskiego na ziemi francuskiej, a także przyjmowanie uchodźców cywilnych i wojskowych. Okres ten był niezwykle trudny dla obu stron i bardzo dynamiczny. Rząd Sikorskiego był bardzo wygodny dla Francuzów i w zasadzie nie miał większego pola manewru. To „dryfowanie” rządu polskiego trwało do czerwca 1940 roku aż do podpisania przez Francję rozejmu z Niemcami i zajęcia przez nich strefy północnej przy równoczesnym powstaniu rządu Vichy. Rząd polski rozpoczął wówczas akcję ewakuacyjną do Londynu. Z ziemi angielskiej starał się roztaczać opiekę nad ludnością cywilną i wojskową przy współudziale jeszcze funkcjonujących konsulatów na południu Francji. Sytuacja ta przetrwała do końca września 1940 roku, kiedy zostały zerwane stosunki dyplomatyczne z rządem polskim w Londynie. Rząd Vichy umożliwił natomiast sprawowanie opieki nad Polakami znajdującymi się na jej terenie, wydając pozwolenie na ustanowienie Biur Polskich. Tym niemniej, los polskich żołnierzy był niezwykle utrudniony i trzeba było natychmiastowej ewakuacji, obawiając się obozów pracy.

W tym samym czasie ewakuował się do Londynu Charles de Gaulle, który nie godził się na stan faktyczny, jaki istniał we Francji. Zabiegał on o nawiązanie relacji z rządem polskim w Londynie. Były one jednak sporadyczne. Dopiero zaczęły wchodzić w fazę rozmów, gdy toczyły się pertraktacje polsko-sowieckie, zakończone podpisaniem układu Sikorski-Majski. Podpisanie poufnego protokołu de Gaulle’a z rządem polskim 21 października 1941 roku nawiązywało do dawnych tradycji sojuszniczych. Równoległe kierowany przez niego Komitet Wolnych Francuzów (KWF) nawiązał kontakty z Sowietami. Nie ulega wątpliwości, iż de Gaulle chciał balansować w relacjach z Sowietami. W tradycji dyplomacji francuskiej alians z Rosją był jej nieodłącznym elementem. I dlatego też KWF nie bardzo chciał angażować się w sprawy



między rządem polskim a Związkiem Sowieckim. Dla strony polskiej kontakty dawnych sojuszników nie napawały optymizmem. Kalkulacje Moskwy w celu włączenia de Gaulle’a do swoich rozgrywek miały na celu stworzenia pewnego rodzaju przeciwwagi dla Anglosasów oraz wspieranie komunistów francuskich. ZSRS uznał KWF we wrześniu 1942 roku, a dwa miesiące później alianci wylądowali w Afryce Północnej, gdzie zrodził się konflikt między de Gaulle’m a Henrim Giraudem, którego alianci, nie chcąc uznać przywódcy KWF, próbowali wykreować na głównego kandydata do roli przywódcy narodu francuskiego. W relacjach polsko-francuskich sytuacja ta przyczyniła się do ochłodzenia wzajemnych stosunków ze względu na fakt kontaktów i rozmów przedstawicieli polskiego rządu z Giraudem, których przedmiotem była kwestia odzyskania polskiego złota. Z racji tych poczynań, de Gaulle traktował nieprzychylnie Polaków aż do połowy 1943 roku. Rząd polski uznał Francuski Komitet Wyzwolenia Narodowego (FKWN) 22 lipca 1943 roku. W Algierze powołano wówczas ambasadę polską. Uznanie FKWN miało jedynie charakter propagandowy. Dodajmy, że ZSRS uznało FKWN miesiąc później, a relacje dyplomatyczne między rządem w Londynie a ZSRS zostały zerwane wiosną 1943 roku. Relacje pomiędzy de Gaulle’m a rządem londyńskim były kartą przetargową przy zawarciu sojuszu ze Stalinem (10 grudnia 1944 roku) oraz odwołaniem w czasie uznania Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego. Francja broniła się przed polskimi komunistami sterowanymi przez Moskwę, jednakże postanowiła wymienić się przedstawicielstwami dyplomatycznymi, wiedząc, że rząd londyński traci na swoim znaczeniu. Po konferencji jałtańskiej, do której Francja nie została dopuszczona, de Gaulle przyjął postawę wyczekującą. Dostrzegając stale słabnącą pozycję rządu polskiego na uchodźstwie, w następstwie podjętych przez Wielką Brytanię i Stany Zjednoczone kroków w celu wycofania uznania dla niego, de Gaulle doprowadził do zerwania stosunków dyplomatycznych z rządem londyńskim i uznaniem Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej w czerwcu 1945 roku.

Relacje polsko-francuskie po II wojnie światowej miały charakter sinusoidalny. Paryż rozmawiał z Warszawą wtedy, kiedy polityka Francji wchodziła w relacje z Moskwą. PRL zależna od Moskwy nie prowadziła samodzielnej polityki, więc utrzymywanie stosunków dyplomatycznych podyktowane było charakterem relacji Francji z ZSRS oraz tym, co działo się na arenie międzynarodowej w okresie zimnej wojny. To miało także swoje odzwierciedlenie na płaszczyźnie spraw związanych z gospodarką, emigracją czy wymianą naukową. Francja chciała odgrywać rolę mocarstwa i mieć wpływ na to, co dzieje się po przeciwnych stronach barykady. Tym niemniej, w latach 60. XX wieku państwo francuskie było nieco izolowane ze względu na konsekwencje prowadzonej przez nie polityki zagranicznej. Od 1965 roku następowało zbliżenie z Moskwą i tym samym z Polską Ludową. Relacje ekonomiczne, wymiana kulturowo-oświatowa również uległy polepszeniu. Lata 70. XX wieku zaowocowały także polityką rozstrzygnięcia kwestii polsko-niemieckiej granicy. Polska próbowała wciągnąć w swoją grę Francję, lecz na ten temat nie wypowiedziała się oficjalnie de Gaulle, jak i później Giscard d’Estaing. Lata 80. XX wieku przyniosły przeobrażenia nie tylko w Polsce, ale także i nowy kierunek w relacjach z Francją. Polska, wychodząc powoli spod jarzma moskiewskiego, była małymi krokami wspierana przez Francję. Działalność „Solidarności” była wspierana przez stronę francuską. Niewątpliwie poważnym wsparciem ze strony władz w Paryżu była zgoda na uzyskanie statusu uchodźców politycznych przez wielu Polaków, którzy znaleźli się na ziemi francuskiej po wprowadzeniu stanu wojennego. Podobnie jak w okresie Wielkiej Emigracji, tak i w latach 80. ubiegłego stulecia Francja stała się bezpieczną przystanią dla wielu polskich emigrantów.

Stosunki polsko-francuskie od lat 90. XX wieku aż do dnia dzisiejszego wciąż pozostają dynamiczne. Ważną rolę odegrało wejście Polski do Trójkąta Weimarskiego, umożliwiające dalszą integrację z państwami Unii Europejskiej. Francja jest dla Polski ważnym partnerem w ramach NATO i UE, jednak cena za wstąpienie do tych dwóch struktur okupione było wieloma zależnościami i uległościami. Posunięcia Polski w popieraniu akcji w Iraku było źle odebrane przez Francję, co też skwapliwie zostało wykorzystane przy wstępowaniu Polski do UE. We Francji zrodziło się przekonanie o proamerykańskiej polityce, jaką uprawiają kolejne polskie rządy.



Owe relacje, tak ważne i tak dynamicznie zmieniające się na przestrzeni XX i XXI wieku, powinny być wciąż kontynuowane poprzez zacieśnianie więzów i realne wspieranie się w sferze bezpieczeństwa, spraw gospodarczych czy wymiany kulturowej. Wszystko jest jednak zależne od kursu wewnętrznej polityki Polski i Francji oraz realizacji określonych celów w meandrach gry dyplomatycznej na arenie międzynarodowej. Każda wewnętrzna destabilizacja nie sprzyja zacieśnianiu więzów, lecz je osłabia. Jedynie balans w polityce wewnętrznej może przynieść dobre oraz trwałe bilateralne stosunki. Jedną z ważniejszych determinant jest współpraca ekonomiczna, co uwypukla pytanie o stopień atrakcyjności dla innych partnerów. Czy Polska jest lub może być atrakcyjna dla Francji? Może być, ale tylko i wyłącznie wtedy, gdy jej kurs wewnętrzny będzie stabilny. Francja zawsze będzie dla Polski tym partnerem, który w chwilach najtrudniejszych przychodził jej ze wsparciem, mimo iż często przedkładała własne korzyści nad sprawy polskie.

Głosa 2.

**Magdalena Heruday-Kiełczewska**

Wydział Historii Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu

## **DO JAKICH HISTORII WRACAMY DZISIAJ? PAMIĘĆ O WSPÓLNEJ PRZESZŁOŚCI JAKO CZYNNIK KSZTAŁTOWANIA POLSKO-FRANCUSKICH RELACJI**



**W** 2011 roku w paryskim Musée de l'histoire de l'immigration można było obejrzeć wystawę pod tytułem „Polonia, des Polonais en France”. Przedstawiała ona kolejne karty z historii polskiej emigracji we Francji, począwszy od 1830 roku i Wielkiej Emigracji, przez emigrację zarobkową w dwudziestolecie międzywojennym, skończywszy na nowych falach migracji po wejściu Polski do Unii Europejskiej. Odnosząc się do punktów wspólnych w historii obu krajów, wydaje się, że najczęściej wykorzystywany jest właśnie element polskiej obecności we Francji, jako ten, który ma podkreślić bliskość dwóch krajów.

Symbolem tej emigracji jest Maria Skłodowska-Curie jako kobieta-naukowiec, reprezentująca zarówno Polskę, jak i Francję w międzynarodowym środowisku naukowym. Obok Fryderyka Chopina jest ona do dzisiaj najchętniej przywoływana jako wspólny punkt na historycznej mapie obu państw. Oba kraje zresztą chętnie wracają do tej postaci przy okazji różnych rocznic. Czy jednak Maria Skłodowska-Curie nadaje się na symbol emigracji? Była przecież francuską obywatelką, zasłużoną ogromnie dla obu państw. Emigracja z kolei była zjawiskiem na tyle złożonym, że trudno jest o jej jeden symbol. Pozostaje również pytanie, czy i jak powoływać się na to zagadnienie, budując współczesne relacje polsko-francuskie w obliczu faktu, że nie jest ona dzisiaj krajem, do którego Polacy często wyjeżdżają.

W XX wieku we Francji funkcjonowały (i funkcjonują przecież obecnie) polskie instytucje założone w poprzednim stuleciu. Biblioteka Polska i Towarzystwo Historyczno-Literackie wpisały się na trwałe w paryski pejzaż i kojarzyły się właśnie z francuską gościnnością i solidarnością. Jednak Polacy, którzy przybyli do Francji po 1918 roku, aby zasilić kopalnie i gospodarstwa rolne na północy Francji nie wspominali swoich pobytów najlepiej. Część z nich wróciła później do Polski, jednak wielu z nich, mimo wszystko, pozostało we Francji i tam wychowywały się kolejne pokolenia osób, które miały już obywatelstwo francuskie. W 1953 roku Jerzy Jankowski założył nawet specjalny Komitet Wyborczy Polaków Naturalizowanych (w 1976 roku zamieniony na Wspólnotę Polsko-Francuską), który zachęcał Francuzów polskiego pochodzenia do kandydowania w rozmaitych wyborach, a ich współbraci mobilizował do głosowania.

W czasie II wojny światowej polscy żołnierze, którym udało się uciec do Francji, walczyli obok żołnierzy francuskich aż do momentu jej kapitulacji. Instytut Polski przypominał również o udziale Polaków w la Résistance, o czym pisali zresztą również historycy. Niektórzy spośród tych, którzy w tym okresie trafili do Francji, zdecydowali się zostać w niej na stałe, angażując się nierzadko w działalność instytucji polonijnych.

Powojenna emigracja kojarzy się natomiast głównie z „Kulturą” Jerzego Giedroycia, księgarnią Libella i galerię Lambert oraz pojedynczymi osobami, intelektualistami i naukowcami światowego formatu, jak chociażby Piotr Słonimski. Nie można zapominać przy tym, że we Francji przebywali wówczas polscy artyści, spośród których najlepiej chyba znany jest Roman Cieślewicz. W okresie stanu wojennego działała w Paryżu reprezentacja „Solidarności”, której udało się zebrać – dzięki pomocy francuskich związków zawodowych – sporo pieniędzy na rzecz związku w kraju. Francja gotowa była również przyjąć uchodźców z Polski, szykanowanych przez władze za działalność opozycyjną. Nie wiadomo natomiast, ile dokładnie osób skorzystało z tego zaproszenia. Ta fala emigracji jest zresztą bardzo trudna do uchwycenia i niewiele o niej wiadomo, poza tym, że Francja stawała się już raczej przystankiem podczas podróży do krajów takich jak Stany Zjednoczone czy Kanada.

Po wejściu Polski do Unii Europejskiej kierunkiem emigracji ekonomicznej, jaki obierali Polacy, były najczęściej kraje anglojęzyczne. Francja, głównie ze względu na język, nie była już, od dawna chyba zresztą, atrakcyjna.



Pamięć o Polakach we Francji jest jednak często przywoływana w publicznych dyskursach, przy okazji rocznic, podczas wydarzeń kulturalnych i politycznych. Dzieje się tak zapewne dlatego, że – po pierwsze – w niektórych okresach stanowili oni wyjątkowo liczną grupę. Po drugie, poszczególni przedstawiciele Polonii wywarli duży wpływ na naukę, sztukę czy polską myśl polityczną. Niektórzy znani byli tylko w Polsce, inni działali również dla Francji jako jej obywatele.

Wydaje się, że im liczniejsza i bardziej aktywna była emigracja, tym bardziej ożywione były stosunki między dwoma krajami. Relacje te w XX i XXI wieku stanowią bardzo skomplikowane zjawisko. O pewnych ich aspektach mówi się i pisze więcej, o innych mniej.

W okresie dwudziestolecia międzywojennego obowiązywał trudny sojusz polityczny, wojskowy i gospodarczy, który obu stronom był potrzebny, choć przez Francję niespecjalnie chciany. Polska z kolei nie była traktowana jako równorzędny partner w relacjach politycznych i gospodarczych. Historycy gospodarki pisali wprost o tym, że Francja prowadziła wręcz imperialną politykę, instalując swój kapitał w polskich przedsiębiorstwach, szczególnie w przemyśle górniczo-hutniczym. Z drugiej strony, aktualne badania pokazują, że działalność Francuzów na tym polu nie zawsze należałoby oceniać tak surowo, bowiem część z nich okazywała się jednak dobrymi pracodawcami, a firmy z francuskim kapitałem potrafiły prowadzić działalność, która odbijała się pozytywnie na polskiej gospodarce. Wzajemne relacje gospodarcze powodowały zresztą nawiązywanie wspólnych relacji na różnych polach. We francuskim Zgromadzeniu Narodowym powstała parlamentarna grupa francusko-polska, która przyjechała do Polski w 1929 roku. Utworzono ponadto Francusko-Polską Izbę Przemysłowo-Gospodarczą oraz Bank Polsko-Francuski. Powołano nawet czasopismo „La Pologne: Politique, Économique, Littéraire et Artistique”, które informowało o wspólnych inicjatywach, polskiej kulturze i historii. Powstawały w tym okresie także towarzystwa przyjaźni polsko-francuskiej. Można zatem stwierdzić, że polityka na szczeblu centralnym często mijała się z nastrojami społecznymi. Tak zresztą miało być przez kolejne dekady. Dzisiaj nadal funkcjonuje pamięć o francuskich kapitałach, chociaż najczęściej w sensie negatywnym, jak w przypadku afery żyrardowskiej. Wyjątkiem jest tutaj odwoływanie się do konsorcjum, które budowało port w Gdyni.

Nieco inaczej wzajemne stosunki przebiegały na polu wojskowym. Do dzisiaj w Warszawie istnieje rondo marszałka Ferdynanda Focha (jego ulica istniała również w Poznaniu do 1929 roku), na pamiątkę pomocy, jakiej Francja udzieliła w wojnie polsko-bolszewickiej w 1920 roku. Z drugiej strony, w publicznym dyskursie Francja jest często przywoływana jako ta, która opuściła Polskę na początku II wojny światowej. Na ten okres nie można jednak spoglądać tylko z tej perspektywy, pamiętając chociażby o Polakach we Francji w tamtym okresie.

Wydaje się, że okres do 1945 r. jest dosyć dobrze zbadany przez historyków. Tym samym, badania te dają bazę do tego, aby popularyzować wiedzę o wspólnej historii poprzez wystawy, wykłady czy wydawnictwa popularnonaukowe. Niewiele jednak wiadomo o Francuzach w Polsce, poza prawdopodobnie ambasadorem Julesem Larochem. Skądinąd bardzo dobrze zbadana jest dzisiaj działalność Rosy Bailly i założonego przez nią towarzystwa „Les Amis de la Pologne”, które popularyzowało we Francji polską kulturę. Z kolei, jeśli przypomina się polsko-francuski sojusz, to raczej jego czarną legendę, bez podawania pozytywnych aspektów, szczególnie w kwestiach gospodarczych, choć takie przecież były.

Po 1945 roku rząd francuski zachowywał się dosyć ostrożnie. Mimo iż był nawet pomysł odnowienia sojuszu, okazało się to niemożliwe, a dwa kraje znalazły się po różnych stronach żelaznej kurtyny. Stosunki polityczne ewoluowały i przypominały raczej sinusoidę. Oba krajom brakowało koncepcji, jaką mogłyby realizować. O Francuzach w Polsce niewiele wiadomo, podobnie zresztą jak o francuskich reakcjach na trudne dla Polaków wydarzenia, takie jak Czerwiec i Październik 1956 roku czy Grudzień 1970 roku. Istnieje nieco większa wiedza o tym, jak protesty studenckie w marcu 1968 roku inspirowały Francuzów dwa miesiące



później, podczas wystąpień na uniwersytetach i ulicach Paryża. Po protestach w 1976 roku zaczęto we Francji zauważać rodzącą się w Polsce opozycję wśród intelektualistów.

Dopiero jednak podpisanie porozumień sierpniowych w 1980 roku spowodowało, że Polska znalazła się na pierwszych stronach gazet. Dziennikarze w napięciu obserwowali i komentowali rozwój sytuacji nad Wisłą, odnosząc się z dużą życzliwością dla rodzącego się związku zawodowego, nawet jeśli nie do końca go rozumieli. W grudniu 1981 roku, po wprowadzeniu w Polsce stanu wojennego, nastąpiła ogromna mobilizacja francuskiego społeczeństwa, które nie tylko zmanifestowało swój sprzeciw na ulicach miast, ale przede wszystkim włączyło się w swego rodzaju ruch, który można określić jako „Solidarité avec Solidarność”, czyli „Solidarność z Solidarnością”. Tym razem nawet partie polityczne, zwłaszcza socjaliści, poparły społeczeństwo, co spowodowało kryzys w rządzie francuskim, w którym zasiadali zarówno socjaliści, jak i komuniści. Oprócz organizowania manifestacji, Francuzi zaczęli powoływać komitety, które zbierały żywność, ubrania, lekarstwa i pieniądze, które wysyłano do Polski. Kraj nad Wisłą pozostawał w sferze zainteresowania Francuzów jeszcze przez parę lat. Janine Ponty stwierdziła, że był to okres największej solidarności z Polakami od czasu 1830 roku.

Okres PRL-u to też czas nawiązywania współpracy naukowej, czego przykładem były chociażby kontakty polskich naukowców z przedstawicielami szkoły „Annales”. W latach 70. XX wieku Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu zaczął organizować konferencje historyczne razem z Uniwersytetem w Strasbourgu. Tematem były często wspólne relacje na przestrzeni wieków. Skupiano się również na tym, by z różnych perspektyw patrzeć na te same zagadnienia historyczne. Zainteresowany Polską był Michael Foucault, który przyjechał do niej w drugiej połowie lat 50. XX wieku. Nie brakowało również wyjazdów w drugą stronę – polscy studenci i naukowcy jechali do Francji studiować i pracować.

We Francji wciąż są obecne polskie instytucje oraz Francuzi polskiego pochodzenia. Nie dziwi więc, że to temat, który się porusza i do którego się wraca. Z drugiej strony, wciąż za mało jest badań na temat reakcji społecznych na polskie przełomowe wydarzenia, poza okresem „Solidarności” i stanu wojennego. Warto by odpowiedzieć sobie na pytanie, czy fakt, że wzbudzały one zainteresowanie francuskiej opinii publicznej był spowodowany latami obecności Polaków we Francji? Drugie pytanie brzmi: czy i jak wykorzystywać odwołania do wspólnej historii w bieżącej polityce oraz – ewentualnie – w jakich jej sferach?

Odpowiedź na pierwsze pytanie należy jednak pozostawić historykom, którzy dzięki dostępowi do źródeł mogą tę część historii zbadać. Aby odpowiedzieć na drugie pytanie, należałoby na pewno nieco zarysować obecną sytuację.

Współczesna polityka gospodarcza nie wymaga odwoływania się do historii, a Chambre de Commerce et d'Industrie France Pologne, czyli Francusko-Polska Izba Gospodarcza nie podaje oficjalnie informacji o kontynuowaniu misji swojej przedwojennej poprzedniczki, choć z tej tradycji ona czerpie. Jest zresztą jedną z najaktywniejszych izb bilateralnych w Polsce. Wiadomo również, że w Polsce z powodzeniem działają francuskie firmy, a część polskich przedsiębiorstw ma wsparcie francuskiego kapitału.

Tym, co dzisiaj wywołuje wśród Francuzów żywe emocje jest na pewno pamięć o „Solidarności” i stanie wojennym. Kolejne rocznice pozwalają na przypominanie francuskiej życzliwości i pomocy, dają impuls do pisania publikacji, organizowania konferencji naukowych, wreszcie organizowania bardziej oficjalnych uroczystości, na których wręczane są medale dla tych osób, które niosły pomoc. Nie służy ona jednak budowaniu dzisiaj wspólnego porozumienia. W obliczu tego, że obecne bilateralne stosunki są postrzegane jako najgorsze od lat, być może przywołanie tej pamięci byłoby dobrym impulsem do zawiązania ich na nowo, przynajmniej w jakimś stopniu.



Trudno natomiast odżegnywać się od historii, prowadząc politykę kulturalną i wymianę naukową. Tutaj czynnikiem spajającym polsko-francuskie projekty zdecydowanie mogłoby być choćby hasłowe nawiązanie do znanych osób jako patronów. Nie brakuje również inicjatyw oddolnych, organizowanych przez uczelnie czy grupy badaczy. Ministerstwo Spraw Zagranicznych Republiki Francuskiej również daje dużo możliwości wyjazdowych dla badaczy z Polski, w tym dla historyków. To, co wydaje się nieco kuleć to popularyzacja wspólnej historii wśród obu społeczeństw, a tutaj potrzebna jest współpraca bilateralna, zwłaszcza na wysokim szczeblu.

#### Bibliografia:

- Gruszyński J., *Społeczność polska we Francji w latach 1918–1978*, Warszawa 1981.
- Heruday-Kiełczewska M., *„Solidarność” nad Sekwaną. Działalność Komitetu Koordynacyjnego NSZZ „Solidarność” w Paryżu 1981–1989*, Gdańsk 2016.
- Janowska H., *Polska emigracja zarobkowa we Francji 1919–1939*, Warszawa 1964.
- Jarosz D., Pasztor M., *Stosunki polsko-francuskie 1944–1980*, Warszawa 2008.
- Kukułka J., *Francja a Polska po traktacie wersalskim (1919–1922)*, Warszawa 1970.
- Landau Z., Tomaszewski J., *Anonimowi władcy. Z dziejów kapitału obcego w Polsce (1918–1939)*, Warszawa 1968.
- Pamiętniki emigrantów – Francja*, Warszawa 1936.
- Paris « Capitale culturelle » de l'Europe Centrale? Les échanges intellectuels entre la France et les pays de l'Europe médiane 1918–1939*, dir. M. Delaperrière et A. Marès, Paris 1997.
- Paryż – Londyn – Monachium – Nowy Jork. Powrześniowa emigracja niepodległościowa na mapie kultury nie tylko polskiej*, Białyсток 2009.
- Pleskot P., *Intelektualni sąsiedzi*, Warszawa 2010.
- Polonia. Des Polonais en France de 1830 à nos jours*, dir. J. Ponty, Paris 2011.
- « Toute la France est polonaise! » La présence polonaise en France aux XIXe et XXe siècles*, textes réunis et publiés par Agnieszka Jakuboszczak et Daniel Tollet, Poznań 2007.

# RELACJE POLSKO-BRYTYJSKIE

Debata pt. „Nie tylko Magna Charta – polsko-angielskie związki w myśli liberalnej”  
odbyła się 23 kwietnia 2021 roku.

## ZWIĄZKI W MYŚLI LIBERALNEJ

W dyskusji udział wzięli:

**prof. Dorota Pietrzyk-Reeves** (Uniwersytet Jagielloński w Krakowie)  
oraz **dr Maciej Zakrzewski** (Uniwersytet Papieski Jana Pawła II w Krakowie,  
Instytut Pamięci Narodowej).

Rozmowę poprowadził

**dr Paweł Kuciński** (Uniwersytet Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie).



**Dr Paweł Kuciński:** Chciałbym od razu przejść do pierwszego pytania i poprosić moich gości o wstępną refleksję. Czym właściwie jest liberalizm? Czym jest republikanizm? Z jednej strony wydaje się, że te terminy nie są dostatecznie zdefiniowane, a z drugiej – nawet historia polityki miała problem z ich sformułowaniem, dlatego że właściwie opierają się na ideach, wartościach, które bardzo trudno wyjaśnić. Zatem na początku poprosiłbym Państwa o wprowadzenie do tych pojęć, które później będą się łączyć z historyczną debatą o wzajemnych stosunkach polsko-angielskich. Na końcu Państwa wypowiedzi poprosiłbym o próbę odpowiedzi na pytanie, które sproblematyzowałem: dlaczego mamy trudność w eksplikacji tych terminów. Inne pojęcia w historii polityki, takie jak chociażby konserwatyzm czy nacjonalizm, mają swoje definicje. Można intuicyjnie powiedzieć, jakie idee tworzą, natomiast w przypadku liberalizmu i republikanizmu mam wrażenie, że to było trudne i jest coraz trudniejsze. Zatem, co to jest liberalizm i republikanizm? Z czego on się składa? Głos oddaję pani profesor.

**Prof. Dorota Pietrzyk-Reeves:** Dziękuję bardzo. Proszę Państwa, trzeba by zacząć od tego, co wcześniejsze, czyli zdecydowanie od republikanizmu. Jeżeli ten republikanizm miałby być pomocny w naszej dyskusji, trzeba najpierw spróbować odpowiedzieć, na jakich ideach, założeniach, opiera się republikanizm. Jednak tutaj od razu jest pewna pułapka i pewien kłopot. Pojęcie republikanizmu może wiązać się z pewnymi ideałami, które się rozwijały w czasach wczesnonowożytnych, a nade wszystko w XVII i XVIII wieku. A przecież jest to tradycja dużo wcześniejsza. W swoich badaniach, pracach sporo uwagi poświęciłam klasycznemu republikanizmowi. Zaczęłabym od zdefiniowania tego trzonu późniejszego republikanizmu, czyli tego, co tak naprawdę dotyczy tradycji republikańskiej. Jeszcze bardziej precyzyjnie, klasycznej tradycji republikańskiej. Klasyczny ideał republiki zaczyna się w starożytnej Grecji. Zaczyna się w myśleniu o wspólnocie politycznej jako pewnym ustroju mieszanym. Pierwsza kategoria, która nam pozwoli odróżnić liberalizm i republikanizm to kategoria wspólnoty politycznej. To kategoria podstawowa dla myślenia republikańskiego. Znajdujemy ją u Arystotelesa. Dlatego uznaję Arystotelesa za punkt wyjścia do myślenia republikańskiego. On właśnie tak definiuje byt polityczny, jaki tworzymy w sposób naturalny, czyli jest to wspólnota polityczna. Później u Cyserona, który rozwija arystotelesowską filozofię, dodano jeszcze ten komponent *res publica*. Stąd bierze się cały późniejszy republikanizm. Dochodzi komponent republiki, ale ta republika to także jest wspólnota polityczna. Dochodzi tylko to myślenie o wspólnocie politycznej przez pryzmat ustroju mieszanego. Składającego się z trzech komponentów, a nie dwóch, jak było u Arystotelesa. Jako punkt wyjścia mamy wspólnotę polityczną, która powstaje w sposób naturalny i jest definiowana przez pewne bardzo kluczowe pojęcia, przede wszystkim pojęcie dobra wspólnego. Celem wspólnoty jest realizacja dobra wszystkich jej członków. Ona zawsze jest wspólnotą teleologiczną. Zawsze ma określony cel. Drugą kategorią jest kategoria obywatelstwa, lub lepiej powiedzieć, obywatelskości. Członkowie tej wspólnoty, a przynajmniej niektórzy z nich, są powołani do tego, żeby wspólnie decydować o sprawach tej wspólnoty. Do tego dochodzi kategoria cnoty (znowu od



Arystotelesa), obywatelskiej powinności. Obywatelskość wiąże się z powinnościami, a nie prawami. Te prawa pojawią się dopiero w liberalizmie. Nie ma ich w ogóle w republikanizmie. Tutaj jest mowa o cnotliwym postępowaniu związanym z odpowiedzialnością za sprawy wspólnoty. Rozwija się to w rzymskim ujęciu Cyserona, Polibiusza i innych autorów, w kategorię ustroju mieszanego. Ten ustrój mieszany, gdy mówimy o tym komponencie instytucjonalnym, jest kluczowy dla całej tradycji republikańskiej. Jednak ten ustrój mieszany jest zawsze obwarowany pewnymi ideałami, wartościami, które dotyczą myślenia w kategoriach dobra wspólnego i obywatelskiej cnoty. To można tak najprościej i najkrócej ująć. Natomiast sam ustrój mieszany, składający się z komponentu demokratycznego, arystokratycznego i monarchicznego jest obwarowany zasadą rządów prawa. Zasada rządów prawa staje się podwaliną, podstawą tego porządku, jakim jest republika. Tutaj od razu pojawia się pewien pomost do liberalizmu. Liberalizm będzie rozwijał zasadę rządów prawa, ale już w innym celu. Nie po to, żeby dbać o dobro publiczne, tak jak wspólnota polityczna republiki, ale po to, żeby ograniczać rząd. Moim zdaniem to jest zupełnie inne myślenie o tym, czemu te rządy prawa służą. Oczywiście one, w liberalizmie i republikanizmie będą służyć temu, żeby zapobiegać korupcji, zapobiegać zepsuciu i nadużywaniu dobra publicznego i nadużywaniu na własną korzyść jakichś urzędów. W liberalizmie kategoria ograniczonego rządu nabierze innego charakteru. W republice ten rząd jest ograniczony przez to, że są trzy komponenty. Cyseron bardzo dobrze wyjaśniał, że dzięki temu, że są te trzy elementy, to będzie taki ustrój najlepiej funkcjonować. Będzie harmonijny, nie będzie się psuł i tak dalej. Tak bardzo szybko na temat republiki, która później będzie rozwijana różnie. W zależności od kontekstu. Myślenie republikańskie bardzo mocno przeniknie do I Rzeczypospolitej. Będzie również rozwijane we włoskich republikach oraz Anglii. Republikanizm wczesnonowożytny będzie ewoluował. Bardzo istotnym elementem ewolucji myślenia republikańskiego będzie to, co się dzieje w XVII wieku, czyli pewne propozycje, aby republikę pojmować jako ustrój niemonarchiczny. Zaczyna się to rozchodzić z klasycznym myśleniem o republice jako zawsze złożonej z trzech komponentów, gdzie monarchia jest jedną z części składowych. Wcale nie musi być to monarcha dziedziczny, to może być np. doża wenecki albo konsul w Rzymie, ale jest ten element monarchiczny. Natomiast w XVII wieku bardzo mocno położy się nacisk na to, żeby republika nie była monarchią, tylko żeby była ustrojem przedstawicielskim. Tutaj zaczną się pewne drogi otwierać dla liberalizmu. Jeśli miałabym liberalizm bardzo krótko zdefiniować, to jest bardzo trudne. Liberalizm ma różne komponenty: komponent etyczny, bardzo filozoficzny, ekonomiczny i właśnie polityczny. Myślę, że najprościej, na początek, bardzo krótko bym zdefiniowała liberalne myślenie na temat człowieka. Liberalizm skupia się na jednostce. To już nie jest wspólnota polityczna. Pojęcie wspólnoty politycznej odchodzi zupełnie na bok. Pojawia się jednostka, która pojawia się już wcześniej, bo widzimy ją już w renesansie, ale dla liberalizmu staje się tym punktem odniesienia. Można by powiedzieć, że liberalizm przyjmuje kluczowe założenia na temat jednostki oraz porządku społecznego i politycznego, który jest dopasowany do tego myślenia o jednostce. Po pierwsze powiedziałabym, że jest to założenie, że jednostki są racjonalne. Po drugie, co może być oczywiste od wystąpienia Thomasa Hobbesa i Johna Locke'a, że jednostki posiadają pewne naturalne uprawnienia, są to prawa do życia, wolności i własności. Po trzecie, jedyna usprawiedliwiona forma rządu to rząd, który jest powołany po to, aby chronić i zabezpieczać prawa jednostek. Kolejna kwestia dotyczy ontologii liberalizmu, czyli przekonania, że zarówno ontologicznie oraz metodologicznie jednostka jest zawsze pierwsza przed innymi bytami zbiorowymi. Stoi wyżej niż społeczeństwo, które tworzy w drodze umowy społecznej lub jakiegokolwiek innej wspólnoty. Status jednostki



jest zawsze wyższy niż status wspólnot lub społeczeństwa. Następna kwestia to kontraktualizm, przynajmniej w liberalizmie XVII wieku, ponieważ w XVIII wieku zaczynają się pojawiać pewne opozycje wobec kontraktualizmu. To pierwsze wyjaśnienie liberalne, które się pojawiło, odnośnie genezy społeczeństwa, to przyjęcie, że powstaje ono w drodze umowy, a nie jest naturalnym bytem, jak u Arystotelesa. Ostatnia kwestia, która jest bardzo ważna i która jest szeroko rozwijana przez Johna Stuarta Milla, to przekonanie, że jednostki trzeba pozostawiać samym sobie. Trzeba pozwolić im funkcjonować w ramach autonomii, która pozwoli im decydować o sobie i przygotować jakiś plan swojego życia, realizować cele w społeczeństwie oraz w sferze gospodarczej. Cele, które sama ta jednostka wybierze. Na kanwie tego myślenia to, co się rysuje, to szeroki indywidualizm. Indywidualizm jest tym kluczowym komponentem filozofii liberalnej. Wolność jest tutaj w tle i chyba nie trzeba mówić, że liberalizm dotyczy wolności. Samo słowo łacińskie *liber* dotyczy ludzi wolnych. Pamiętajmy, że łacińskie *liber* odnosi się także do pewnych cnót, takich jak wspaniałomyślność lub szczodrość. W filozofii liberalnej to zostało rozpoznane.

**Dr Paweł Kuciński:** Panie doktorze, prosimy.

**Dr Maciej Zakrzewski:** Pani profesor zarysowała główne motywy, ja mogę tylko dopowiedzieć. Na pewno za pewne pomieszenie pojęć odpowiada doświadczenie amerykańskie, które jest kluczowe, od przynajmniej stu lat, dla nas, jeśli chodzi o myślenie polityczne. Na gruncie amerykańskim doszło do pewnego połączenia motywu republikańskiego z liberalnym, które zazwyczaj w historii nie zawsze ze sobą występowały, a często były ze sobą w opozycji. Można mówić o procesie historycznego nawarstwienia, to znaczy, jeśli przyjrzymy pojawieniu się myślenia liberalnego, tutaj momentem kluczowym, momentem przejścia, jest XVII wiek (wtedy, gdy są sformowane te dwie podstawowe teorie kontraktualne); wtedy zobaczymy, że odchodzące w przeszłość myślenie w kategoriach republikańskich ustępowało miejsca nowemu zdefiniowaniu wspólnoty politycznej albo jednostek i relacji ze wspólnotą polityczną w kategoriach liberalnych. Skojarzyłbym, albo podkreśliłbym wątek wyłonienia się liberalizmu z powstaniem nowożytnego państwa. Powstanie nowożytnego państwa, które było powiązane z procesem reformacyjnym i całkowitym kryzysem dotychczasowych struktur społecznych oraz potrzebą na nowo zdefiniowania jednostki względem wspólnoty. Mamy XVII wiek, który jest okresem wojen religijnych, które rozrywają wspólnotę. To w dużej mierze rezonuje na dzieło Hobbesa, który próbuje wyłonić jakąś teorię polityczną, która nie będzie uwikłana teologicznie. Oczywiście, to nie musiało mieć jeszcze liberalnego komponentu. Jeżeli się cofniemy kilkadziesiąt lat wcześniej, to możemy wskazać na tak zwane stronnictwo „polityków” z Jeanem Bodinem. Wtedy dochodzi do sformułowania nowożytnej idei suwerenności. Mamy wyłanianie się czegoś takiego, co nie było wcześniej znane, czyli nowożytne państwo, niedefiniowane za pomocą dynastii czy republikańskiej wspólnoty. W obliczu nowej sytuacji należy na nowo określić relację pomiędzy jednostką a nową formą organizacji społecznej uosabianej przez zorganizowane państwo. Wtedy dochodzi do tego komponentu, w którym pojawia się jednostka. Bardzo często wskazuje się, że jeśli chodzi o etapy wyłaniania się myśli liberalnej, w które centrum jest jednostka, to jest przede wszystkim Hobbes.



On uzasadnia indywidualistyczną genealogię państwa, ale jeszcze bez konsekwencji liberalnych. Pokazuje, że wspólnota polityczna wyłania się z naturalnych uprawnień jednostki. W drugiej fali pojawia się Locke, który do tego komponentu jednostki i jej naturalnych praw, dodaje ten drugi kluczowy, to jest własność. Prawa jednostki, jednostka i jej własność, stanowią najważniejszy fundament myśli liberalnej. Tego nie ma w republikanizmie. Ten fundament rozwija się, jest utrzymywany wraz z innymi odcieniami oraz modyfikacjami do lat dwudziestych XX wieku. Wtedy, gdy dochodzi o pierwszego fundamentalnego przeformułowania i próby przededefiniowania myśli w kategoriach liberalnych. Jeśli byśmy mieli to w jakikolwiek sposób usystematyzować, to republikanizm jest pewnym myśleniem przynależnym do czasów prenowożytnych. Mówimy o Arystotelesie, Ciceronie, ale z tym wiąże się cały koncept, cała filozofia świata, sposób w jaki oni postrzegali świat, czy kategorie prawa naturalnego itd... To wszystko stanowiło pewną całość, z której nie możemy wyciągać poszczególnych. Później mamy nowożytność, która jest całkowicie innym światem. Mamy również rozpad świata klasycznego. Narodziny nowożytnego państwa wymuszają, aby na nowo to zdefiniować. Liberalizm jest tą jedną z propozycji, która odniosła niebywały sukces. To jest sprzęgnięte z kolejnym elementem, który jest niezwykle ważny, czyli z narodzinami nowoczesnego kapitalizmu. Liberalizm rodzi się i rozwija w krajach handlowych. W krajach, w których powstaje nowa warstwa społeczna. W dalszej konsekwencji następuje przededefiniowanie stosunków politycznych. Jednak do rewolucji dochodzi w kraju w gruncie rzeczy rolniczym. W oświeceniowej Francji, zapatrzonej w prawdzie we wzorce brytyjskiej, odradza się sentyment republikański. Jednym z najważniejszych eksponentów nowożytnego myślenia republikańskiego jest Jan Jakub Rousseau. Doszło do fundamentalnego napięcia pomiędzy myśleniem liberalnym a myśleniem republikańskim, wyjaskrawionym przez doświadczenie rewolucji francuskiej. Nie przypadkiem po rewolucji francuskiej Benjamin Constant będzie pisał swój esej o wolności starożytnych i wolności nowożytnych. Alexis de Tocqueville również będzie szedł w tym kierunku pokazując, że myślenie republikańskie może mieć w sobie komponent, zagrażający wolności jednostki. Należy dodać jeszcze jeden fenomen, który pojawia się w myśleniu republikańskim. Do końca XVIII wieku (jeszcze u Jana Jakuba Rousseau) panowało przekonanie, którego Rzeczpospolita była niejako pewnym zaprzeczeniem, potwierdzającym regułę, które mówiło, że republika jest możliwa tylko w małym państwie, w którym wszyscy obywatele potrafią się, ze sobą skomunikować. W którym jest zachowana wspólnota naturalna i nie jest możliwe stworzenie ustroju republikańskiego w skali makro. Dyskusje o konstytucji w Stanach Zjednoczonych, w których zwolennicy konstytucji musieli przekonywać pozostałych obywateli, że republika w skali makro jest możliwa, były jednym z kluczowych momentów, które odpowiadały za renesans myślenia republikańskiego. Doświadczenie Stanów Zjednoczonych jest tutaj istotne, w którym doszło do połączenia wątków liberalnych. Trudno opowiadać o Stanach Zjednoczonych bez Johna Locke'a, ale też bez etosu republikańskiego.

**Dr Paweł Kuciński:** Dziękuję Państwu za te wypowiedzi, ponieważ wprowadziły one pewien porządek do pojęć, które często są nadużywane, ponieważ nie mają swoich zamienników. Dzisiaj mówimy często o liberalizmie, nie bardzo wiedząc, coż to takiego pod względem historycznym. Mówimy również o republikanizmie z podobną możliwością wielu współczesnych interpretacji. Ale gdy pojawia się w tych wypowiedziach kontekst konserwatywny, długiego trwania, przypomnienie, że te pojęcia, style myślenia mają swoją genealogię, wówczas okazuje się, że niektóre pojęcia są nadużywane, ale też, że są to terminy, które trudno zastąpić cokolwiek innym. Jeśli już mamy ich używać w dyskursie publicznym, czynmy to może



niekoniecznie w otoczeniu tych wszystkich szczegółów, które państwo podali, niemniej jednak bez nich – znów okazały się podatne na kontekstualne interpretacje i manipulacje. Chodzi więc o wrażliwość na te pojęcia. Słuch, który powinien mieć każdy uczestnik debaty publicznej, który potrafiłby wyważyć historyczne i szczegółowe uwikłania i – z drugiej strony – konieczność redefiniowania jako reakcji na teraźniejszość. Dlatego teraz z poziomu ogólnego chciałbym przejść do tytułu naszego spotkania. *Magna Charta Libertatum*, czyli Wielka Karta Swobód. Dokument, który jest właściwie historią *par excellence* oraz symbolem historii Wielkiej Brytanii, aktem budującym podstawy jej ustroju. Chciałbym zapytać, w kontekście Magny Charty: jaka jest relacja tej – również – symbolicznej zasady wolności, ograniczenia prerogatywy króla, z samą intencją takiego wówczas pokierowania sprawami ustrojowymi, czyli z buntem? Jaka jest relacja między tym, że Wielka Karta Swobód, istnieje jako źródło historyczne i ustrojowe, symbol oraz zasada a później każda decyzja, o każdej konstytucji (kiedy by nie była), bierze się z tego niezadowolenia. Z jednej strony mamy bunt, a z drugiej strony, w wyniku tego buntu, jak przy każdej rewolucji, powstało coś, co później było emanacją wolności. Wielka Karta nie była przecież taką klasyczną ideą wolności. Oczywiście, chodziło o wolność, ale tylko dla niektórych. Chciałem zapytać, jaki Magna Charta miała wpływ na tę symboliczną historię ustroju Wielkiej Brytanii? W polskim wypadku te wpływy były bardziej przefiltrowane, chociażby przez wielką rewolucję francuską, ale czy dokument ten mógł w sposób rzeczywisty oddziaływać na nasze dzieje? Najpierw na Rzeczpospolitą Obojga Narodów, a później na idee polityczne, które kształtowały się w Polsce? Cała nowoczesność myślenia o państwie, pomijając Konstytucję 3 maja, wykuwała się w sytuacji braku faktycznych struktur państwowych. Jaki wpływ miała Wielka Karta Swobód, praktyczny, albo później symboliczny, na myślenie o wolności, w Królestwie Brytyjskim, a jaki zaś na kształtowanie polskich przed- i porozbiorowych idei wolności?

**Prof. Dorota Pietrzyk-Reeves:** W jednym ze swoich tekstów, pokusiłam się o tezę, że Magna Charta jest początkiem takiego zachodniego konstytucjonalizmu, czyli jest jednym z fundamentów zachodniego konstytucjonalizmu. To jest taki moment, w którym dochodzi do pewnego buntu i sprzeciwu wobec prawowitej władzy, ponieważ ta władza zaczyna wykraczać poza jakieś granice, które są dopuszczalne dla ówczesnych baronów angielskich, którzy kłócili się i narzekali itd. Nagle ten monarcha został postawiony w takiej sytuacji, że musiał zareagować. Zareagował poprzez ustanowienie Karty Swobód, a to zażegnało ten bunt. To dało taki wzorzec postępowania, także dla innych monarchów. Nie twierdzę, że Magna Charta była potem wzorcem dla postępowania polskich monarchów, w Królestwie Polskim, a potem w Rzeczpospolitej Obojga Narodów, ale to się dokonywało, głównie w Królestwie Polskim. Jednak oni również postępowali w taki sposób, że gdy pojawiał się jakiś bunt to wydawali przywileje. Proszę zauważyć, że te akty w Polsce są tak stare jak Karta Swobód. To jakby proces równoległy zachodzący. Dokonuje się bardzo ciekawy proces, który moim zdaniem rozpoczyna, w którymś momencie dochodzenie do konstytucjonalizmu. Ten proces wiąże się z pytaniem, o granicę władzy monarchy, a potem także władzy na przykład parlamentu. Próba oddolnego wpływania na to, jak ustanowić te granice władzy i jak je zabezpieczyć. Ochronić poprzez taki dokument, który potem staje się częścią angielskiej, antycznej konstytucji. On jest nie do ruszenia. Jest to dokument spisany i wchodzi w część tej niepisanej konstytucji. Tak samo te przywileje szlacheckie. One stają się takimi dokumentami, których nie da się tak



po prostu odwołać. Nie da się ich zanegować. One rozwijają się do tego stopnia, że w którymś momencie dochodzimy do kluczowego momentu. Gdy mówimy o ograniczeniu władzy tej monarchicznej, to jest to moment z 1505 roku, czyli konstytucja *Nihil novi*. Szlachta zdecydowała, sprawiła powstanie takiej konstytucji. Dzięki niej żadne decyzje nie mogły być podejmowane. W kontekście angielskim albo potem brytyjskim prowadzi to do rozwoju parlamentaryzmu. Magna Charta jest jakby pierwszym krokiem. Jeszcze trzeba kilku stuleci, żeby ten parlamentaryzm zaczął się w pełni rozwijać. W którymś momencie zaczyna się rozwijać do tego stopnia, że parlament stoi wyżej niż monarcha. Parlament zaczyna rościć sobie prawo do tego, że to parlament podejmuje decyzje, a monarcha jest tylko częścią tego procesu. To uzyskało swój najwyższy punkt poprzez wydanie *Bill of rights*. Dzieje się to po wojnie domowej w Anglii. Jest to długi proces dochodzenia do konstytucjonalizmu, czyli tego, co będzie stanowić taką ustrojową albo można powiedzieć ustrojowo-prawną podwalinę doktryny liberalnej. W Polsce ten proces przebiega podobnie. Ograniczanie monarchy również jest podobne. Tylko, że Polska dochodzi do momentu, w którym traci własną państwowość. Czy do polskich konstytucji można się odwoływać już po utracie tej państwowości? Przecież to był ustrój opiewany jako jeden z nielicznych wolnych ustrojów. To była ta nieliczna na mapie Europy, jedna z niewielu wspólnot politycznych, które były wolnymi wspólnotami politycznymi. W XVII wieku, a jeszcze bardziej w XVIII stuleciu, zaczęto dopuszczać w Polsce do tej grupy wolnych państw Szwecję i Anglię, a wcześniej taką wolną republiką była Wenecja. Dopóki istniała wolna Rzeczpospolita te podwaliny, które gdzieś tam początek biorą w Magna Charta i w tych przywilejach szlacheckich, były jak najbardziej zachowane. Podejmowano próby ustanowienia równowagi pomiędzy różnymi rodzajami władzy: monarchą, izbą poselską, senatem. To było bardzo problematyczne. W momencie, gdy Polska utraciła państwowość, powstało pytanie: Do czego można się odwołać? Nie chcę w tym momencie na to pytanie odpowiadać, bo to jest bardzo trudne pytanie. Nastąpił wtedy chyba odwrót od takiego republikańskiego myślenia. To jest ten moment, gdy zaczyna wchodzić myślenie liberalne, inne niż myślenie o wolności charakterystyczne dla Rzeczypospolitej XVI lub XVII wieku, wyrastające ze swobód przyznawanych obywatelom Rzeczypospolitej. Pojawia się to przy okazji Sejmu Czteroletniego, u Hugona Kołłątaja, u Stanisława Staszica, wcześniej jeszcze u Stanisława Kostki Potockiego.

**Dr Paweł Kuciński:** Panie doktorze, prosimy.

**Dr Maciej Zakrzewski:** Operujemy tutaj trochę w przestrzeni symbolicznej. Trzeba pamiętać, że Wielka Karta Swobód miała kluczowe i bezapelacyjne znaczenie dla wykształcenia się parlamentaryzmu angielskiego. Nie przypadkiem kilkadziesiąt lat później dochodzi do zwołania parlamentu, uznając za początek, gdy Anglią *de facto* rządził Szymon de Montfort. To, o czym trzeba pamiętać, jeśli mówimy o wyłanianiu się albo o takiej drodze równoległej, związanej z konstytucjonalizacją władzy, to na pewno jest to element konfliktu społecznego. Potrzeba wypracowania pewnych reguł zawsze pojawia się wtedy, kiedy te reguły były zanegowane, a te są podważane zazwyczaj dwóch momentach. Jeden, który przejawia się w Polsce oraz Wielkiej Brytanii, to jest przejście od monarchii patrymonialnej do monarchii stanowej, monarchii feudalnej. Monarchia patrymonialna uznawała, że państwo (jeśli będziemy operować tym określeniem, co jest pewnym ahistoryzmem) jest własnością dynastii, w związku z czym mogło być ono traktowane jak majątek, czy spadek. Tak jak w czasach





rozbicia dzielnicowego, każdy dostawał część swojego spadku bez zbytej troski o to, jak ta całość będzie funkcjonować. To jest jeden element – wyłanianie się społeczeństwa i monarchii feudalnej, z którego to procesu zrodzi się konflikt. Drugi element, który absolutnie tutaj jest kluczowy i również powiązany z pierwszym, to jest konflikt dynastyczny. Spór o to, kto ma być następcą tronu, aby objąć władzę należy szukać sojuszników, bo tytuł prawny nie jest wystarczający, a sprzymierzeńcy, zawsze udzielają swojego poparcia warunkowo. Element feudalny był rozstrzygającym. To był pewien oddolny czynnik społeczny, który w ostatecznym rozrachunku decydował, kto ma objąć władzę i w związku z tym dyktował określone warunki sprawowania władzy. Jeśli chodzi o Wielką Brytanię, mamy pewne elementy ciągłości i pewne elementy zerwania. Nie jest tak, że parlamentaryzm brytyjski rozwijał się na zasadzie pewnego jednostajnego nawarstwiania i rozwoju. Mamy regresy i powroty, albo próby powrotu, do pewnych rozwiązań wcześniejszych. Wiek XVII jest kluczowy. Z punktu widzenia praktycznego o wiele większe znaczenie dla kształtowania się brytyjskiego parlamentaryzmu niż Wielka Karta Swobód ma Chwalebna Rewolucja i wypracowanie pewnego konsensusu politycznego i ustrojowego. Był on niejako łożyskiem dla budowania przez najbliższe dziesięciolecie zrównoważonego modelu ustrojowego. Wraz z Chwalebna Rewolucją, w której brali udział wigowie i torysi (to jest ważne!), wypracowano pewien konsensus, pewne ramy. Natomiast o interpretację tych ram kłócono się jeszcze przez najbliższe kilkadziesiąt lat. Jeszcze panowanie Jerzego III jest takim okresem, kiedy doszło do ostatniego wielkiego starcia pomiędzy monarchią a siłami politycznymi.

Należy wskazać na jeszcze jedno zagadnienie. W XVII wieku doszło do fenomenalnej dyskusji historycznej o bardzo silnym wymiarze politycznym. Chodzi o dyskusję, skąd się wziął parlament? Zostało to doskonale zrelacjonowane w książce Johna Greville'a Agarda Pockocka *The Ancient Constitution and the Feudal Law*. Podstawowe zagadnienie brzmiało: czy parlament ma swoje źródło w woli króla? Czy parlament jest czymś, co poprzedza jego wolę? Wtedy również dochodzi do potężnej wymiany poglądów historyków, którzy zaczęli doszukiwać się źródeł i na nowo, już po nowożytnemu, przypominać i rekonstruować minione dzieje.

Z polskiego punktu widzenia polskiego, uwzględniając Konstytucję 3 maja, to należy od razu powiedzieć, że wpływy brytyjskie były, ale były one paradoksalnie zapożyczone przez wpływy francuskie. Jeśli spojrzymy na historię myśli politycznej i nie tylko, to widzimy, że Anglia do Polski przybywała zawsze znad Sekwany. O tym należy pamiętać. Co więcej w Konstytucji 3 maja znajdziemy wiele z Monteskiusza, a ten obserwował przede wszystkim to, co się dzieje na Wyspach Brytyjskich. To było dla niego niezwykle formujące i stworzyło pewien model, pewnego wzorca ustrojowego, który był rozwijany, podnoszony przez cały XIX wiek. Jest to właśnie moment, kiedy dochodzi do wielkiego starcia pomiędzy zasadą monarchiczną, a siłami liberalnymi. O konstytucjonalizację władzy. Tym symbolicznym momentem, świadczącym o zmierzchu pewnej dyskusji, jest Wiosna Ludów.

**Dr Paweł Kuciński:** Dziękuję. Zanim przejdziemy do tej współczesności, która też w tym aspekcie wydaje mi się ważna. Mianowicie czy dzisiejsze dyskusje o konstytucji, w kontekście jej przestrzegania i nieprzestrzegania, powinny zostać zawieszona? Ponadto czy konstytucja mogłaby być tym praktycznym odwołaniem, punktem zaczepienia dla każdego twórcy prawa, dla każdego rządu, w każdym czasie? Ale zanim o tym, pragnąłbym skłonić Państwa do rozmowy o wieku XIX wieku. Wydaje mi się, że przede wszystkim w Polsce, XIX wiek jest kluczowy, ze względu na tę dość tragiczną i ekstreordynaryjną sytuację, która paradoksalnie



otwiera dyskusję. Wydaje mi się bowiem, że rozbiory zapoczątkowują nowoczesne dyskusje o tym, jak Polska ma wyglądać w przyszłości. Chciałbym zapytać o dziewiętnastowieczne dyskusje i spory. Może nie między liberalizmem a republikanizmem, o przechodzenie z republikanizmu do np. romantycznego – symbolicznego w dużej mierze – myślenia liberalnego, ale o generalny spór, który też poniekąd wynika z tych koncepcji wolności, którą trzeba ograniczać. Magna Charta mówi: dać i ograniczać. Dać jednym, ograniczyć drugim (suwerenowi). A zatem spór liberalizmu i konserwatyzmu w XIX wieku wydaje się tu kluczowy dla kształtowania się polskich, początkowo symbolicznych nowoczesnych pojęć lub wyobrażeń o racjonalnej przyszłości państwa. Jak to było w XIX wieku w Polsce?

**Prof. Dorota Pietrzyk-Reeves:** Proszę Państwa XIX wiek jest momentem, który dla Polski jest tragiczny, bo Polacy utracili państwowość. Powstania narodowe i zrywy wolnościowe nie przynoszą rezultatu, a wręcz pogłębia się niewola. To jest dziwny kontekst dla myślenia liberalnego. To myślenie liberalne odnosi się do państwa, które ma zabezpieczać wolność, a tutaj mamy zaborców. Paradoks polega na tym, że żaden z tych zaborców to nie jest państwo liberalne. Gdyby Polska została zagarnięta przez Zjednoczone Królestwo, to Polacy byłiby w dobrej sytuacji, bo Zjednoczone Królestwo uczyniłoby z Polską to samo co z Irlandią. Polaków by przygarnęło, dało miejsce w parlamencie, pozwoliłoby rozwijać handel, podróżować itd. Jednak tak się nie stało. Polacy wpadli w szpony absolutnych władców, którzy nie byli skłonni do tego, żeby nam Polakom, przyznać autentyczną reprezentację polityczną. Jak myślimy o tych liberałach kaliskich, nazywanych beniamistami od nazwiska Benjamina Constanta. Oni o to zabiegali, o zniesienie cenzury, ograniczenie cenzury. Tak naprawdę również o dopuszczenie polskich przedstawicieli, żeby mogli w Królestwie Polskim mieć faktyczną reprezentację. Podobnie się działo w Rzeczypospolitej Krakowskiej i w zaborze pruskim. Liberałowie, którzy rzeczywiście zaczęli działać jak stronnictwa polityczne dopominali się o faktyczną reprezentację, żeby móc w jakiś sposób chronić polskie sprawy. To jest bardzo ciekawa kwestia. Tak mi się wydaje, że w tym momencie chodziło o szerzenie pewnych idei. Oni bardzo skrupulatnie szerzyli idee, które rozwinęły się na zachodzie. Mówię o Constancie i o jego dziele *O monarchii konstytucyjnej i rękojmiach publicznych*, która bardzo pasowała do kontekstu kaliskich liberałów. Zabiegali oni o to, by Królestwo Polskie było monarchią konstytucyjną, mimo że był car, który próbował to ograniczyć. Dążono jednak do wygospodarowania jakiegoś elementu tego konstytucjonalizmu w tej trudnej sytuacji, w jakiej Polska się znalazła. Każdy przyczółek własnego organizmu państwowego, taki jak Królestwo Polskie, Rzeczpospolita Krakowska lub Wielkie Księstwo Poznańskie, to był taki skrawek, w którym próbowano ten konstytucjonalizm jakoś wywalczyć. To się oczywiście nie udawało. Moim zdaniem to był taki moment formowania się tej myśli, przenoszenia na grunt Polski, do polskich debat, myśli dziewiętnastowiecznego brytyjskiego oraz francuskiego liberalizmu. Te idee zostały poddane bardzo szerokiej dyskusji, w Galicji czyniło to chociażby środowisko Nowej Reformy. Tych autorów było coraz więcej. Niektórzy z nich ograniczyli się do wypowiedzenia swoich refleksji, a inni uwieczniali je na papierze. Odnoszono się w tym do Herberta Spencera, Karola Darwina i tak dalej. Było to środowisko, które się pręźnie rozwijało, ale jego wpływ polityczny był bardzo ograniczony. Nie powiem, że była to porażka tego środowiska, ale to jest ta ogromna trudność, z jaką oni się spotkali. Oni chcieli działać jak liberałowie, mieć wpływ na kształtowanie tej rzeczywistości politycznej, w jakiej przyszło im żyć. Sądzę,



że konserwatyści przede wszystkim szukali odpowiedzi na pytanie o utratę Rzeczypospolitej. Obrażali się na republikanizm, tradycję republikańską. Próbowali znaleźć sposób na jakąś ochronę *status quo*, czyli ochronę polskości, wartości związanych z polskim narodem, tradycją, religią, państwowością i tak dalej. To jest zupełnie inny styl myślenia. Myślę, że tutaj można odnaleźć pewne wspólne elementy dla liberałów i konserwatystów. Jednym i drugim zależało bowiem na tym, żeby odzyskać niezależne państwo. To był na pewno ich wspólny cel. Natomiast zupełnie inaczej postrzegali choćby ontologię społeczną, jednostkę. Odnosili się do innych tradycji. Sądzę, że jest bardzo wiele takich różnic, które wydają się fundamentalne.

**Dr Paweł Kuciński:** Dziękuję. Panie doktorze, prosimy. Może powiedziała by Pan nieco więcej o konserwatyzmie? To jednak jest ten komponent polskiego dziewiętnastowiecznego myślenia, już wówczas ulokowany między liberalizmem a nacjonalizmem (nawet tym demokratycznym)?

**Dr Maciej Zakrzewski:** Tak, według mnie najważniejszy, najcenniejszy, ale to już jest kwestia oceny. Wracając do liberalizmu, trzeba pamiętać o jednej rzeczy. Liberalizm dziewiętnastowiecznej Polski w porównaniu z liberalizmem zachodnio-europejskim był mocno upośledzony, on się nie rozwinął. Jesteśmy w stanie oznaczyć poszczególne jednostki, pewne grupy polityczne (większe bądź mniejsze). Natomiast nie będziemy w stanie stworzyć tak dużej tradycji albo zrekonstruować tak dużej tradycji myślenia politycznego, jak w przypadku konserwatyizmu albo radykalnych ruchów demokratycznych przechodzących w socjalizm. Wystarczy spojrzeć na ilość opracowań polskiej myśli liberalnej w XIX wieku i polskiej myśli konserwatywnej albo socjalistyczno-demokratycznej. Dysproporcja tego nie będzie czymś przypadkowym. Jedna jest rzecz, o której pani profesor już powiedziała, a właściwie dwie rzeczy, które są ze sobą powiązane. Zaciążenie nad tym myśleniem liberalnym sprawy narodowej. Jak myśleć o prawach jednostki, w chwili gdy nie ma niepodległego państwa. Wolność narodu jest kategorią dominującą. Oczywiście, to też nie jest przypadkiem, że myślenie liberalne (zostały przywołane te dwa środowiska kaliszanie i demo liberałowie) rozwija się przed powstaniem listopadowym i po powstaniu styczniowym. Pomiędzy tymi dwoma momentami generalnie możemy wskazać na jednostki podnoszące program liberalny. Natomiast nie ma szerszego ruchu. To jest związane jeszcze z jednym zjawiskiem: główny nurt myślenia intelektualnego Polski jest na emigracji, a emigrantów nie interesuje wolność jednostki. Interesuje ich wolność narodowa. Po powstaniu styczniowym odnawia się myślenie krajowe. Odnawia się również myślenie liberalne, to znaczy ten najbardziej charakterystyczny rys brytyjski. W polskim liberalizmie są to pozytywści. To jest Aleksander Świętochowski. Z całą okazałością objawia nam się John Stuart Mill. Pojawiają się hasła utilitaryzmu i aby „dać sobie spokój” z niepodległością i przede wszystkim inwestować w rozwój społeczny, który będzie bazował na silnych jednostkach. To jest ten element. Oczywiście drugim elementem jest komponent gospodarczy. Polska była krajem absolutnie rolniczym, gdzie w sposób pełzający rozwijał się handel i przemysł, który na Zachodzie był nieodłącznym towarzyszem dziewiętnastowiecznego społecznego i politycznego liberalizmu. Oczywiście na tym upośledzeniu zaciążyły wydarzenia polityczne. Oczywiście, wcześniej Polakom bliższy był fizjokratyzm niż myślenie, na przykład w kategoriach merkantyliżmu. Adam Smith dopiero gdzieś w drugiej połowie dziewiętnastego wieku zyskuje zwolenników i czytelników.



Natomiast jeśli chodzi o konserwatyzm, to jest odmienny od liberalizmu nurtu. Jednak paradoksalnie pojawiają się środowiska, w których te dwa światy się przenikają, to jest środowisko Hotelu Lambert i księcia Adama Jerzego Czartoryskiego. To było w dużej mierze formowane pod wpływem francuskim i tego, co się działo we Francji, czyli wydarzeń rewolucji lipcowej, a wcześniej dyskusji wokół konstytucji. To jest ważne dla Constanta. W myśli de Tocqueville'a i w myśli François Guizota i doktrynerów francuskich przeplatają się momenty konserwatywne i liberalne. Dlatego, że oni prowadzą również, pewien rozrachunek z rewolucją francuską. Na bazie tego pojawia się kolejny element, który jest ważny. Jest to coś, co w pewien sposób łączyło środowiska liberalne i konserwatywne, to znaczy jeden wspólny wróg, którym była rewolucja socjalna. Trzeba powiedzieć, że polscy liberałowie dalecy byli od pokusy rewolucyjnej. Widzieli konsekwencje rewolucji, ale także nie było bazy społecznej dla przeprowadzenia rewolucji liberalnej. Czynnikiem, który wykorzenił myślenie rewolucyjne z umysłów liberalnych było doświadczenie rabacji galicyjskiej. Rabacja dość mocno rezonowała na opinię publiczną w przededniu Wiosny Ludów. Miało ono swoją wymowę, pokazywało europejskim elitom liberalnym, że łatwo obudzić niekorelowane emocję. Mamy kilka wspólnych punktów stykowych pomiędzy liberałami a konserwatystami. Po powstaniu styczniowym był jeden wspólny mianownik, który łączył konserwatyzm i liberalizm, czyli praca organiczna. Stańczycy oraz pozytywiści podnosili pracę organiczną, różnie ją rozumiejąc. Praca organiczna rozumiana była w pierwszym rządzie jako hasło społeczne i pracy niepolitycznej podnoszonej nad rozwojem narodu. Natomiast w literaturze, o ile dobrze pamiętam prof. Bernacki, nieźle ujął różnicę, że oba ugrupowania dość dobrze zdawały sobie sprawę z tego, że zmiana społeczna i polityczna następuje. Różnica między liberałami a konserwatystami polega na tym, że konserwatyści chcieli to wyhamowywać, a liberałowie skutecznie, odwołując się do pojęć takich jak prawa jednostki. Należy pamiętać, że konserwatyzm dziewiętnastowieczny był niezwykle podzielony, a dyskusje między jego przedstawicielami bywały niezwykle ostre. Oskarżenia o fałszywy i prawdziwy konserwatyzm nie były rzadkie. Można przypomnieć, że *Dzieje Polski w zarysie* Michała Bobrzyńskiego najbardziej zostały skrytykowane przez innych stańczyków, jako odstępstwo od zasad konserwatywnych.

Konserwatyści, w krakowskiej odmianie, podjęli fundamentalną krytykę I Rzeczypospolitej i krytykę republikanizmu. Wskazując, że republikanizm nie był w stanie wykreować nowoczesnego państwa, a tym samym państwa jako takiego. Nie był w stanie stworzyć siły, która budowałaby potencjał, który równoważyłby siłę sąsiadów. Odchodziło od retoryki, że Polacy są ofiarami ku retoryce, że bardziej są nieudacznikami. W związku z tym teraz był czas na naukę nowożytnego nowoczesnego państwa. Jeśli chodzi o analogie brytyjsko-polskie to znaczy chwalebna rewolucja miała łagodny przebieg. Nie była czyniona w imię zasad republikańskich. Republikanie w czasach tej rewolucji byli uznawani za niebezpiecznych radykałów. Jednak na pewno oponowano przeciw absolutyzmowi monarszemu i czyniono to w imię zadawnionych praw, w imię konstytucji. Rewolucja ograniczyła władzę królewską, jednak w dorobku poprzedników zachowano jedną fundamentalną rzecz, to znaczy system skarbowy i wojskowy wypracowany w czasach Stuartów, a ten moment wątek był kluczowy dla istnienia państwa. Systemu skarbowego i wojskowego nie wykształciła I Rzeczypospolita sama z siebie. Pytanie jest takie: czy prawdopodobnie brak silnego komponentu monarszego jest za to odpowiedzialny? Starano się temu zaradzić. Konstytucja 3 maja była tutaj tym krokiem ku nowoczesności.



**Dr Paweł Kuciński:** Dziękuję. Teraz chciałbym się przenieść łądnych sto kilkadziesiąt lat w przyszłość, do naszej współczesności. W kontekście nie tylko angielskich, ale również europejskich koncepcji wolności, które już wtedy są, bądź powinny być zracjonalizowane, a przynajmniej jakkolwiek urefleksyjnione przez naród polski. Najpierw jest to dekada lat osiemdziesiątych, później „zdarza się nam” 1989 rok. W końcu jednak pojawia się nie lada problem: co z tą wolnością robić, gospodarczo oraz politycznie? Jak wprowadzać tę wolność, którą, tak jak powiedziałem, mamy już jakoś – jako symboliczną ideę – przerobioną? Mamy tradycje wolnościowe, ale teraz trzeba jakoś wcielić w życie. Oczywiście tutaj na tym naszym ideowym horyzoncie zawsze były na przykład Stany Zjednoczone, ale gorzej było z Europą i jej ideami oraz tradycjami. Jak to było w tym kolejnym momencie wielkiego przełomu, czyli gdy żegnaliśmy się z „imperium zła” i jaka wówczas była wolność? Skąd brano jej przykłady, o ile da się znaleźć taki model? Pytam więc o współczesne modele wolnościowe, nie ograniczając się do samej Wielkiej Brytanii. Czy moglibyście Państwo je wskazać?

**Prof. Dorota Pietrzyk-Reeves:** Myślę, że to jest bardzo szerokie zagadnienie i trudno tutaj postawić jakieś takie tezy, które byłyby dla wszystkich przekonujące. Jaki to jest moment ten 1989 rok? To jest moment odzyskiwania samostanowienia. Odzyskiwania suwerennego państwa, które znowu może się nazywać wolną Rzeczpospolitą. To jest z kolei III Rzeczpospolita. Chyba to jest moment, do którego nikt nie mógł być dobrze przygotowany. Jeżeli tutaj mówimy o tradycjach, to o jakich? Czy o tradycji II Rzeczpospolitej? Tego bardzo krótkiego okresu, gdzie demokracja parlamentarna, prawdziwa demokracja liberalna nie za bardzo mogła się dobrze wykształcić. Wówczas przynajmniej dwie konstytucje zostały uchwalone i funkcjonowały. Chociaż istniały pewne tradycje związane z tymi aktami, okres ich trwania był bardzo krótki. Naturalnie jest jeszcze tradycja przedrozbiorowa i porozbiorowa, jednak żadna z nich nie daje chyba dobrej odpowiedzi na pytanie: Co teraz? Jaki porządek społeczny, gospodarczy i polityczny Polacy chcą budować? Nie było szczególnie wiele czasu na tę refleksję, komunizm bowiem trwał długo. Wiele pokoleń urodziło się w PRL-u. W tym momencie niestety nastąpił taki proces imitacji. Imitowania i przenoszenia rozwiązań, które funkcjonowały już bardzo długo w krajach zachodnich, czyli przenoszenia tych instytucji liberalnych, liberalnej demokracji na grunt Polski. Przenoszenia instytucji wolnego rynku, wprowadzania jego instytucji w życie za pomocą zmiany konstytucji. Najpierw modyfikacji konstytucji a potem uchwalenia konstytucji. To jest proces, który dokonał się bardzo szybko. Nie było zbytnio czasu na przygotowanie kogokolwiek do funkcjonowania tej liberalnej demokracji. Ona po prostu została wprowadzona. Co się działo na poziomie idei, myślenia politycznego, edukacji politycznej? Po pierwsze powstało bardzo duże rozczarowanie na początku lat dziewięćdziesiątych XX wieku. Pojawiła się nostalgia, za poprzednim ustrojem. Badano to zjawisko w Polsce, w Czechach, w Słowacji i na Węgrzech. Okazało się, że na Węgrzech owa nostalgia była największa, ponieważ tam był ten „gulaszowy”, sympatyczniejszy komunizm. Jest taki bardzo trudny moment, gdy ta wolność gospodarcza przynosi bardzo duże rozczarowanie. Tak samo wolność polityczna przynosi ogromne rozczarowanie. To jest bardzo dziwny czas, ten początek lat dziewięćdziesiątych XX wieku. Chociażby ta pierwsza dekada albo nawet do 1999 roku, gdy jest tak duże rozczarowanie. Gdy nie wiadomo jakie siły polityczne w tym parlamencie mają zasiadać i co mamy z tą wolnością zrobić. Wydaje mi się, że chyba to było nieuchronne, to znaczy może nie tyle nieuchronne, ale wynikało z decyzji ówczesnych elit politycznych. Być może oczekiwania były trochę inne. Przypomnijmy sobie chociażby etos Solidarności, takie myślenie w kategoriach demokratycznej Rzeczpospolitej. Oczekiwania wielu środowisk były inne. Spodziewano się, że to będzie taki oddolny proces,



a nie proces takiej właśnie imitacji, w której obywatele tak naprawdę nie uczestniczą, gdzie nie są konsultowane ustawy, które zmieniają konstytucję albo zmiany w ustawie zasadniczej. One dokonały się bardzo szybko, niezależnie od tego, czy to się Polakom podobało czy też nie. Trudno dzisiaj się do tego odnieść i to ocenić. Natomiast ja bym powiedziała tylko tyle, że zarówno wolność gospodarcza oraz wolności obywatelskie były swego rodzaju wyzwaniem. Chyba do dzisiaj jakieś wyzwanie można zaobserwować. To wydaje się nieuchronne, dlatego że ta przepaść pomiędzy 1989 rokiem, a jakąś własną tradycją demokracji liberalnej była zbyt duża, żeby móc się na czymś oprzeć.

**Dr Paweł Kuciński:** Panie doktorze, bardzo prosimy o pana uwagi.

**Dr Maciej Zakrzewski:** Myślę, że na gruncie polskim to jest ważne, żeby pamiętać o rozróżnieniu na tradycje wolnościowe i tradycje anarchiczne. To jest ten element, który należy mieć zawsze w głowie. Wolność bardzo łatwo przechodzi w anarchię, może nie w anarchię zrewolucjonizowaną (terror), ale taką anarchię, która prowadzi do totalnego bezwładu. Jeśli chodzi o 1989 rok to przed Polską i polskim społeczeństwem stanął odwieczny problem z państwem. Nie tylko umiejętność wykształcenia pewnego szacunku dla państwa, ale także zrozumienia czym jest państwo i identyfikowania się z tym państwem. Nie z narodem, ale z państwem. Chyba my, Polacy, mamy w sumie teraz takie nastawienie, że państwo jest dobre, ale jeśli jest nasze. Ale co to znaczy nasze? Polskie? Ale co to znaczy, że polskie? Ono musi mieć odpowiednią treść, a te identyfikuje się w Polsce bardzo partypularnie według podziału prawica – lewica. A jak państwo nie spełnia tego naszego ideologicznego kryterium – to, już nie traktujemy je jako własne. Ktoś nam je ukradł albo ktoś się pod nie podszywa. W ogóle Polacy nie potrafią wypracować, co jest związane z pojęciem konstytucji, idei państwa jako czegoś, co jest ponad pewnymi podziałami. My państwo po prostu włączamy w nasze wewnętrzne podziały i dyskusje. W związku z tym jest ono słabe. To, co pani profesor powiedziała, nie mieliśmy wykształconych elit, nie wiedzieliśmy, czym jest wolność i liberalna demokracja. Wszystkiego Polacy uczyli się w sposób empiryczny. Przypomnę, jeśli mamy nawiązać do tradycji liberalnej, że do 1989 roku, to nad Wisłą jestem w stanie wskazać czterech, pięciu gospodarczych liberałów to znaczy Mirosława Dzielskiego, Stefana Kisielewskiego, Bronisława Łagowskiego, Piotra Wierzbickiego i Janusz Korwin-Mikke. Dzielski z Kisielewskim zmarli na samym progu III Rzeczpospolitej. Zauważalne było dość duże zachłyśnięcie się wzorcami Thatcherowskimi. Ten liberalizm Polacy wzięli z tej wersji atlantyckiej w momencie, gdy były dostępne również różne inne koncepcje. Przerobienie pewnych wzorców i dyskusji już było daleko posunięte. Polacy niejako trochę wzięli od tej wersji, z pewną nie tyle naiwnością, co z niejaką nieświadomością problemu i bagażu. Zgodzę się, że nie było wtedy mądrych ludzi i tego państwa się uczyliśmy. Ja bym nie definiował tych problemów po latach osiemdziesiątych XX wieku jako problemów z wolnością, ale problemów przede wszystkim z państwem. To jest największy problem! Mówię to z perspektywy odrobienia tej lekcji, którą zafundowali nam stańczycy. Gdzieś realne doświadczenie I Rzeczpospolitej jest widoczne, w tej mniej chwalebnej odsłonie.



**Dr Paweł Kuciński:** Dziękuję Państwu. Z naszej dyskusji wynikać może, że nasze relacje z Wielką Brytanią mogły być głębsze, bardziej przemyślane, jeśli chcielibyśmy i w przeszłości, i teraz myśleć, nie ograniczwszy się do tego, co nie było łatwe, a czasami wręcz niemożliwe, o bardziej oczywistych i bliższych modelach, koncepcjach czy – również przestrzennych – kierunkach. Nasz wzrok przez całą historię był skierowany w stronę innych horyzontów niż Zjednoczone Królestwo. Bardziej byliśmy między innymi z powodów historycznych takimi ideowymi braćmi francuszczyzny. Wielka Brytania dziś wyszła z Unii Europejskiej. Chciałbym w związku z terażniejszością i dynamiczną sytuacją polityczną zadać pytanie, właśnie w kontekście brexitu i tej wolty, której Europa przecież się nie spodziewała, o polskie problemy z Unią Europejską. Czy jesteśmy zapatrzeni w brexit jako ideę, możliwość, czy też podobny scenariusz jest niemożliwy w polskiej polityce?

**Prof. Dorota Pietrzyk-Reeves:** Trudno mi powiedzieć. Nie wiem, czy jakieś badania na ten temat zostały przeprowadzone. Czy Polaków inspiruje brexit do tego, żeby optować za wyjściem z Unii Europejskiej? Sądzę, że jeżeli nawet były, to większość powiedziałyby, że nie. Natomiast brexit sam w sobie jest takim ciekawym doświadczeniem z punktu widzenia tego, jak to zostało odebrane przez samych Brytyjczyków. Spotkałam się z bardzo różnym podejściem. Niektórzy byli przeciwni, a inni byli za wyjściem z Unii Europejskiej. Pamiętam bardzo dobitny głos Johna O’Sullivana, byłego doradcy Margaret Thatcher, na seminarium na temat polskiej i angielskiej tradycji wolności. Powiedział wprost o tym brexicie: „Oto Wielka Brytania znowu odzyskała wolność”. W kontekście polskim powiedzenie czegoś takiego byłoby bardzo dziwaczne, zważywszy, że Polska zupełnie inaczej przystępowała do Unii Europejskiej niż Wielka Brytania. Powody, dla których Polska wstąpiła do Unii Europejskiej też były zupełnie inne. Sądzę, że w tym sensie takie myślenie brexitowe w Polsce chyba nie ma miejsca. Również uwarunkowania z tym związane są nie do przeniesienia. Te brytyjskie okoliczności związane z brexitem nie mogą nas inspirować, bo, wydaje mi się, że sytuacja Polski jest zupełnie inna.

**Dr Paweł Kuciński:** Dziękuję. Panie doktorze...

**Dr Maciej Zakrzewski:** Brexit jest rezultatem takiej, a nie innej formuły integracji europejskiej. Miałem nadzieję, że ten krok zmusi do jakiejś wewnątrz europejskiej dyskusji o tym, jak ta integracja ma wyglądać. Jakie były przyczyny tego posunięcia. Jednak nie tylko nie ma dyskusji, nikt nie wie w którym kierunku Europa pójdzie dalej. Jeśli chodzi o tradycje, bo od tego pan wyszedł: dlaczego nie patrzyliśmy na Wielką Brytanię? Odpowiedź jest taka, że Polaków stosunkowo niewiele z nią łączyło. Brytyjczycy też w stronę Polski specjalnie nie spoglądali. Cofnijmy się o kilkaset lat. W początku XVIII wieku, Anglicy toczyli wojnę o sukcesję hiszpańską. W Europie trwała wielka wojna północna. Tylko za pośrednictwem Szwecji dochodziło do takich momentów, ale w obydwu przypadkach toczyła się kluczowa dla dalszej historii rozgrywka. Wielka Brytania przez ostatnie stulecia ustosunkowywała się do sprawy polskiej wedle własnego interesu. I tu winniśmy postawić kropkę. Londyn zawsze miał swoje interesy, a Polska swoje. Czasami były one zbieżne, albo nam się wydawało, że takie właśnie były. Nigdy jednak nie były tożsame. Sformułowanie Stanisława Mackiewicza, w stosunku



do Anglii, że jest ona naszym sojusznikiem egzotycznym, nie było gołosłowne. W 1945 roku, w Jałcie, zobaczyliśmy ten element. Brytyjczycy trochę przekornie, empirycznie, próbowali nauczyć Polaków na czym polega twarda polityka. Jeśli chodzi o kwestie brexitu to trzeba mieć dwa elementy na względzie. Pierwszy to położenie Polski, całkowicie inne niż Wielkiej Brytanii. Inny zespół zagrożeń, szans, kwestia relacji ekonomicznych itd. Drugim elementem jest to, że prawdopodobnie wchodzimy w fazę zglobalizowanej geopolityki. Na świecie będą decydować trzy podmioty i prawdopodobnie dla państw narodowych w tej formule tam nie będzie miejsca. O tym nie można zapominać, bo frazes wolnościowy jest piękny, ale za frazes wolnościowy trzeba czasami umierać. Jednak polityka jest sztuką życia, a nie umiarnia, póki co róbmy tak, żebyśmy mogli żyć i układać jakoś ten świat. Uczmy się doświadczeń przeszłości. Wolność można łatwo odzyskać, ale bardzo szybko można ją również stracić.

**Dr Paweł Kuciński:** Dziękuję za te refleksje. Wybrzmiała ona tak dziewiętnastowiecznie, to znaczy powiedział Pan o ideach, ale tak naprawdę mówił Pan z takiego kontekstu negatywnego. Miejmy nadzieję, że polityka jest kwestią, sprawą życia. Wydaje mi się, że nasza dyskusja była dyskusją historyczną. Jednak widać po niej, jak nikłe mamy relacje z naszym partnerem, choćby ekonomicznym, który obecnie jest domem dla wielu naszych rodaków. Wielka Brytania była przystanią dla żołnierzy po II wojnie światowej, po 1945 roku stała się zaś drugą Francją. Wydaje mi się, że jeśli mielibyśmy się czegoś uczyć, to tego spoglądania przez kanał La Manche. Ten konserwyzm, o którym mówiliśmy i idee wolnościowe, – jedno i drugie – są w angielskiej polityce. W blichtrze władzy, a nie tylko w blichtrze konstytucji. I tam rzeczywiście idee republikańskie budują ów ważny spokój tradycji i przekonanie o tym, że przeszłość była dobra (a nie wielka), zaś przyszłość będzie lepsza (i dostatnia). Dlatego Anglicy pragmatycznie, a nie tylko populistycznie zdecydowali się na brexit. Tutaj nie było aż tak tragicznego wyboru jak myśmy to sobie w Europie, albo szczególnie w Polsce, wyobrażali. Wydaje mi się, że moglibyśmy czasami spojrzeć za kanał La Manche, przeskoczyć wzrokiem Francję i spojrzeć bezpośrednio na monarchię brytyjską, która z jednej strony ma pewne kłopoty, a z drugiej strony ów liberalizm i konserwyzm trwają tam połączone ideami. Ideałami, które z jednej strony sprzyjają i bazują na tradycji, a z drugiej na zupełnie nowoczesnej i praktycznej demokracji, umiejacej odnaleźć się w ponowoczesnym i zglobalizowanym świecie. Myślę, że Wielkiej Brytanii nie zagraża Europa bez narodów. Oni mają tyle własnej narodowości w swojej historii i aktach takich, jak Wielka Kara Swobód, że globalizacja oraz utrata tożsamości im – Brytyjczykom – nie zagraża. Wielka Brytania, nieco pomijana, w kontekście polskiej polityki historycznej i współczesnej, jest niejako ostoją konserwyzmu praktycznego i symbolicznego, z punktu widzenia którego pielęgnuje wolności obywatelskie i demokrację jako jedyną istniejącą możliwość. Zjednoczone Królestwo jest też państwem, które potrafi zdobyć się na takie kroki jak brexit, ze względu na swoje własne dobro i swoją nieglobalną demokrację, która lśni w blasku Korony. To, podejrzewam, daleki odbłask relacji władzy i obywateli zapoczątkowanej przez Wielką Kartę Swobód. Dziękuję Państwu za dyskusję.

Debata pt. „Warszawa – Londyn: relacje w XX i XXI w.”  
odbyła się 22 lipca 2021 roku.

## RELACJE W XX I XXI W.

W dyskusji udział wzięli:

**prof. Dariusz Jeziorny** (Uniwersytet Łódzki)  
oraz **dr Przemysław Biskup** (Polski Instytut Spraw Międzynarodowych).

Rozmowę poprowadził

**Tomasz Korban** (Uniwersytet Pedagogiczny im. Komisji Edukacji Narodowej w Krakowie).



**Tomasz Korban:** Naszą dzisiejszą dyskusję podzieliłem na cztery części. Przyjąłem Najbardziej naturalny podział – podział chronologiczny. Część pierwsza od 1918 roku do wybuchu II wojny światowej. Następna to lata 1939–1945. Część trzecia dotyczy okresu Polski Ludowej, zaś ostatnia czasów po 1989 roku. Zaczniemy od końca I wojny światowej, gdy Polska zyskała szansę na odzyskanie niepodległości. Jeżeli chodzi o relacje polsko-brytyjskie, to można powiedzieć, że zaliczyły one pewnego rodzaju falstart. Brytyjczycy niechętnie patrzyli na odradzającą się Rzeczpospolitą. Nawet ówczesny premier David Lloyd George powiedział znamienne słowa: „Przez cały ciąg swojej historii, nie zdołał on, naród polski wykazać uzdolnienia do utrzymania stałej samodzielności”. Wobec tego mam pierwsze pytanie: Z czego wynikało lekceważenie Polski? Czy była to ignorancja, niewiedza, myślenie pewnymi starymi kategoriami, które nie przystawały do ówczesnej rzeczywistości? Czy wynikało to jeszcze z innych czynników?

**Prof. Dariusz Jeziorny:** Wydaje mi się, że cały ten problem stosunków polsko-brytyjskich w tym pierwszym etapie, dotyczącym zakończenia I wojny światowej, trzeba naświetlić pod kontem tego, jakie realne interesy mieli Brytyjczycy oraz jak myśleli o stosunkach międzynarodowych globalnie, było to bowiem globalne mocarstwo. Myśleli w sposób, w jaki myśleli przez cały XIX wiek i to jakoś działało. Najlepiej rozmawiać z kilkoma dużymi partnerami, przynajmniej na arenie europejskiej, ale szerzej również. Z tym, że Europa była wtedy centrum politycznego świata. W momencie, gdy pojawia się sprawa polska, a pojawia się już na początku konfliktu, bo w 1914 roku, mamy do czynienia niejako ze spychaniem kwestii polskiej na Rosję. To był główny sojusznik na wschodzie przeciwko państwom centralnym. Brytyjczycy w tym czasie wiele razy podkreślali, że sprawa polska to wewnętrzna sprawa Rosji, nie chcąc zrażać sobie głównego sojusznika. Wiedzieli, że jedyne czego się boją Niemcy w czasie tej wojny i nie tylko, to walka na dwa fronty. Było to przekleństwem Niemiec. Z tego też powodu sprawa polskiej w ogóle nie chcieli poruszać. Jednak doszło do rewolucji bolszewickiej, a jeszcze później do traktatów pokojowych w Brześciu nad Bugiem. To już nie pozwoliło sprawie polskiej marginalizować. Tym bardziej, że od 1917 roku działał w Londynie Roman Dmowski ze swoim Komitetem Narodowym Polskim i zabiegał tam o jej umiędzynarodowienie. Po akcie 5 listopada 1916 roku nie można już było nie zauważać sprawy polskiej, do czego odniósł się Lloyd George w swoim wystąpieniu w siedzibie związków zawodowych, 5 stycznia 1918 roku. Zapowiedział tam, że Brytyjczycy będą popierać powstanie Polski z dostępem do morza. Ta data też nie jest przypadkowa, ponieważ wiemy, że 8 stycznia tegoż roku prezydent Wilson wygłosił swoje orędzie z czternastoma punktami, w którym punkt trzynasty mówił o powstaniu niepodległej Polski z dostępem do morza. Lloyd George chciał go prestiżowo wyprzedzić. Nie oznaczało to jednak, że premier żywił do Polski jakiś szczególny zapach,



ponieważ rozpad dużych imperiów, później rozpad Austro-Węgier, oznaczał przebudowanie sceny politycznej w Europie. Wtedy już nie można było grać z kilkoma dużymi partnerami: Rosja, Niemcy, Austro-Węgry, Włochy, Francja. To oznaczało większe kłopoty. Gdy rozpad dużych mocarstw okazał się przypieczętowany przez traktaty pokojowe, które zawarto po I wojnie światowej, przede wszystkim traktat wersalski. Wtedy się okazało, że Brytyjczycy, mając takie patrzenie globalne, już zupełnie stracili serce do Europy Środkowo-Wschodniej. Ich interesowała droga do Indii, bezpieczeństwo Imperium Brytyjskiego, rozsianego po całym świecie, Daleki Wschód. W Europie interesowało ich to, co jest w relacjach francusko-niemieckich, aby tutaj panowała względna równowaga, ponieważ względna równowaga oznacza pokój. Wiadomo, że silniejszy atakuje słabszego, a jak się mocarstwa równoważą, to do takiego ataku tak szybko nie dojdzie. Tak sobie myśleli Brytyjczycy, takie były ich pomysły w tym czasie. Europa Środkowo-Wschodnia zdecydowanie nie leżała w sferze wielkich zainteresowań Londynu. Jedyne, co ich interesowało to doprowadzenie do szybkiego zawarcia pokoju, na tym wówczas niepewnym terenie, bo przecież w 1918 roku i jeszcze w 1919 roku, nie było wiadomo, jaki będzie przebieg granic. To był jeden wielki bałagan i nie chodzi tu tylko o sprawę Polski, ale także o całą Europę Środkową po rozpadzie Austro-Węgier.

**Dr Przemysław Biskup:** Zgadając się z tym, co mówił pan profesor wydaje mi się, że trzeba wspomnieć o dwóch podstawowych rzeczach, o których jeszcze nie było mowy to znaczy o podstawowych zasadach prowadzenia polityki zagranicznej Wielkiej Brytanii z tamtego punktu widzenia, czyli dwóch doktrynach. Pierwszej doktrynie, równowagi siły i drugiej, powiązanej z nią doktrynie wspaniałej izolacji. Pierwsza jest ważniejsza, bo stanowiła podstawę całego sposobu myślenia. Podejście, o którym wspominał pan profesor, o prowadzeniu polityki w klubie paru mocarstw, wynikało z tego, że zasadniczym celem polityki brytyjskiej było utrzymanie równowagi siły w Europie. Gdy żadne mocarstwo nie było w stanie zdominować kontynentu, to pozostawiała możliwość swobodnego angażowania się Wielkiej Brytanii poza Europą, której efektem w XIX wieku stało się największe imperium kolonialne w historii świata. Dopełnieniem tej doktryny była doktryna wspaniałej izolacji, która mówiła o tym, że Wielka Brytania, w miarę możliwości, nie powinna się bezpośrednio angażować w konflikty europejskie. Poza kontynentem powinna natomiast realizować wyłącznie swoje interesy. Natomiast z drugiej strony warunkiem tej izolacji było to, że w Europie nie mógł wyrosnąć żaden dominujący ośrodek siły. Z obu tych koncepcji wynikała zasada zmiennych sojuszy. Prowadzenie takiej polityki w układzie bardzo wielu partnerów jest możliwe, jednak jest dużo bardziej angażujące i wymaga dużo głębszego rozpoznania. Na tym polegał jeden z podstawowych problemów w powstaniu Polski. Wskutek jej wskrzeszenia, przynajmniej częściowy rozpad dotychczasowych imperiów środkowoeuropejskich, właściwie wymagał całej przebudowy struktury mentalnej i intelektualnej, logistycznej, dyplomatycznej, którą dysponowali Brytyjczycy. Odwołując się do słynnego stwierdzenia Wilhelma II Hohenzollerna, iż „pancerniki nie mają kół”, Brytyjczycy mieli też świadomość, że ich projekcja siły i wpływów w tym regionie może się dokonywać w basenie Morza Bałtyckiego, z czym zresztą czym mieliśmy do czynienia i efektem tej projekcji sił była między innymi niepodległość państw bałtyckich, ale nie sięga ona przesadnie głęboko w ląd. Tutaj raczej spodziewano się, że te państwa będą się orientować, w ten czy inny sposób, na Niemcy albo na Francję. Docelowo na Niemcy, to jest przypadek Ukrainy, na przykład w ramach porządku brzeskiego.



To ostatecznie grozi zachwianiem równowagi siły na rzecz któregoś z tych państw, tej równowagi, która była ostatecznym celem równowagi brytyjskiej. Po spektakularnej zapaści Niemiec na jesieni 1918 roku, po rewolucji. Wydanie floty niemieckiej na internowanie, a później samo jej zniszczenie, zatopienie na wodach brytyjskich, spowodowało w naturalny sposób, że Wielka Brytania zaczęła nie tylko dostrzegać coraz bardziej ścisłe powiązania między Polską a Francją. Zaczęła te powiązania traktować w kategoriach równowagi siły. Jednym z takich klasycznych instrumentów realizacji tej polityki była zmiana sojuszy. Po pokonaniu państwa silniejszego, Wielka Brytania, często po jakimś czasie, wiązała się z tym państwem sojuszem przeciwko temu państwu, które wygrało z tym państwem silniejszym. To dosyć dobrze widzieliśmy podczas negocjacji związanych z konferencją wersalską. Od pewnego momentu pozycje brytyjskie systematycznie wspierały pozycje niemieckie i dążyły do nieprzesadnego wzmocnienia sojuszników francuskich. Na tym etapie za takiego sojusznika można uznać Polskę. Nawiązując do pierwotnego pytania: Czy Brytyjczycy Polaków doceniali czy nie doceniali? Musimy zdać sobie sprawę, że historycznie, tak naprawdę, Polska i Wielka Brytania były krajami dosyć od siebie nawzajem izolowanymi. Możemy przywoływać bardzo długą historię stosunków dyplomatycznych i różnych misji dyplomatycznych, ale warto o tym pamiętać w pewnym kontekście. To była historia bardzo elitarna. Natomiast Polska i Wielka Brytania to nie były kraje, które miały przesadnie rozbudowane kontakty na takim czysto ludzkim, gospodarczym, handlowym poziomie albo nawet tradycji historycznej. Na pewno nie można tego porównać do relacji polsko-niemieckich albo polsko-francuskich. W związku z tym pewne luki świadomościowe po stronie decydentów brytyjskich były naturalne. Ostatni czynnik, to czynnik doraźny z tamtego czasu, to znaczy niepewność co do ostatecznych losów Rosji. W Rosji toczyła się wojna domowa, nie było jasne od początku, kto ją wygra. Brytyjczycy początkowo zainwestowali dużo kapitału w umacnianie pozycji białych. Nawet skierowali siły wojskowe w różne części Imperium Rosyjskiego. Z tej perspektywy ciągle traktowali sprawę polską jako sprawę wewnętrzną Rosji. Po zarysowanym już wewnątrz zwycięstwie bolszewików również dosyć szybko próbowali wciągnąć ich do takiej klasycznej gry o równowagę sił. To bardzo dobrze zostało opisane w monografii na temat pierwszego appeasementu działań dyplomatycznych, brytyjskich, w okresie wojny polsko-sowieckiej autorstwa profesora Andrzeja Nowaka.

**Tomasz Korban:** Doktor Biskup wspominał o sytuacji w trakcie konferencji w Wersalu. To jeszcze można tutaj zrozumieć, jeżeli chodzi o te stosunki – Wielka Brytania zauważyła, że Polska jest sojusznikiem Francji, a nawet klientem Francji. Nie chcemy zbyt wzmocnić Francji po I wojnie światowej. Najczęściej ofiarą takiego kompromisu brytyjsko-francuskiego padała Polska, jeżeli chodzi o te propozycje, dotyczące na przykład granicy zachodniej – niezgoda na wcielenie Gdańska lub Górnego Śląska. Natomiast przychodzi wojna polsko-bolszewicka. Mamy sytuację, w której Brytyjczycy, w trakcie tego najbardziej gorącego momentu wojny, gdy Polska została w lipcu przyparta do muru, zaproponowali linię rozejmową. Przeszła ona do historii pod nazwą linii Curzona. Już po bitwie warszawskiej, z jednej strony mamy słowa lorda Edgara Vincenca d'Abernona, dotyczące znaczenia bitwy warszawskiej. Jednak z drugiej strony jeszcze w sierpniu Lloyd George po raz kolejny nawoływał do zawarcia rozejmu z bolszewikami. Czy Brytyjczycy nie dostrzegali zagrożenia sowieckiego? Czy było to spowodowane jakimiś innymi czynnikami?



**Prof. Dariusz Jeziorny:** Niewątpliwie trzeba tutaj powiedzieć jasno, że Brytyjczycy nie byli ślepi. Wiedzieli kim są bolszewicy. Zresztą sami doznali tam prestiżowej porażki, gdy chodzi o front rosyjski. Wplątali się w pomoc, dla niektórych oddziałów białych. Chociaż była to raczej pomoc materiałowa, bo oni wylądowali w portach i stamtąd posyłali pieniądze i ewentualnie uzbrojenie. To nie było tak, że żołnierze brytyjscy walczyli na polach bitewnych Rosji. Doświadczyli, czym może być spryt bolszewików i jak bardzo ucierpiało imię Wielkiej Brytanii ze względu na umiejętne rozgrywanie przez bolszewików pewnych rzeczy. Gdy chodzi o ten trzeci czynnik, czyli Polskę w tym trójkącie, to mamy niewątpliwie taką sytuację, że interesy Polski i Wielkiej Brytanii, jeśli chodzi o wschód Europy, były niekompatybilne. Wykluczały się, mijały. Na jesieni 1919 roku jeszcze zanim doszło do tej ofensywy, o której pan moderator zechciał wspomnieć, Brytyjczycy zachęcają z całych sił Polaków, aby szli na wschód, bo Anton Denikin z Ukrainy szedł na północ, w kierunku Moskwy. Biorąc pod uwagę sytuację na Dalekim Wschodzie wydawało się, że bolszewicy tej nawały nie przetrwają. Co zrobił Józef Piłsudski? Wstrzymał walki, wstrzymał front, ponieważ w swoich przewidywaniach strategicznych uznał, że lepiej, aby w Rosji był bałagan, niż biała Rosja, bo wiadomo było, że Brytyjczycy i Francuzi będą woleli się z tamtymi dogadać. To zakończyło się zwycięstwem bolszewików w ostatecznym rezultacie. Natomiast, gdy chodzi o sprawę 1920 roku, to wiosną tego roku, w Wielkiej Brytanii skończyło się coś, co się nazywa wielkim boorem gospodarczym. Brytyjczycy stanowili źródło surowców, szczególnie węgla, ale też innych, dla całej reszty Europy. Inni kupowali i byli w stanie płacić wysokie pieniądze, na przykład Włosi, za węgiel, bo praktycznie go nie mieli. Z tego punktu widzenia gospodarka brytyjska szybko rosła przez 1919 rok, aż do wiosny 1920 roku. Wtedy zaczęła się kończyć. Brytyjczycy chcieli jak najszybciej ustabilizować sytuację w Rosji, doprowadzić tam do rozwiązań pokojowych, żeby nadwyżki swoich towarów móc właśnie tam sprzedawać. Właśnie wtedy Piłsudski rozpoczął ofensywę na Kijów. Znowu mamy to wyminięcie, gdy chodzi o interesy obydwu krajów. Gdy później doszło do sytuacji podbramkowej i odbyła się konferencja w Spa, to bynajmniej Brytyjczykom nie chodziło o to, żeby bolszewicy tę wojnę wygrali. Próbowali być mediatorem. Tyle, że sowieckie wojska nie zatrzymały się na linii Curzona, którą proponowała Wielka Brytania. Frazeologia bolszewików była arcy-pokojowa. Lord George Curzon wysyłał piękne noty, ale Armia Czerwona szła do przodu. Celem było połączenie się z rewolucyjnymi Niemcami, z ojczyzną Karola Marksa i Fryderyka Engelsa. Włodzimierz Iljicz Lenin i reszta komisarzy ludowych uważali, że jak już będą mieć Niemcy, to reszta Europy powinna wpaść w ręce ruchu komunistycznego. Tego nie chcieli Brytyjczycy. Natomiast oni nie mieli kogo wysłać do walki, żeby tam tę nawałę zatrzymać. Od przynajmniej dwóch wieków siłą brytyjskiego oręża była flota, a na Wisłę okręty nie wpłyną. Tutaj się okazało, że to coś, co pan profesor Nowak nazwał „zdradą” Wielkiej Brytanii, było „hochsztaplerką” dyplomacji brytyjskiej. Rosjanie nie zatrzymali się na linii Curzona, poszli dalej. Okazało się, że Brytyjczycy ośmieszyli się ze swoją inicjatywą pokojową, ponieważ zmusili Polaków do zaakceptowania bardzo niekorzystnych dla ich kraju rozwiązań granicznych, na które rząd Władysława Grabskiego wyraził zgodę. Potem okazało się, że żadnej pomocy z tego tytułu nie było i ostatecznie Polacy samodzielnie odparli bolszewicką nawałę. Dalszy ciąg historii znamy.



**Dr Przemysław Biskup:** Wydaje mi się, że jeszcze może warto wspomnieć o wewnętrznej sytuacji Wielkiej Brytanii w tamtym czasie, która jeszcze mocniej wiązała swobodę manewrów ówczesnych władz brytyjskich. Pamiętajmy, że to jest okres, w którym mamy do czynienia z ogromnym wzburzeniem społecznym. Na kwestię bolszewicką patrzono też w sposób taki, że jeśli ona będzie rozegrana niedostatecznie umiejętnie, to może zainicjować jakiegoś rodzaju rewolucję w Wielkiej Brytanii. To jest okres, w którym zaczyna się wojna o niepodległość Irlandii. Niemniej z ówczesnego punktu widzenia to jest wojna domowa w Wielkiej Brytanii, Irlandia bowiem uchodziła za integralną część metropolii brytyjskiej. Co więcej, Lenin i bolszewicy nie udzielali poparcia realnego, a jedynie moralnego, czy politycznego, ale w tym wypadku też nie było to obojętne stronie irlandzkiej. Mnóstwo osób pochodzenia irlandzkiego albo urodzonych na Zielonej Wyspie mieszkało w Wielkiej Brytanii w ośrodkach przemysłowych Liverpoolu, Glasgow, Manchesteru i wielu innych miast. Gdyby istniało poczucie, że może dojść do jakiegokolwiek rodzaju rewolty społecznej, to bolszewicy mogliby je wykorzystać do totalnego rozregulowania polityki wewnętrznej Wielkiej Brytanii. To powodowało, że nie tylko rząd, ale również ówczesna elita brytyjska mieli naturalną tendencję raczej do dogadania się z Sowietami niż konfrontacji. Zwłaszcza, że bolszewicy stanowili zagrożenie dla brytyjskiej polityki wewnętrznej, ale nie stanowili zagrożenia zewnętrznego, tak jak dla Polski. Nie było absolutnie żadnej szansy na to, że armia bolszewicka przemaszeruje aż pod kanał La Manche, a następnie przeprawi się gdzieś w okolice Dover. Natomiast, jak najbardziej, była realna perspektywa, że to będzie jakiegoś rodzaju ruch wewnętrzny, rewolucyjny.

Warto też wrócić do równowagi siły. Tak naprawdę, z punktu widzenia tej zasady, rozumianej po dziewiętnastowiecznym, bez znaczenia było kto rządzi w Rosji, czy bolszewicy, czy car. Tak długo, jak funkcjonowała tam efektywna władza, z którą, jak się wydawało władzom brytyjskim, można było się jakoś pragmatycznie dogadywać, można było z nimi handlować i tworzyć pewną architekturę równowagi siły, było to rozwiązanie do zaakceptowania i zapamiętania. Niestety, z tej perspektywy bolszewicy mieli bardzo dużą przewagę. Nie tylko w oczach Brytyjczyków, ale w ogóle szeroko rozumianych elit zachodnich. Rosja była jednostką geopolityczną, o której wszyscy ówczesi rządzący opanowali pewną wiedzę, nawet na lekcjach geografii w szkole podstawowej, a Polska taką jednostką nie była. Wiedza na ten temat uchodziła za wąską i specjalistyczną, zwłaszcza w Wielkiej Brytanii, Stanach Zjednoczonych i we Włoszech. W Niemczech i we Francji z powodów historycznych było trochę inaczej.

**Tomasz Korban:** Przejdźmy do lat trzydziestych 30. XX wieku. W tym okresie pojawiły się różnego rodzaju inicjatywy rozbrojeniowe. Wielka Brytania mniej lub bardziej je popierała. Czy stanowisko Polski w stosunku do tych różnych inicjatyw mogło spowodować, że Londyn zacznie uważać Polskę za atrakcyjnego partnera?

**Prof. Dariusz Jeziorny:** Jeśli chodzi o inicjatywy rozbrojeniowe to niewątpliwie Wielka Brytania nie tyle, że je popierała, ale je inicjowała. To jest myślenie ówczesne Londynu i bardzo proste: Jak się rozbroimy, to nie będziemy mieli się czym zabijać, czyli nie będzie generalnie wojen. Sprawa się uspokoi i będziemy żyli w pokoju. To oznacza, że będziemy mogli handlować, jak to było za dobrych czasów w XIX wieku. To jest pobożno-życzeniowe myślenie Brytyjczyków. Jednakże inicjatywy polskie były przeciwne do brytyjskich. Gdy chodzi o koncepcję



rozbrojenia moralnego, to mamy do czynienia z rozbrojeniem mentalnym, ale nie faktycznym. Polska zawsze akcentowała, że leży w bardzo nieprzyjemnym miejscu, w którym jej sąsiadem jest Rosja bolszewicka, a już wtedy Związek Sowiecki, bo rokowania rozbrojeniowe w Europie ruszyły w 1926 roku. Polacy więc podkreślali, że muszą mieć możliwość posiadania proporcjonalnie większej armii niż inni, żeby móc się bronić przed ewentualną inwazją bolszewików, jakiej zresztą zdążyli już doświadczyć w 1920 roku. Z tego powodu Brytyjczycy byli bardzo niezadowoleni, ich bowiem interesowało, żeby szybko dojść do porozumienia rozbrojeniowego, a Polacy chcieli się moralnie rozbrajać, czyli faktycznie się nie rozbrajać. Trzeba też pamiętać o tym, dlaczego Brytyjczycy taką politykę prowadzili. Idea była jasna. To już nie jest tylko kwestia lat trzydziestych XX wieku, gdzie będzie mowa o słynnym appeasementie, tylko jest to mowa o całej polityce brytyjskiej, poczynając od zawarcia traktatów pokojowych. Brytyjczycy nie chcą mieć żadnej wojny, a już na pewno nie wojny z ich udziałem. Każda kolejna wojna może się przysłużyć do rozpadu imperium brytyjskiego. Pan doktor Biskup, słusznie poruszył sprawę Irlandii, ale przecież w tym samym czasie podniósł się Egipt, którego nie można było spacyfikować. W tym samym czasie poruszyły się również Indie, które jeszcze na tym etapie udało się opanować. Brytyjczycy bali się, że każdy kolejny konflikt osłabi więzi wewnątrz imperium oraz byli świadomi tego, że trzeba je szybko przebudowywać. Nie mogło to być jednak oparte wyłącznie na sile, ale na tyle atrakcyjne dla tych części składowych państwa, żeby można było je utrzymać ze sobą razem. Z tego powodu nie chcieli zbrojeń.

W przypadku Polski jest dwóch nieprzyjemnych sąsiadów, którzy są do niej agresywnie nastawieni, czyli Rosja Sowiecka, a później Związek Sowiecki i Niemcy, niekoniecznie te hitlerowskie. Frazeologia rewizjonistyczna wobec Polski w czasach Republiki Weimarskiej była ostrzejsza niż w pierwszych latach rządów Adolfa Hitlera. Było jasne, że trzeba było szukać sojuszników i raczej się zbroić. Dopóki Niemcy są słabe, bo są rozbrojone na podstawie traktatu wersalskiego, to Polska ma szansę się ostać. Właśnie stąd sojusze z Francją i Rumunią. Później, po zawarciu traktatów lokarneńskich w 1925 roku, Polacy proponują coś, co można byłoby nazwać „Locarno wschodnie”. Oznacza to powielenie sytuacji, z którą mamy do czynienia na zachodzie Europy, aby chociaż Wielka Brytania zagwarantowała granicę polsko-niemiecką. Oczywiście można by się spodziewać, że Wielka Brytania o niczym innym nie marzy niż gwarantować Polsce granice, przecież to by oznaczało otwarcie się na kolejny front walki, w który by się musiała zaangażować. Odmowa jest oczywista.

**Dr Przemysław Biskup:** Istnieje pewna doza naiwności w myśleniu części brytyjskich polityków w latach dwudziestych 20. XX wieku. Jednak lepiej jest myśleć o tym, jak o szczególnym rodzaju realizmu brytyjskiego. On napędzał stanowisko brytyjskie w tamtym czasie. Ten realizm zakładał, że po I wojnie światowej wobec niestabilnego porządku europejskiego, ale również w pewnym zakresie światowego, jest duże ryzyko wystąpienia kolejnej fali wyścigu zbrojeń. Dla Wielkiej Brytanii był on na dwa lub trzy sposoby bardzo niekorzystny. Po pierwsze, istniało bardzo świeże wspomnienie tego rodzaju rywalizacji z początku XX wieku, które z punktu widzenia Londynu doprowadziło niejako *ex post* do negatywnej oceny zaangażowania w Wielką Wojnę. Po drugie było to bardzo kosztowne. By móc ponosić takie koszty trzeba mieć odpowiednio bogate zasoby finansowe. Tutaj dochodzimy do sedna problemu. Wielka Brytania kompletnie i radykalnie zmieniła swoje miejsce w układzie światowym



i gospodarczym w ciągu I wojny światowej. W 1914 roku była największym wierzycielem świata, a w 1918 roku największym dłużnikiem. Funkcjonowanie ententy europejskiej od strony finansowej w czasie wielkiej wojny polegało na tym, że Wielka Brytania była głównym kredytorem państw ententy. Dostarczała im zasobów do prowadzenia wojny oraz musiała pokrywać własne wydatki na armię. W 1916 roku rezerwy brytyjskie się wyczerpały, przez co Londyn, pozostając głównym wierzycielem Francji, Rosji, Serbii, czy Rumunii zaczął pożyczać albo upływniać własne zasoby. Zadłużał się też u Stanów Zjednoczonych. To oznaczało, że Brytyjczycy finansowo niezbyt mogli sobie pozwolić na kolejny wyścig zbrojeń. Z brytyjskiego punktu widzenia jednym z najbardziej znanych, pomyślnych epizodów z tym związanych, była próba rozmontowania rozpoczynającego się wyścigu zbrojeń morskich poprzez system traktatu waszyngtońskiego.

Jeżeli jeszcze chodzi o zderzenie perspektywy polskiej i brytyjskiej na tym polu, warto pamiętać o różnych potencjałach gospodarczych. Nie tylko o ich rozmiarze, ale i o strukturze. Rzeczpospolita w tamtym czasie, pomimo ograniczonego potencjału produkcyjnego, musiała utrzymywać duże siły zbrojne, przy czym nie była w stanie się szybko uzbroić. Wielka Brytania promowała rozbrojenie, dlatego, że była jedną z dwóch, trzech największych potęg gospodarczych ówczesnego świata. W najistotniejszym dla siebie zakresie to znaczy przemyśle stoczniowym, była potęgą „numer jeden” i była w stanie szybko się zbroić. Innymi słowy, Brytyjczycy chcieli rozbrojenia, ponieważ wiedzieli, że jeśli nadeszłaby potrzeba, to będą w stanie szybko wystawić, przynajmniej pod tym względem, duże i sprawne siły zbrojne. Polska dokładnie działała przez odwrotne założenie i przesłanki. To, mniej więcej do końca okresu międzywojennego, się nie zmieniło, czego dowodem jest bardzo szybkie przestawienie się przemysłu brytyjskiego na pełną organizację wojenną, zaledwie w ciągu trzech, czterech lat, między 1936 rokiem a 1940 rokiem. Czego wyrazem było bardzo wczesne, też na początku lat dwudziestych XX wieku, przyjęcie przez Brytyjczyków, tak zwanej reguły dziesięciu lat na dziesięć lat, to znaczy założenie, że w ciągu następnej dekady nie wybuchnie żadna poważna wojna w Europie i w związku z tym nie trzeba łożyć odpowiednio dużych środków na zbrojenia. To założenie zostało zrewidowane mniej więcej dopiero w połowie lat trzydziestych 30. XX wieku.

**Tomasz Korban:** Przejdźmy do 1939 roku. Doszło wówczas do paradoksalnej sytuacji, dlatego że to Wielka Brytania, czyli kraj, który w odróżnieniu od Francji nie był uważany za bliskiego sojusznika Rzeczypospolitej, zawarł układ z 25 sierpnia 1939 roku, który opóźnił wybuch II wojny światowej. Adolf Hitler odłożył bowiem moment ataku na Polskę. Ponadto 3 września 1939 r. Londyn wypowiedział wojnę III Rzeszy, aczkolwiek nie wiązało się to z konkretnymi działaniami militarnymi. Wobec tego mam pytanie: Czy Brytyjczycy cynicznie wykorzystali Polaków, mając świadomość, że Rzeczypospolitej nie da się już obronić, a jedyne, co jest możliwe do zrobienia, to opóźnienie włączenia się do wojny Wielkiej Brytanii, która nie była gotowa do podjęcia działań zbrojnych?





**Prof. Dariusz Jeziorny:** Poświęcę chwilę, aby obronić swoją tezę, że myślenie Brytyjczyków było pobożno-życzeniowe, gdy chodzi o rozbrojenie. Przyjmując całą argumentację, pana doktora Biskupa, która jest jak najbardziej słuszna, to gdy wejdziemy w szczegóły pomysłów rozbrojeniowych Wielkiej Brytanii, to otrzymamy jedno ciekawe pytanie: Co z kontrolą zbrojeń? Bez kontroli nie ma mowy o skutecznym rozbrojeniu. Jeżeli mamy wierzyć innym, że oni mają taki stan uzbrojenia, jaki deklarują, to jest to naiwność, ale Brytyjczycy pod tym względem nie byli naiwni. Oni wiedzieli, że poszczególne kraje mogą kłamać. Chodziło tylko o to, że jakbyśmy wpisali do konwencji rozbrojeniowej kontrolę zbrojeń, to byśmy musieli ostatecznie siłą egzekwować konieczność podporządkowania się temu, co ktoś zeznał na piśmie w raporcie dla Ligi Narodów. Tego Brytyjczycy nie chcieli, to by była wojna. Jest to pobożno-życzeniowe myślenie albo pod znakiem zapytania stawiamy tezę, że byli gorliwymi i szczerymi zwolennikami rozbrojenia.

Przechodząc do 1939 roku, to teza o cynicznym wykorzystaniu Polski jest nie do obalenia. Nie ze względu na scenariusz, o którym pan prowadzący wspominał. Musimy się cofnąć do kwietnia 1939 roku. Brytyjczycy 31 marca 1939 roku ustami swojego premiera ogłaszają gwarancje dla niepodległości Polski w Izbie Gmin. Od razu trzeba tutaj zaznaczyć, że dla niepodległości, a nie dla granic. To dwie różne sprawy z punktu widzenia Londynu. Gdyby ktoś siłą chciał pozbawić Polaków niepodległości, a oni nie broniliby się przed tym, to Brytyjczycy przysliby im z pomocą. Jednakże później doszło do wizyty Józefa Becka w stolicy imperium, poczynając od 2 kwietnia 1939 roku. Wówczas Polaków postawiono przed faktem, że albo odwzajemnią tę gwarancję, albo zostanie ona wycofana. Beck, który lubił prestiżowo zabłysnąć też miał program, deklarował że Polska chce odwzajemnić Wielkiej Brytanii gwarancję dla jej niepodległości. To mogło zabrzmieć górnolotnie i śmiesznie, bo kto w tym momencie miałby się na nią targnąć. Polska i Wielka Brytania ma niepisany sojusz, który został sformalizowany w sierpniu 1939 roku. To ostatecznie doprowadziło do przesunięcia wybuchu wojny przez Hitlera o parę dni. W każdym razie, tutaj cynizm brytyjski nie polegał na niczym innym, jak na tym, żeby się upewnić, że Polacy nie staną po stronie Hitlera. Kolejnym krokiem po porozumieniu się z Polakami, było rozpoczęcie rozmów w Moskwie. Trójstronne rozmowy brytyjsko-francusko-sowieckie, które zakończyły się w sierpniu 1939 roku niepowodzeniem, po tym jak opisano pakt Ribbentrop-Mołotow. Polska była niechętna tym rozmowom. Co to oznaczało dla Polski, gdyby się coś takiego udało? Polska byłaby bardziej przez Francuzów niż przez Brytyjczyków namawiana, żeby przepuścić Armię Czerwoną przez swoje terytorium. Nie było przecież bezpośredniej granicy niemiecko-sowieckiej. Gdyby Niemcy nie ruszyli na wschód, tylko na zachód, na Francję, to można byłoby liczyć, że sowieckie wojsko ją wesprze, ale Polacy nie mając tego porozumienia z Brytyjczykami, broniliby się przed żołnierzami wkraczającymi ze wschodu. W sposób naturalny stanowiliby więc pewną barierę dla Armii Czerwonej. Cynizm dyplomacji brytyjskiej polegał na posiadaniu pewności, że Rzeczpospolita nie opowie się po stronie Niemiec. Brytyjczycy musieli więc doprowadzić do sytuacji, gdzie te, w miarę dobre, stosunki polsko-niemieckie, po deklaracji z 26 stycznia 1934 roku, zostaną zepsute. I rzeczywiście udało się to osiągnąć. Niemcy zaczęły oskarżać Polskę i Wielką Brytanię o dążenie do ich okrażenia, wypowiedziały deklarację o niestosowaniu przemocy, traktat morski i zaczęły planować wojnę za swoją wschodnią granicą. Na początku kwietnia 1939 r. Hitler zaś wydał rozkaz podjęcia przygotowań do konfliktu. Cynizmu Brytyjczyków można więc upatrywać w tym momencie i tych kalkulacjach, które przedstawiłem.



**Dr Przemysław Biskup:** Nie zgadzałem się z tym, co powiedział pan profesor Jeziorny. Spróbuję to uzupełnić o parę dodatkowych informacji. II wojna światowa jest bardzo zmitologizowana w powszechnej świadomości, w Polsce oraz Wielkiej Brytanii. Mity zazwyczaj mają swoich bohaterów i antybohaterów. Często mówi się na przykład o osobie Arthura Neville'a Chamberlaina pozytywnie, jak o naiwniaku, a negatywnie, jak o cyniku. Mówi się też o nim, jak o osobie nierozumiejącej natury nazizmu i zagrożeń związanych z Hitlerem. Natomiast to są mity utrwalone już po samym wybuchu wojny. Z perspektywy brytyjskiej, ale częściowo też ta perspektywa została adaptowana w Polsce – świat, w którym Winston Churchill jest tym niezłomnym obrońcą Wielkiej Brytanii, przywódcą w okresie bitwy o Anglię, Chamberlain w tym porządku rzeczy musi być postacią negatywną. Podczas gdy rzeczywistość jest dużo bardziej skomplikowana. Wystarczy spojrzeć na program gospodarczy Chamberlaina jako ministra finansów, a później premiera brytyjskiego. Systematyczny rozwój przez niego tak zwanej gospodarki cieni albo fabryki cieni, *shadow factories* albo *shadow economy*. To były wczesne przygotowania, już od połowy lat trzydziestych XX wieku, do stworzenia kompleksu wojskowo-przemysłowego za pieniądze publiczne. Pieniądze publiczne szły również na opracowanie nowoczesnych wzorów broni i uzbrojenia. Właśnie stąd program myśliwców Hurricane, Spitfire, czy system obrony opartej o radar. Wszystkie te inwestycje zorganizował i sfinansował Chamberlain jako faktyczny przywódca państwa brytyjskiego, w późnych latach trzydziestych XX wieku. Natomiast finalny efekt zastosowania tych instrumentów jest powszechnie kojarzony z Churchillem. Wspominam o tym dlatego, że w kalkulacjach brytyjskich kluczowym czynnikiem była reguła dziesięcioletnia oraz moment jej późnego odrzucenia w połowie lat trzydziestych XX wieku, w celu zyskania czasu dla zbrojeń. Powiedziałbym, bez specjalnych złudzeń, że Brytyjczycy szykowali się na wojnę. To jest bardzo realistyczne podglebie appeasementu i również to podglebie działań brytyjskich wobec Polski, które w swoim wystąpieniu opisał pan profesor, to znaczy bardzo mocno odczuwana potrzeba kupowania czasu niemalże za wszelką cenę. Jeśli myślimy o tym z perspektywy polskiej, to jednym z kluczowych pytań, jakie trzeba sobie zadawać, jest: Co kierowało władzami państwa polskiego, zwłaszcza ministrem Beckiem, że uznał, iż może przyjąć takie gwarancje? Dla wojskowych, którzy stanowili dużą część ówczesnej elity rządzącej Polską, powinno być oczywistym, że Brytyjczycy nie mieli instrumentarium, żeby móc efektywnie wykonać swoje gwarancje w naszej części Europy. To powiedzenie, że „pancerniki nie mają kół”, było więc prawdziwe nie tylko w 1914 roku, ale również w 1939 roku.

**Tomasz Korban:** W trakcie II wojny światowej doszło do dwóch wydarzeń, które bardziej wpłynęły na relacje polsko-sowieckie niż polsko-brytyjskie, ale też miały znaczenie. Po pierwsze była to zbrodnia katyńska i zachęty, nalegania Brytyjczyków, aby w imię koalicji antyhitlerowskiej przemilczeć tę sprawę. Brytyjczycy mieli świadomość, że za mord odpowiadają Sowieci. Churchill osobiście też był o tym przekonany. Drugą kwestią jest natomiast katastrofa gibraltarska, w której zginął generał Władysław Sikorski. Mam pytanie: W jaki sposób śmierć generała, premiera i naczelnego wodza Sikorskiego, wpłynęła na relacje polsko-brytyjskie?



**Prof. Dariusz Jeziorny:** Śmierć generała Sikorskiego miała bardzo duże znaczenie. To był człowiek, który miał dużą estymę. Po pierwsze, był jednym z tych ludzi, którzy przystąpili do wywalczenia przez Polskę niepodległości w 1918 roku. Później jednak pokłócił się z Józefem Piłsudskim i został odstawiony na boczny tor. Po przewrocie majowym w 1926 roku nie sprawował żadnych istotnych funkcji w Polsce. Na zachodzie zaangażował się między innymi z Ignacym Janem Paderewskim we Front Morges, inicjatywę o podłożu chadeckim ukierunkowaną na odsunięcie sanacji od władzy w jakikolwiek możliwy sposób. Był to człowiek, któremu, po pierwsze, towarzyszył pewien mit, miał swoją legendę. Po drugie, nie był skompromitowany klęską wojny obronnej 1939 roku. I po trzecie, jednoczył bardzo skłócone między sobą najważniejsze stronnictwa polityczne na emigracji. Pamiętajmy, że rząd, który powstał najpierw w Paryżu, a potem po przegranej przez Francję wojnie, przeniósł się do Londynu. Składał się on z osób, które miały, z jednej strony narodowe, nacjonalistyczne pomysły na rzeczywistość, a z drugiej socjalistyczne. Pośród nich byli także przedstawiciele ruchu ludowego i Stronnictwa Pracy, czyli takiej chadecji. Pogodzić te interesy było bardzo trudno.

Bardzo istotne też, jest spojrzenie na to, jak wygląda dynamika życia emigranta politycznego. Nieważne przy tym, w jakim czasie się ta emigracja miała miejsce, czy było to po powstaniu listopadowym, styczniowym, czy też po klęsce wrześniowej. Niekoniecznie muszą być to też Polacy. Emigranci są wiecznie niezadowoleni i skłóceni między sobą i „gadają” o polityce. To są cechy charakterystyczne emigranta. Tak samo dzieje się w polskim Londynie.

Sikorski był kimś, komu ci wszyscy o zróżnicowanych poglądach ludzie są w stanie się podporządkować i go popierać. Lepiej lub gorzej, nieraz się dystansują, ale, tak czy inaczej, była to osoba, która w początku II wojny światowej, nie miała alternatywy. Nie było nikogo, kto miałby równie duży autorytet. Jego śmierć sprawiła, że ten człowiek, który jednoczył polską emigrację, zniknął. Teraz trzeba było pogodzić się w tym gronie bez takiego autorytetu. Niewątpliwie autorytet każdego kolejnego premiera rządu polskiego na emigracji był już mniejszy.

Trzeba się jeszcze przyjrzeć sytuacji na frontach, która się coraz bardziej komplikuje na niekorzyść Polski. W momencie, gdy dochodzi do przełamania frontu wschodniego, po Staligradzie, mamy do czynienia z zerwaniem stosunków dyplomatycznych z Polską przez Związek Sowiecki. Dzieje się to wszystko na tle sprawy katyńskiej. Mamy więc pęknięcie w koalicji antyhitlerowskiej. To jest jedna rzecz. Później po bitwie na łuku kurskim, gdy Armia Czerwona zbliżała się do granic przedwojennej Polski, to dosyć szybko już poszło. Kiedy w styczniu 1944 roku Sowieci wkroczyli na ziemie Rzeczypospolitej, trzeba było odnieść się jakoś do tych faktów dokonanych, które mieliśmy okazję obserwować. Koncepcja brytyjska była jasna – Polacy przyjmują granicę na linii Curzona, a Londyn zrobi wszystko, żeby reszta Polski pozostała niepodległa. Tylko jak przekonać dużą część emigracji, że mają się zrzec dużej części swojej ojczyzny, którą gwarantował traktat ryski? To jest niełatwe. Ostatecznie Stanisław Mikołajczyk, który był następcą Sikorskiego podał się do dymisji. Rząd Tomasza Arciszewskiego, który mówił, że Polacy nie wyrzekną się granicy sprzed wybuchu II wojny światowej, praktycznie nie był już traktowany poważnie. Zauważono zapewne, że linia Curzona dziwnie pokrywa się z tą linią, którą wynegocjowali Niemcy z Sowietami 28 września 1939 roku, podpisując traktat o przyjaźni i współpracy. Można ją nazwać linią Hitler-Stalin. Oczywiście w rokowaniach polsko-brytyjskich ładniej brzmi linia Curzona. George Curzon nie został obciążony



tak emocjonalnie, jak dwaj wspomniani politycy. Z tego powodu dochodziło do dużych napięć wewnątrz obozu emigracji polskiej. Co robić? Czy się zgodzić na dyktat mocarstw i dyktat brytyjski? Czy się nie zgodzić? Rząd Arciszewskiego się nie zgodził i przez to Brytyjczycy przestali się z nim spotykać. Taka była cena.

**Dr Przemysław Biskup:** Uzupełniając to, co powiedział pan profesor, warto jeszcze podkreślić zdolności generała Sikorskiego, jako zawodowego wojskowego, do sprawowania funkcji wojskowych oraz czysto państwowych. Po tym okresie w zasadzie nie mieliśmy do czynienia z taką unią personalną stanowiska premiera i wodza naczelnego. Także, co w realiach rządu emigracyjnego jest szczególnie bolesne, z faktem, że wraz ze śmiercią Sikorskiego również została stracona pewna doza kontaktów osobistych, zobowiązań osobistych, pamięci osobistej o różnych rozmowach dyplomatycznych, które Sikorski odbywał, gdy Polska miała relatywnie mocniejszą pozycję negocjacyjną, czyli na początku wojny. Jeszcze przed pełnym skonsolidowaniem swoich sił przez Sowietów od 1942 r. w górę. Oczywiście z tego punktu widzenia były to kwestie, których nie dało się już później zastąpić albo odrobić.

**Tomasz Korban:** Jeżeli chodzi o koniec II wojny światowej można przypomnieć los generała Stanisława Sosabowskiego albo fakt że Polacy nie zostali zaproszeni na defiladę zwycięstwa. Główny przekaz rządu brytyjskiego do Polaków po konferencji w Teheranie, w miarę zbliżania się końca wojny, był taki, żeby Polacy nie przeszkadzali w porozumieniu, żeby doszło do zwycięstwa i żeby Polacy przystali na linię Curzona. Przez to u kresu konfliktu, relacje polsko-brytyjskie, kontakty między rządem polskim na wychodźstwie a rządem brytyjskim były *de facto* czysto formalistyczne, aż w końcu doszło do cofnięcia uznania. Polski rząd na wychodźstwie po 1945 roku stracił swoją dotychczasową pozycję i odgrywa już tylko marginalną rolę. Ale co z polską diasporą na wyspach brytyjskich? Jaką miała rolę we wzajemnych relacjach pomiędzy Polską a Wielką Brytanią po 1945 roku?

**Prof. Dariusz Jeziorny:** Najważniejsze jest podkreślenie, że w momencie, gdy wojna zbliżała się do końca, na czele koalicji antyhitlerowskiej stały trzy mocarstwa: Wielka Brytania, Stany Zjednoczone i Związek Sowiecki. Z tych trzech mocarstw Wielka Brytania była najsłabsza. Rząd brytyjski dokładnie zdawał sobie sprawę, że nie jest w żaden sposób dogonić potencjału ekonomicznego ani Stanów Zjednoczonych, ani Związku Sowieckiego, którego armia parła na zachód. Niemcy przeszkadzali mu w tym jak mogli, ale ostatecznie nie dali rady. Sami Sowieci zatrzymali się dopiero na linii Wisły, kiedy było to dla nich najbardziej korzystne, czyli po wybuchu powstania warszawskiego. To zastrzeżenie jest bardzo istotne, gdy mówimy o dalszych kwestiach stosunku do sprawy polskiej. Gdy przedstawiciele trzech mocarstw spotkali się w Jałcie, okazuje się, że Brytyjczycy mieli najbardziej propolskie stanowisko, ale byli też najsłabsi. Na Stalinie udało się w końcu wymusić spotkanie, choć dla niego polityka faktów dokonanych była korzystna. Brytyjczycy nie mieli możliwości przekonania pozostałych do swojego stanowiska. Ostatecznie wiadomo, czym się skończy postanowienie jałtańskie, dotyczące Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej, którego nie sformowano w sposób jasny, tylko odroczone to na późniejsze negocjacje ambasadorów w Moskwie. Z drugiej strony w grę wchodziła kwestia granic. Nie było mowy o żadnej ciągłości władzy



rządu polskiego na uchodźstwie i tak dalej. To w ogóle są kwestie, o których przedstawiciele Związku Sowieckiego nie chcieli słyszeć. Amerykanie również się przy tym nie upierali z prostego względu – trzeba było dokończyć wojnę na Dalekim Wschodzie. W lutym 1945 roku nie było jeszcze bomby atomowej, która ostatecznie przechyliła szalę na korzyść Amerykanów w tym konflikcie. Chodziło o to, żeby Sowieci dali się wciągnąć do wojny z Japonią, żeby nie tylko amerykańscy chłopcy ginęli w tych krwawych walkach. To są takie kwestie, o których trzeba pamiętać, gdy chodzi o politykę tych trzech mocarstw. Gdy chodzi o rząd polski na uchodźstwie, to stracił on swoje uznanie w momencie, kiedy powstał Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej. *Nota bene* trzeba też pamiętać, że on nie powstał przed rozpoczęciem konferencji w San Francisco. Polska nie była państwem, które zakładało ONZ, nie należała do założycieli, ponieważ nikt tam nie mógł przyjechać. Nie było takiego rządu, którego uznanie deklarowałyby przedstawiciele pozostałych krajów koalicji. Rząd zaczyna być komitetem likwidacyjnym. Jeśli chodzi o rząd, to ci ludzie wiedzą, że przestaną być finansowani przez Brytyjczyków, więc muszą zacząć dbać o siebie, jak zarobić na życie. Dopiero jak już mają na życie, mogą się zastanawiać, jak ewentualnie wpływać na politykę brytyjską, mając tam jakieś osobiste kontakty.

Niewątpliwie do najbardziej dramatycznych zaliczyłbym kwestię Armii Polskiej w Wielkiej Brytanii. To były dziesiątki tysięcy żołnierzy, których chciano się pozbyć z Wysp Brytyjskich. Jeżeli oni, bojąc się, nie chcieliby wracać do Polski, mieli do wyboru albo szybko znaleźć Brytyjkę, która chciałaby wyjść za mąż za takiego żołnierza, niezależnie od stopnia, bo każdy jest w tym wypadku równy. Nie było pieniędzy z brytyjskiego budżetu na utrzymywanie wojsk, które były już niepotrzebne, więc najlepiej, jakby Polacy wrócili do swojego kraju. Z drugiej strony Brytyjczycy mogli im znaleźć jakieś miejsce na terenie imperium. To mogło być wszędzie, padały takie propozycje jak: Australia – to świetny wybór; Kanada – świetny; Rodezja – to już może mniej i temu podobne. Duża część tych polskich żołnierzy, oczywiście, wybiera powrót do kraju. Wiemy, że dla wielu z nich nie zakończyło się to dobrze, ponieważ rządzący w Polsce wiedzą dokładnie, kto przyjechał i, nazwijmy to delikatnie, monitorują ich.

Jeżeli chodzi o samo środowisko emigracji na zachodzie, w Londynie, ono miało w zasadzie tylko jeden, jak mi się wydaje, pozytyw. Mianowicie, było pewnego rodzaju wyrzutem moralnym (aczkolwiek moralność w polityce międzynarodowej nie jest czymś szczególnie znaczącym), który mówił, że Brytyjczycy nie powinni nawiązywać kontaktów dyplomatycznych z rządem polskim, który zainstalował się w Warszawie z nadania Związku Sowieckiego. Rzeczywiście w latach 1945–1956 to tak wyglądało, że istniały relacje Londynu z rządem warszawskim, ale utrzymywano je na takim poziomie, żeby przypadkiem nie wzmocnić sowieckiego satelity. Taki przydomek miał bowiem rząd Polski, podobnie zresztą jak rządy innych krajów bloku sowieckiego w Europie Środkowowschodniej. To jest jedyny taki element, na który emigracja pozostała w Londynie mogła jakkolwiek pozytywnie wpływać. Innego większego znaczenia nie miała.

**Dr Przemysław Biskup:** Wydaje mi się, że trudno byłoby coś dodać do tego, co powiedział pan profesor.



**Tomasz Korban:** W takim razie mam kolejne pytanie, nawiązujące do okresu po 1945 roku, dotyczące współpracy władz Polski Ludowej z dwiema największymi partiami, w zależności od tego, kto się znajdował u steru rządów w Zjednoczonym Królestwie. Z którą partią było łatwiej współpracować komunistycznej władzy w Polsce? Z konserwatystami czy z Partią Pracy?

**Prof. Dariusz Jeziorny:** Powiem, że generalnie wszystko jedno, z którą partią. Oczywiście, przez pierwsze lata po II wojnie światowej rządili labourzyści. Oni nie chcieli mieć specjalnych kontaktów z rządem zainstalowanym w Warszawie. Później władzę odzyskali konserwatyści i sprawowali ją do 1964 roku, gdy znowu labourzyści wygrali wybory. Labourzyści, gdy byli w opozycji, zadawali władzy konserwatystów niewygodne pytania: Jak się państwo zapatrujecie na uznanie granicy zachodniej Polski na Odrze i Nysie Łużyckiej? Nieraz te pytania były inspirowane przez ambasadę polską w Londynie, a nieraz nie. Ale takie niewygodne pytania opozycja zadaje. Brytyjski rząd wówczas odpowiadał, że zgodnie z ustaleniami początkowymi ta sprawa powinna zostać rozwiązana w ramach traktatu pokojowego z Niemcami. Mamy już z tym do czynienia najpierw kilka, następnie kilkanaście, a potem dwadzieścia lat od zakończenia II wojny światowej, a na jakiegokolwiek rozwiązania pokojowe z Niemcami trudno liczyć. To jest takie ewidentne granie na czas. Gdy Labourzyści przejmują władzę, z tego zapału, żeby trochę pomóc rządowi warszawskiemu, niewiele zostaje. Utrzymują tę formułę, że granica na Odrze i Nysie to bardzo ważna sprawa i służyć będzie sytuacji stabilizacji w Europie. Pamiętajmy, że na oficjalnych mapach, drukowanych ówczesnie w krajach zachodnich, granica Polski sięgała linii z 1937 roku, a tak zwane ziemie odzyskane były w nich rysowane dziwnym kolorem. Była tam mowa o tym, że jest to terytorium pod tymczasową administracją Polski. Dopiero uznanie przez Willy'ego Brandta tej granicy w 1970 roku doprowadziło do jakiejś zmiany sytuacji. Jakaś sympatia, którą wykazywali labourzyści, gdy byli w opozycji, zniknęła, kiedy przychodziło do realnej polityki. Ważne były kontakty w ramach NATO, ważne były przyjazne relacje z Niemcami i ich rozwijanie. Brytyjczycy później przegapili wejście do EWG i EURATOM-u w 1957 roku. Potem zaczęto odrabiać ten dystans i tam wchodzić – to były ważniejsze kwestie dla Wielkiej Brytanii. Poza tym mieli inne rzeczy na głowie na przykład Kanał Sueski, gdzie ponieśli ogromną, wizerunkową i prestiżową klęskę oraz stracili realne pieniądze. To wszystko interesowało bardziej Brytyjczyków niż sprawy Polski. Może handel bekonem? Przepraszam za pewną przekorę w moich słowach, ale do tego się to sprowadzało.

**Dr Przemysław Biskup:** Przypomniałbym o podstawowym dwublokowym podziale z tamtego czasu, który był absolutnie podstawowy. Przypomnijmy sobie też, jak wyglądały stosunki polsko-francuskie w tamtym okresie, uwzględniając to, że Francja epoki wczesnej V Republiki była państwem najbardziej niezależnym od Stanów Zjednoczonych, jako hegemonia bloku zachodniego. Francja werbalnie starała się podkreślać swoją niezależność. Jak bardzo się to przełożyło na zacieśnienie współpracy polsko-francuskiej? Można powiedzieć, że tak naprawdę, jeżeli chodzi o wszystkie kwestie, które są strategicznie istotne – w żaden. Pomagało to na przykład stronie francuskiej wygrywać trochę kontraktów w ramach polskiej gospodarki. Pomagało budować pewną dobrą atmosferę, wzajemne wizyty, jednak tak naprawdę nie zmieniało to istoty polityki obu państw. Polityka francuska była zakotwiczona w świecie zachodnim, a polska w bloku wschodnim. Mówienie o pełnej suwerenności Polski w tym okresie byłoby nadużyciem.



Wracając do Wielkiej Brytanii. Wielka Brytania najpierw była państwem, które uważało się i było uważane za filar Europy Zachodniej do połowy lat pięćdziesiątych XX wieku, jeżeli chodzi o politykę bezpieczeństwa. W krótkim okresie wahań amerykańskich, od późnych lat czterdziestych XX wieku do wybuchu wojny koreańskiej była państwem, które stabilizowało względny bezpieczeństwem militarnym Europę Zachodnią. Zwróćmy uwagę, że miało to miejsce pod rządami labourzystów. W tym samym okresie Wielka Brytania zdecydowała się dokończyć swój program atomowy, również pod ich rządami. To, że *Labour Party* była ugrupowaniem lewicowym, nie znaczy, że reprezentowała stanowisko antyimperialne. Wręcz przeciwnie, była to partia proimperialna, która miała własną koncepcję odnowy imperium, na co zresztą przeznaczono sporo środków z planu Marshalla. Patrząc z punktu widzenia podstawowej struktury relacji polsko-brytyjskich oraz podstawowych interesów Londynu w tamtym okresie istniał bardzo duży konsens po stronie brytyjskiej. Tak naprawdę nie było aż takich fundamentalnych różnic między labourzystami a konserwatystami. Z kolei logika relacji polsko-brytyjskich była podporządkowana logice podziału blokowego, w ramach którego Brytyjczycy byli pierwszym sojusznikiem Stanów Zjednoczonych, państwem, które raczej akcentowało swoją rolę antysowiecką niż ją kwestionowało. To w oczywisty sposób oznaczało, że nie może dojść do żadnego istotnego zbliżenia polsko-brytyjskiego w tamtym okresie.

**Tomasz Korban:** Dodam jeszcze od siebie, że tu jest właśnie taki paradoks. Wydawałoby się, że z Partią Pracy łatwiej będzie współpracować ówczesnym władzom Polski. Tutaj było bez różnicy, czy to konserwatyści czy labourzyści, nawet wtedy, gdy dochodziło do strajków górników i kiedy rządziła Partia Pracy to Polska wysyłała węgiel. Były w tej sprawie protesty rządu brytyjskiego, ówczesne władze Polski nic sobie jednak z tego nie robiły, tylko kurtuazyjnie za to przepraszały. Mam jeszcze pytanie, w którym jest pewnego rodzaju chichot historii. Na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych XX wieku w rozmowach pomiędzy dyplomatami brytyjskimi i polskimi, Brytyjczycy wyrażali swoje obawy, że akces Wielkiej Brytanii do Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej, będzie miał negatywny wpływ na wzajemne handlowe relacje, a szerzej na relacje gospodarcze. Wobec tego mam pytanie, jak jest obecnie jeżeli chodzi o brexit? I jak jest po brexicie? Czy już można zauważyć różnice, jeżeli chodzi o stosunki gospodarcze?

**Dr Przemysław Biskup:** Na pewno jest różnica strukturalna. Polska i Wielka Brytania nie są już na wspólnym rynku i w jednej unii celnej. Jednak jest zachowany układ o handlu bezcłowym między Unią Europejską a Wielką Brytanią. Z powodu pandemii i dosyć szczególnego układu oraz też negocjacji, które wielokrotnie były przedłużane, było wiele dat, tak zwanych deadlineów, które z punktu widzenia sektora gospodarczego często prowokowały zachowania na zasadzie magazynowania zapasów, póki można było to jeszcze robić na dotychczasowych zasadach. W tej chwili ciągle jest jeszcze bardzo trudno jednoznacznie ocenić pierwsze skutki brexitu. Zwłaszcza są bardzo duże trudności z rozgraniczeniem tego, co jest wpływem pandemii, a co jest wpływem brexitu. Warto dodać, że 1 stycznia brytyjski odpowiednik GUS-u, czyli ONS (Office for National Statistic) zmienił metodologię. W tej chwili mamy bardzo istotne rozbieżności, co do danych gospodarczych na przykład dane o eksporcie brytyjskim. Jeżeli porównamy Eurostat i ONS, to różnią się mniej więcej pięć – sześciokrotnie. To nie jest różnica o parę procent, tylko pięćset, sześćset procent. Natomiast trzeba mieć świadomość, że sama struktura tych relacji zmieniła się fundamentalnie. Prędzej czy później



Polska zacznie to odczuwać. Najważniejszą różnicą, którą już w tej chwili możemy wskazać, jest fakt, że mamy strefę wolnego handlu, gdzie nie ma pobieranych ceł, ale to nie jest unia celna. Polska nie ma jednolitej bariery celnej wokół całej Wielkiej Brytanii i Unii Europejskiej. To oznacza, że polskie towary albo z dowolnego państwa europejskiego, konkurują na rynku brytyjskim z towarami, które na mocy albo odnowionych umów odziedziczonych przez Wielką Brytanię po Unii Europejskiej albo w tej chwili już nowo zawieranych, mogą być importowane na równie korzystnych warunkach, a czasami nawet korzystniejszych. W praktyce oznacza to, że polski model gospodarczy w ciągu ostatnich trzydziestu lat, w znacznej części oparty na eksporcie, który jest eksportem niskokosztowym, ale w ramach tego bąbla stworzonego przez ramy jednolitej taryfy celnej i wspólnej polityki handlowej Unii Europejskiej, moim zdaniem, już zaczął przeżywać wyzwania i być może przeżyje jakiś kryzys. Przykładowo, jeżeli spojrzeć na to, co stanowiło tło brexitu, bardzo duży miał udział procentowy w eksporcie do Wielkiej Brytanii. A dla Polski do niedawna Wielka Brytania była trzecim największym rynkiem, zaś w pewnym momencie, była drugim największym rynkiem eksportowym. Mówimy o żywności, częściach i komponentach samochodowych, meblach. To wszystko są towary, które można stosunkowo łatwo importować z innych części świata. Nasza dotychczasowa konkurencyjność cenowa była bardzo istotnym komponentem sukcesów tych towarów na rynku brytyjskim. Ten ostatni składnik odchodzi w przeszłość. Mam nadzieję, że w międzyczasie zdołamy przekonać konsumentów brytyjskich, że jakość jest tutaj nadal przewagą polskich towarów.

**Prof. Dariusz Jeziorny:** Zaczął pan swoje pytanie od chichotu historii. Generalnie Polska i Wielka Brytania, w okresie, gdy Polska jest już niepodległym krajem, nie miały ze sobą jakichś szczególnych punktów stykowych, jeśli chodzi o politykę międzynarodową. Tutaj się chyba nic nie zmieniło. Oczywiście, jesteśmy sojusznikami z NATO. Następnie staliśmy się partnerami w ramach Unii Europejskiej. Wielka Brytania należała do państw, które były jednymi z największych entuzjastów, jeśli chodzi o przyjmowanie nowych członków do Unii. To się brało z takiego dosyć prostego myślenia rządu brytyjskiego. Nieważne, jaki to był rząd, czy labourzystowski czy konserwatywny. Jeżeli Unia będzie się zajmowała rozszerzaniem, to nie będzie miała czasu zajmować się pogłębianiem integracji. Na to Londyn nigdy nie miał ochoty. Może był tylko jeden taki wyjątek, gdy Niemcy się miały zjednoczyć. Wtedy było jakieś postanowienie, żeby w ramach Unii Europejskiej utworzyć jakąś strukturę wojskową. Francuzi zawsze na to naciskali. Brytyjczycy dali się namówić, żeby Niemcy nie zdominowali Europy, jak to bywało wcześniej, chociażby przed I wojną światową. Jak się później okazało, nie było to dobre, doprowadziło bowiem do wojny. Jednym z elementów przyjęcia Polski do Unii Europejskiej było natychmiastowe otwarcie rynku pracy przez Brytyjczyków po wstąpieniu Polski do Unii. Oznaczało to zarobkową emigrację mnóstwa Polaków. Do dzisiaj te statystyki są rozbieżne, niektórzy obliczają, że to może być dużo więcej niż milion osób, którzy wyjechali w tym czasie. Teraz chichot historii polega na tym, że gdy Wielka Brytania prowadziła wewnętrzną debatę na temat brexitu, to jednym z najczęściej pojawiających się haseł było słowo *immigrants*, które z dużą niechęcią powtarzali wszyscy, którzy chcieli wyjść z Unii Europejskiej. Brytyjczycy nie patrzyli na to, że ci źli imigranci pracowali w zawodach, w których Brytyjczycy nie za bardzo chcieli, ale jednak pobierali „socjal” brytyjski, bardzo korzystny. Polacy byli postrzegani jako pewnego rodzaju pasożyty na zdrowym



organizmie brytyjskiego społeczeństwa i gospodarki. Można powiedzieć, że Polacy, którzy byli jednymi z ludzi, którzy najbardziej skorzystali na wejściu, rozszerzeniu Unii Europejskiej w 2004 roku później stali się pretekstem do wyjścia z niej Brytyjczyków. Chodzi o propagandę tych, którzy za brexitem optowali.

**Tomasz Korban:** Pan profesor odpowiedział na ostatnie pytanie, jakie zamierzałem zadać. Chciałem zadać pytanie, o to jak emigracja Polaków po 2004 roku wpłynęła na relacje polsko-brytyjskie?

**Dr Przemysław Biskup:** Jeśli mówimy o relacjach dwustronnych, to korzystnie. W tym sensie, że postawiła znacznie mocniej Polskę na mapie mentalnej Brytyjczyków. Stworzyła dosyć trwałą link, którego w sumie wcześniej nie mieliśmy. Jeżeli spojrzymy na tą poprzednią i jedyną falę imigracyjną, czyli wojenną, to tak naprawdę bardzo duża część osób, które wtedy zostały w Wielkiej Brytanii była zmuszona do asymilacji, na przykład poprzez małżeństwa mieszane w okolicznościach, o których mówił pan profesor. To był proces wymuszony. Zresztą w krótkim czasie osoby te wyjechały. Ponad połowa Polaków przebywających w Wielkiej Brytanii w 1945 roku opuściła ją do końca lat czterdziestych XX wieku. Właściwie ta fala, z którą mieliśmy do czynienia w 2004 roku była pierwszą pokojową i dosyć pozytywnie motywowaną falą imigracyjną. W tej chwili w znacznej mierze się replikuje. Widać to po liczbie osób urodzonych w Wielkiej Brytanii. Osoby, które wyjeżdżały ze swoimi rodzicami bardzo często już osiągnęły wiek dojrzały. Natomiast musimy mieć świadomość, że z punktu widzenia relacji bilateralnych ten link nie pozostanie trwały i produktywny w nieskończoność. On z jednej strony wymaga bardzo wzmoczonych działań na rzecz utrzymywania języka polskiego, kultury polskiej oraz znacznie lepszej obsługi kontaktów urzędowych z państwem polskim. Tutaj dobrym krokiem jest na przykład zaobserwowana po 2016 roku rozbudowa sieci konsulatów polskich w Wielkiej Brytanii. W każdej części, włącznie z Irlandią Północną, gdzie konsulat Rzeczypospolitej jest właściwie jedynym konsulem unijnym. Z drugiej strony trzeba mieć świadomość, że ten wymiar relacji jest dosyć jednostronny. To nie jest tak, że w Polsce jest ogromna rzesza Brytyjczyków, ale są takie osoby. To wymaga zwiększenia działań ze strony państwa polskiego.

Natomiast jeśli chodzi o relacje bardziej międzypaństwowe, międzyrządowe, to one się będą koncentrować na tych dziedzinach, w których mamy twarde, realne interesy. Jeden filar tych relacji jest związany z szeroko rozumianym bezpieczeństwem, ze wspólnym członkostwem w NATO oraz współpracą armii i zakupami zbrojeniowymi oraz transferem technologii. Na tym polu obydwa państwa podpisały traktat obronny. On jest pomyślany jako traktat uzupełniający traktat północnoatlantycki, który został podpisany w 2017 roku a wszedł w życie 2018 r. Z drugiej strony są powiązania gospodarcze, które dla wielu Brytyjczyków były niezauważane do czasu rozpoczęcia debaty o brexicie i odbywały się gdzieś w tle. Polska jest już bardzo znaczącym partnerem gospodarczym Wielkiej Brytanii, a Wielka Brytania jest szczególnie znaczącym partnerem dla Polski. Ogólnie jest to w tej chwili trzeci rynek eksportowy, a były momenty, kiedy był drugim. Gdyby zaś spojrzeć na niektóre grupy towarowe,



to jest to ostatnio nawet rynek numer jeden. Istnieją podstawy do tego, żeby myśleć, iż brexit relatywnie może wzmocnić te relacje, dlatego, że polscy przedsiębiorcy wydają się bardziej zmobilizowani czy zdeterminowani, żeby utrzymać się na rynku brytyjskim niż na przykład przedsiębiorcy belgijscy, holenderscy, niemieccy czy francuscy. To są, w każdym razie, opinie formowane przez przedstawicieli polskiego biznesu na Wyspach.

**Tomasz Korban:** Przejdę już do podsumowania. Możemy zaobserwować, że te relacje kształtowały się dosyć burzliwie, poczynając od 1918 roku aż do czasów obecnych. Nie były to łatwe relacje. Jeszcze bardziej są wymagające w obliczu brexitu.

**Prof. Dariusz Jeziorny:** Nie wiadomo, jak się dalej rozwiną obecne relacje polsko-brytyjskie. Z punktu widzenia układów gospodarczych, Polska jest członkiem Unii Europejskiej. Sama przynależność wymusza pewne ramy, w których Polska może się poruszać, jeżeli chodzi o handel i tak dalej. Natomiast widać jedno, Brytyjczycy są na takim etapie, że łapią kontakty. Nie chodzi tu tylko o Polskę albo Unię Europejską, ale w ogóle o cały świat. Próbują ukształtować pewną geografie swoich stosunków międzynarodowych, tak politycznych, społecznych, jak i gospodarczych, od nowa. Tutaj przywołam taki epizod, który miał miejsce całkiem niedawno, chyba działo się to w zeszłym miesiącu. Było spotkanie polskich i brytyjskich uniwersytetów o możliwościach współpracy na czterech polach. Chodziło o współpracę naukową, wymianę studentów, wyjazdy krótko i długoterminowe naukowców w jednym i drugim kierunku, czyli szeroko rozumianą mobilność. Takie rzeczy dzieją się na naszych oczach, to się wszystko tworzy. Trudno w tej chwili przewidzieć, na ile Polacy będą dla Brytyjczyków ponętym kąskiem, partnerem do współpracy. W zależności od tego, jak im się uda dogadać z innymi partnerami. W każdym razie, tego typu kontakty na szczeblu nierządowym albo trochę niższym, ponieważ przedstawiciele ambasad byli na tym spotkaniu, będą się działy. Na szczęście mamy dużą sferę wolności. Nie wszystko musi się dziać na poziomie najwyższych władz państwowych. Mogą być to pewne porozumienia autonomiczne, chociażby poszczególnych uczelni, jeżeli takie momenty wspólne uda się uchwycić. Trudno się łądzić, że na przykład brytyjscy historycy byłiby jakoś na masową skalę bardzo zainteresowani historią Polski i naszego regionu. Inaczej jest w drugą stronę.

**Dr Przemysław Biskup:** Tytułem podsumowania warto wspomnieć o dwóch, trzech rzeczach, nawiązując do tego, co powiedział pan profesor. Mianowicie, Wielka Brytania się globalizuje, deuropeizuje po to, żeby się zglobalizować jeszcze bardziej. Globalizacja w kontekście brytyjskim nie jest niczym nowym. Praktycznie to Brytyjczycy wymyślili globalizację sto pięćdziesiąt lat temu. To oznacza, że z punktu widzenia perspektywy polskiej musimy zrozumieć, że nasza konkurencja na tamtejszym rynku, atrakcyjność, będzie oceniana przez pryzmat tego, na ile jesteśmy w stanie zaproponować coś, co mamy interesującego w skali globalnej, a nie tylko europejskiej. To jest wyzwanie, ale może być to też inspiracja. Z tej perspektywy, być może, Wielka Brytania może być pewnego rodzaju trampoliną dla na przykład polskich uniwersytetów, przedsiębiorstw, organizacji, do znacznie szerszego zaangażowania poza Europą, nie chcę powiedzieć rynkiem europejskim. Tak czy siak wydaje się, że jest to w pewien sposób nieuchronne, dlatego że w ciągu ostatnich trzydziestu lat osiągnęliśmy



pewne wysycenie dotychczasowego paradygmatu rozwoju. Konieczne jest w związku z tym wzniesienie się na nowy poziom pod względem innowacji gospodarczych albo organizacyjnych lub na dowolnym innym polu. To jest pierwsza rzecz.

Drugą jest z kolei to, że Brytyjczycy uzyskali znacznie większą elastyczność działania kosztem poświęcenia części ze swojej wagi działania jako państwa europejskiego. To już, moim zdaniem, przekłada się na różne, z naszego punktu widzenia, ciekawe kierunki ekspansji. Warto zwłaszcza zwrócić uwagę na bardzo szybko rozbudowujące się relacje brytyjsko-ukraińskie. Niedawno do powszechnej świadomości przebiła się na przykład kwestia incydentu na Morzu Czarnym, między brytyjskim niszczycielem a samolotem rosyjskim. Miało to miejsce na wodach Półwyspu Krymskiego, które są nominalnie wodami ukraińskimi. Warto zwrócić uwagę na misje szkoleniowe wykonywane przez brytyjskich żołnierzy na rzecz armii ukraińskiej. Na niedawno podpisany kontrakt, na odbudowę marynarki wojennej Ukrainy przez przedsiębiorstwa brytyjskie i zakup stamtąd okrętów. Warto też zainteresować się inwestycjami na Ukrainie, również z tego powodu, że Ukraina nie jest w tak wysokim stopniu skrzępowana regulacjami unijnymi, jak w tej chwili Polska. To oznacza, że z punktu widzenia Polski, pojawia się nowe, bardzo ciekawe pole do wzajemnej gry, rozwijania różnych projektów.

W tym wszystkim, wydaje mi się, że Wielka Brytania o tyle jest ciekawym partnerem dla Polski, że spośród dużych państw zachodnioeuropejskich niewątpliwie jest państwem z dobrych powodów najbardziej sceptycznym wobec Rosji. Można przypomnieć atak chemiczny na jej terytorium, wykonany przez siły rosyjskie w 2018 roku. Może jest to jeden z tych wspólnych momentów naszej wzajemnej historii, gdy istnieje dająca się dosyć dobrze zdefiniować wspólnota interesów polsko-brytyjskich, stanowiąca fundament dla dobrych relacji międzypaństwowych.

Głosa 4.  
**Dariusz Jeziorny**  
Uniwersytet Łódzki

## **LONDYN – WARSZAWA W XX I XXI WIEKU**



Opoczątkach stosunków brytyjsko-polskich w XX wieku można mówić w czasie I wojny światowej. W tym okresie Londyn był w dość niewdzięcznej sytuacji. Trudno mu było występować przeciwko sojuszniczej Rosji, która walczyła z Państwami Centralnymi na froncie wschodnim. Ale o ile w konfrontacji z Austro-Węgrami Rosja osiągnęła niemałe sukcesy w pierwszym okresie walk, o tyle w konfrontacji z Niemcami nie było już tak dobrze. Bez względu na sytuację militarną na wschodzie Europy, zachodni sojusznicy Rosji uznawali sprawę polską za wewnętrzny problem Petersburga/Piotrogradu. Dawali temu kilkakrotnie wyraz. Zajęcie Królestwa Polskiego przez Niemcy powodowało groźną z perspektywy rządu Jego Królewskiej Mości możliwość werbowania rekrutów polskich do armii Państw Centralnych. Po Akcie 5 Listopada 1916 roku taka idea stawała się coraz bardziej realna. Tym niemniej, od czasu przewrotu bolszewickiego i pokoju brzeskiego z 3 marca 1918 roku dyplomacja brytyjska nie była już związana lojalnością wobec Rosji. Od 1917 roku działał w Londynie Komitet Narodowy Polski, z którym rząd Davida Lloyd George'a utrzymywał nieoficjalne kontakty. Również fiasko tajnych rozmów przeprowadzanych w Szwajcarii pomiędzy delegatami brytyjskimi i austro-węgierskimi skłoniły Londyn ku popieraniu niepodległości Polski. Premier brytyjskiego rządu ogłosił to w siedzibie Trade Unions 5 stycznia 1918 roku, wyprzedzając tym samym o trzy dni deklarację prezydenta USA Thomasa Woodrowa Wilsona.

Rozpad trzech wielkich monarchii w Europie Środkowo-Wschodniej sprawił, że Londyn stracił resztę zainteresowania regionem. Nie miał tam żadnych interesów, a dodatkowo myślenie o polityce międzynarodowej, oparte na zasadzie równowagi sił, było bezużyteczne. W trakcie konferencji pokojowej w Paryżu Polska interesowała Brytyjczyków jedynie jako sojuszniczka Francji. Aby nie doszło do powojennej dominacji tego kraju, Wielka Brytania dążyła do utworzenia małej terytorialnie Polski. Stąd wynikała niechęć do przekazania jej terenów, należących dotąd do Niemiec oraz na wschodzie ziem, na których przewagę miała ludność niepolska. Idea równowagi dotyczyć miała właśnie Francji i tworzącej się Republiki Weimarskiej. Sytuacja na wschód od Niemiec daleka była od stabilizacji w tym czasie.

Po zawarciu traktatu wersalskiego, który przypieczętował powstanie niepodległej Polski, interesy Warszawy i Londynu rozmięły się. Przykładowo, jesienią 1919 roku rząd Lloyd George'a dopingował stronę polską do wyruszenia przeciwko bolszewikom, walczącym w tym czasie z wojskami Aleksandra Kołczaka i Antona Denikina. Jak wiadomo, Józef Piłsudski zdecydował wówczas wstrzymać natarcie. Piłsudski w swoich kalkulacjach wolał przedłużyć czas wojny domowej w Rosji, mając świadomość, że zwycięstwo „białych” generałów skieruje sympatię Zachodu ku Rosji właśnie. Wybrał więc opcję sprzeczną z interesami Londynu.

Podobnie było wiosną 1920 roku. W Wielkiej Brytanii kończył się powojenny *boom* gospodarczy, wynikający z eksportu na Stary Kontynent surowców, których tam brakowało. Odbudowująca się Europa potrzebowała coraz mniej towarów oferowanych przez Wielką Brytanię, a producenci na Wyspach potrzebowali nowych rynków zbytu. Stąd idea pacyfikacji sytuacji na wschodzie Europy, przede wszystkim w Rosji, stanowiącej perspektywnie ogromny rynek zbytu. Stenogramy posiedzeń rządu Lloyd George'a wskazywały na wypracowywanie linii negocjacyjnej w trakcie nadchodzących rozmów handlowych. Tymczasem bolszewicy i Polacy skłaniali się ku rozstrzygnięciom zbrojnym. Po obu stronach trwały przygotowania do walki, pomimo pokojowo brzmiących enuncjacji. Wyprzedzająca wyprawa wojsk polskich na Kijów nie



mogła się podobać brytyjskiemu rządowi. Lloyd George nie krył poirytowania, ponieważ polska ofensywa pokrzyżowała mu plany. Według brytyjskiego premiera, pogląd, że Polska to kraj awanturniczy o ekspansywnym nastawieniu, był słuszny. Gdy jednak dodać niejedną jego pikantną wypowiedź na temat Polaków, to w wielu pracach historyków przyjęła się teza o szczególnej niechęci Lloyd George'a do odbudowującego się państwa. Pogłębiło je zachowanie Brytyjczyków na konferencji w Spa. Premier Władysław Grabski zmuszony został do zaakceptowania bardzo niekorzystnych warunków jako podstawy do negocjacji z Rosjanami, w których Brytyjczycy zamierzali wystąpić w roli mediatora. Problemem okazało się to, że Armia Czerwona nie zamierzała zatrzymać się na linii Curzona, a Brytyjczycy nie zrobili niczego, aby powstrzymać ich przed dalszym marszem na zachód. Nie mieli zresztą jakichkolwiek możliwości militarnych, aby przywołać Rosjan do porządku. Jak wiadomo, wszystko skończyło się pomyślnie dla Polski z powodu udanej ofensywy znad Wieprza, przeprowadzonej przez wojska Józefa Piłsudskiego. Niepodległość Polski została obroniona własnymi siłami, bez pomocy mocarstw zachodnich.

W okresie międzywojennym mijanie się celów rządów Polski i Wielkiej Brytanii miało miejsce kilkakrotnie. Nie wynikało to z winy któregoś z obu partnerów. Pomijając zasięg interesów Londynu (zainteresowanie sytuacją imperium na całym globie) i Warszawy (kluczowe były sprawy Europy Środkowo-Wschodniej), w wielu kwestiach szczegółowych polityka obu stolic różniła się. Dla rządu brytyjskiego najważniejsze było utrzymanie pokoju, a już na pewno chodziłoby o nieuczestniczenie w żadnej wojnie. Już udział w I wojnie światowej pokazał, że więzi, łączące poszczególne posiadłości z metropolią, zostały nadwerężone. W Londynie zaczęto myśleć nad reorganizacją Imperium. Ale równocześnie dążono do eliminacji wszelkich punktów zapalnych na świecie przez pokojowe ustalenia oraz deklarowano niechęć do zaciągania zobowiązań międzynarodowych, które mogłyby wciągnąć Brytyjczyków w konflikt zbrojny. Porozumienia locarneńskie to maksimum, na co Londyn się zgadzał. Dla Polski z kolei kluczowym problemem było zapewnienie bezpieczeństwa. Nie było to łatwe z powodu sąsiedowania z dwoma nieprzyjaźnie nastawionymi i potencjalnie silniejszymi państwami. Stąd sojusze obronne z Francją i Rumunią. Warszawa podejmowała też kolejne inicjatywy, które zwiększałyby bezpieczeństwo. Jednym z pomysłów było „Locarno wschodnie”. Według tej koncepcji, granice wschodnie Niemiec otrzymałyby podobny stopień gwarancji, jak zachodnie. Oznaczałoby to zaangażowanie Wielkiej Brytanii, na co ta nie miała żadnej ochoty – byłoby to podjęcie dodatkowych zobowiązań, grożących zaangażowaniem się w wojnę.

Innym przykładem rozbieżności interesów Warszawy i Londynu były toczące się od 1926 roku negocjacje rozbrojeniowe. O ile strona brytyjska zdecydowanie parła ku osiągnięciu jakichś konkretnych rezultatów negocjacji prowadzonych pod auspicjami Ligi Narodów, o tyle Polska nie zamierzała ani zredukować swego potencjału zbrojeniowego, ani też deklarować niepowiększania go. Stąd Warszawa zaproponowała koncepcję „rozbrojenia moralnego”, która nie miała nic wspólnego ze zmniejszeniem poziomu zbrojeń, o który chodziło Brytyjczykom. Według nich, rozbrojenie doprowadzić miało do obniżenia napięcia międzynarodowego i tym samym oddalało niebezpieczeństwo wojny. Nie można jednakże nie zauważyć niekonsekwencji w postępowaniu rządu Jego Królewskiej Mości. Trudno wyobrazić sobie realne rozbrojenie bez kontroli poziomu zbrojeń w arsenałach państw podpisujących konwencję rozbrojeniową. Tymczasem Brytyjczycy nie chcieli kontroli. Gdyby okazało się, że któreś państwo nie przestrzegało zadeklarowanych zasad, trzeba by przywołać je do porządku. Można łatwo wyobrazić sobie lekceważenie wszelkich protestów dyplomatycznych i innego rodzaju sankcji. Ostatecznie konieczna byłaby interwencja zbrojna, czyli wojna. Dyplomacja polska popierała kontrolę „na miejscu”, co było postulatem sojuszniczej Francji. Podobną postawę prezentowali mniejsi sojusznicy Paryża z Europy Środkowo-Wschodniej, którzy obawiali się bądź Niemiec (Czechosłowacja), bądź Związku Sowieckiego (Rumunia).

Sytuację międzynarodową w Europie zmieniło dojście do władzy Adolfa Hitlera, prezentującego agresywną politykę zagraniczną, choćby poprzez przyspieszenie zbrojeń. Dla Londynu miało to poważne znaczenie. Tradycyjnie Europa Zachodnia (a szczególnie pokój na granicy Niemiec z Francją i Belgią) znajdowała



się w centrum zainteresowań rządu brytyjskiego. Oprócz tego istotne znaczenie miała agresywna polityka Japonii, która mogła zagrozić interesom brytyjskim w Chinach (na południe od rzeki Jangtse) oraz posiadłościom na Oceanie Spokojnym z Australią włącznie. Przy większej ekspansywności Japończyków zagrożone mogły być nawet Indie. W 1935 roku do grona państw niebezpiecznych z punktu widzenia Londynu dołączyły Włochy poprzez atak na Abisynię. Silniejsze usadowienie się tego kraju nad Morzem Czerwonym mogło potencjalnie przeciąć komunikację morską Metropolii z „Perłą w Koronie”. Zaangażowanie Benito Mussoliniego w wojnę domową w Hiszpanii i budowanie przez niego włoskiej strefy wpływów w zachodniej części Morza Śródziemnego tylko powiększało takie wrażenie w Londynie. Dla Brytyjczyków wojna z którymkolwiek z tych państw musiała wydawać się trudna (najłatwiejszym przeciwnikiem były Włochy). W przypadku konfliktu zbrojnego z dwoma z tych krajów zwycięstwo wydawało się praktycznie niemożliwe. Natomiast ewentualność walki z trzema wrogami naraz zwiastowała w kalkulacjach brytyjskich pewną klęskę. Jak widać, Europa Środkowo-Wschodnia nie występowała wśród strategicznych priorytetów Wielkiej Brytanii. Wynikła stąd ostatecznie realizacja koncepcji *appeasementu*, czyli zaspokajania ambicji państw agresywnych kosztem państw z tego regionu Europy. Józef Beck, jako szef polskiej dyplomacji, miał jednakże przekonanie, iż bliska współpraca z Brytyjczykami była do osiągnięcia. Szczególne nadzieje wiązał z Anthonym Edenem. Postawienie na Londyn było nowością w odziedziczonej przez polskiego ministra koncepcji Józefa Piłsudskiego, polegającej na niewchodzeniu w bliższe relacje z jednym z silniejszych sąsiadów Polski przeciwko drugiemu z nich. Akurat od czasów wielkiego kryzysu gospodarczego zaczęli się oni od siebie oddalać, co dawało Warszawie szansę na normalizację, zarówno w relacjach z ZSRS (pakt o nieagresji z 24 lipca 1932 roku), jak i z Niemcami (deklaracja o niestosowaniu przemocy z 26 stycznia 1934 roku). Polska dyplomacja wykorzystała tę szansę. Bliska współpraca z Wielką Brytanią miała w zamyśle Becka wzmocnić pozycję Polski w Europie. W rozmowach z Anthonym Edenem kilkakrotnie podkreślał, że Warszawa, podobnie jak Londyn, nie chciała „wojen religijnych” w Europie. Oznaczało to nieopowiadanie się przeciw komunizmowi lub przeciw faszyzmowi – takie narracje rozwijali III Rzesza i Związek Sowiecki. Faktycznie, rozładowywanie napięcia w Europie służyło bezpieczeństwu, zarówno Polski, jak i Wielkiej Brytanii. Jednak przesłanka tego typu oraz kilkakrotne komplementowanie przez Becka brytyjskiego „zdrowego rozsądku” nie wystarczyły, aby doprowadzić do bliższej współpracy.

Sytuacja zaczęła się zmieniać w 1939 roku. Londyn po podeptaniu przez Hitlera porozumień monachijskich i zlikwidowaniu Czecho-Słowacji nie mógł już dłużej prowadzić polityki *appeasementu*. 31 marca premier Neville Chamberlain zadeklarował w Izbie Gmin gwarancje brytyjskie dla polskiej niepodległości. Warto pamiętać, że chodziło właśnie o niepodległość, a nie o nierozzerwalność terytorialną Polski. Krok ten nie okazał się pełnym odejściem od polityki zaspokajania państw agresywnych. Można go uznać za wyrachowaną politykę Londynu. Zaraz po deklaracji doszło do wizyty polskiego ministra spraw zagranicznych nad Tamizą. Brytyjczycy zamierzali wykorzystać przyjazd Becka i przekształcić swoje gwarancje w gwarancje dwustronne, które strona polska udzieliłaby Wielkiej Brytanii. W razie oporu nie wykluczano wycofania własnych gwarancji. Gdy szef polskiej dyplomacji nie tylko zaakceptował deklarację Chamberlaina z 31 marca, ale także bezproblemowo zgodził się na odwzajemnienie jej, w Londynie zapanowało pewne zdziwienie. Józef Beck potraktował propozycję prestiżowo – wzajemne gwarancje z Wielką Brytanią oznaczać mogły równoważne traktowanie się obu państw. Jednak dla Londynu był to początek wyrafinowanej gry, polegającej na przerwaniu stabilnych relacji polsko-niemieckich, trwających od 1934 roku. Wzajemne gwarancje Londynu i Warszawy musiały zostać odczytane przez Berlin jako nieprzyjazne. W rezultacie rząd niemiecki odpowiedział wypowiedzeniem deklaracji polsko-niemieckiej z 1934 roku oraz brytyjsko-niemieckiego układu morskiego z 1935 roku. W kalkulacjach Londynu kolejnym krokiem miało być jednakże rozpoczęcie negocjacji ze Związkiem Sowieckim celem wytworzenia zagrożenia na wschodniej granicy Niemiec. Trwały one od marca 1939 roku, ale tempa nabrały w lipcu. Z punktu widzenia Londynu trudno było wyobrazić sobie sytuację, w której wojsko polskie broniłoby się przed idącą na zachód Armią Czerwoną, chroniąc tym samym wschodnią granicę Niemiec. Dla Polski koncepcja współpracy militarnej z ZSRS, polegającej na wpuszczeniu na własne terytorium wojsk sowieckich, była nie do zaakceptowania,



gdyż owocowałyby końcem polskiej niepodległości. Co prawda, Londyn nie naciskał Warszawy na otwarcie wschodnich granic, ale czyniła to dyplomacja francuska. Mogła się wówczas wypełnić koncepcja Winstona Churchilla, głoszona w drugiej połowie lat 30. XX wieku, czyli sojusz brytyjsko-francusko-sowiecki, skierowany przeciwko III Rzeszy. Na Polskę słynny polityk brytyjski nie zwracał szczególnej uwagi w swoich rozważaniach.

Jak zakończyła się cała historia, wiadomo. Hitler napadł na Polskę 1 września, a Stalin 17 września 1939 roku. Odpowiedź brytyjska i francuska była nieadekwatna. Rozpoczęła się „dziwna wojna”, polegająca na rzutach ulotek, zamiast bomb na terytoria zachodnich Niemiec. Polska była niemal bezbronna wobec naporu dwóch silniejszych sąsiadów, ale pozostała nadal sojuszniczką Wielkiej Brytanii, która nie wywiązała się z podjętych zobowiązań. W czasie trwania II wojny światowej znaczenie rządu polskiego i utworzonych pod jego auspicjami wojsk malało. Po tragicznej śmierci premiera Władysława Sikorskiego nie było już polityka, mającego tak duży prestiż w oczach Brytyjczyków, aby reprezentować polskie interesy. Również sytuacja na frontach nie sprzyjała pozycji rządu na uchodźstwie. Przełamanie ofensywy niemieckiej pod Stalingradem, a następnie pod Kurskiem otwierało Armii Czerwonej pochod na zachód, czyli w kierunku ziem polskich. Większa pewność siebie władz sowieckich doprowadziła do zerwania stosunków dyplomatycznych z rządem polskim. Zbliżanie się wojsk sowieckich do granicy ryskiej i tworzenie podporządkowanego Moskwie ośrodka władzy rodziło w Londynie pytanie o dalszą politykę wobec Polski. Rządowi Churchilla nie na rękę było pęknięcie w obozie antyhitlerowskim. Ze względów strategicznych ważniejszy musiał być siłą rzeczy Związek Sowiecki. Stąd brytyjski premier starał się porozumieć z Moskwą odnośnie do wschodniej granicy Polski, aby powstrzymać wpływy sowieckie w Europie. Polskie władze na uchodźstwie nie chciały zaakceptować propozycji Londynu, co tylko irytowało Churchilla, który coraz mniej chciał z nimi rozmawiać. Za plecami Polaków doszło do ustalenia linii Curzona jako granicy polsko-sowieckiej w Teheranie. W Jałcie (4–11 lutego 1945 roku) premier brytyjski był niewątpliwie najbardziej pro-polsko nastawionym uczestnikiem obrad, ale jednocześnie najstarszym z trójki decydentów. Prezydent Franklin D. Roosevelt starał się przede wszystkim wciągnąć wojska sowieckie do walk na Dalekim Wschodzie, więc obrona granic polskich przed naporem sowieckim nie interesowała go. Stalinowi z oczywistych względów zależało na możliwości tworzenia faktów dokonanych w Europie. Dlatego też mógł dyktować warunki porozumienia, natomiast jego brak w niczym by mu nie przeszkodził. Brytyjski premier musiał ustępować, obawiając się coraz bardziej, że po zakończeniu wojny stanie sam-na-sam z potęgą sowiecką, której nie czuł się w mocy sprostać, ani też nie miał na to żadnej ochoty. Do tej pory to Wielka Brytania równoważyła różne sprzeczne interesy na Starym Kontynencie, osiągając własne cele. Efektem były decyzje o polskich granicach na linii Curzona oraz na Odrze i Nysie. Dodatkowo zarządzać tymi ziemiami miał Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej, budowany w oparciu o powołany do życia pod auspicjami ZSRS Rząd Tymczasowy.

W efekcie władze w Polsce, wbrew nadziejom Londynu, utworzono nie na zasadach demokratycznych, lecz pod dyktando Moskwy (sfałszowane wybory w styczniu 1947 roku). Gdy stało się jasne, że Warszawa została całkowicie podporządkowana Związkowi Sowieckiemu, Londyn stracił niemal całkowicie zainteresowanie utrzymywaniem z nią relacji. Istniały one na poziomie dyplomatycznym, ale Brytyjczycy nie mieli ochoty robić niczego, co wzmocniłoby pozycję „sowieckich satelitów”. Tym mianem określano cały blok krajów podporządkowanych Moskwie. Interesujący mógł być co najwyżej handel bekonem czy masłem, które Wielka Brytania sprowadzała z Polski. Pewnym przełomem było przejście władzy w Polsce przez Władysława Gomułkę w 1956 roku. Przez pierwsze dwa lata Brytyjczycy łudzili się, że mógł to być pierwszy krok w kierunku większej samodzielności PRL, którą oceniano jako najbardziej autonomiczny kraj w ramach bloku sowieckiego. Pewne znaczenie miała także sympatia Johna F. Dullesa, amerykańskiego sekretarza stanu, który promował doktrynę „odpychania” wpływów ZSRS. Jednak z punktu widzenia Londynu Polska nie należała do priorytetów. W 1956 roku doszło do kryzysu sueskiego, zakończonego bolesną porażką rządu Anthony’ego Edena i w konsekwencji jego dymisją. Trzeba pamiętać o słabości





finansowej Wielkiej Brytanii w drugiej połowie lat 50. XX wieku, o niechęci wzmocnienia znaczenia rządu PRL, o czym przypominała polska emigracja nad Tamizą, a wreszcie o sporze, dotyczącym zachodniej granicy Polski, której nie uznawała brytyjska sojuszniczka z NATO, Republika Federalna Niemiec. Wszystkie te hamulce nie pozwalały na większe zaangażowanie się Londynu w relacje z Warszawą. Nie należy przy tym przeceniać roli emigrantów polskich, którzy po zakończeniu wojny zostali potraktowani przez rząd brytyjski cynicznie. Widać to chociażby w podejściu do żołnierzy polskich, walczących przeciwko III Rzeszy, których zachęcano do powrotu do ojczyzny, nie licząc się z niebezpieczeństwem, wynikającym z tego kroku dla kombatantów. Chodziło o zwyczajne pozbycie się z kraju niepotrzebnych ludzi – niechętnych do powrotu przetrucano raczej w różne części Imperium niż pozwalano osiedlić się na Wyspach Brytyjskich.

Przez jakiś czas zainteresowanie Brytyjczyków budził plan ministra Rapackiego, ale tutaj znów górę wzięła solidarność sojuszników z NATO. O pogrzebaniu szans na jego realizację wpływ miał wybuch drugiego kryzysu berlińskiego w 1958 roku. Konfrontacja Wschód–Zachód rozpoczęła się na nowo. Źle widziana była również w Londynie antysyjonistyczna nagonka w 1968 roku, ale szczególnie inwazja na Czechosłowację latem tego roku. W późniejszym okresie nie pomogła dekada odprężenia w latach 70. XX wieku. W kolejnym dziesięcioleciu inwazja sowiecka w Afganistanie i siłowa rozprawa generała Wojciecha Jaruzelskiego z „Solidarnością” (13 grudnia 1981 roku) również nie mogły sprzyjać zbliżeniu polsko-brytyjskiemu. Nie miało przy tym znaczenia, która partia zdobywała nad Tamizą władzę. Laburzyści niejednokrotnie, będąc w opozycji, zadawali konserwatywnemu rządowi prowokujące pytania (np. o uznanie granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej), ale po przejściu władzy nie zmieniali linii postępowania wobec Warszawy. Polska natomiast, jako sojuszniczka Związku Sowieckiego, zawsze opowiadała się po jego stronie.

Odzyskanie przez Polskę niepodległości zaowocowało większym zainteresowaniem Londynu sytuacją krajów w Europie Środkowo-Wschodniej. Brytyjczycy sprzyjali chociażby integracji Rzeczypospolitej Polskiej z Paktem Północnoatlantyckim i z Unią Europejską. Nie należy przy tym zapominać, iż Londynu nigdy nie zachwycała wizja pogłębiania integracji w ramach Wspólnot Europejskich. Stąd wspieranie rozszerzania UE. W kalkulacjach rządu Jej Królewskiej Mości im więcej energii zajmie rozszerzanie Unii, tym mniej byłoby możliwości na pogłębianie współpracy w dziedzinach innych niż gospodarka. Przeciwny sposób myślenia przyjmowały Francja i Niemcy (każde z tych państw z innych powodów), które dążyły również do tworzenia nowych powiązań między członkami UE. Polska wykorzystała swoją szansę i w 2004 roku weszła w struktury europejskie. Wielka Brytania była jednym z pierwszych państw, które otworzyły swoje granice dla swobodnego przepływu ludzi z nowo przyjętych krajów na Wyspy. Wykorzystało tę szansę wielu Polaków, podejmując prace często niechciane przez samych Brytyjczyków. Szacunki co do liczebności najnowszej emigracji polskiej na kierunku brytyjskim różnią się od siebie bardzo znacząco. Tego rodzaju polityka Londynu miała jednakże swoje poważne konsekwencje. Gdy rozpoczęła się kampania na rzecz wystąpienia Wielkiej Brytanii z UE, to właśnie słowo „immigrants” było najczęściej powtarzaniem przez zwolenników *Brexitu*. Ich przybycie na Wyspy i korzystanie z brytyjskich udogodnień socjalnych stawało się najpoważniejszym powodem zatrzymania się rozwoju społecznego i gospodarczego Wielkiej Brytanii, według euro-sceptyków. Można powiedzieć, że polityka władz nad Tamizą zaowocowała „chichotem historii”. Doprowadziła do zupełnie innych konsekwencji niż zamierzano. Perspektywy dalszych stosunków polsko-brytyjskich zależne będą od tego, na ile oba kraje uznają się nawzajem za interesujące z punktu widzenia ich własnych interesów i potrzeb. Możliwości ich rozwoju pozostają otwarte.

Głosa 5.

**Tomasz Korban**

Uniwersytet Pedagogiczny im. Komisji Edukacji Narodowej w Krakowie

## **WIELKA BRYTANIA – „WIECZNE INTERESY”. UWAGI DO STOSUNKÓW POLSKO-BRYTYJSKICH W XX WIEKU**



Debatą nad stosunkami polsko-brytyjskimi w XX wieku, jaką miałem przyjemność moderować, jest okazją do sformułowania kilku uwag, zarówno w odniesieniu do samych relacji pomiędzy Warszawą a Londynem, jak również prowadzenia polityki zagranicznej współcześnie. Wydaje się, że żyjemy dzisiaj w innych czasach, realiach politycznych niż przyszło żyć twórcom polityki zagranicznej II RP, Rządu RP na uchodźstwie, czy nawet komunistycznym decydentom PRL. W XX wieku były jednak wydarzenia, które mogą również dziś być przydatne w realizacji racji stanu przez Polskę.

Wielka Brytania budzi w Polsce mieszane uczucia. Dla dużej liczby Polaków do niedawna było to miejsce, w którym można było rozpocząć lepsze życie na emigracji. Z drugiej strony, Londyn postrzegany jest przez pryzmat doświadczenia II wojny światowej, a zwłaszcza jej końcowego okresu, jako sojusznik, który zdradził Warszawę, zostawiając ją na pastwę losu Związku Sowieckiego. Czy Wielka Brytania była jednak tak naprawdę kiedykolwiek sojusznikiem Polski? Henry Temple, XIX-wieczny premier Zjednoczonego Królestwa mówił, że „Wielka Brytania nie ma wiecznych sojuszników ani wiecznych wrogów; wieczne są tylko interesy Wielkiej Brytanii i obowiązek ich ochrony”. Ta maksyma miała również zastosowanie do brytyjskiej polityki zagranicznej w XX wieku.

Prześledzę zatem wybrane aspekty relacji-polsko-brytyjskich w ostatnim stuleciu, aby pokazać, że Wielka Brytania dążyła do pogłębienia relacji z Polską wtedy, kiedy miała w tym żywotny interes. Polska nigdy nie zajmowała szczytnego miejsca w brytyjskiej polityce zagranicznej. Niektórzy mogą potraktować to za oczywistość, inni będą się oburzać, ale należy o tym pamiętać, że rządy poszczególnych krajów realizują w pierwszym rzędzie własną rację stanu. Nie są altruistami, a często szczytne hasła o wolności i demokracji służą tylko do osiągnięcia zakładanych celów.

Odrodzona Rzeczpospolita budziła mieszane uczucia wśród brytyjskich rządzących. Polska była postrzegana jako kraj niestabilny. Już w trakcie konferencji pokojowej w Wersalu brytyjski premier David Lloyd George postrzegał Polskę jako klienta Francji. Stąd też, jeżeli w Wersalu musiało dojść do kompromisu między Paryżem a Londynem, to jego ofiarą padała Polska. Brytyjski premier chciał nawet obciążyć Polskę odszkodowaniami wojennymi, z racji przejęcia niemieckich terenów. Znana jest również historia związana z brytyjskim premierem, który pytał, po co Polakom potrzebna jest Galicja, myląc ją z hiszpańską prowincją o takiej samej nazwie. Tak więc wzajemne relacje nie zapowiadały się dobrze. W czasie wojny polsko-bolszewickiej Brytyjczycy tak naprawdę nie zrobili nic, aby pomóc Polsce. Sytuacja, w jakiej znalazła się Warszawa latem 1920 roku była efektem, jak postrzegali to Brytyjczycy, awanturniczej polityki Polaków, „imperialistycznych zapędów”, a sami Polacy zachęceni byli do zawarcia rozejmu z bolszewikami. Nawet po zwycięskiej bitwie warszawskiej, Londyn nawoływał do zawarcia natychmiastowego pokoju. Również po odejściu nieprzyjawnego Polsce premiera Lloyd George’a, dochodziło do groteskowych sytuacji. Niektórzy brytyjscy politycy pytali się ze zdziwieniem, dlaczego Polska nie chce oddać Sowietaom Wilna, tak dla świętego spokoju (sic!). Ten przykład pokazuje, z czego wynikała niechęć Brytyjczyków do Polski – ze zwykłej ignorancji, niewiedzy na temat nie tylko Polski, ale tej części Europy. Co może dzisiaj z tego wynikać? Polska powinna nie tyle ciągle przypominać o swoich interesach, co budować *soft power*. Nieustanne promowanie polskiej kultury, języka, rozwijanie kontaktów naukowych, może przynieść więcej pożytku niż działania na poziomie politycznym. Często coś, co wydaje się być nam, Polakom, oczywistością, dla innych



narodów nie jest to już znane i jasne. Wszystkie czynniki pozapolityczne mogą stworzyć dobry grunt do współpracy na poziomie politycznym.

Przez całe dwudziestolecie międzywojenne Wielka Brytania nie była uważana za bliskiego sojusznika Polski. Dlatego też brytyjskie gwarancje dla Polski w 1939 roku, jak również fakt, że to Londyn pierwszy wypowiedział Berlinowi wojnę, były pewnym paradoksem. Dzisiaj te decyzje, jak również brak realnych działań wojennych przeciwko Niemcom, postrzegane są jako cyniczna gra, mająca na celu opóźnienie włączenia się Wielkiej Brytanii do konfliktu, do którego nie była przygotowana. Polityka *appeasementu* była krótkowzroczna. Jeszcze bardziej może nas bulwersować oddanie Polski w sowieckie ręce w Jałcie i Poczdamie, a także nalegania Winstona Churchilla, aby Polacy nie przeszkadzali w porozumieniu ze Związkiem Sowieckim, który od czerwca 1941 roku był atrakcyjniejszym niż Polska sojusznikiem dla Wielkiej Brytanii. Stąd też wszelkie próby dotarcia do prawdy o Katyniu były postrzegane jako próba rozbicia sojuszu przeciwko państwu Osi, mimo że w prywatnych rozmowach brytyjscy politycy byli przekonani, że za mord na polskiej elicie byli odpowiedzialni Sowieci. Czy Londyn mógł postąpić inaczej, np. stanąć po stronie Polaków, dokonać desantu na Bałkanach? Jak wiemy, były takie plany, ale czy były one realne? Do planów brytyjskiego premiera sceptycznie odnosił się prezydent Roosevelt, który nie był skłonny zadrażniać stosunków ze Stalinem. ZSRS miał pomóc w walce z Japonią. Jednak po raz kolejny można stwierdzić, iż polityka zachodnich aliantów była krótkowzroczna, nastawiona na realizację doraźnych celów, związanych czasami z kalendarzem wyborczym, a także relacjami z innymi państwami. Czy Brytyjczycy nie potrafili przewidzieć skutków swojej decyzji o oddaniu Europy Środkowo-Wschodniej Stalinowi? Zapewne potrafili, była to jednak dla nich cena za sojusz ze Związkiem Sowieckim. Czy II wojna światowa może nas w tym kontekście czegoś nauczyć? Być może wskazywanie współcześnie na długotrwałe konsekwencje pewnych decyzji politycznych naszym partnerom (w szczególności na Zachodzie) jest tym działaniem, które może przynieść Polsce pozytywne skutki.

Z II wojną światową związany jest jeszcze jeden aspekt. W trakcie wojny niewątpliwie zawiązało się polsko-brytyjskie braterstwo broni. Wielu Brytyjczyków (również po 1945 roku) sympatyzowało z Polakami, zarówno z emigrantami na Wyspach, jak również tymi w kraju. Pomimo pozytywnych nastrojów, nie przełożyło się to na politykę zagraniczną Zjednoczonego Królestwa względem Polski Ludowej. Wynikało to oczywiście z innych względów, do których należała zimna wojna, silniejsza niż wszystkie inne czynniki. Kilkakrotnie, w okresie powojennym, postępowanie brytyjskich rządów, nawet nie wobec rządów komunistycznych, co polskiej diaspory w Wielkiej Brytanii, budziło sprzeciw społeczeństwa. Tak było w wypadku budowy Pomnika Katyńskiego w Londynie w latach 70. XX wieku, kiedy to laburzystowskie władze utrudniały jego postawienie, nie chcąc sobie komplikować stosunków z ZSRS i PRL. Znaleźli się Brytyjczycy, którzy przeproszali Polaków za postępowanie rządu. Powinniśmy jednak pamiętać, że sympatie narodowe bardzo często nie przekładają się na stosunki międzynarodowe.

Po 1945 roku Polska również utrzymywała stosunki z Wielką Brytanią. Czy współcześnie możemy wyciągnąć jakiegokolwiek pozytywne wnioski z polityki zagranicznej PRL? Pomiędzy historykami, specjalistami z zakresu stosunków międzynarodowych toczy się dyskusja, czy można w ogóle mówić o tym, że Polska Ludowa prowadziła politykę zagraniczną, ponieważ jest to jeden z atrybutów suwerenności. Komunistyczni decydenci w Polsce mieli jednak pewien zakres swobody i niejednokrotnie borykali się z podobnymi, co współcześni politycy, problemami.

Przy okazji wyborów parlamentarnych (nie tylko w Wielkiej Brytanii) w polskiej przestrzeni publicznej pojawiają się pytania o to, jak zmieni się polityka zagraniczna danego kraju, jeśli stery u władzy przejmie dotychczasowa opozycja. Podobne bywało również w latach 70. XX wieku. Polscy decydenci żywili nadzieję, że w przypadku dojścia do władzy Partii Pracy, będzie się im lepiej współpracowało, z racji bliższości ideowej. Nic bardziej mylnego. Laburzyści w praktyce rządzenia postępowali bardzo podobnie jak torysi.



Przykładowo, po wyborach w 1974 roku Partia Pracy planowała cięcia w sferze publicznej. Polityka zagraniczna laburzystów nie różniła się znacznie od konserwatystów. Co więcej, rządy tych drugich, a w szczególności początek rządów Margaret Thatcher w 1979 roku (kiedy to polscy dyplomaci grzmieli, iż „Żelazna Dama” wprowadza „elementy państwa policyjnego”) nie okazały się aż tak straszne dla relacji z blokiem wschodnim, jak sądzili przedstawiciele dyplomacji PRL. Thatcher, pomimo jej znanego nastawienia do komunizmu, postawiła na *realpolitik* we wzajemnych stosunkach. Nie spełniły się najczarniejsze sny Ministerstwa Spraw Zagranicznych PRL. Ten przykład nie jest jedynym w historii, można znaleźć również podobne w innych krajach. Świadczy on jednak o tym, iż poszczególne kraje, pomimo zmiany kolejnych rządów, mogą mieć te same kierunki polityki zagranicznej, a zachodzące zmiany – charakter kosmetyczny.

Lata 70. XX wieku są też okresem, kiedy Wielka Brytania stała się częścią Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej (1973). Aparat urzędniczy MSZ PRL zastanawiał się, jak brytyjski akces do poprzedniczki Unii Europejskiej wpłynie na wzajemne stosunki gospodarcze pomiędzy PRL a Zjednoczonym Królestwem. Obawy o pogorszenie warunków współpracy ekonomicznej okazały się częściowo słuszne. Można powiedzieć, że prawie 50 lat później historia zatoczyła koło... Choć w zmienionych warunkach, w innym układzie sił w Europie, również Polacy zadawali (i zadają) pytanie, w jaki sposób *brexit* wpłynie na wzajemne stosunki gospodarcze. Wielka Brytania była jednym z najważniejszych importerów polskich produktów. Pomimo zawartej umowy pomiędzy Londynem a Brukselą, dopiero najbliższe lata pokażą nam, jak rzeczywiście ułożą się relacje w tej dziedzinie.

Wyjście Wielkiej Brytanii z UE w dziedzinie politycznej spowodowało, że Polska straciła partnera w dążeniach do budowy „Europy Ojczyzn”. Główny głos mają teraz zwolennicy pogłębiania integracji. Jak wynika natomiast z analizy nowej globalnej strategii brytyjskiej („Globalna Brytania w erze konkurencji”), przeprowadzonej przez jednego z uczestników naszej debaty, Przemysława Biskupa, Wielka Brytania zaczyna coraz częściej spoglądać na rejon Azji i Pacyfiku. Rozluźnienie więzi politycznych z UE, a więc również z Polską, wydaje się być pewnym zagrożeniem we wzajemnych stosunkach. Pomimo tego, że według raportu Polska odgrywa ważną rolę w systemie europejskiego bezpieczeństwa, to oczy brytyjskich rządzących będą zwrócone w inne miejsca. Kreatorzy polskiej polityki zagranicznej powinni mieć świadomość zupełnie innej optyki, jaką ma Wielka Brytania. Czy nam się to podoba czy nie, należy pamiętać, iż Polska nie jest pierwszym partnerem dla Zjednoczonego Królestwa. W wypadku globalnych interesów brytyjskich Polska nie jawi się jako atrakcyjny partner. Pewien wpływ na kształtowanie się relacji polsko-brytyjskich ma UE i musimy się liczyć z pewnymi ograniczeniami. Jednocześnie wciąż pozostają dziedziny, które są i mogą być obszarem współpracy, jak kultura i nauka. Na pewno ważnym tematem wzajemnych relacji wciąż pozostaną polscy emigranci na Wyspach.

Na początku zazaczyłem, za jednym z polityków, iż Wielka Brytania ma wieczne interesy. Wydaje się, że relacje polsko-brytyjskie nabiorą z powrotem tempa wtedy, gdy znów pojawi się więcej wspólnych interesów. W obecnej sytuacji warto wykorzystać narzędzia polityki *soft power* (jakkolwiek duże byłyby dysproporcje między Londynem a Warszawą). Współpraca na polu nauki i kultury może stworzyć dobre podwaliny pod intensywniejszą współpracę polityczną.

#### Bibliografia:

Biskup P., *Zwrot od Europy ku Azji i Pacyfikowi w nowej brytyjskiej strategii globalnej*, „Komentarz PISM”, 2001, nr 24.

*Historia dyplomacji polskiej*, t. IV (1918–1939), red. P. Łossowski.

Korban T., *Stosunki polsko-brytyjskie w latach 1971–1980 w świetle polskich źródeł dyplomatycznych*, Kraków 2020 [niepublikowana praca magisterska]

Tebinka J., *„Wielka Brytania lojalnie dotrzyma swojego słowa.” Winston S. Churchill a Polska*, Warszawa 2013.

## RELACJE POLSKO-AMERYKAŃSKIE



Debata pt. „Republikanizm amerykański i polski: inspiracje i osiągnięcia”  
odbyła się 8 lipca 2021 roku.

## REPUBLIKANIZM: INSPIRACJE I OSIĄGNIĘCIA

W dyskusji udział wzięli:

**prof. Jolanta Daszyńska** (Uniwersytet Łódzki)  
oraz **prof. Rafał Proszak** (Uniwersytet Ekonomiczny w Krakowie).

Rozmowę poprowadził

**dr Przemysław Piotr Damski** (Akademia Finansów i Biznesu Vistula w Warszawie).

**Dr Przemysław Piotr Damski:** Przy komentowaniu współczesnych stosunków międzynarodowych coraz częściej zwraca się uwagę na kontekst historyczny. Jeszcze mniej więcej dekadę temu dosyć popularna była teza, że historia się skończyła i interesuje nas głównie to, co jest tu i teraz, a ten kontekst historyczny był może nie ignorowany, ale traktowano go trochę z przymrużeniem oka, spychano na plan dalszy. Natomiast teraz mówi się o tym, że historia wróciła, wyważyła drzwi i odgrywa dosyć duże znaczenie, zwłaszcza, gdy mamy do czynienia z tzw. ruchami populistycznymi o różnym zabarwieniu, które wywierają wpływ na politykę wewnętrzną, a czasem i zewnętrzną, poszczególnych państw. Bardzo często okazuje się, że społeczeństwa, które odwołują się do jakiejś sympatii czy antypatii względem danego narodu, odnoszą się właśnie do kontekstu historycznego; do jakiejś mitycznej przyjaźni między narodami. To, czy jest ona prawdziwa, czy nie i to, jak ją definiujemy, może być kwestią dyskusyjną. Narody te odwołują się jednak do tej kategorii. Odwołują się także do kontekstu zdrady, do poczucia krzywdy, co wpływa na politykę zagraniczną i na odbiór poszczególnych państw. Gdybyśmy mieli teraz spojrzeć na relacje polsko-amerykańskie w tym kontekście, to możemy zwrócić uwagę, że regularnie przeprowadzane badania przez CBOS wskazują, że w ścisłej czołówce popularności narodów, czy państw, w Polsce znajdują się Stany Zjednoczone. Według najnowszych badań opublikowanych w roku 2020 Stany Zjednoczone cieszą się czwartą popularnością wśród Polaków. Na pierwszym miejscu znajdują się Czesi, potem są Słowacy i Włosi. Popularność Amerykanów jest tutaj dosyć duża, bo to jest około 50 procent. Jednocześnie niewielka jest grupa przejawiająca uczucia negatywne, gdyż jest to około 12 procent. W tym miejscu warto zwrócić uwagę, że Polacy stosunkowo niechętnie obdarzają pozytywnymi uczuciami inne nacje. Najpopularniejsi w sondażu Czesi, cieszą się sympatią 53 procent polskiego społeczeństwa, czyli niewiele ponad połowy. Natomiast jeżeli byśmy chcieli przyjrzeć się, jak to wygląda w Stanach Zjednoczonych to według badań YouGov z 2020 roku Polacy cieszą się sympatią 46 procent mieszkańców tego kraju, więc wydaje się, że podobnie jak w przypadku polskiej sympatii w stosunku do Amerykanów. Natomiast w Stanach Zjednoczonych zdecydowanie wyższy jest wskaźnik pozytywny wobec innych państw. Dlatego że Polska, pomimo tego, że plasuje się mniej więcej w okolicach połowy tej sympatii, nie jest nawet w pierwszej dziesiątce tych państw, które są najbardziej lubiane przez Amerykanów. Tutaj na czoło wybija się Australia – 75 %, Nowa Zelandia – 67 %. Wszystkie państwa Europy Zachodniej również dużo lepiej są postrzegane niż Polska, tutaj najgorszy wynik ma Portugalia – 48 %. Zastanawia mnie z czego wynika taka różnica, zarówno w tym, że Amerykanie dużo większą sympatią potrafią obdarzać inne narody niż Polaków, a z drugiej strony, że popularność Polski w samych Stanach Zjednoczonych jest nieco niższa niż Ameryki w Polsce.

**Prof. Jolanta Daszyńska:** Przede wszystkim chciałabym wszystkim państwu podziękować za zaufanie do mnie i za zaproszenie na dzisiejszą dyskusję. Jeżeli chodzi o odpowiedź na pytanie tutaj zadane bezpośrednio do mnie, to pozwolę sobie cofnąć się do wieku XVIII.



Mówimy o tradycji. Narody bez historii, bez tradycji, w zasadzie nie funkcjonują, jednak Polska ma tradycję bardzo długą, w przeciwieństwie do Amerykanów, którzy mogą pochwalić się krótką, zaledwie dwustuletnią. Ich relacje z Polską u samego zarania tworzenia się Stanów Zjednoczonych były bardzo owocne i to z dwóch stron. Polacy wiedzieli co się dzieje w walczących o niepodległość trzynastu koloniach, a potem po ogłoszeniu deklaracji niepodległości w 1776 roku w powstałym tam państwie. W Rzeczypospolitej bardzo interesowano się tymi wydarzeniami, przy czym nie czyniono tego w sposób bierny, a oferowano pomoc, i to nie byle jaką, pomoc bardzo pożądaną wówczas przez walczących Amerykanów, a mianowicie wsparcie przywódców wojskowych, doskonałych strategów, taktyków. Mam tutaj na myśli chociażby udział Kazimierza Pułaskiego i Tadeusza Kościuszki. Natomiast jeżeli chodzi o Stany Zjednoczone to twórcy tego państwa, znani jako Ojcowie Założyciele, bardzo interesowali się polskim ustrojem. Czynie to zwłaszcza w momencie, kiedy stanęli przed misją stworzenia systemu, który byłby dla nich najlepszy, najdogodniejszy i najbardziej pragmatyczny, bo Amerykanie są narodem pragmatycznym. W związku z tym doskonale wiedzieli, jakie są wady i zalety ustroju republikańskiego, demokracji szlacheckiej w Polsce. Jeżeli mogę o tym XVIII wieku jeszcze coś powiedzieć, to chciałabym wspomnieć, że odbiór wzajemny był, aczkolwiek bardzo utrudniony, bo przecież nie było żadnych połączeń, nie wynaleziono jeszcze telegrafu, to jeszcze nie te czasy, ale odbiór wzajemnych relacji był, że tak powiem, ciągły i płynny, dlatego że prasa polska była doskonale informowana o tym co się dzieje w walczącej Ameryce. Prasa amerykańska nie interesowała się Polską w tym momencie, ale przytaczano przykłady, dotyczące jej systemu ustrojowego. Analizowano chociażby unię polsko-litewską, zastanawiając się czy taka forma państwa i wprowadzone nim rozwiązania są korzystne i dla kogo? Tym bardziej, przypomnę, że Stany Zjednoczone podniosły rękę na największą metropolię, na najsilniejsze państwo w ówczesnym świecie – Wielką Brytanię – i pomimo tego wywalczyły sobie niepodległość, co prawda z bardzo dużym udziałem finansowym innych państw, zwłaszcza Francji.

**Dr Przemysław Piotr Damski:** Chciałbym przejść troszeczkę dalej. Kwestia zarania państwowości amerykańskiej jest oczywiście bardzo interesująca i ważna. Natomiast interesuje nas to jak historia polsko-amerykańska w późniejszym etapie wpływała na sympatię obydwu narodów.

**Prof. Jolanta Daszyńska:** Ona wpływała bardzo pięknie do momentu ogłoszenia przez Stany Zjednoczone doktryny Monroe'a, kiedy Stany Zjednoczone odcięły się od spraw europejskich i w zasadzie od tego momentu te relacje zaczęły być stopowane. Natomiast bardzo ważną rzeczą w XIX wieku była kwestia niewolnictwa. Po pierwsze, od samego początku tego stulecia Stany Zjednoczone były przykładem państwa, które znosiło niewolnictwo w aspekcie handlu ludźmi. To był zakaz wprowadzony już w konstytucji federalnej, a wszedł w życie w 1807 roku co budziło rzeczywiście bardzo duże uznanie Polaków. Potem, kiedy wojna secesyjna zniósła definitywnie niewolnictwo, to owo uznanie było jeszcze większe. W zasadzie możemy przejść cichutko przez wiek XIX i początek XX stulecia, kiedy te stosunki nie były aż takie, powiedziałabym... wylewne, angażujące aż tylu przedstawicieli, zwłaszcza Polski, wojującej gdzieś tam u boku, walczących o jakąś sprawę amerykańską. Raczej tego nie było. Natomiast w XX wiek doszło szczególnie do I i II wojny światowej i tu już rzeczywiście pojawiło się to wzajemne oddziaływanie. To jest faktycznie wzajemne oddziaływanie, które jest



moderowane przez wybitne jednostki. Z jednej strony mamy prezydenta Thomasa Woodrowa Wilsona, który urosnie do rangi symbolu, osoby, która zauważyła Polskę. Dlaczego? Bo właśnie chociażby przez ten słynny trzynasty punkt w jego czterestopunktowym orędziu, wydanym pod sam koniec wojny. To będzie właśnie on. To będzie z drugiej strony nasz Ignacy Jan Paderewski, który będzie tę sprawę polską podkreślał, który będzie o nią walczył. Te wzajemne relacje są tutaj po prostu rewelacyjne. To jest taki przykład fenomenalny, jeżeli chodzi o zaufanie i współpracę, bo Polacy, którzy nie mają swojego państwa, którzy stracili je po rozbiorach, widzą w Stanach Zjednoczonych, a przede wszystkim w Wilsonie, niejako męża opatrznościowego, który ich sprawą się zainteresuje, który będzie domagał się tej niepodległej Polski. Co prawda tutaj też Paderewski słusznie zauważył, że słowo „powinna” powstać Polska niepodległa z dostępem do morza było delikatniej zaznaczone w tym orędziu, niż w stosunku do innych państw, gdzie nie użyto słowa „powinna”, tylko „musi”. No, ale powiedzmy, że to są kwestie stylistyczne i tak z tego Wilson wybrnął obronną ręką. Niemniej, wracając do tych stosunków wzajemnych, to są one po prostu niesamowicie żywe, bardzo owocne. Potem wchodzi na scenę polityczną Roman Dmowski w Paryżu, który też kontynuuje dzieło Paderewskiego. Później mamy koniec wojny i tu jest fenomen, ja bym powiedziała fenomen gospodarczy. Do tej pory mówimy o kwestiach politycznych, mówimy o kwestiach wojskowych, jeżeli chodzi o XVIII wiek przytoczę chociażby wspomnianego już Kościuszkę, a mamy niesamowitą pomoc dla odbudowującego się państwa polskiego po I wojnie światowej, mamy ten Czerwony Krzyż, mamy całą akcję pomocy humanitarnej, pomocy sprzętowej, żywnościowej, pomocy technicznej, pomocy w walce z tyfusem. Pomoc ze Stanów Zjednoczonych dla rodzącej się Polski, która zaczynała swój byt państwowy od zera, była tutaj przeogromna i nie dziwmy się, że uczucia polskie do tego kraju i jego przywódców były bardzo gorące, czego przykładem były obchody w Warszawie dnia niepodległości Stanów Zjednoczonych. 150 rocznica powstania tego państwa jest swego rodzaju fenomenem, Warszawa w tym czasie była bowiem miastem głodnym, odbudowującym się po zaborach, a pomimo tego pozwolono sobie na tego rodzaju obchody. Mało tego, zostały one bardzo pięknie przeprowadzone – na tarasie teatru pojawiła się mini Statua Wolności oraz zorganizowano pochód z amerykańskimi flagami. Uroczystości te były symbolicznym podziękowaniem dla Stanów Zjednoczonych, nie mówiąc już o akcji składania Amerykanom życzeń, których 111 tomów wysłano za ocean w podzięce za pomoc, ratunek, zainteresowanie i zaangażowanie. To był bardzo piękny gest, który, jak sądzę, więcej się już nie powtórzy.

**Dr Przemysław Piotr Damski:** Tutaj wspominamy o takiej kwestii, ile Stany Zjednoczone wypracowały w relacjach z niektórymi polskimi politykami i jak dobry PR zbudowały sobie na przestrzeni lat 1914–1939. Paderewski w 1915 r. przyjeżdża do Stanów Zjednoczonych i tam zaczyna współpracować z Edwardem Mandellem Housem na rzecz sprawy polskiej, co zdyskontował Wilson. Oczywiście, politycznie sprawa polska nie zawsze była dla Amerykanów interesująca. Natomiast część czytanych Amerykanów bardzo dobrze, orientowała się w polskiej literaturze i nie było niczym nadzwyczajnym, że na przykład w amerykańskiej prasie znajdowała się recenzja „Faraona” Bolesława Prusa, a w listach do jednego z amerykańskich tłumaczy polskiej literatury Theodore Roosevelt zachwycał się „Trylogią” Henryka Sienkiewicza, wskazując, że „Quo vadis” go trochę znudziło. Roosevelt lubował się w polskiej literaturze. Z tego co wiem, to starym tłumaczeniem „Faraona” zachwycał się też John Fitzgerald Kennedy. Tak więc literatura polska potrafiła nam zrobić bardzo dobry PR w Stanach Zjednoczonych. Zastanawiam się jeszcze nad jedną rzeczą, a mianowicie, do jakiego stopnia relacje polsko-amerykańskie zostały naznaczone przez Jałtę?



**Prof. Jolanta Daszyńska** Ja bym powiedziała, że to już inna „bajka”, jeżeli mówimy takim językiem bardziej kolokwialnym. Do tej pory mówiliśmy o wzajemnym szacunku, współpracy, zachwycie, nieraz transporcie kultury, transporcie myśli technicznej nawet. Jałta natomiast to już zupełnie inny układ polityczny i chyba nie wszyscy sobie zdawali sprawę, że jest inaczej. Poza tym mamy potem jeszcze dwóch prezydentów amerykańskich, którzy zajmują się Europą powojenną. Ja bym tutaj nie dawała wspólnej linii i nie kontynuowała tego, to już jest inny przedział. Nie za bardzo może Amerykanie umieli dostrzec sytuację albo też nie chcieli, bo czasami ich wypowiedzi i ich propaganda, jeżeli chodzi o kwestie, jak używać jakiegoś słowa, jak się zachowywać, to czasami jest bardziej taką wyważoną dyplomacją niż szczerą chęcią współpracy, czy pomocy.

**Dr Przemysław Piotr Damski:** Teraz chciałbym oddać głos panu profesorowi w nawiązując do tego, o czym mówiłem na początku i ewentualnie w nawiązaniu do tego, co powiedziała pani profesor.

**Prof. Rafał Prostek:** Dziękuję za mądre pytanie pani doktorze, które wymaga pewnego uporządkowania, dlatego że rozpoczął pan wypowiedź od pytania o przyjaźń polsko-amerykańską i meandry jej rozwoju, a później, dosyć swobodnie, przeszedł pan do analizy tych relacji i to już nie w wymiarze państwowym, jak dobrze rozumiem, społeczeństwa polsko-amerykańskiego. Gdybyśmy zaczęli od tego, od czego pan rozpoczął, od tych relacji międzypaństwowych. Podejrzewam, że dyskusja wokół przyjaźni między państwami jest dyskusją bezproduktywną. Na potwierdzenie tej tezy wykorzystam też z pana wypowiedzi ten bardzo istotny fragment naszej wspólnej historii, jakim są doświadczenia jałtańskie, Jałta. Dlaczego? Dlatego, że między państwami raczej nie powinniśmy myśleć o przyjaźni, szukać przyjaciół, ale zbieżności interesów, ewentualnie uświadomić sobie rozbieżność tych interesów. W polityce, gdy myślimy o przyjaźni to byłbym skłonny iść tą ścieżką, którą wyznaczył nam Arystoteles, który myślał o przyjaźni, ale o obywatelskiej przyjaźni między uczestnikami określonej wspólnoty politycznej, też bardzo wąsko pojętej, tego antycznego polis, które nie jest zbyt liczne. Obywatele w nim mają możliwość poznania się bliżej. I rzeczywiście, wtedy te relacje między nimi można w przybliżeniu nazwać przyjaźnią, między państwami to chyba nie jest możliwe. Jest tylko interes. Przykład Jałty to jest moment, w którym te interesy narodu polskiego i interesy Stanów Zjednoczonych okazały się jednak rozbieżne. To po pierwsze, a po drugie relacje społeczne. Społeczeństwo polskie a społeczeństwo amerykańskie. Pozytywne skojarzenie, które w duszy Polaka pojawia się wtedy, kiedy słyszy Ameryka, wynika najprawdopodobniej z tego, że historia amerykańska to jest historia walki o wolność. W związku z tym przez okres braku podmiotowości politycznej Polski w efekcie rozbiorów ta sympatia dla wysiłku utworzenia tego własnego państwa w imię wolności i sprawiedliwości i, w pewnej mierze, równości społecznej, mogła być dla kolejnych pokoleń Polaków inspirująca. Druga rzecz, nie zapominajmy, że... ja jestem z Galicji, mieszkam w Krakowie, mówiąc ściślej pod Krakowem i w tej części Polski te skojarzenia ze Stanami Zjednoczonymi są bardzo dobre i pozytywne, nie tylko na Podhalu. To wynika po prostu z faktu, że kolejne pokolenia, zamieszkujące te ziemie emigrowały do tego kraju, więc mamy



tutaj swojego rodzaju utożsamienie się, nawet powiedziałbym takie... rodzinne. To znaczy, niemal każdy ma kogoś tam i zna kogoś, kto ma tam rodzinę. Mówię oczywiście o Polakach wyjeżdżających za chlebem.

**Dr Przemysław Piotr Damski:** Wspomnę książkę o Polakach „Cesarz Ameryki”, w której emigrację Polaków do Ameryki opisywał Martin Pollack.

**Prof. Rafał Prostek:** Tak więc musi być jakiś powód abyśmy emigrowali do Stanów Zjednoczonych. Nie emigruje się w miejsce, które jest miejscem niechcianym. Podróżujemy, szukamy możliwości lepszego życia na poprawę swojego losu w tym miejscu, które jest swego rodzaju obietnicą. Stany Zjednoczone stale pozostają obietnicą, obietnicą lepszego życia. Wiemy, że ten amerykański sen nie jest tak wspaniały, ale wciąż jest dla wielu ludzi dużą inspiracją. Jeżeli chodzi natomiast o tą odwrotną relację to znaczy postrzeganie polskiego społeczeństwa przez Stany Zjednoczone i społeczeństwo amerykańskie, miejmy świadomość skali. Miejmy świadomość, jaki udział w tworzeniu państwowości amerykańskiej i później rozwoju społeczeństwa amerykańskiego i rozwoju państwa amerykańskiego mieli Polacy. Znaczący w naszej ocenie, niekoniecznie tak znaczący w ocenie Amerykanów. To znaczy, gdybyśmy spróbowali się przyjrzeć takiemu przeciętnemu podręcznikowi do historii świata, które dostaje do ręki uczeń amerykańskiej szkoły, również szkoły średniej, to pytanie jest, ile treści poświęconych Polsce tam znajdziemy, a ile treści jest tam poświęconych Francji, Anglii a później Wielkiej Brytanii, Hiszpanii a nawet tej Portugalii, która kolonizowała zachodni świat. To powinno nam wyjaśnić, dlaczego te skojarzenia z Polską są albo neutralne, chyba raczej pozytywne, bo wspomniał pan o 46 procentach mających pozytywne skojarzenia, ale wielu Amerykanów po prostu nie wie o samej Polsce. Oczywiście w naszym interesie jest, aby tego rodzaju wiedza była większa, zwłaszcza jeżeli niewiedza generuje albo niechęć, albo przekłamanie faktów historycznych, a to też się zdarza, mamy tego świadomość, tak? Że niewiedza może do tego prowadzić. Reasumując, relacje polsko-amerykańskie państwowe będą się zmieniać w czasie w zależności od tego, czy interesy będą zbieżne, spójnikowe albo nieśtety rozbieżne. Natomiast relacje społeczne, no chyba są pozytywne. Może po naszej stronie te emocje są silniejsze, ale i amerykańskie nie są szczególnie negatywne.

**Dr Przemysław Piotr Damski:** Mam bardzo podobne odczucia, to znaczy zastanawia mnie, czy też przypadkiem fakt, że przez cały XIX wiek nie było nas na mapie i w związku z tym trudno byłoby odwoływać się do konkretnego państwa, które mogłoby w tej części Europy funkcjonować, też nie zaważył na tym, jak Amerykanie nas postrzegają. Jesteśmy gdzieś tam, ale nie należymy do krajów zauważanych w pierwszej kolejności. Dostrzega się bowiem te państwa, które są silne, potężne, które są imperiami, do których w pewnym sensie możemy się odwoływać, czy ewentualnie porównywać, te które stanowią dla nas pewne zagrożenie. A Europa bardzo często była w tym czasie tak postrzegana przez Stany Zjednoczone.



**Prof. Jolanta Daszyńska:** Przepraszam bardzo, ja chciałabym jeszcze tylko jedno zdanie uzupełnić. W pełni zgadzam się z panem profesorem, bo jeżeli chodzi o kwestię polityki, albo ją prowadzimy na zasadzie co dla nas jest korzystne, czyli dla naszego państwa, albo prowadzimy politykę zaborczo-ekspansywną. Stany Zjednoczone prowadziły taką i taką, ale nigdy zaborczej w stosunku do Polski. Natomiast nie tyle Polska, co Polacy byli czasami potrzebni, właśnie różni znani Polacy. Przykładowo Thomas Jefferson korespondował na przykład z Tadeuszem Kościuszką, pożytecznym z perspektywy Amerykanów, ponieważ był on bardzo zdolnym inżynierem oraz fortyfikatorem. W tym przypadku więc nie można właściwie postrzegać, że ta polityka jest globalna, całościowa. Tym bardziej, że też zmieniają się prezydenci? Bo tak naprawdę, to kto prowadzi politykę? W sumie prezydent, ale ograniczony przez Kongres, więc tutaj też jest tak, że nie ma tej wolności. Chociaż są takie różne utarte sformułowania, chociażby to, że prezydent może wypowiedzieć wojnę, bo tak zrobił James Madison. To nieprawda, bowiem kongres zaaprobował wypowiedzenie przezeń wojny, więc nie możemy posługiwać się schematami i trzeba rozgraniczyć, co oznacza polityka i dyplomacja, a co odbiór społeczny. Ten odbiór społeczny rzeczywiście może być naprawdę znacznie szerszy i bardziej otwarty (bez podtekstów politycznych) niż oficjalny nurt władzy.

**Dr Przemysław Piotr Damski:** Myślę, że ten przypadek z I wojny światowej, kiedy Paderewski zabiegał o uwagę Wilsona, dosyć dobitnie pokazuje, że on był w stanie w dosyć krótkim czasie pozyskać sobie sympatię amerykańskiego społeczeństwa. Natomiast dotarcie i przekonanie do siebie poszczególnych urzędników wymagało zastosowania innych metod. Robert Lansing, który pracował w Departamencie Stanu i potem był sekretarzem stanu, początkowo reagował alergicznie na Paderewskiego i dopiero z czasem go polubił. A tymczasem ten sam Paderewski był postrzegany w USA niemal jak późniejszym okresie Beatlesi. Gdzie jakie otrzymywał za koncerty były niewyobrażalne.

Przejdę do następnego pytania. Mamy dzisiaj rozmawiać między innymi o republikanizmie i o tym, jak on jest istotny w rozumieniu polskim i amerykańskim. Był on istotnym elementem państwowotwórczym, o czym pani profesor już wspomniała, w przypadku Stanów Zjednoczonych, ale też narodotwórczym. Był też istotnym elementem w przypadku kształtowania się państwowości polskiej w okresie Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Niemniej rozumienie tego terminu, tej republiki czy republikanizmu wydaje się trochę inne w Stanach Zjednoczonych i trochę inne w Polsce. W Polsce często, na przykład kiedy określamy swoje państwo po angielsku, mówimy, że to jest Republic of Poland. Natomiast po polsku właściwie nie mówimy o Republice Polskiej tylko Rzeczypospolitej Polskiej. Odwołujemy się do tradycji tejże Rzeczypospolitej, której nazwa wywodzi się bezpośrednio z tłumaczenia łacińskiego terminu „res publica”. „Republika” też ma takie pochodzenie, ale to rozumienie tutaj jest jakby trochę inne, inaczej ewoluowało. Dlatego moje pytanie dotyczy tego, jakie jest pierwotne rozumienie republikanizmu zarówno w Stanach Zjednoczonych, jak i w Polsce jeszcze czasach Rzeczypospolitej Obojga Narodów, i jak te pojęcia ewoluowały?

**Prof. Rafał Prostack:** Tu są rzeczywiście dwie tradycje, polska i amerykańska. One w innych warunkach po prostu powstały. Tradycja amerykańska jest jednoznacznie ściśle związana z doświadczeniem historycznym, angielskim XVII stulecia. Warto zwrócić uwagę na to, w jakich warunkach myśl republikańska tam się pojawia, myślę tutaj o świecie anglosaskim. Oto mamy



monarchę, który jest przedstawiany, funkcjonuje jako pomazaniec boży, jako kolejny Dawid, jako ktoś kto ma ludowi bożemu przewodzić, zwłaszcza, że mamy do czynienia z porządkiem ustrojowym, w którym monarcha jest jednocześnie głową kościoła, mówię tutaj o kościele Anglii. W tych realiach innego rodzaju duchowość, myślę tutaj o duchowości purytańskiej, stawia opór, wywołuje wojnę domową. Wojna parlamentu z monarchą to jest wojna nie tylko klasowa, jak, powiedzmy, nam to Fryderyk Engels przedstawiał, nie tylko, powiedzmy, kwestie własnościowe, ale jest to też konflikt ideologiczny, jest to konflikt religijny. Jest to wojna religijna. Angielska rewolucja prowadzi króla na szafot, król zostaje ścięty na mocy decyzji parlamentu. Wypowiedziano posłuszeństwo monarsze, podniesiono rękę na bożego pomazańca, czyli uderzono „żenicę Boga”, jak nam Pismo przedstawia bożego pomazańca. Wywrócono wszystko do góry nogami. Zakwestionowano porządek społeczny, który od czasów Wilhelma Zdobywcy był utrwalany. Niezwykłe wydarzenie – Rewolucja angielska. Ta rewolucja się kończy, ta emocja się wypala, mamy restaurację monarchii. Gdy w XVIII stuleciu po drugiej stronie Atlantyku poddani króla Jerzego III niezadowoleni z ustaw przyjmowanych przez parlament w Westminsterze, ale podpisywanych przez króla Jerzego, postanawiają dać temu wyraz, nie mogą iść inną drogą, jak ponownie zakwestionować ten porządek społeczno-polityczny. Muszą obalić króla, muszą obalić monarchę i nie zrobią tego w ten sposób, który był właściwie za Oliviera Cromwella, nie mogą doprowadzić do procesu sądowego, naruszając wszelkie normy przyjęte w tym świecie, jak to uczyniono w parlamencie w Londynie w XVII stuleciu. Mogą to zrobić w inny sposób, mogą po prostu zakwestionować tę zależność od monarchii brytyjskiej i zbudować nową rzeczywistość polityczną w oparciu o zupełnie nowe zasady. Jakie to będą zasady? Pozostały tylko republikańskie. Nie było możliwości wypowiedzenia posłuszeństwa bożemu pomazańcowi w inny sposób jak stwierdzenie, że on w ogóle nie jest bożym pomazańcem. To jest bardzo ważne, abyśmy to dostrzegli. Czytamy Deklarację Niepodległości Stanów Zjednoczonych przygotowaną w pięcioosobowym zespole, ale zredagowaną ostatecznie przez Thomasa Jeffersona. Ten dokument jest swoistą próbą usprawiedliwienia świata, zresztą ów używa tam frazy, iż kiedykolwiek wypowiedzimy posłuszeństwo musimy to uzasadnić. I w jaki sposób jest to uzasadnione? Dokładnie wykorzystując te same toposy czyli mamy tam *invocatio Dei*. Bożym pomazańcem jest rezydujący w Anglii monarcha brytyjski, myślę tutaj o Jerzym III, którego wyniesieniu na tron towarzyszy ten cały rytuał religijny prowadzony przez arcybiskupa Canterbury. Tutaj również ta inwokacja się pojawia, bo Jefferson mówi wyraźnie „taka jest wola Boża”, że to Bóg spowodował, że ludzie rodzą się wolni i równi, iż to Bóg generalnie tak sobie zaplanował świat dla ludzi, dla ludzkości, że wtedy, kiedy naruszane są podstawowe prawa ludzi to oni mają prawo się zbuntować, obalić rząd i ustanowić taki, który lepiej zabezpieczy ich prawa. To jest to źródło, to jest taka narracja, która pokazuje nam, w jaki sposób rozwija się naród republikański. Potem ten republikanizm amerykański utraci kontakt z tą transcendencją. Nawet sam Jefferson, który w sumie irrelewantny religijnie, był deistą, cokolwiek to w owym czasie znaczy, ale potrzebował tego toposu, symbolu, potrzebował bożego autorytetu, aby uzasadnić ten przewrót polityczny. My, oczywiście, mówimy o wojnie o niepodległość, ale, szanowni państwo, wojna o niepodległość? A może wojna domowa w obrębie imperium brytyjskiego? Bo oto jedni Anglicy wypowiadają posłuszeństwo monarsze, a inni Anglicy pozostają lojalni wobec niego. Pamiętajmy też, że na ziemi amerykańskiej ta gotowość do zrzucenia zależności od metropolii nie była powszechnie podzielana. Wielu poddanych króla Jerzego wstąpiło do armii by bronić na miejscu interesu monarchy brytyjskiego.



**Dr Przemysław Piotr Damski:** Wielu wyemigrowało do Kanady.

**Prof. Rafał Prostak:** Wielu lojalistów zostało skazanych na emigrację, czy to do Kanady, czy na karaibskie wyspy Barbados i Jamajkę.

**Prof. Jolanta Daszyńska:** Właściwie byli zmuszeni do emigracji, bo nie mieli życia.

**Prof. Rafał Prostak:** Tak, generalnie pozbawiani własności i albo zmuszani do złożenia lojalności nowemu rządowi amerykańskiemu, temu federalnemu w zasadzie, albo do emigracji. I to jest powiedzmy ta historia amerykańska, to jest ta opowieść o republikanizmie amerykańskim. Przedstawiona jest ona oczywiście w skrócie. Natomiast polski republikanizm rozwija się w obrębie porządku ustrojowego monarchicznego. Rzeczpospolita nie jest nazwą dla republiki bez króla, jest nazwą Rzeczypospolitej Obojga Narodów dla rzeczywistości politycznej, w której król jest obecny, ale król elekcyjny, w której podmiotem politycznym istotnym jest szlachta, czyli te uprawnienia polityczne są szeroko rozsiane w społeczeństwie, zdecydowanie szerzej niż w Europie Zachodniej. Na tym pewnie problem w tej kwestii polega. Pan pyta o republikę a rzeczpospolitą. Schematycznie to jest to samo. *Res publica*, republika, rzeczpospolita, czy *commonwealth* to w sumie jest to samo, tyle tylko, że rozwinięcie tego w zależności od warunków rodzi różne kombinacje i skojarzenia. Zasadniczo też po zakończeniu I wojny światowej w Polsce moglibyśmy przywrócić monarchię. Zdecydowaliśmy się na inną ścieżkę, bardziej popularną w owym czasie w Europie, pewnie też dlatego, że nie było już powrotu do Rzeczypospolitej Obojga Narodów, bo ten drugi partner, czyli Litwa nie była tym absolutnie zainteresowana. Pojawił się konflikt między Polską a Litwą i to bardzo dramatyczny konflikt. Do dzisiaj pamiętany zwłaszcza w społeczeństwie litewskim i pamiętany w społeczeństwie negatywnie. Tak w skrócie opowiadając, bo oczywiście można więcej, bo na pewno każdy ma wiele do powiedzenia na ten temat.

**Prof. Jolanta Daszyńska:** Chciałabym zwrócić uwagę na jeszcze jedną rzecz. Tutaj została przywołana Deklaracja Niepodległości jako fantastyczny fundamentalny dokument Amerykanów i odniesienia do niego są zawsze i wszędzie. To jest po prostu dokument, który właściwie na pamięć zna każdy, ale proszę zauważyć jedną rzecz, że Amerykanie świadomi konfliktu z parlamentem napisali Deklarację Niepodległości oskarżając jedną osobę, króla, który naprawdę nie rządził, to nie on był pomysłodawcą różnego rodzaju ustaw podatkowych wynikających z potrzeb państwa. Państwa, które było zarządzane przez parlament. Przepraszam, bo nie będziemy dalej mówić o historii, ale chciałam tylko powiedzieć, że król to taki kozioł ofiarny znaleziony przez Amerykanów. To było też fenomenalne założenie Jeffersona. Nie odpowiada wróg zbiorowy, czyli parlament, odpowiada jedna osoba, którą jest Jerzy III, *nota bene* całkiem nawet sympatyczny do tych kolonii i on nawet chciał negocjować. Pan



profesor skończył, w zasadzie, na Deklaracji Niepodległości, mówiąc o republikanizmie. Ja bym dostrzegła jeszcze jeden bardzo ważny aspekt, jeżeli chodzi o ten republikanizm amerykański. To przede wszystkim te kluczowe słowa z kolejnego dokumentu, z konstytucji: „We the people”. To jest właśnie ten klucz, jak rozumieją Amerykanie demokrację i republikanizm. Wymiennie to rozumieli wtedy i właściwie teraz też trochę łączą. Wtedy naprawdę słowa im się niemalże myliły. Natomiast fantastyczne też ujęcie tego, że jesteśmy narodem, ten naród będzie właśnie reprezentowany, nie król, nie jakaś inna władza jednostkowa, tylko cały naród. No i oczywiście ten cały naród tak pięknie zawężili, że w zasadzie mówiło się, że to jest naród amerykański, ale to nie był cały naród, jak sobie doskonale zdajemy z tego sprawę.

**Dr Przemysław Piotr Damski:** Jeszcze nawiązując do tego, to jest bardzo ciekawy wątek całej demonologii amerykańskiej. Nie można było skrytykować parlamentu jako takiego, bo Amerykanie chcieli mieć jakąś formę parlamentu, jakiejś legislatury, więc nie mogli jej skompromitować. Natomiast można było w jakimś sensie skompromitować króla i właściwie rzecz biorąc w bardzo wielu dziełach kultury i popkultury po dziś dzień w Stanach Zjednoczonych utrzymuje się mit króla, który jest sprawcą wszelkiego zła.

**Prof. Jolanta Daszyńska:** On jest nazywany tyranem.

**Dr Przemysław Piotr Damski:** Gdybyśmy teraz chcieli się odwołać do bardzo popularnego musicalu, który obecnie święci triumfy na świecie, do „Hamiltona”, to tam nie ma zła w postaci parlamentu, jako takiego, czy Brytyjczyków. Jest zły król, który pokazany jest jako karykatura rządów i z którego mamy się tylko i wyłącznie śmiać. Kolejne pokolenia dziedziczą koncept tyrana. W Polsce nie ma takiej negatywnej konotacji z samym królem jako takim. Można mówić o Stanisławie Augustie Poniatowskim, ale to nie jest niechęć tego rodzaju. Tutaj to jest, bym powiedział, bardziej skomplikowane.

**Prof. Jolanta Daszyńska:** Niepożądanym i złym królem nazwałabym raczej Henryka Walezego, który uciekł z Rzeczypospolitej.

**Prof. Rafał Prostak:** To oczywiście jak wszystko jest dużo bardziej złożone. To o czym państwo mówicie, z tym się absolutnie zgadzam, jest chyba związane raczej ze świadomością społeczną, aniżeli z figurami politycznymi. Dlatego, że oczywiście Deklaracja Niepodległości adresowana jest do króla Jerzego III, jest oczywiście też adresowana do Westminsteru, do parlamentu, ale zanim ta Deklaracja Niepodległości się pojawia, jeszcze na tym obiegu społecznym, wśród elit politycznych, oczywiście mamy inny, bardzo ważny dokument, swego rodzaju patent polityczny, przygotowany przez Johna Adamsa w 1765 roku, „Rozprawa o prawie kanonicznym i feudalnym”. W tym patencie politycznym nie czytamy o królu Jerzym, a właściwie o gwałcie, który Amerykanom zadaje parlament brytyjski w Westminsterze. Dlatego,





że tamten główny trop myślenia Adamsa sprowadzał się do tego, że zasiadają w nim Anglicy. Twierdził, że mieszkańcy kolonii są również Anglikami, takimi samymi jak ci mieszkający w metropolii, a mimo to ich prawa zostały naruszone. Tłumaczył ten stan rzeczy faktem, iż nie mając reprezentacji w parlamencie, nie mogą bronić swoich racji oraz uczestniczyć w procesie stanowienia prawa, przez co podjęto decyzje, nakładające na nich różnego rodzaju podatki, opłaty, daniny, które są, co prawda, mniejsze względem tych opłat, które uiszczają ich kuzyni na Wyspach Brytyjskich. Tyle, że tamci mają reprezentację z prawem głosu, udziałem w dyskusji, a my nie – mówi John Adams – więc naruszono nasze prawa. Odpowiada za to parlament, więc to prawda, że tyranem jest nazywany król Jerzy, bo to jemu się ślubuje wierność, a nie parlamentowi, to jemu się ślubuje lojalność, to jemu przysięga się gotowość do złożenia daniny krwi, gdy staje się żołnierzem armii brytyjskiej, czy to w metropolii, czy to w koloniach. Jemu, a nie parlamentowi. Zwróćcie państwo uwagę, gdy czytamy federalistów, te eseje polityczne Alexandra Hamiltona, Jamesa Madisona, Johna Jaya, to w sumie głównym wątkiem jest w nich wezwanie do trójpodziału władzy. Właśnie, trójpodziału władzy, czyli my już wiemy, że ta władza nie spoczywa w rękach monarchy, ona spoczywa również w rękach parlamentu i w tych realiach angielskich, brytyjskich, w sumie od początku XVII stulecia mówimy już o Wielkiej Brytanii. Tym dominującym bytem politycznym oczywiście jest parlament, nad którym nie ma już nikogo, to jest autentyczny suweren. Suweren, który w swoich decyzjach nie ma ograniczeń, a ten projekt polityczny republikanizmu amerykańskiego zakłada, że nawet parlament jest ograniczony, nie tylko tym *checks and balances*, ale w konstytucji mówi wyraźnie, jakiego rodzaju uprawnienia ma parlament, jakiego rodzaju praw nie ograniczy parlament. Jakich nie ograniczy? Tych, o których mówi pierwsze dziesięć poprawek do Konstytucji, czyli tych o władzy. Te prawa, które nie należą do federacji, należą do ludu amerykańskiego albo do władz stanowych. Każdorazowo się deklaruje w tej karcie praw, jakiego rodzaju działań o charakterze ograniczającym parlament względem nie poddanych, a obywateli, podejmować nie może.

**Prof. Jolanta Daszyńska:** Sam układ konstytucji, bo przecież pierwszy artykuł, to jest władza ustawodawcza, potem kolejno prezydent, czyli wykonawcza, trzecia, najbardziej znana nowa władza sądownicza. Najbardziej rozbudowany jest właśnie artykuł o legislatywie i potem troszeczkę mniej już mówi się o prezydencie, a judykatura to jest już dosłownie kilka słów. I wtedy już są w konstytucji te wzajemne *checks and balances*. Jest podział między trzy rodzaje władzy, ale one się między sobą nawzajem ząbniają i są od siebie zależne.

**Prof. Rafał Prostek:** Dokładnie. Obawa, jeżeli chodzi o nadużycie władzy, koncentrowała się na władzy ustawodawczej, a nie wykonawczej. Mówiąc już o sądowniczej, jak pani profesor słusznie zauważyła, chodzi o wyobrażenie funkcjonowania federalnego sądownictwa, to ono było nijakie, nawet w momencie narodzin Stanów Zjednoczonych. Dopiero potem powstanie ustawa o sądownictwie federalnym, która dopełni, też później na mocy precedensów. Proszę pamiętać, że pierwszy prezes Sądu Najwyższego, John Jay zrezygnował w ogóle z funkcji, bo tak było to nieatrakcyjne.



**Prof. Jolanta Daszyńska:** Dopiero od Marshalla zaczyna się to wszystko.

**Dr Przemysław Piotr Damski:** Z kolei gdybyśmy chcieli powrócić do tego wątku polskiego, to znowu mamy parlament, Sejm, który jest praktycznie najważniejszy w tym momencie. Jeśli coś zostało postanowione na jego obradach, to tutaj nie było tego systemu *checks and balances*, tak jak jest to uregulowane w Stanach Zjednoczonych. Najwyższa władza spoczywała w rękach sejmu, złożonego z trzech stanów: króla, senatu i izby poselskiej skupiającej reprezentantów szlachty. W przypadku Stanów Zjednoczonych, jak wspomnieliśmy, system republikański także nie dotyczył wszystkich. Część mieszkańców z niego wyłączono.

Chciałbym przejść do kolejnego pytania, bo już chyba jesteśmy na półmetku. Mianowicie, republikanizm odgrywa istotną rolę w kształtowaniu się polskiej i amerykańskiej świadomości politycznej i wpływa na państwa, bo jest obowiązującym systemem ustrojowym. Interesuje mnie też to, jakie mamy negatywne przykłady funkcjonowania republikanizmu, zarówno w Polsce, jak i w Stanach Zjednoczonych, bo to z jednej strony dosyć atrakcyjnie wygląda, że mamy naród, który rządzi się przez przedstawicieli, mamy system legislacyjny, mamy rząd. Istnieją pewne mechanizmy, które powinny doprowadzić do wzajemnego szachowania się, zabezpieczenia się. Natomiast, jakie mamy wady republikanizmu, zarówno w wydaniu polskim, jak i w wydaniu amerykańskim? Nie chodzi mi tutaj, na przykład, tylko i wyłącznie o system Rzeczypospolitej Obojga Narodów, ale też już po odrodzeniu się Polski. Z jakiegoś powodu pierwsza forma polskiego republikanizmu się nie sprawdziła, zaraz po I wojnie światowej doszło do przewrotu majowego i wprowadzenia innej formy republikanizmu.

**Prof. Jolanta Daszyńska:** Szanowni państwo, ja bym powiedziała, że ten republikanizm amerykański był po pierwsze bardzo zadufany w sobie, a przede wszystkim zadufani w sobie byli federaliści, którzy stworzyli nowy federalny ustrój, bo oni przecież nie stworzyli nowego państwa, oni stworzyli nowy model państwa, które było stworzone właściwie wcześniej, a znane było jako Artykuły Konfederacji i Wiecznej Unii. Ten model się po prostu nie sprawdził. Amerykanie bardzo zżęcznie zapominają o tym, że to w zasadzie pierwsza konstytucja była, że to właśnie państwo działało wtedy tak, żeby była ta suwerenność poszczególnych stanów, żeby one decydowały o swoim losie, bo wszyscy wiedzą doskonale, jaka była wojna, o co walczyli, o to prawo głosu i tak dalej. W związku z tym obywatele będą bardzo praworzadni, odpowiedzialni za losy całego państwa. No i na tym się „przejechali”, mówiąc szczerze, czy mówiąc krótko, więc wprowadzili konstytucję federalną, gdzie w zasadzie wszystko pięknie „grało”, ale nie zauważyli, że są dwie partie. Jest partia, tak zwana, antyfederalistów, która się potem przerodziła w partię republikańską. Na przykład złą stroną tego wprowadzonego systemu były chociażby wybory prezydenckie i nie sięgamy tutaj do tych współczesnych wyborów, gdzie naprawdę trzeba mieć dobre rozeznanie co się dzieje, że wygrywający przegrywa i nie jest prezydentem, ale mamy rok 1800, kiedy na prezydenta startuje twórca Deklaracji Niepodległości, Thomas Jefferson, i on nie może zdobyć większości w wyborach, bo w głosowaniu ciągle oddawana jest na niego ta sama liczba głosów. Sytuacja jest patowa. Rozwiązuje ją dopiero jego przeciwnik polityczny, Alexander Hamilton, którego jednym głosem Jefferson został wybrany głową państwa. I co robi? Momentalnie wprowadza poprawkę do konstytucji, czyli poprawkę do tego *Bill of Rights*, to jest dwunasta poprawka, w której rozdzielono głosowanie na prezydenta i na wiceprezydenta. Poza tym, proszę państwa, skandaliczna



rzecz, właściwie nie negatywna, lecz skandaliczna, jeżeli chodzi o demokrację i republikanizm amerykański, to takie zakamufłowanie niewolnictwa w konstytucji. W konstytucji nie znajdziecie ani jednego słowa pod tytułem „niewolnik”, „niewolnictwo”, „system niewolniczy”. Tego nie ma, ale niewolnictwo jest wprowadzone i jest ukryte pod innymi frazami, znanymi tylko tym ojcom założycielom. Wszyscy się domyślali o co chodzi, osoby będące na kontrakcie, dwie trzecie wszystkich obywateli, takie przeliczniki powprowadzano. Tak samo jak później polowanie na przykład na szpiegów sowieckich. Przeskakując czasowo pewne zagadnienia należy zauważyć, że ten system powoduje, że można sobie pozwolić na taką nagonkę na obywatela, właściwie nic mu nie udowadniając, robiąc system samych przesłuchań, pokazowych niemalże polowań na czarownice. To jest bardzo negatywna cecha tego republikanizmu amerykańskiego. No, a jak jest dzisiaj, przepraszam, mówimy o równości, tak? Biali – czarni, przypominam. Nie będę drażyć kolejnej rzeczy, poprawności słownej, jak się określa ludność czarną. Czy to są Afroamerykanie? Bo nie używa się słowa „black”. Proszę państwa, współcześnie się nie używa, ale problemy pojawiały się, kiedy pisano o tym niewolnictwie na przykład jeszcze w XVIII czy XIX wieku. Jakiego słownictwa używać, żeby nie podpaść wydawcom amerykańskim. To jest też taka ciekawostka. No i teraz równość praw pomiędzy białą ludnością a czarną. Obecnie, proszę państwa to biały nic nie może zrobić. Czarny ma więcej praw i więcej przywilejów, bo właśnie tradycja tutaj wchodzi w grę. To tradycyjne, wiekowe postrzeganie teraz się, niestety, mści na tym obecnym systemie, na stosunku ludności czarnej do ludności białej.

**Prof. Rafał Prostek:** Wiele wątków jest w wypowiedzi pani profesor. Chciałbym wrócić do tej myśli pana doktora dotyczącej republikanizmu i ewentualnie jakiś porażek, momentów takich, w których republikanizm się nie sprawdza. Ja generalnie jestem entuzjastą tego wyboru politycznego, więc trudno mi wskazać jakieś spektakularne porażki. Natomiast miejmy świadomość, że ten system się zmieniał. Chociaż w Deklaracji Niepodległości czytamy o rządach ludowych, chociaż konstytucja zaczyna się od tej frazy „We the people”, to ja bym rozróżniał rządy ludowe od rządów obywatelskich. Ojcowie Założyciele nie szukali na siłę demokratyzacji tego systemu, chociaż może z wyłączeniem Thomasa Paine’a, który też warunkowo jest zaliczany do tej grupy ojców założycieli, bo to był on w sumie taki amerykański jakobita. On już był taki mocno, zdecydowanie, demokratycznie zorientowany. Ojcowie Założyciele wczytując się w historię tego doświadczenia kolonialnego, a potem tych pierwszych lat funkcjonowania Stanów Zjednoczonych, w reżimie artykułów Konfederacji każdorazowo czuli na plecach ten oddech ludu, który się nieustannie buntował. Kolejne rozruchy, powstania, rokosze, różnego rodzaju wystąpienia ludowe w imię wymagowanych albo prawdziwych prawd pogwałconych przez rządzących, bez względu na to, czy to były kolonialne, czy potem już rządy federalne, czy rządy stanowe. Wiele rebelii przeżyły Stany Zjednoczone, a wcześniej kolonialna Ameryka, wiele rebelii również organizowanych, powodowanych przez ludność o czarnym kolorze skóry. My historię tych wystąpień zbrojnych buntujących się niewolników słabo w Polsce znamy. Historia ta jest naprawdę przebogata. Oczywiście, to były lokalne wydarzenia, niezbyt liczne, ale dochodziło do scen bardzo dramatycznych, bardzo krwawych. Wielu właścicieli niewolników traciło życie w efekcie tych wystąpień. Mianowicie ten projekt republikański, amerykański, jest projektem elitarnym. Prawa głosu odmawiano nie tylko kobietom, nie tylko Murzynom, w tym wolnym Murzynom, nie tylko Indianom, ale



też tym, którzy nie posiadali własności. Dlatego, że już od samego początku funkcjonowania tego państwa, republikanizm ma charakter korporacyjny. Musisz mieć udziały w spółce, aby móc decydować o jej losie, czyli trzeba mieć własność. Tylko taka osoba jest wiarygodnym obywatelem, taka osoba, która posiada własność. Tym pierwszym prezydentem, który demokratyzuje ten system, mówi Amerykanom, że nasza republika nie należy do nas, lecz do elit, a ja chciałbym przywrócić ją wam, ludowi, oczywiście jest osoba bez doświadczenia politycznego, bez jakiegos udziału w tworzeniu tej rzeczywistości politycznej, natomiast z doświadczeniem wojskowym, popularny generał Andrew Jackson. On jest pierwszym prezydentem, którego w dzisiejszych realiach nazwalibyśmy populistą. To znaczy, odwołuje się do ludu, do wiary w niego, do jego uprawnień, wskazując na elity polityczne Waszyngtonu jako te, które eksploatują, wykorzystują, zdradzają. Więc ten populizm wcale nie jest cechą republikanizmu współczesnego, czy demokratyzmu współczesnego. Ja jednak odróżniam republikanizm od demokratyzmu.

Natomiast pytał pan o to doświadczenie Polski dwudziestolecia międzywojennego, a może to pani profesor zwróciła uwagę. Szanowni państwo, też musimy właściwy kontekst tutaj temu nadać. To nie jest tak, że niepowodzenia Rzeczypospolitej, młodej, świeżej, nieopierzonej demokracji okazały się nierozwojowe i należało radykalnie zmienić ustrój w Polsce, aby zapewnić spokojny rozwój temu społeczeństwu i byt polityczny temu państwu. Musimy mieć świadomość, że takie zauroczenie nową formą wspólnotowości, nielewicowej wspólnotowości, niekomunistycznej wspólnotowości, ale wspólnotowości w imię troski o dobro wspólne, w imię troski o los państwa, w imię troski o los narodu, towarzyszy większości państw Europy dwudziestolecia międzywojennego. Ten powiedzmy, jadowity wąż autorytaryzmu lub faszyzmu ugryzł nie tylko Polaków. Ugryzł Litwinów, Łotyszów, Estończyków. Ugryzł Portugalczyków, Hiszpanów, Włochów, Serbów i Chorwatów. Ugryzł w Rumunii i na Węgrzech. Mamy taką całą falę autorytaryzmu. Czy to jest dowód na słabość republikanizmu? Nie! To jest po prostu dowód na to, że okres dwudziestolecia międzywojennego był nieprawdopodobnie nieprzyjemny. To był paskudny czas dla Europy, czas nowych granic, czas nowych tożsamości i poszukiwania nowej stabilizacji. I tę stabilizację przyobiegał autorytaryzm, czy to brunatny, czy to czarny, jakkolwiek byśmy go identyfikowali. Nie, to nie jest tak, że polski republikanizm przeszedł kryzys w dwudziestoleciu międzywojennym, to Europa przeżyła kryzys.

**Dr Przemysław Piotr Damski:** Zastanawia mnie jeszcze jedna kwestia. Często się mówi, że historia Wielkiej Brytanii wynika z tego, że Wielka Brytania jest wyspą. Czy ten fakt, że Stany Zjednoczone były daleko od Europy miał podobne znaczenie. Z jednej strony funkcjonowały one w poczuciu zagrożenia, obawiając się ataku Wielkiej Brytanii z północy, ewentualnie możliwości odbicia kolonii przez Hiszpanię, z drugiej jednak ta rzeczywistość geograficzna, czy geopolityczna zachodniej hemisfery była relatywnie spokojna. W związku z tym czy Stany Zjednoczone nie posiadały realnego zagrożenia, Wielka Brytania była bardziej skłonna do współpracy niż zatargów, a one mogły podejmować na przykład ekspansję na zachód. Ten relatywny spokój powodował zatem, że ta forma republikanizmu i demokracji mogła w Stanach Zjednoczonych po prostu okrzepnąć. Natomiast kontekst międzynarodowy Europy Środkowo-Wschodniej i nie tylko po I wojnie światowej, dynamicznie zmieniająca się sytuacja, później też kryzys gospodarczy spowodowały, że te nowe demokracje były mniej odporne ze względu na ilość bodźców, która do nich docierała.



**Prof. Jolanta Daszyńska:** No tak, ale weźmy pod uwagę, że Amerykanie są bardzo pragmatyczni. Jak nie mieli pieniędzy, bo tworzyli nowe państwo, to od razu wprowadzili, właściwie Waszyngton wprowadził zasadę: pokój ze wszystkimi narodami i ze wszystkimi państwami. Oczywiście, im się to nie udało, bo przecież potem byli wplątani w rewolucję francuską i wojny. A już esencją negatywnych cech tego republikanizmu jest zachowanie grupy wpływowych polityków określanych jako „jastrzębie wojenne” przed 1812 rokiem i wypowiedzenie wojny Wielkiej Brytanii. Po pierwsze oni się już znudzili tym pokojem, a po drugie stwierdzili, że są już bardzo mocni i mają dobrą gospodarkę, a poza tym muszą zdobyć Kanadę, bo po co ją trzymać w rękach brytyjskich. To była taka fala zadufania w sobie. Przywołany Andrew Jackson jest fantastycznym przykładem prezydenta, który wyrósł właśnie z tej fali wojny.

**Dr Przemysław Piotr Damski:** Trapi mnie jeszcze jedna rzecz, bo państwo na początku wspomnieli, że lojaliści musieli uciekać z byłych kolonii, a potem już ze Stanów Zjednoczonych. To jest coś, co Robert Kagan nazywa „dangerous nation”, że ten moment po uzyskaniu niepodległości był bardzo niebezpieczny dla samej republiki i często poszukiwano wroga wewnątrz państwa. Stronnictwo *War Hawks* też jest jakby tego rezultatem. To ciekawe, że kiedy spojrzymy na podejście poszczególnych prezydentów do polityki zagranicznej Stanów Zjednoczonych, to początkowo na przykład Waszyngton nie wyklucza aliansu z innymi państwami. Natomiast już Jefferson sprzeciwia się już wszelkim wiążącym sojuszom. Idea niewiązania się i bycia na swoim dalej się rozwija.

**Prof. Jolanta Daszyńska:** Walczy z korsarzami, wypowiada normalną, regularną wojnę, mówiąc o pokoju, więc oni są po prostu mistrzami dobierania pewnych sformułowań i unikania drastycznych wypowiedzi politycznych, dyplomatycznych. Powiedziałabym, że to jest polityka wypowiedzi „w białych rękawiczkach”. Dlatego, że właśnie nie precyzują dokładnie, o co im chodzi, tylko umieją propagandowo to pięknie uzasadnić, przemycić cele, które są bardziej populistyczne, a nie są podstawą, nie wynikają z założeń politycznych państwa, czyli od jego przywódców politycznych.

**Dr Przemysław Piotr Damski:** Może to cecha państw, które są w dużej mierze uzależnione od głosów obywateli, i muszą im sprzedać tę politykę swoim obywatelom. Wielka Brytania w XIX wieku i później też, stosowała tego rodzaju retorykę. Gdybyśmy chcieli zaobserwować, jak wygląda polityka Francji w końcu XIX wieku i na początku XX wieku to tam też pojawia się motyw usprawiedliwiania się, rozwija się propaganda. Jeżeli weźmiemy pod uwagę okres po dekolonizacji, to właściwie cała Europa Zachodnia i nie tylko ona, „sprzedaje” swą działalność w ramach polityki międzynarodowej. Musi ją usprawiedliwić przed swoimi obywatelami, to dlatego wciąż posiada rozliczne interesy w swoich byłych koloniach.



**Prof. Rafał Proszak:** Generalnie unikam takich generalizacji w opisie całych społeczeństw albo całych państw, no bo zawsze jest tak, że takie generalizacje mogą być dwojako rozumiane, bo to zawsze jest ryzykowne działanie, ale gdy myślę o Amerykanach (to będzie jednak generalizacja to, co teraz powiem, różne rzeczy przychodzą mi do głowy), pierwsze, to takie poczucie moralnej wyższości; drugie, to pragmatyzm, na który zwracała uwagę pani profesor. Jeżeli chodzi o tą moralną wyższość, to ona towarzyszy przedsięwzięciu, jakie nazywamy Ameryką, zawężając to do współczesnych Stanów Zjednoczonych. Od samego początku – cały wysiłek kolonialny w I połowie XVII stulecia był pod szyldem, że jesteśmy moralnie wyżsi od Hiszpanów i Portugalczków. Na przykład kolonizując Północną Amerykę, od Karaibów po Kanadę niesiemy angielską cywilizację, która jest zdrową cywilizacją, która jest nieskażona ewidentną przemocą, jaką jest niewolnictwo. Te ilustracje funkcjonowały na ulicach Londynu. Pokazywano jak wygląda los Murzyna lub Indianina pod panowaniem hiszpańskim, ewentualnie portugalskim i również, że to jest dramatyczny los. My, Amerykanie, robimy to inaczej. My tam jedziemy chrystianizować, my tam jedziemy nieść cywilizację, prawdziwą cywilizację, zdrową cywilizację i cywilizację postępu. I ta wyższość moralna przetrwała, nawet wtedy, gdy wprowadzono niewolnictwo. Niewolnictwo, które było podyktowane pragmatyzmem, o którym mówiła pani profesor. Ono pojawi się stosunkowo wcześnie, ale nie od początku. Na początku to była służba kontraktowa. Trzeba mieć świadomość, że podróż na drugą stronę Atlantyku była niepoprawnie kosztowna i ryzykowna. Kto mógł się podjąć tego rodzaju przedsięwzięcia? Ktoś zamożny albo bardzo zdeterminowany. Bogatemu nikt nie zabroni. Zdeterminowanym był najczęściej ten, który na Wyspach Brytyjskich nie mógł liczyć na udane życie. Oddawał się więc na mocy kontraktu w swoistą niewolę. Będąc wolnym człowiekiem oddawał się na służbę. Za każde, nawet najmniejsze przewinienie w koloniach, tę służbę przedłużano. Taki kontrakt zazwyczaj trwał siedem lat, czyli przez siedem lat należało odpracować ten bilet w jedną stronę. Ale to byli wolni ludzie, na przykład mieli prawo do broni. Jak kończył się kontrakt, to osoby zakontraktowane odchodziły z tego miejsca, w którym służyły, czy to na polu, czy w domu. Z bronią w rękę. Były to najczęściej osoby bardzo ubogie, dlatego że spłacając ten kontrakt nie dorabiały się żadnego majątku. I były też niezwykle niebezpieczne. Od samego początku, mówiłem już o tym, były różnego rodzaju buntów społeczne. Kolonialna rzeczywistość, czy to było w Nowej Anglii czy Wirginii, była rzeczywistością ciągłego strachu posesjonatów, którzy bali się, że spauperyzowana część kolonistów, nie wyzwolęncy, ale ci którzy zakończyli swój kontrakt, mogą wystąpić przeciwko nim. I genialny wynalazek, przejaw pragmatyzmu amerykańskiego, zaangażujemy siłę roboczą, która nigdy wolną nie będzie. Czyli, po prostu, najpierw kupiono niewolników na wyspach karaibskich od Hiszpanów, a później stworzono własny system pozyskiwania ich bezpośrednio w Afryce, z Afryki Zachodniej. I to był przejaw pragmatyzmu, który odbija się czkawką Amerykanom do dzisiaj. Widać, że ten pragmatyzm nie zawsze rodzi właściwe owoce. Inny przejaw pragmatyzmu, który wymaga zastanowienia, inna epoka, to więzienie w Guantanamo. Potem rozpoczynamy wojnę z terroryzmem i mamy przeciwko sobie osoby, które występują zbrojnie, ale nie na terenie Stanów Zjednoczonych, tylko w Iraku i Afganistanie. My tam jesteśmy siłą interwenującą, czyli najeżdżącą. Te osoby pochwyliśmy i oskarżamy je o podejmowanie działań na niekorzyść Stanów Zjednoczonych, jednak nie potrafimy im postawić żadnych zarzutów karnych. Nie będziemy ich sądzić na ziemi amerykańskiej, bo nie mamy podstaw. Tworzymy więzienie na specyficznym terytorium, niby amerykańskie, ale w sumie nie wiadomo, czy tam prawo amerykańskie funkcjonuje, czyli w bazie wojskowej w Guantanamo na Kubie. Jednak, gdy George W. Bush i jego otoczenie wpada na ten genialny pomysł, podyktowany pragmatyzmem amerykańskim, czy mieli świadomość, że uwięzili dziewiętnastoletnich, dwudziestoletnich, dwudziestopięcioletnich zdrowych mężczyzn oraz że oni będą żyć przez najbliższe czterdzieści, pięćdziesiąt lat? Przez te czterdzieści, pięćdziesiąt



lat nie będą dowodzić tej wyższości moralnej Ameryki, tylko wprost przeciwnie. Podobnie jak pomysł z niewolnictwem. Na „wysokim C” to wezwanie do budowy lepszego świata, wolnego od wad starego świata. Wyższość moralna, która cechowała zarówno tę kolonialną Amerykę, jak i tą republikańską Amerykę XVIII stulecia, jak i tą republikę czasów Wilsona. Pani profesor słusznie zwróciła uwagę na postać prezydenta Wilsona – to był najbardziej idealistyczny prezydent w historii Stanów Zjednoczonych. Pomysłodawca Ligi Narodów, człowiek, który położył wielkie zasługi dla rozwoju międzynarodowego publicznego prawa. Ale takich było niewielu to znaczy rzeczywiście, częściej pragmatyzm brał górę niż idealizm. Czy to źle? Nie mnie to osądzać, spoglądajmy na to w sposób bezstronny.

**Dr Przemysław Piotr Damski:** Jednocześnie Amerykanie przedstawiali się dosyć często jako przeciwnicy kolonializmu z definicji. Jednak na przykład Filipiny posiadali. Prowadzili tam politykę *stricte* kolonialną. Pragmatycznie nie nazywali Filipin kolonią, aby uniknąć oskarżeń o posiadanie kolonii. Polacy też aspirowali do roli państwa kolonialnego. To znaczy pojawiały się propozycje, że dobrze by było, gdyby Polska takie kolonie posiadała, ale pozostało to w sferze mrzonek – może i lepiej. Przechodząc dalej. Wspomnieliśmy trochę może nie tyle o ciemnych stronach republikaństwa, co państw, które wprowadziły u siebie tę ustrojową formę rządów. Natomiast zastanawia mnie popularność tej formy ustrojowej w XXI w. Bardzo dużo, a nawet większość to są państwa republikańskie. Niekoniecznie demokratyczne, ale republikańskie. Dla dużej części ludzi na świecie ta forma ustrojowa wydaje się atrakcyjna. Jednocześnie wciąż obecne są monarchie, także monarchie demokratyczne. Oczywiście, najbardziej „popularną” jest monarchia brytyjska, ale mamy również monarchię w Danii, Holandii, Szwecji, Hiszpanii... W większości z tych państw nie zapowiada się na to, żeby miała zostać wprowadzona republika. W związku z tym zastanawia mnie, co dzisiaj decyduje o popularności ustroju republikańskiego?

**Prof. Jolanta Daszyńska:** Ja sądzę, że bardzo znacząca jest tutaj tradycja. Dlatego, że odwołanie się do pewnego rodzaju praw, do zabezpieczenia praw zwykłych obywateli. Chociażby zwykły przykład amerykański – zwykły rzeźmieszek złapany dzisiaj na ulicy, wie jakie ma prawa, zna konstytucję i doskonale umie to wykorzystać. To jest też atrakcyjne, bo nikt nie może zrobić czegoś przeciwko niemu, co nie byłoby prawne. Właśnie ten republikańizm, czyli rządy oparte na prawie. Znowu odwołujemy się tutaj do świadomości społeczeństwa, bo jest to atrakcyjny system dla społeczeństwa. To społeczeństwo obala system, który mu się nie podoba, gdy nie jest z niego zadowolone, a jeżeli system jest taki, który przynajmniej teoretycznie albo iluzorycznie daje obywatelowi poczucie, że on jest wolny, ma swoje prawa, jego głos się liczy, jest reprezentowany i ktoś dba o niego, to jest właśnie ten sukces. Nie zawsze jest to w praktyce sprawdzane, ale jest to przynajmniej taki bardzo ładny mit. W zasadzie amerykański sen, można podłączyć do tego republikaństwa. On też daje taką amerykańską iluzję narodu wybranego. Narodu, którego Opatrzność wzięła pod swoje skrzydła i to jest opieka boska. Niekoniecznie jest to Bóg, ale Opatrzność szeroko rozumiana. I do daje również poczucie takiej dumy narodowej i może nie tyle wyższości, co do innych państw i narodów, bo tego bym raczej nie mówiła o Amerykanach, ale poczucie, że są narodem wybranym,



dopieszczonym. Zawsze Opatrzność nad nimi czuwa. Zresztą, proszę popatrzeć na symbole godła amerykańskiego, proszę popatrzeć na różnego rodzaju symbole związane z opatrnością. Nawet słowo „in God we trust”, również przejawia się współcześnie na przykład na każdym banknocie amerykańskim.

**Dr Przemysław Piotr Damski:** Tutaj zmierzamy w stronę demokracji. Odwołujemy się do wartości demokratycznych, a mi chodzi też o kwestię związaną z republikanizmem, a niekoniecznie z demokratyzmem.

**Prof. Jolanta Daszyńska:** Mamy poczucie prawa, że jest konstytucja. To jest najważniejsze prawo i jego nie można łamać, co jest największym atutem ustroju republikańskiego. Funkcjonuje dokument podstawowy, który ma być trwały i szanowany przez obywateli, a co ważniejsze, przez władze. Rządzącym nie wolno łamać konstytucji i narzucać swej woli większości, tylko dla tego, że można znaleźć furtki na jej obchodzenie, co zresztą często miało miejsce.

**Prof. Rafał Prostek:** Tu bardzo istotne jest to, jak sami rozumiemy republikaństwo. Jeżeli spoglądamy nań w perspektywie klasycznej, antycznej, to kojarzy się on z cnotami obywatelskimi, świadomością dobra wspólnego, które wymaga poświęceń. Po to poddajemy swój własny interes interesowi współobywateli, wspólnoty w imię przyjaźni i miłości do niej. Tego w Stanach Zjednoczonych nie było. Republikaństwo amerykańskie jest republikaństwem bardzo pragmatycznym. On nie jest idealistycznie zaangażowany. Społeczeństwo amerykańskie jest dzisiaj mocno podzielone, ale nie było podzielone w epoce ojców założycieli. To nie jest tylko kwestia rzeczników i przeciwników niewolnictwa. To jest również podział, dotyczący uprawnień politycznych, kto ma je posiadać – czy prawo wyborcze mają mieć tylko osoby, które są posesjonatami, czy też osoby, które są spauperyzowane. To była kwestia sympatii politycznych, dla sprawy angielskiej (federaliści) i sprawy francuskiej (antyfederaliści, a potem republikańscy demokraci). Tych podziałów było masę – stosunek do uprawnień władzy federalnej, do banku Stanów Zjednoczonych, do reform skarbowych, które przeprowadził Hamilton. Podziały były bardzo głębokie. Gdy czytamy o republikaństwie w listach federalistów, to tam generalnie jest mowa o ustroju, który będzie potrafił przezwyciężyć podziały, czyli poszukiwanie *modus vivendi*. Społeczeństwo jest głęboko podzielone, te podziały są niezbywalne, nie potrafimy ich przezwyciężyć. Możemy co najwyżej próbować wypracować jakieś porozumienie ponad podziałami. Nietrwałe, ale niezbędne. W „Federaliście” autorstwa Jamesa Madisona autor mówi, że aniołowie nie potrzebują rządu. A gdyby ludzie byli aniołami, nie potrzebowaliby rządu, a gdyby anioły rządziły, to niepotrzebna byłaby kontrola władzy. Na tym polega właśnie ten fenomen republikaństwa amerykańskiego, że on wyrasta na gruncie nieufności, nieufności względem władzy. I to jest jego cecha i zaleta, to znaczy Amerykanie mają to „wdrukowane” – nieufność wobec systemu, a przynajmniej wobec tych, którzy władzę aktualnie sprawują. Bo to *checks and balances* nie dotyczy tylko trójpodziału władzy na poziomie federalnym, albo stanowym lub lokalnym. W jakiejś mierze dotyczy również wolnej prasy, która nieustannie sprawdza, czy rządzący przypadkiem nie naruszają praw rządzących. To nieustanne testowanie tego systemu, jest cechą systemu politycznego Stanów Zjednoczonych, ta nieufność wobec reżimu politycznego, a bardziej nawet nieufność



wobec tych, którzy aktualnie władzę sprawują. System jest dobry, chociaż często pojawiają się błędy, ale system to przewycięży. Ufność w sam system.

Natomiast pan zadał pytanie o republikanizm, jego popularność, ja rozumiem w naszym kręgu kulturowym, Europy kontynentalnej, odnosząc to do doświadczenia brytyjskiego. To jedno z ciekawszych pytań, które można zadać politologowi. Dlaczego monarchia, a nie republika? Dlaczego republika, a nie monarchia? Ja jestem dzieckiem republikanizmu, to znaczy nigdy nie byłem poddanym, tak jak państwo. Urodziliśmy się w republice i jesteśmy obywatelami republiki, nie jesteśmy poddanymi żadnego monarchy. Oczywiście, że dzisiaj bycie poddanym królowej Elżbiety II to nie to samo, co bycie poddanym Henryka VIII. Natomiast wydaje mi się, że monarchia jest interesującą propozycją polityczną, w przypadku społeczeństw głęboko podzielonych, na przykład etnokulturowo albo religijnie. Wtedy ten monarcha stał się symbolem jedności. Pomyślmy o władcach brytyjskich w tym wieloetnicznym społeczeństwie. Mamy Szkotów, Szkoto-Irlandczyków w Belfaście, Anglików, Walijczyków. Wszystkie te tożsamości etnokulturowe zasługują na osobny byt państwowy. Szkoci się dzisiaj najmocniej o to upominają, jednak monarchia brytyjska łączy te sprzeczności. Podobnie jest w przypadku króla Belgii, gdzie Flandria i Walonia są jeszcze bardziej podzielone, ale władca pozostaje symbolem jedności. Podobnie można mówić o monarchii hiszpańskiej, gdzie społeczeństwo jest głęboko podzielone i w zasadzie się rozsypuje. Monarcha był tym, który je do niedawna jednoczył, jednakże obecnie już tego nie robi. Katalończycy bowiem mówią, że są republikanami, a nie poddanymi króla. Nie ma tam żadnej lojalności wobec Burbonów, uważają się za osobny byt. Wydaje mi się, że ta popularność republikanizmu jest w Europie pewną emanacją obietnicy wolności państw, które tej podmiotowości prawno-politycznej nie posiadały. To nie musiał być oczywisty wybór. To nie był wybór na przykład Włochów, Węgrów, Serbo-Chorwatów i tak dalej. Jednak był to wybór Czechów, Polaków, Litwinów, Łotyszy, Estończyków i wielu innych nacji – właśnie republikanizm. To nie jest idealne rozwiązanie, ale jest to swoista obietnica. Republikanizm jest obietnicą, o której mówiła pani profesor, że władza będzie kontrolowana, powściągnięta, podmiotowość prawna obywatela będzie doceniana, będzie mogła wybrzmieć. Nawet jeżeli jest to tylko mit, wyobrażenie.

**Dr Przemysław Piotr Damski:** Interesujące jest to, że ta perspektywa tłumaczy dlaczego np. Finlandia jest państwem republikańskim. Z drugiej strony sami Szwedzi, czy Norwegowie, mają tę obietnicę równości, poszanowania ich praw, a jednocześnie nawet partie lewicowe nie zamierzają usuwać monarchii. To jest bardzo ciekawe, gdzie nasze wybory, sympatie też, się trochę lokują. Do czego przywykliśmy, w czym jesteśmy wykształceni i jaki mamy ten bagaż kulturowy, który nas w jakiś sposób obciąża i na przykład mówi nam, żeby odrzucić to, co znamy, bo nam to przeszkadza albo nam to nie przeszkadza i to jest to, co znamy i czujemy się z tym komfortowo. Możemy coś zmienić, ale tak jak pan powiedział, ogólnie rzecz biorąc sam system nie jest zły. System w Ameryce się sprawdza. Mam wrażenie, że jeżeli spojrzymy na tą kwestię nieufności do władzy, to jest to coś, co zbliża Polaków i Amerykanów, to znaczy Polacy przez doświadczenie zaborów mają nieufność wobec władzy, ale również wobec jako takiego państwa i instytucji państwa. Amerykanie z kolei, nawet jeśli mają jakąś niechęć do zbyt silnego państwa, to już tutaj zaufanie do instytucji jest dużo większe, gdyż sami je stworzyli, wypracowywali i nie mają aż takiego długiego doświadczenia obcej dominacji, jak Polacy.



**Prof. Jolanta Daszyńska:** Zauważmy, panie doktorze, że tylko wtedy jest obalony monarcha, gdy kraj jest poddany długoletnim despotycznym rządami, które nie odpowiadają społeczeństwu i to społeczeństwo najpierw się buntuje, że tak powiem delikatnie, ale potem kiedy zaufanie do tego monarchy przestaje być zaufaniem, tylko ten monarcha niejako zdradza społeczeństwo, wtedy traci głowę. Mamy dwa przykłady: ścięcie króla angielskiego i króla francuskiego. Natomiast jeżeli chodzi o naszych Amerykanów, których dzisiaj chwalimy i trochę negujemy, to oni zachowali się bardzo inteligentnie, dlatego że oni pozbyli się króla w sposób bardzo pokojowy i pacyfistyczny – po prostu go nie chcemy, mamy inny system ustrojowy, król niech sobie będzie w państwie macierzystym, a my króla nie chcemy. I bardzo pięknie z tego wyszli, bez przelewu krwi króla. I tak ta wojna kosztowała sporo strat, nie tylko finansowych, ale również żołnierze ginęli, więc potem trzeba było to wszystko odrobić, odpracować, a poziom życia po wojnie o niepodległość był znacznie niższy niż przed nią.

**Dr Przemysław Piotr Damski:** Mam wrażenie, że jest to odwieczny dylemat tej umowy społecznej. Do pewnego momentu zgadzamy się na system, który jest, nawet jeśli jest on w pewnym sensie opresyjny. Natomiast w momencie, kiedy ta skala niekorzyści przeważa na tyle istotnie skalę korzyści, to wówczas decydujemy się na kroki radykalne. Oczywiście to jak rozumiemy radykalizm, to jest już inna sprawa.

**Prof. Rafał Proszak:** *Ad vocem*, pani profesor. Bardzo dobrze, że pani profesor wspomniała o tym, że przecież przez tyle stuleci, jak Europa długa i szeroka, zaledwie dwukrotnie w tak ewidentny sposób rzucono wyzwanie tej zasadzie ustrojowej, jaką jest monarchia. I to właśnie ta monarchia, rozumiana w sposób postkonstantyński, kiedy to monarcha jest pomazańcem bożym – czyli generalnie podnieść rękę na króla to jak podnieść rękę na ojca to jest ojco-bójstwo. To jest zerwanie ze wszelkimi uświęconymi zasadami, które nas definiują jako ludzi cywilizowanych. Myślę tutaj o Europejczykach, dwukrotnie się to zdarzyło. Raz to jest rewolucja angielska i los Karola I, a drugi raz, no właśnie, kogo ścięto? Czy ścięto króla Ludwika XVI – nie! – ścięto obywatela Kapeta. Najpierw uczyniliśmy republikę i na mocy decyzji ludu można było wymierzyć karę zdrajcy, który dokonuje zamachu stanu. To nie myśmy dokonali zamachu stanu tylko on, niewoląc nas. Zgilotynowano obywatela Kapeta, równego ludowi. On nie jest wcale bożym pomazańcem, to nie jest ktoś, kto reprezentuje jakiegoś rodzaju szczególny autorytet, to nie jest boży pomazaniec, to jest jeden z nas. Pytanie jest: czy w tym konstytucjonalizmie amerykańskim, z tego nie uczyniono zasady ustrojowej, ponieważ w Deklaracji Niepodległości czytamy, że kiedykolwiek władza naruszy uświęcone prawa obywateli, to oni mają prawo się zbuntować, obalić rząd i ustanowić nowy? I to nieustanne buntowanie się w rzeczywistości amerykańskiej zostało zinstytucjonalizowane, a potem przejęte przez Europejczyków. My to nazywamy po prostu aktem wyborczym.

**Dr Przemysław Piotr Damski:** Szlachta mogła wypowiedzieć posłuszeństwo królowi. Tylko że tamte akty nieposłuszeństwa nabrały zupełnie innego charakteru.



**Prof. Rafał Prostek:** No tak, trzeba było zawiązać konfederację i tak dalej. To jest jednak coś innego. Tutaj mamy to zinstytucjonalizowane. Mamy po prostu akty wyborcze. Jeżeli ta władza nie realizuje złożonej obietnicy ludowi, nie promuje jego dobrobytu, to ten lud ma prawo się zbuntować i ten bunt nie wymaga sięgnięcia po broń. Tą bronią jest po prostu kartka wyborcza.

**Prof. Jolanta Daszyńska:** Tak, tylko to było jednorazowe. Dlatego, że jak potem była walka praw stanowych przeciwko rządowi federalnemu, która w efekcie doprowadziła do wojny secesyjnej, to odwoływano się do tych słów Deklaracji Niepodległości, o możliwości zbuntowania się i tego nie brano pod uwagę. To było jedyny raz zastosowane jako uzasadnienie tego, co zrobiły kolonie wobec metropolii, a już potem z państwem federalnym, mimo że mieli to zagwarantowane w deklaracji, nikt się na to nie chciał zgodzić. Pomimo, że przedstawiciele stanów, zwłaszcza południowych, na to się powoływali i chcieli tego urzeczywistnienia. Nie, nie dało rady.

**Prof. Rafał Prostek:** Na pewno na gruncie prawa secesja nie była aktem bezprawnym. Na pewno nie. Natomiast sama wojna przesądziła o tym, że Stany Zjednoczone w swoim federalizmie zdefiniowały swój charakter. Jeszcze do wojny secesyjnej można się było zastanawiać, czy ten federalizm jest nieodwołalnym wyborem. Po wojnie secesyjnej już nie. Ale popatrzmy na to też z perspektywy Europy, tamtejszych dworów panujących i stolic. Zasadniczo na dworach europejskich, gdzie absolutyzm dominuje, oświecony co prawda, ale absolutyzm, monarchowie odetchnęli z ulgą. Ten miraż rządów republikańskich się kończy, wypala się na naszych oczach. Myśmy wiedzieli, że tak będzie, że rzucą się sobie do gardeł, dlatego że są tak głęboko podzieleni, że tego *modus vivendi* nie da się inaczej osiągnąć, jak tylko na mocy autorytatywnej decyzji władcy. Więc generalnie ten projekt polityczny Amerykanie nie przypadkowo nazywają drugą rewolucją. Nie chodzi o to, że zmienia się charakter ustrojowy, a federalizm jeszcze bardziej się pogłębia i umacnia, ale o to, że ponownie złożono obietnicę społeczeństwu, że może być ono samorządne i że to się może powieść, chociaż z założenia była to utopia.

**Dr Przemysław Piotr Damski:** Jest jeszcze taka kwestia semantyczna. Przed wojną secesyjną Stany Zjednoczone często po angielsku, mówiły o sobie „we”, a po wojnie mówili już w liczbie pojedynczej. Ewidentna zmiana mentalności. Czas już nam się powoli kończy, więc chciałbym przejść do ostatniego pytania. Nie da się nie zauważyć, że w XXI w. przed republikańską formą rządów pojawiają się nowe wyzwania, zarówno w Polsce, jak i w Stanach Zjednoczonych. Społeczeństwa polskie i amerykańskie wydają się bardzo podzielone. Niektórzy mówią, że bardziej niż kiedykolwiek. Gdybyśmy wejrżeli trochę w dane statystyczne, jeżeli chodzi o wybory amerykańskie przez cały XX wiek to ten podział jest mniej więcej taki sam. Natomiast jego nasilenie, natężenie w pewnych aspektach może się wydawać, mam takie przynajmniej wrażenie, bardziej ostre. Pytanie jest takie: w jakim kierunku ten republikanizm miałby zmierzać? W Polsce na przykład mamy republikanizm, który jest reprezentowany przez partię rządzącą, który w jakimś sensie zbliża się do amerykańskiego. Przejęliśmy władzę, w związku z tym powinniśmy kontrolować większą część instytucji państwowych i wprowadzać takie rządy, w jaki sposób chce większość obywateli, która wybrała nas w wyborach.



Temu sprzeciwia się wizja republikanizmu, którą lansuje opozycja w Polsce. Zarzucając rządowi chociażby zamach na demokrację. Z kolei w Stanach Zjednoczonych, zwłaszcza po ostatnich wyborach prezydenckich, pojawiają się głosy, że coś należałoby zmienić w systemie wyboru prezydenta. Niekoniecznie w bardzo rewolucyjny sposób, jednak ta zmiana jest konieczna, skoro dochodzi do tego, że kandydatka w wyborach zdobywa trzy miliony głosów więcej, a nie zostaje prezydentem. Pojawiają się też głosy, co zrobić z sędziami Sądu Najwyższego. W tym momencie mają oni prawo dożywotnio zasiadać w Sądzie Najwyższym. Oczywiście, niektórzy się usuwają i nie biorą już udziału w obradach, ale nie ma tutaj sytuacji, która by zakazywała sędziemu, który cierpi na chorobę Alzheimera, orzekania w wyrokach sądowych. W związku z tym pojawiają się takie głosy, czy nie wprowadzić jakiegoś rodzaju ograniczenia, kadencyjności. Problem ten wrócił przy okazji ostatnich wyborów, gdy dyskutowano nad możliwością powołania sędziów pod koniec kadencji prezydenta Donalda Trumpa, czyli jeszcze przed wyborami. Problem wyboru sędziów pojawił się też w Polsce na etapie zmiany rządu, kiedy ustępowała Platforma Obywatelska, a potem zaczęło rządzić Prawo i Sprawiedliwość. Chciałbym się zatem zapytać o to, jakie wyzwania jeszcze mogą czekać republikanizm w wydaniu polskim i amerykańskim? Czego te państwa mogą się wzajemnie od siebie nauczyć? Czy w ogóle mogą się czegoś od siebie nauczyć? Nam jest chyba trochę łatwiej słuchać doświadczenia amerykańskiego, bo jesteśmy mniejszym graczem na arenie międzynarodowej, mniej istotnym na bardzo wielu płaszczyznach. Amerykanie zaś niekoniecznie chcieliby nas słuchać, ale może jakieś nasze propozycje albo rozwiązania ustrojowe, które możemy wprowadzić albo u nas funkcjonują, mogłyby się u nich sprawdzić?

**Prof. Rafał Prostek:** Kolejne dobre pytanie, ale na które bardzo trudno odpowiedzieć. Z jednej strony możemy sięgnąć po Johna Actona, który nam przypominał, że władza korumpuje, a władza absolutna korumpuje absolutnie. Max Weber nam podpowiadał, że ci którzy rządzą, zawsze będą chcieli mieć więcej władzy, bo taka jest logika biurokracji, żeby mieć jak największy wpływ na władzę. To z jednej strony, a z drugiej strony, wiem, że pojęcia republikanizmu z demokratyzmem nam się zlewają i je stosujemy, chociaż nie powinniśmy, to w tym przypadku ja też to uczynię i powiem tak: Nie ma demokracji bez demokratów, to znaczy jeżeli pan myśli o rafach, na które może wpaść współczesny republikanizm w Polsce lub Stanach Zjednoczonych, to rafa zawsze jest bierne społeczeństwo to znaczy społeczeństwo niezainteresowane, niezorientowane, obojętne. Ja nie utraciłem wiary w republikańską formułę rządzenia, natomiast dostrzegam zagrożenie ze strony niezainteresowanego obywatela, który zaspakaja swoje zainteresowanie polityką, lekturą dwóch linijek na Twitterze, jakiegoś SMS-a, ewentualnie krótkiej notki w Internecie to znaczy nie chce zrozumieć, nie chce wiedzieć, wystarczy mi krótki przekaz.

**Dr Przemysław Piotr Damski:** Byłem zaskoczony, gdy prześledziłem amerykańską frekwencję wyborczą. Pierwotnie, gdy myślałem o Stanach Zjednoczonych, wydawało mi się, że ta frekwencja wyborcza jest zdecydowanie wyższa, a ona jest niska. Wynosi 40-50 procent, czasami więcej, ale jeżeli porównuję na przykład frekwencję wyborczą amerykańską z ukraińską, to na Ukrainie jest ona wyższa, a tam się gorzej dzieje.



**Prof. Rafał Prostek:** Można sobie tak to tłumaczyć. Z jednej strony niezainteresowanie, a z drugiej strony jesteśmy tak szczęśliwi i zadowoleni, że po co mamy iść na wybory. Frekwencja wyborcza w Federacji Rosyjskiej też jest niska, ale jest podyktowana tym, że nie ma sensu głosować, dlatego że Duma i tak ma monopol na władzę i Kreml decyduje o rozwoju wydarzeń w państwie. To nie jest tak, że współczesne społeczeństwa zachodnie są fundamentalnie podzielone. Niech to będzie kwestia podziałów w społeczeństwie amerykańskim w reakcji na przykład na *Black Lives Matter* albo kwestia konserwatyzmu w opozycji do lewicowości. To nie jest tak, że społeczeństwo brytyjskie jest jakoś szczególnie dzisiaj podzielone, bo był przecież *brexit*, no i mamy pęknięcie, radykalny klincz w społeczeństwie angielskim, czy szerzej brytyjskim. Społeczeństwo amerykańskie zawsze było bardzo podzielone, tylko w nim te linie mogły inaczej przebiegać. O coś innego toczono grę polityczną, ale ta gra nieustannie się toczyła. Te emocje zawsze były bardzo rozgrzane. Mamy tę tendencję, aby przerysowywać to, co dzieje się w dzisiejszym społeczeństwie amerykańskim. Zwłaszcza, że widzimy to w perspektywie takiego zderzenia chrześcijańskiej Ameryki z sekularyzowaną Ameryką i ewangelikalnej Ameryki z ateistyczną Ameryką. Mamy taką skłonność, ale to jest generalizacja, a jak każda generalizacja nie pozwala nam dostrzec tego, co jest naprawdę interesujące.

**Dr Przemysław Piotr Damski:** Mam wrażenie, że w ciągu ostatnich dwudziestu lat, gdy jeszcze byłem w liceum, słyszałem metaforę „house divided”, w kontekście tego, co się dzieje w Stanach Zjednoczonych, nieskończoną ilość razy.

**Prof. Jolanta Daszyńska:** Po pierwsze, jeżeli mówimy o tych sędziach z sądu najwyższego, to trzeba by było złamać prawo, czyli konstytucję. W pierwszym dziale artykułu trzeciego jest napisane, że sędziowie Sądu Najwyższego są nieusuwalni. Albo więc łamiemy to prawo, na co społeczeństwo nie przyzwoli, albo robimy to w sposób republikański, w oparciu o prawo – na przykład przygotowujemy kolejną poprawkę do konstytucji. Wtedy mamy czyste ręce, nie ma żadnej rewolucji, nie ma niczego wbrew prawu. Prawo jest zachowane. Ten zapis nieusuwalności był tylko dlatego użyty, że kadencyjność pojawiła się przy prezydenturze i przy członkach zarówno Izby Reprezentantów, jak i Senatu. Chodziło o to, żeby nie nadużywano władzy oraz aby była rotacja nowych ludzi. W przypadku sędziów Sądu Najwyższego zapis o nieusuwalności wiąże się z procesem powstawania tej instytucji i jest uzasadniony związanymi z tym trudnościami – nie było wiadomo, czy jakiegokolwiek sprawy będą przez nią rozpatrywane, brakowało także chętnych do sprawowania wspomnianej funkcji. Przepis ten przetrwał przez przeszło dwa wieki, więc można by było się nad nim zastanowić i pokłonić. A co jest jeszcze bardziej zastanawiające i niebezpieczne dla dzisiejszego demokratyzmu i republikanizmu? To przerost zadufania obywateli w swoje prawa. Oni teraz nie chcą nic dać od siebie dla państwa, tylko chcą brać. To nie są te słowa, które kiedyś powiedział John Kennedy – jeżeli coś chcesz zrobić, to zrób to dla Ameryki (zmieniłam je delikatnie). Teraz mamy tylko prawa, nam się należy i tak zwany *social*, który jest tutaj bardzo ważny. Natomiast obywatele nie chcą w zasadzie rządzić, nie chcą wpływać na te rządy. Przedstawiona frekwencja wyborcza świadczy dokładnie o tym, że oni naprawdę chcą tylko korzystać. To chyba jest największe zagrożenie tego republikanizmu i demokracji w ogóle.



**Dr Przemysław Piotr Damski:** Z drugiej strony ma wrażenie, że rośnie zaangażowanie młodych ludzi w formę zmiany rządów albo wymuszania pewnych zmian. Może coś się zmieni, jeżeli ci młodszy uzyskają wpływ na zmiany.

**Prof. Jolanta Daszyńska:** Wszystko jest teraz za bardzo poprawne, tak że trzeba uważać co się mówi, co się pisze, aby nie narazić się innym, bo mają tysiące bardzo dobrze wyedukowanych prawników, którzy momentalnie wykorzystają jakąś lukę słowną albo prawną.

**Prof. Rafał Prostek:** Gdybyśmy rzeczywiście konsekwentnie odróżniali republikanizm od demokratyzmu, to w tej rzeczywistości amerykańskiej kolegium elektorskie oraz natura Sądu Najwyższego to są ostoje tego republikanizmu. Jeżeli republikanizm rozumiemy jako rządy obywatelskie, które mają być rządami spokojnymi, realizowanymi z jakąś powściągliwością w interesie publicznym, to właśnie Sąd Najwyższy jest wskazywany. Sąd Najwyższy to jest swego rodzaju instrument kurateli. Obywatele mogą pobłądzić, rządzący mogą pobłądzić, większość parlamentarna może pobłądzić. Potrzebne jest coś na wzór platońskiej rady gerontów, osoby, które będą sprawować kuratelę. I tę kuratelę mogą sprawować tylko ci, którzy nie mają obawy, że zostaną odwołani przez tych, którzy ich powołali na to stanowisko. To jest przejaw tego republikanizmu, ta pozycja ustrojowa Sądu Najwyższego i jego natura. Podobnie zresztą jak kolegium elektorskie. Jedno i drugie oczywiście jest szeroko krytykowane i to zasługuje na krytykę. Nie mamy żadnej gwarancji, że ta rada gerontów będzie mądrzejsza od większości parlamentarnej. Nie mamy gwarancji, że kolegium elektorskie każdorazowo wsłucha się w głos wyborcy. Istnieją więc obawy, ale generalnie ten system jakoś trwa. Oczywiście, że dowody wyprowadzane *a posteriori* nie muszą być rozstrzygające, ale pamiętajmy, że ten system modyfikowany, meliorowany trwa ponad dwieście lat. Proszę wskazać inną republikańską formę rządzenia o takiej historii – Wenecja, tam było tysiąc lat, ale też upadła. Stany Zjednoczone jakoś trwają.

**Dr Przemysław Piotr Damski:** Rzeczywiście, celem amerykańskiego systemu republikańskiego jest zapewnienie stabilizacji. W momencie, gdy wiele osób zarzuca mu, że on jest taki trudny do zmiany, to ma rację, ale właśnie dzięki temu, że ta trudność istnieje, jest on stabilny. W tym samym czasie republiki latynoamerykańskie teoretycznie wzorowały się na modelu amerykańskim, ale nie były w stanie wypracować takiej stabilności i rządy oraz konstytucje zmieniały się tam wielokrotnie. Amerykanie w swoim systemie trwają.

**Prof. Rafał Prostek:** Zawsze jest pokusa pójścia na skróty to znaczy zawiesić konstytucję, prawa podmiotowe, rozwiązać problemy społeczne, a potem je przywrócić. Rzadko się zdarza, by ten, kto zawiesił prawa podmiotowe, kiedyś je odwiesił. Pójście na skróty w polityce najczęściej kończy się głęboką reformą systemu politycznego. W Stanach Zjednoczonych, gdyby którakolwiek z władz próbowałyby pójść na skróty, to ta druga, trzecia, system *checks and balances*, jej to uprzytomni i powściągnie ją, to znaczy nie będzie pójścia na skróty, nie będzie prostych rozwiązań. Domagamy się debaty, uzgodnień, kompromisu. Zwrócił pan



uwagę na to, że siła polskiego republikanizmu nie będzie porównywalna z amerykańskim. Jesteśmy skazani na to, żeby być uczniem, a nie mistrzem. Nie zgodziłbym się, proszę zwrócić uwagę na doświadczenie na przykład Szwajcarii. Małe państwo i społeczeństwo, a ile ma do powiedzenia na temat funkcjonowania demokracji, partycypacyjnej demokracji. Proszę zwrócić na to uwagę, że w realiach politycznych stanu Kalifornia wiele rozwiązań politycznych tam funkcjonujących jest niezwykle podobnych do tych, które funkcjonują w Szwajcarii, właśnie do tego wzorca demokracji partycypacyjnej. Może to jest krok w słusznym kierunku, może to nie jest rozwiązanie uniwersalne, to trudno powiedzieć. Czas pokaże.

Glosa 6.  
**Jolanta A. Daszyńska**  
Uniwersytet Łódzki

## **KILKA REFLEKSJI NA TEMAT AMERYKAŃSKIEGO REPUBLICANIZMU**





**K**oniec XVIII wieku przyniósł wcielenie w życie teorii filozofów, krytykujących stare, skostniałe monarchie i podsuwających pomysł albo na ich unowocześnienie przez przyjęcie teorii oświeceniowych, albo rezygnację z monarchii na rzecz sprawdzonych już w starożytności republik. Monarchie tzw. absolutyzmu oświeconego przyjęły się w Rosji, Austrii, Prusach. Gdy spojrzymy, jak te państwa wzmocniły się, zagrażając Rzeczypospolitej, a następnie dokonując jej całkowitego podziału między siebie, trzeba przyznać, że koncepcje silnego państwa, ale kierowanego przez mądrego, oświeconego władcę miały wymierne efekty.

Polska również szukała najlepszego rozwiązania, aby nie tylko unowocześnić państwo, ale zapewnić mu siłę i nienaruszalność granic. Po wielu wcześniejszych reformach, jak chociażby powołaniu Szkoły Rycerskiej czy Komisji Edukacji Narodowej, prawdziwą rewolucję stanowiło opracowanie niezwykle nowoczesnej i śmiałej konstytucji. Mam tu na myśli Konstytucję 3 Maja 1791 r., która, przypomnę, była pierwszą konstytucją na kontynencie europejskim. Wyprzedziła o kilka miesięcy konstytucję rewolucyjnej Francji, która ukazała się dopiero we wrześniu tegoż roku. Polska i Francja, szukając najlepszego dla siebie modelu ustrojowego, czerpały jednak z doświadczeń państwa, którego utworzenia nikt się nie spodziewał niemal przez  $\frac{3}{4}$  osiemnastego stulecia. Tego państwa nie było. Istniały jedynie brytyjskie kolonie w Ameryce Północnej, należące do najsilniejszego wówczas mocarstwa świata, którym było Imperium Brytyjskie (British Empire). Państwo to pojawiło się dopiero w 1776 r., ogłaszając światu swoje narodziny. Były to Stany Zjednoczone Ameryki, które o swoją niepodległość musiały toczyć kilkuletnią wojnę. Wygrywając ją, stały się niezależnym, nowym państwem, które za wszelką cenę usiłowało odciąć się od angielskich korzeni. Mało się to udawało, gdyż kontaktów z Wielką Brytanią nie można było zerwać i funkcjonować w odizolowanej hemisferze. Zwłaszcza widoczne było to na polu ekonomicznym, ale także i politycznym.

Rzeczpospolita także szukała rozwiązań ustrojowych, które zachowałyby jej suwerenność i ocaliły niepodległość. Niemal w tym samym czasie jedno państwo zdobyło niepodległość, drugie zginęło z mapy świata podzielone, a wręcz rozszarpane przez trzy europejskie potęgi: Rosję, Prusy i Austrię.

Republikanizm polski, a właściwie szlachecki, zawężony był do najliczniejszej grupy społecznej, którą stanowiła szlachta. Oparty na politycznej tradycji starożytnej Grecji był jednak klasyczny, wręcz zachowawczy. Przełom stanowiły reformy wprowadzone przez Konstytucję 3 maja 1791 r. Te jednak były na tyle spóźnione, a państwo tak osłabione, że nie udało się wprowadzić ich w życie.

Przeciwnie zaś potoczyły się losy nowego państwa utworzonego na drugiej półkuli. Amerykanie dostrzegli perspektywę rozpadu dopiero niedawno powstałego państwa (1776 rok – ogłoszenie Deklaracji Niepodległości, 1783 – zakończenie wojny o niepodległość), które w ich założeniach miało być trwałe i wieczne. Ujęli to nawet w nazwie dokumentu, który był ich pierwszą konstytucją. Znany jest jako Artykuły Konfederacji i Wiecznej Unii (Articles of Confederation and Perpetual Union). Artykuły zostały przyjęte dopiero w 1781 r. Postanowienia tego dokumentu nazbyt pokładały zaufanie w świadomości



obywateli i ich odpowiedzialność za funkcjonowanie całego państwa, a nie tylko za partykularne, stanowe interesy. Gdy ukazała się jego kruchość, by nie powiedzieć niefunkcjonalność, Amerykanie postanowili opracować zupełnie nową konstytucję. System konfederacji oparty na złudnych założeniach wewnętrznej odpowiedzialności i współdziałania stanów członkowskich został radykalnie zmieniony. Powtarzam: zmieniony, a nie zreformowany. Wprowadzono nowy całkowicie odmienny system federalny. Ograniaczał on suwerenność poszczególnych stanów i podporządkował je silnej władzy centralnej. W dodatku podporządkował je przede wszystkim Kongresowi, a więc władzy ustawodawczej. Przypomnę, że wojna o niepodległość rozpoczęła się głównie przez to, że kolonie nie chciały być podporządkowane ustawom angielskiego parlamentu, ograniczającego ich poczucie wolności, a jednocześnie nakładającego nowe podatki. Dlatego właśnie Artykuły Konfederacji zrezygnowały z silnej władzy ustawodawczej (Kongres), ufając, że struktury oddolne (stany) będą odpowiedzialne za losy całego państwa, a nie jedynie własne, stanowe. Ten system się nie sprawdził w praktyce, choć była to pierwsza na świecie próba zaprowadzenia zasad republikańskich i demokratycznych wzmocnionych o antyczne, jak i współczesne teorie filozoficzne. Uchwalona w 1787 roku konstytucja federalna okazała się doskonale dopasowanym dokumentem do potrzeb Stanów Zjednoczonych.

Nim jednak przedstawię nieco szerzej zasady funkcjonowania konstytucji federalnej, przez samych Amerykanów uznanej za pierwszą w historii ich dziejów konstytucję, powrócę do Deklaracji Niepodległości, która uznawana jest niekiedy za wstęp do niej.

Otóż Amerykanie woleli zwierzchność władzy ustawodawczej od rządów z silną władzą wykonawczą. Doskonale zdawali sobie sprawę, że władza królewska w Wielkiej Brytanii była bardzo ograniczona przez władzę parlamentu. Dlatego też już w momencie ogłaszania swojej niepodległości w dniu 4 lipca 1774 roku świadomie zrezygnowali z władzy króla w przyszłym, powstającym państwie. To właśnie królowi zarzucili wszystkie krzywdy, jakie na nich spadły, choć de facto było to wynikiem ustaw parlamentu, a nie tyranii despotycznego króla, jak określili to w dokumencie, ogłaszającym powstanie Stanów Zjednoczonych. Deklaracja Niepodległości, bo o niej mowa, jest perfekcyjnie dopracowanym dokumentem. Zarówno od strony technicznej, jak i symbolicznej.

Jeżeli chodzi o stronę techniczną, to – po pierwsze – wprowadziła nazwę utworzonego państwa, które niedawno, bo rok wcześniej rozpoczęło wojnę z metropolią. Wojna trwała, brakowało na nią funduszy. Ratunkiem była pomoc dotychczasowego wroga Wielkiej Brytanii, czyli Francji, która w rewanżu za porażkę w wojnie siedmioletniej udzielała Amerykanom pomocy, w tym również finansowej. Ogłoszenie w Deklaracji Niepodległości powstania Stanów Zjednoczonych Ameryki było bardzo trafnym posunięciem propagandowym. Ponadto w dokumencie tym wyliczono skrupulatnie krzywdy, jakich mieszkańcy brytyjskich kolonii w Ameryce doznawali przez lata ze strony ... króla. Krzywd tych wyliczono znacznie więcej niż było w rzeczywistości, ale taki był zamysł tego dokumentu. Ponadto króla nazwano tyranem, tym samym wojna z Wielką Brytanią stała się nie tylko wojną o niepodległość, ale i o wolność. Po trzecie, zapowiedziano, że ilekroć rządy będą łamać ustalone przywileje i ograniczać wolność, należy je obalić i zaprowadzić nowe.

Jeżeli chodzi o symboliczne znaczenie Deklaracji Niepodległości, to już dobór jej głównych autorów był symbolicznym połączeniem stanów północnych, środkowych i południowych. Komisja mająca opracować ten dokument składała się z pięciu członków, z których trzech naprawdę go opracowywało, choć prym wiódł jeden. Był to Thomas Jefferson, nazywany Ojcem Deklaracji Niepodległości. Reprezentował on Wirginie, a więc stan południowy. Benjamin Franklin, również mający swój udział w opracowywaniu tego najważniejszego dla dziejów Stanów Zjednoczonych dokumentu, reprezentował Pensylwanię, a więc stan środkowy. Trzecim współtwórcą był John Adams z Massachusetts, a więc był przedstawicielem stanu północnego. Symbolika tego składu osobowego nie wydaje się być przypadkowa.



Wracając do republikańskiego amerykańskiego należy podkreślić, że czerpał on wzorce nie tylko z pism i traktatów politycznych i filozoficznych starożytności, ale również analizując modele ustrojowe osiemnastowiecznej Europy, szczytując się reformami Oświecenia. Niestety, żaden model tzw. oświeconego absolutyzmu nie przypadł Amerykanom do gustu. Stąd i Ojcowie Założyciele (Founding Fathers) opracowali pierwszy w czasach nowożytnych dokument, który wprowadzał w życie nie tyle powielane wzorce antyczne, co współczesne reformy, istniejące jedynie w traktatach filozoficznych. To wprowadzenie teorii do praktyki życia politycznego było niezwykle odważnym posunięciem. Ogłoszona w dniu 17 września 1787 roku Konstytucja federalna jako pierwsza na świecie wprowadziła po pierwsze trójpodział władzy (ustawodawcza, wykonawcza, sędziowska), wzajemne przenikanie się i ograniczanie tych władz (check and balances), ustrój federalny, republikański i demokrację. Ba, wprowadziła nawet niewolnictwo, bardzo zręcznie kryjąc je w treści. Przy całej postępowości i pionierskich rozwiązaniach pozostanie przy niewolnictwie ludności czarnej rzuca ogromny cień na ten postępowy i świetnie napisany dokument. Słowa preambuły "We the people" są do dziś najbardziej rozpoznawalne na świecie. Ponadto, konstytucja przetrwała do obecnych czasów, choć skrajności w jej interpretacji doprowadziły do wojny secesyjnej. Jednakże jej zasadniczy cel, jakim było wzmocnienie państwa, uczynienie go silnym i zjednoczonym, osiągnęła.

Amerykanie uważają swoją konstytucję za doskonałą. Jednak z naszej perspektywy, oprócz zauważenia niewątpliwie wielu zalet tego dokumentu, ma on także sporo wad. Krytykować można niejednoznaczność zapisu konstytucyjnego, gdyż oprócz bardzo konkretnych sformułowań są i takie, które dają szerokie możliwości interpretacyjne. Dało to sposobność zastosowania tzw. praw domniemanych „implied powers”, wprowadzonych przez jednego z twórców Konstytucji, Alexandra Hamiltona. Stanowiły one podstawę do sporów władz stanowych z władzą federalną. Krytyce poddać można również, uznane za mistrzowskie, opracowanie i zebranie praw obywatelskich, czyli tzw. Bill of Rights, będących pierwszą dziesiątką poprawek do Konstytucji. Dlaczego krytyka? Dlatego, że zostały one uchwalone w pierwszym roku funkcjonowania Konstytucji federalnej, ale wprowadzone w dwa lata później (1791). A zatem stany członkowskie Unii przyjęły Konstytucję, wierząc, że jej twórcy uzupełnią ją o prawa obywatelskie. Zaufanie do władzy, która właśnie w tej Konstytucji ograniczyła prawa stanowe, jest naprawdę zadziwiające.

Jednakże należy podkreślić, że od wejścia Konstytucji federalnej w życie wprowadzone zostały rządy prawa. Co prawda, prawo to było niekiedy diametralnie odmiennie interpretowane przez władzę federalną niż przez władze stanowe, ale było to jednak prawo i szacunek wobec postanowień konstytucji. Można ją było odmiennie interpretować, ale należało się odnosić do jej postanowień. To prawda, że niekiedy ta interpretacja i związane z nią prawa domniemane uważane były, zwłaszcza przez władze stanowe, za łamanie Konstytucji, ale władza federalna była odmiennego zdania i ferowała swoje uzasadnienia i wynikające z nich ustawy.

Jako że nie wszyscy Amerykanie mogli brać udział w rządzeniu państwem, a czynili i czynią to przez swoich przedstawicieli, ich republikę można określić jako demokrację przedstawicielską.

Najtrafniej ujął to w tragicznej chwili życia amerykańskiego państwa Abraham Lincoln, który zdefiniował demokrację jako "rządy ludu, przez lud, dla ludu" (government of the people, by the people, for the people). Słowo „people” można też tłumaczyć jako „naród”, sięgając do preambuły Konstytucji federalnej, gdzie tak właśnie słowo „people” jest tłumaczone. Uzyskujemy wówczas znacznie szersze znaczeniowo pojęcie, a słowa Lincolna zyskują inny wydźwięk. Znaczą „rządy narodu, przez naród i dla narodu”. Ta wersja wydaje się być nie tylko zgrabniejsza, ale obejmująca swym zasięgiem znacznie szersze rzesze amerykańskiego społeczeństwa. Rozpatrując to w kontekście 13. poprawki, która znosiła niewolnictwo, takie rozumienie ma głębszy sens.



Rozpatrując amerykański republikański, nie możemy go oddzielić od federalizmu, jak i demokracji. Otrzymujemy więc mieszankę systemów, które tworzą federalną konstytucyjną reprezentacyjną demokrację (a federal constitutional representative democracy). To określenie jest popularne w dzisiejszych Stanach Zjednoczonych Ameryki, acz w czasach wdrażania systemu federalnego w życie sami Amerykanie stosowali wymiennie nazwę demokracja (democracy), jak i republika (republic). „Zapominali” dodać, że ukrywali, a w zasadzie konstytucyjnie sankcjonowali, niewolnictwo. W Konstytucji federalnej nie znajdziemy nazwy „niewolnik” czy „niewolnictwo”, gdyż zostały one ukryte pod zgrabnymi sformułowaniami.

Po zniesieniu niewolnictwa amerykański republikański i demokracja nie miały się jednak szczycić tym, jak biali mieszkańcy odnosili się do wolnej już ludności kolorowej, zwłaszcza czarnej. Wystarczy wspomnieć kolejną przykrą i wstydlivą dla Amerykanów kwestię, jaką był Ku-Klux-Klan. Lata późniejsze przyniosły segregację rasową. Z perspektywy czasu wydaje się, że była ona czymś znacznie gorszym od siedemnasto- i osiemnastowiecznego niewolnictwa. Ludzie równi w prawach, a różniący się kolorem skóry nie mogli cieszyć się tymi samymi prawami, co biali mieszkańcy. Byli szykanowani przez zadufanych w sobie białych Amerykanów, ale co gorsze, przyzwolenie na takie traktowanie „szło z góry”. Wystarczy zobaczyć zachowany do dziś rozkład toalet w Pentagonie, które były osobne dla białych i osobne dla kolorowych. Ten „zamiatany pod dywan” problem na szczęście dziś ukazywany jest w filmach i powieściach. Amerykanie mają za co się wstydić. Do tej listy niechlubnych zachowań doliczyć można także polowania na czarownice, czyli „walkę z wewnętrznym zagrożeniem komunistycznym” w latach 1950–1954. Zjawisko to określane jest także mianem makkartyzmu od nazwiska McCarthy’ego, senatora, który stał na czele specjalnej podkomisji w Senacie, badającej lojalność pracowników rządowych i ich ewentualne powiązania z „czerwoną zarazą”, jak to określano.

Już od początku istnienia państwa republikański amerykański zmierzył się z totalnymi wpadkami, jak można by to było określić współczesnym językiem. Pierwszą i największą była nieprzemyślana pierwsza konstytucja. To wspomniane już Artykuły Konfederacji i Wiecznej Unii. Drugą wpadką był niezbyt przemyślany system wyboru prezydenta. Zakładał bowiem, że Federaliści, którzy stworzyli i wprowadzili w życie nową koncepcję ustrojową pozostaną u władzy jako jedna, jedyna partia. Tymczasem okazało się, że ich przeciwnicy, początkowo znani jako Antyfederaliści, a następnie Republikanie, zostali drugą partią w państwie. I to oni również wysuwali swoich kandydatów na prezydenta. Stworzony system wyborczy zadziałał poprawnie w zasadzie tylko dwa razy. Po raz pierwszy przy reelekcji Washingtona, a następnie przy wyborze drugiego prezydenta Stanów Zjednoczonych Ameryki, którym przez jedną kadencję był John Adams.

Dziwić może dlaczego system ten nie był wprowadzony przy elekcji George’a Washingtona jako pierwszego w historii federalnej republiki prezydenta. Otóż wybory nie były tu potrzebne, gdyż dosłownie wszyscy mający wpływ na losy państwa byli jednomyślni, że wyłącznie Washington ma zostać prezydentem. Wybory nie były potrzebne. Ba! Nawet specjalny wysłannik Kongresu został wysłany do Mount Vernon, aby prosić Washingtona o to, by zgodził się zostać prezydentem. I tak się stało.

Jednak kolejne wybory ukazały, że zapis konstytucyjny, dotyczący wyboru prezydenta, jest na tyle nieprecyzyjny, że paraliżuje wybory. Przekonał się o tym trzeci prezydent Stanów Zjednoczonych, którym został Thomas Jefferson. On i jego rywal z tej samej partii republikańskiej, Aaron Burr, otrzymywali w głosowaniach elektorckich po 73 głosy. W ciągu pięciu dni odbyło się 35 głosowań i za każdym razem liczba głosów była równa. Nie można było także odwołać się do rozstrzygnięcia przez Izbę Reprezentantów, co gwarantował artykuł drugi, dział pierwszy Konstytucji, gdyż wybierani byli Republikanami, a Izba była opanowana przez Federalistów. Dopiero odpowiedź Alexandra Hamiltona, który uświadomił Federalistom, aby wybrali tzw. mniejsze zło, czyli Jeffersona, poskutkowało 36. głosowaniem i wybraniem Jeffersona na prezydenta.



Jedną z pierwszych rzeczy, którą wprowadził nowy prezydent, była poprawka do Konstytucji, która rozdzieliła głosowania na prezydenta i na wiceprezydenta, aby nie dopuścić do powtórzenia się tak patowej sytuacji. Była to 12. poprawka do Konstytucji, która na samym początku głosowań dokonała rozdziału wyborów na prezydenta i wiceprezydenta. System ten istnieje do dziś. A przy okazji jest jeszcze tak bardzo skomplikowany i niemiarodajny, że po ostatnich wyborach zaczęto myśleć o jego zmianie. To wymagałoby jednak kolejnej poprawki do Konstytucji.

Mimo pewnych mniejszych lub większych potknięć, amerykański system federalno-demokratyczno-republikański jest nadal atrakcyjny zarówno dla amerykańskich obywateli, jak i imigrantów. Fale emigracyjne towarzyszą temu państwu od czasów kolonialnych, kiedy Europejczycy szukali na kontynencie północnoamerykańskim szansy na poprawę swego losu i osiedlenia się na nowym kontynencie. Przez wieki szukano w Ameryce miejsca wskazanego przez Opatrzność, miejsca, które będzie przyjazne i da szansę rozwoju. Wiele mitów narosło, zarówno dotyczących pierwszych osadników, jak i przy osiedlaniu się w początkach XIX wieku, następnie po wojnie 1812–1814, kiedy wprowadzono tzw. Boskie Przeznaczenie (Manifest Destiny), potem kiedy zapanowała gorączka złota. Ameryka zarówno kolonialna, jak i jako Stany Zjednoczone były atrakcyjne dla Europejczyków, którzy naturalizowali się i stawali się obywatelami amerykańskimi.

Z pewnością takim magnesem jest właśnie amerykańska Konstytucja (choć krytykowana wyżej), która gwarantuje prawa obywatelom. Konstytucja i włączone do niej poprawki (Bill of Rights) dają szansę i równe możliwości wszystkim (z wyjątkiem wspomnianych kwestii dotyczących ludności kolorowej). Amerykanie lubią podkreślać, że dumni są ze swojej Konstytucji, odwoływać się do niej i przypominać o prawach, które zapewnia wszystkim obywatelom. W dodatku wiedzą, że prawa te tworzone są przez przedstawicieli wybranych przez naród i że są zgodne z Konstytucją. Ponadto tradycja republikańska stale przypomina, że obywatele są świadomym społeczeństwem, znającym swe prawa i umiejącym je właściwie wykorzystać. Wiedzą również, że ich Konstytucja broni praw mniejszości. Mają przekonanie, że są narodem wybranym i usiłują eksportować swój system polityczny, co nie zawsze jednak bywa trafnym posunięciem. Dla Amerykanów ich kraj, ich Konstytucja i wynikające zeń zasady ustrojowo-polityczne są najważniejsze na świecie. Duma z własnego państwa i jego tradycji jest naprawdę piękną cechą amerykańskiego społeczeństwa.

Debata pt. „Strategiczne partnerstwo. Polska i USA w XX i XXI w.”  
odbyła się 16 września 2021 roku.

## STRATEGICZNE PARTNERSTWO W XX I XXI W.

W dyskusji udział wzięli:

**dr Marcin Fatalski** (Uniwersytet Jagielloński w Krakowie)  
oraz **dr Mirosław Habowski** (Uniwersytet Wrocławski).

Rozmowę poprowadził  
**dr Jan Pajor** (Uniwersytet Łódzki).



**Dr Jan Pajor:** Dzisiejsza debata będzie poświęcona stosunkom amerykańsko-polskim w XX i XXI wieku. Jest to zagadnienie bardzo rozległe, w związku z czym podczas debaty nie będziemy w stanie poruszyć wszystkich kwestii a skoncentrujemy się na wybranych problemach. Zanim jednak do nich przejdziemy, myślę, że warto wskazać na ogólne cechy tych kontaktów w interesującym nas okresie.

Po pierwsze, na co wskazują właściwie wszyscy badacze, były i są to stosunki asymetryczne. Z jednej strony są Stany Zjednoczone, czyli światowe supermocarstwo, a z drugiej Polska, państwo, które w XX i XXI wieku nie było nawet mocarstwem. Występuje tu zatem wyraźna różnica potencjału politycznego, militarnego i gospodarczego między obiema stronami, która wpływa na możliwość oddziaływania na sprawy o wymiarze światowym. Ta różnica skutkuje też odmiennym postrzeganiem obustronnych relacji przez oba państwa. O ile Stany Zjednoczone w polskiej polityce zagranicznej w interesującym nas okresie często zajmowały poczesne miejsce, o tyle dla Waszyngtonu, który ma swoje interesy w wielu miejscach na świecie, Warszawa nie odgrywała w tym samym czasie aż tak istotnej roli. Należy też dodać, że nastawienie i działania USA względem Polski stanowiły najczęściej element ogólnoeuropejskiej polityki tego kraju i, niestety dla Polski, często były uzależnione od stosunków z jej potężnymi sąsiadami, Niemcami albo Rosją/Związkiem Sowieckim.

Jeśli chodzi o drugą kwestię, którą warto tutaj zasygnalizować, to stosunki amerykańsko-polskie na przestrzeni XX i XXI wieku nie były stałe, lecz zmienne. Takie było również natężenie kontaktów oraz stosunek obydwu państw względem siebie, na co wpływały różne czynniki, zewnętrzne i wewnętrzne.

Po tym krótkim wprowadzeniu przejdźmy do pierwszego przełomowego momentu, w stosunkach polsko-amerykańskich, czyli I wojny światowej zwanej też Wielką Wojną oraz okresu tuż po jej zakończeniu, kiedy kształtował się nowy ład światowy. W maju 1919 roku Ignacy Jan Paderewski podczas przemówienia w sejmie stwierdził, że gdyby nie ogromna pomoc Stanów Zjednoczonych i przychylność amerykańskiego prezydenta Thomasa Woodrowa Wilsona to sprawa polska nadal byłaby wewnętrzną kwestią niemiecko-rosyjską. Wypowiedź polskiego premiera dosyć dobrze ilustruje, jak istotne znaczenie w kwestii odbudowy Rzeczypospolitej miało stanowisko Stanów Zjednoczonych. Zdecydowane poparcie tego państwa dla sprawy polskiej było też widoczne w dwóch najistotniejszych orędziach wygłoszonych przez prezydenta Wilsona w styczniu 1917 roku i styczniu 1918 roku. W pierwszym z tych przemówień jedynym państwem, które zostało w sposób *expressis verbis* przezeń wspomniane, była Polska. Opowiedział się on za odtworzeniem zjednoczonej, niepodległej Rzeczypospolitej. W drugim orędziu, w słynnych czternastu punktach istotne było nie tylko to, że punkt trzynasty poświęcony był sprawie polskiej, ale też to, że Polska była jedynym spośród wymienionych



przez amerykańskiego prezydenta nieistniejących wówczas państw. Widać zatem wyraźnie, że Stany Zjednoczone podczas I wojny światowej popierały sprawę polską. Z czego to wynikało? Dlaczego Stany Zjednoczone tak wyraźnie opowiedziały się za odtworzeniem Rzeczypospolitej i popierały sprawę polską? Dodajmy, że jest to zagadnienie o tyle interesujące, że wiedza nie tylko przeciętnych Amerykanów, ale także elit politycznych tego kraju na temat polskiej historii czy Polaków była skromna. Być może cokolwiek wiedziano na temat samych Polaków ze względu na emigrantów polskich, mieszkających w Stanach Zjednoczonych. Jednakże należy też dodać, że nasi rodacy nie cieszyli się jakąś wielką estymą w Stanach Zjednoczonych i przeważnie opinia o nich była raczej negatywna. Sam prezydent Wilson w jednej ze swoich publikacji wyrażał się o nich mało pochlebnie. Co zatem zadecydowało, że Stany Zjednoczone tak ewidentnie opowiedziały się za odtworzeniem państwa polskiego?

**Dr Marcin Fatałski:** Pod wieloma z tych tez pozostaje mi się tylko podpisać. Przechodząc do pytania dotyczącego zasadniczej przyczyny, dla której Wilson poparł idee budowy niepodległego państwa polskiego należy nadmienić, że wynikało to z jego ogólnej koncepcji politycznej. Był to człowiek, który w warunkach amerykańskich uchodził za ojca albo symbol idealizmu amerykańskiego. Z jednej strony można zauważyć przy tym realizm, który charakteryzuje politykę każdego mocarstwa, a z drugiej poczucie misyjności charakteryzujące politykę amerykańską, które jest często obecne ponadpartyjnie w polityce tego kraju. Gdybyśmy, na przykład, to odnieśli do stosunku wobec Bliskiego Wschodu, to odnajdziemy tę misyjność w polityce administracji Georga W. Busha Juniora, a także Johna Fitzgeralda Kennedy'ego oraz Thomasa Woodrowa Wilsona. Ten ostatni stał się symbolem liberalizmu w stosunkach międzynarodowych, w polityce amerykańskiej. Miał on głębokie przeświadczenie o tym, że Wielka Wojna, musi być konfliktem, który położy kres wszystkim wojnom. Dotknijmy źródeł kwestii zaangażowania amerykańskiego. Obok bezpośrednich polityczno-ekonomicznych przyczyn, była też chęć przebudowy ładu narodowego, stąd wzięta się idea Ligi Narodów. To forum, które miało rozwiązywać wszystkie problemy. Wilson głęboko wierzył w to, że nowy ład międzynarodowy będzie lepszy od tego, który funkcjonował do tej pory z tego względu, że obecny był oparty na koncercie mocarstw, tajnej dyplomacji, braku poszanowania dla idei samostanowienia narodów oraz zaowocował katastrofą w postaci tej wielkiej wojny europejskiej. W tym kontekście postulat odbudowy państwa polskiego mieścił się w jego generalnej koncepcji prawa narodów do samostanowienia. Odwołał się Pan do różnych jego wystąpień. Zanim jeszcze było wiadomo, że Austro-Węgry ostatecznie się rozpadną, to zdążyła pojawić się idea autonomii narodów wchodzących w ich skład. Chodziło o to, żeby te państwa, narody, które stanowiły czynnik rozsadzający imperia i destabilizujący ład międzynarodowy, odzyskały jakikolwiek rodzaj głosu, tak aby nie musiały rozbić ładu międzynarodowego i stały się czynnikiem stabilizującym pewien porządek. To, że Wilson mówił o Polsce, zawdzięczać należy Paderewskiemu. Nawet elita amerykańska nie miała większego wyobrażenia ani szczególnej wiedzy o sprawach Polski, dlatego, że Polska w Stanach Zjednoczonych była traktowana jako część Europy Środkowo-Wschodniej. Oni w pewien sposób patrzyli na ten obszar całościowo. Mieli specjalistów, którzy znali się na sprawach związanych z tym regionem, ale generalnie nawet przedstawiciele elit amerykańskich widzieli przede wszystkim Europę Zachodnią, którą nieźle znali i o której historii sporo widzieli oraz Europę Środkowo-Wschodnią, o której mieli mniejsze wyobrażenie. Polska w XX wieku pojawi się dla nich dopiero w pewnych kontekstach. Będzie to początek wojny światowej, potem „Solidarność” i element układanki, jaką była rywalizacja wschód-zachód. Natomiast wcześniej to był naród bez państwa. Trzeba zawdzięczać Wilsonowi to, że osobiście



zadbał o to, aby kwestia polska znalazła się w jego agendzie jako element polityki Stanów Zjednoczonych w ramach budowania nowego porządku międzynarodowego. Przypisałbym to koncepcji ułożenia stosunków międzynarodowych na nowych zasadach.

**Dr Jan Pajor:** Zgadzam się z tym. W przywołanym przeze mnie pierwszym orędziu ze stycznia 1917 roku Polska została podana jako przykład w kontekście idei samostanowienia narodów.

**Dr Mirosław Habowski:** Zgadzam się z tym, co zostało powiedziane, najważniejsze czynniki zostały omówione. Wyobraźmy sobie, że Wilson był wyrachowanym realistą, który czysto instrumentalnie tym się posługiwał. To jakie mogły być interesy amerykańskie, bo Henry Kissinger wskazuje, że Wilson był pacyfistą, liberałem, a mimo to przystąpił do wojny. Zrobił dokładnie to, co zrobiłby na przykład Theodore Roosevelt. Powstanie niepodległego państwa polskiego dla Stanów Zjednoczonych było korzystne, ponieważ osłabiało dwie najszybciej rozwijające się potęgi gospodarcze i polityczne ówczesnego świata, które mogły rodzić zagrożenie dla Stanów Zjednoczonych, czyli Niemcy i Rosję. Pomijając te prawdziwe rzeczy, to niezależnie od intencji Wilsona, dla Ameryki korzystne było istnienie nie tylko Polskie, ale również szeregu państw, które rozdzielają dwa wspomniane mocarstwa. One jeszcze bardziej osłabiały Rosję i Niemcy terytorialnie. Ciężko powiedzieć, na ile była to intencja Wilsona, chociażby z tego powodu, że Amerykanie wycofali się z europejskiej polityki. Przez dwadzieścia lat koncentrowali się na swoim własnym podwórku. Nie wiadomo, jakie były intencje, ale korzyści były niezależnie od nich.

Jeszcze bym wyeksponował jeden element, o którym pan wspomniał. Uwaga o kilkanaście lat wcześniejsza niż wydarzenia, o których mówimy. Dla Amerykanów mieszkańcy Stanów Zjednoczonych pochodzący z naszego regionu byli rasowo gorsi. Widzimy więc, że stanowisko prezydenta Wilsona nie wynikało to z jakiegokolwiek dawnej osobistej sympatii do Polaków, tylko z bardziej ogólnych zasad albo interesów.

**Dr Jan Pajor:** Zgadając się z tym, co panowie powiedzieli, ewentualnie dodałbym, że pewną rolę mogła odegrać sama osobowość prezydenta Wilsona. Miał on bowiem taki ciekawy charakter, że jeżeli już się na coś zdecydował, to później, niezależnie od tego, co sugerowali mu inni, trzymał się tej decyzji. W związku z tym, kiedy raz koncepcja odbudowy państwa polskiego została przez niego podchwycona, to już z nią pozostał. Z kolei, jeśli chodzi o to, kto i w jaki sposób przyczynił się do tego, żeby ta koncepcja była znana prezydentowi Wilsonowi, to pan doktor Fatalski wspominał o działalności Polonii i Paderewskiego, który miał bezpośredni dostęp do Wilsona, prezydenckich doradców i sekretarza stanu. Dzięki temu mógł kształtować pozytywną opinię o Polsce i wpływać na postanowienia oraz wizję amerykańskiej administracji.

Wspomnieliście panowie o tym, jaką rolę odegrała Polonia i lobby polityczne w Stanach Zjednoczonych. Grupy nacisku, które wywierały presję poprzez bezpośrednie kontakty z politykami albo poprzez próbę kształtowania pewnych nastrojów społecznych, w demokratycznym systemie amerykańskim były bardzo istotne. Chciałbym, byśmy porozmawiali o innej



grupie nacisku, o lobby organizacji żydowskich w Stanach Zjednoczonych. Z jednej strony była Polonia, która starała się doprowadzić do tego, że amerykańska administracja udzieli poparcia koncepcji odbudowy Polski. Z drugiej strony była zaś zmasowana kampania prasowa inicjowana przez różne organizacje żydowskie, które starały się ukazać Polaków w gorszym świetle. Moje pytanie nie będzie dotyczyło tylko tego momentu formowania się państwa polskiego tuż po wojnie, ale całego okresu dwudziestolecia międzywojennego. Jak bardzo kwestia żydowska w Polsce wpłynęła na stosunki polsko-amerykańskie?

**Dr Mirosław Habowski:** Najlepiej znany jest jednak ten okres, kiedy Stany Zjednoczone były mocno zaangażowane w politykę europejską, czyli Kongres Paryski. Roman Dmowski, w „Polityce polskiej i odbudowaniu państwa” opisał swoją wizytę w Stanach Zjednoczonych, spotkania z działaczami diaspory żydowskiej. Nie ukrywał, że nie odbywały się one w miłej atmosferze i że zaistniał wyraźny konflikt interesów między dążeniami polskimi, reprezentowanymi przez jego obóz, a środowiskami Żydów amerykańskich. Niewątpliwie istniał spór na tej linii, który znalazł swoje odzwierciedlenie. Dmowski oskarżał środowiska żydowskie w Wielkiej Brytanii i w Stanach Zjednoczonych o sympatie proniemieckie i antypolonizm. W tym okresie taki konflikt był widoczny. Różni producenci kinowi, pochodzący z Polski, ale narodowości żydowskiej, mieli tendencje do przedstawiania negatywnych stereotypów na temat Polaków. Kino zaś kształtowało bardzo mocno świadomość szerokiego społeczeństwa. To mógł być też pewien negatywny czynnik wpływający na stosunki polsko-amerykańskie, bardziej społeczne. Natomiast ciężko mi powiedzieć o stosunkach politycznych, ponieważ okres międzywojenny nie należy do szczególnie intensywnych w stosunkach polsko-amerykańskich. Nie przypominam sobie żadnej politycznej sytuacji, która by źle na nie wpłynęła. Wiadomo, że czasami w mediach przedstawiano wyolbrzymione relacje, na przykład o polskim antysemityzmie. Niewątpliwie jednak takie kwestie wpływały na amerykańską opinię publiczną oraz decyzje, jakie zapadły po II wojnie światowej.

**Dr Marcin Fatalski:** Odpowiem w szerszej perspektywie, czyli w aspekcie ogólnego stosunku Amerykanów do mniejszości oraz w perspektywie, o którą pan zapytał i pan doktor przed chwilą mówił. Po pierwsze, trzeba sobie uświadomić, że stosunek Amerykanów do Polaków nie był określany przez pryzmat relacji polsko-żydowskich, tylko faktu, że Polacy byli Słowianami i katolikami. Amerykanie to zaś *white anglosaxon protestants*, co było wtedy bardzo dobitnie podkreślane. Wilson jawi się nam jako przedstawiciel liberalizmu amerykańskiego, podczas gdy obecnie jest on rozliczany za różne określenia, poglądy, które z dzisiejszej perspektywy jawią się, w dyskursie amerykańskim, jako rasistowskie, bowiem takie były czasy. Chcę powiedzieć o tym, że dla Amerykanów Włochów traktowano jako niższą rasę, podobnie Irlandczyków, którzy byli katolikami i to ich dyskwalifikowało. Stosunki ze Stolicą Apostolską nawiązała dopiero Franklin Delano Roosevelt. Jednak nie zdobył się on na to, aby posłać tam dyplomaty w randze posła albo ambasadora, tylko ograniczył się do oddelegowania własnego specjalnego przedstawiciela. Nie chciał irytować amerykańskiej opinii publicznej, która generalnie uważała Watykan za obcy czynnik w naturze amerykańskiej. Spójrzmy na Polskę z perspektywy tego, co Amerykanie wówczas uważali za właściwą i najlepszą kategorię rasową.



Druga sprawa, to kwestia kontaktu Wilsona ze środowiskami żydowskimi albo późniejszymi administracjami. Amerykanie później, bardzo szybko, zaczęli uważać udział w I wojnie światowej za błąd. Pojawiały się teksty, które stawiały sprawę w ten sposób: spójrzmy na Europę. Czy Rosja carów była państwem mniej stabilnym i przewidywalnym w stosunkach międzynarodowych niż Rosja bolszewicka? Nie. Czy II Rzesza Niemiecka była państwem bardziej negatywnie odbieranym albo wpływającym na stosunki międzynarodowe niż Republika Weimarska, nie wspominając o III Rzeszy? Nie. Czy Europa Środkowo-Wschodnia, której narodom chcieliśmy dać autonomię albo niepodległość, jest oazą stabilności? Nie. To po co nam to było? W imię czego zaangażowaliśmy się tworząc porządek międzynarodowy, który jest mniej stabilny niż ten, który istniał przed I wojną światową? Zostawiając na boku to, że w Stanach Zjednoczonych dyskutowano o tym, że zaangażowanie było niepotrzebne, ze względu na to, że Europa nie oddała pieniędzy, które pożyczyła w czasie konfliktu. Oni po prostu uważali, że bilans tego, czym jest Stary Kontynent, był negatywny. Mam na myśli tych, którzy w ogóle interesowali się tym, co się dzieje za oceanem. Jeden z czołowych amerykańskich historyków i publicystów pisał wtedy: „A kimże my jesteśmy, dziewczęta i chłopcy, żeby rozwiązywać problemy europejskie, pokryte patyną dziesięciu wieków historii?” Tak to widziano. To nie były ich problemy.

Wreszcie kwestia tego, że Żydom amerykańskim Niemcy jawili się jako miejsce ciekawsze i lepsze niż Polska. Powiedzmy jedną rzecz, również nie wchodząc w szczegóły, dotyczące kwestii stosunków narodowościowych w II Rzeczypospolitej. One były trudne. Natomiast jeśli spojrzymy na II Rzeszę, to był to kraj zorganizowany wokół idei państw, a nie wokół idei etnicznych. Żydzi niemieccy nie mieli negatywnych wyobrażeń na temat II Rzeszy, mówię o państwie Hohenzollernów. Prawdopodobnie stąd mogły wynikać różnice w podejściu albo w poglądzie na sprawy polskie. Jest rzeczą odrębną, jakie kto ma osobiste doświadczenia i jakie panowały stereotypy w niektórych kręgach. Stereotypy bardzo często rządzą różnymi środowiskami i znajdują swoje odzwierciedlenie.

Ostatnia kwestia. Trudno jest mi wysledzić wpływ na konkretne decyzje polityczne. Może to miało odbicie w publicystyce, jakimś obrazie filmowym, tego nie wiem. Natomiast nie znam przełożenia tego na decyzje polityczne.

**Dr Jan Pajor:** Jeżeli chodzi o ten wpływ, to chyba najbardziej zauważalny, przynajmniej w aspekcie politycznym, był on podczas Konferencji Paryskiej. Ze względu na różne naciski prezydent Wilson i delegacja amerykańska optowali za tym, aby nowym państwom, w tym także Polsce, narzucić mały Traktat Wersalski, który miał chronić między innymi mniejszość żydowską. Zresztą niedługo po podpisaniu małego Traktatu Wersalskiego do Polski przybyła misja Henry'ego Morgenthaua, która miała zbadać zasadność różnych zarzutów wysuwanych przez prasę w Stanach Zjednoczonych wobec Polski. Raporty wespół z doniesieniami pierwszego przedstawiciela dyplomatycznego Stanów Zjednoczonych w Warszawie, do jakiegoś stopnia uspokoiły Amerykanów. Okazało się, że część oskarżeń była wyolbrzymiona lub nieprawdziwa. W kolejnych latach politycy nad Potomakiem w różnym stopniu interesowali się kwestią żydowską w Polsce i na pewno przyczyniła się ona do ukształtowania się w USA bardziej negatywnego wizerunku Polaków. Mógł on później zostać wykorzystany, chociażby pod koniec II wojny światowej, żeby uzasadnić pewne decyzje polityczne, które mogły się nie podobać części społeczeństwa amerykańskiego.



Przejdźmy teraz do czasów II wojny światowej. Chciałbym, abyśmy poruszyli kwestię stosunków między Waszyngtonem a polskimi władzami emigracyjnymi. Dlaczego prawie do końca wojny polscy politycy wierzyli, że mają amerykańskie poparcie dla swojej sprawy? Premier Sikorski trzykrotnie udawał się do Stanów Zjednoczonych i za każdym razem wracał zadowolony, że udało mu się mniej więcej uzyskać to, czego chciał, a administracja Roosevelta go popierała. Podobnie jego następcą, premier Mikołajczyk, który w 1944 roku udał się za ocean i również odniósł raczej pozytywne wrażenie. Tok myślenia polskich polityków sprowadzał się do uznawania Brytyjczyków jako tych, którzy ich ograniczają i chcą porozumieć się ze Stalinem kosztem Polski. Liczono więc na pomoc amerykańską, żeby przekonać Londyn do zmiany stanowiska. Jednakże okazało się, że sytuacja była odwrotna. To Wielka Brytania, chociaż akceptowała pewne zmiany granic II Rzeczypospolitej, starała się uzyskać gwarancje niepodległości dla okrojonego państwa polskiego, natomiast Roosevelt godził się na wszystkie żądania Stalina. Z czego wynikało błędne odczytanie intencji USA przez polskich polityków? Może ulegli oni swoistemu czarowi Roosevelta, jaki podobno roztaczał? Może udało mu się zwieść polskich polityków? Może wykazali się oni pewną naiwnością, brakiem rozeznania w realiach amerykańskich? Może pokutował pewien mit Ameryki, przeświadczenie ukształtowane jeszcze w czasie I wojny światowej, że Stany Zjednoczone popierają sprawę polską i w polityce zagranicznej kierują się nie tylko interesami, ale również ideałami?

**Dr Marcin Fatalski:** Pytanie jest niesłychanie trudne, jeśli chodzi o przedstawienie odpowiedzi na nie w formie syntetycznej. Słusznie pan zauważył, że postrzegano Stany Zjednoczone jako punkt odniesienia. Gdy spojrzymy na protokoły posiedzeń rządu polskiego na uchodźstwie, to już wówczas, na początku II wojny światowej, w 1940 roku, mówiono, że są dwa wielkie mocarstwa na tym świecie. Jedno to mocarstwo moralne, Stolica Apostolska, a drugie to mocarstwo realne czyli Stany Zjednoczone. To jeszcze było przed upadkiem Francji. Przebywał wówczas w Europie podsekretarz stanu Sander Wells, bardzo bliski współpracownik Franklina Delano Roosevelta. Spotkał się on przy tej okazji z generałem Sikorskim. To był taki pierwszy kontakt tej administracji z nową ekipą. Zmieniono polskiego ambasadora w Waszyngtonie. Został nim Jan Ciechanowski, z dużą zresztą korzyścią dla sprawy polskiej. Był to bardzo dobry dyplomata. Faktycznie, początkowo uważano, że Stany Zjednoczone będą stanowiły oparcie dla interesów Polski. Wypadałoby jeszcze wrócić do początku lat trzydziestych XX wieku. Stany Zjednoczone przy okazji konfliktu w Chinach, kiedy Japonia zaatakowała Chiny, ogłosiły tak zwaną doktrynę Stimsona. Zakładała ona nieuznawanie zmian terytorialnych, które zostały dokonane ze złamaniem prawa międzynarodowego. Chodziło o to, że jeżeli jedno państwo odbiera ziemię drugiemu na drodze zbrojnej, nawet jeżeli zmusza je do zaakceptowania tego faktu, nie jest to dla Amerykanów podstawa do uznania tego faktu. Z punktu widzenia Stanów Zjednoczonych, to co się działo w Europie w 1939 roku, czyli inwazja nazistowska na Polskę i wejście Sowietów 17 września 1939 roku, to były porównywalne sytuacje. Amerykanie nie uznawali zajęcia przez Niemcy polskiego terytorium Polski ani aneksji wschodniej części II Rzeczypospolitej przez Związek Sowiecki. To wywołało opór w Waszyngtonie. Rozważano zerwanie stosunków dyplomatycznych z Moskwą, ale ostatecznie, z czysto technicznego punktu widzenia, uznano to za działanie kontrproduktywne, które nie przyniesie żadnych korzyści, a w dłuższej perspektywie zrodzi komplikacje. Trzeba było bowiem z kimś rozmawiać po tamtej stronie. Z punktu widzenia amerykańskiego rzecz polegała na tym, że do 1942, 1943 roku Stany Zjednoczone trzymały się tej zasady. Administracja amerykańska wymuszała na Brytyjczykach usztywnienie stanowiska w kontekście żądań radzieckich, dotyczących uznania zmian terytorialnych w Europie Środkowo-Wschodniej. Londyn negocjując



traktat z Moskwą, konsultował ten fakt z Amerykanami, ci zaś określili w wewnętrznej korespondencji między podsekretarzem stanu, a jednym z doradców w departamencie stanu, gotowość do uznania jakichkolwiek zmian terytorialnych mianem *extra ordinary stupid*. To jest mocne, jak dla dyplomaty, sformułowanie. W okolicach 1943 roku bardzo wiele się zmieniło, z powodu odwrócenia sytuacji międzynarodowej. Już po 1941 roku, kiedy było wiadomo, że inicjatywa na wschodzie będzie należała do Związku Sowieckiego, administracja Roosevelta zaczęła przyjmować stanowisko, w którym akceptowała coraz dalej idące żądania Moskwy.

Pytanie, które pan zadał, można postawić z dwóch stron. Dlaczego Amerykanie się na to zgodzili, pomimo że wcześniej wielokrotnie dawali wyraz swojej pryncypialnej postawie, zasadom? Przykładem tego jest Karta Atlantyku, stanowisko w kwestii traktatu brytyjsko-sowieckiego. Tutaj weszły też w grę inne kwestie. Później odwrócili się oni od tej koncepcji. Ostatecznie zadecydował pragmatyzm, poczucie, że tylko Moskwa jest kluczowa w odniesieniu zwycięstwa w wojnie z Niemcami, a później z Japonią. Po drugie, że Józef Stalin będzie partnerem w budowie porządku powojennego. Uważano, że te dwie zasadnicze przesłanki muszą doprowadzić do końca wojny i nie można zrobić niczego, co opóźniłoby jej zakończenie albo odsunęło to w czasie. Wiąże się to z większymi stratami, śmiercią kolejnych amerykańskich żołnierzy. Zarówno to, jak i druga kwestia, czyli poczucie Amerykanów, że muszą zbudować ład międzynarodowy, a nie da się go zbudować bez Stalina, zadecydowało o tym, że przyjęli taką, a nie inną politykę. W administracji amerykańskiej były zaś różne postawy w odniesieniu do przywódcy Związku Sowieckiego.

Tutaj, oczywiście, również na Rooseveltcie ciąży grzech naiwności w ocenie tego człowieka. Prezydent Stanów Zjednoczonych wierzył w swój urok, którym mógł oczarować także polskich polityków. Kiedyś spotkał jednego z czołowych aktorów amerykańskich i powiedział: Jest w tym kraju tylko dwóch wielkich aktorów, a pan jest tym drugim. Roosevelt wierzył, że jego urok i potrzeba polityczna sprawią, że będzie w stanie kooperować ze Stalinem. Część polityków amerykańskich, która uważała przywódcę Sowietów za tego, kim on był w istocie rzeczy, czyli zbrodniczego tyrana, uznawała, że kalkulacja polityczna zmusi Moskwę do współdziałania z Waszyngtonem w sytuacji, kiedy dojdzie do budowy ładu powojennego. Wspomniany podsekretarz Wells do należał do tych właśnie osób. Nie miał złudzeń co do tego, kto jest po drugiej stronie, ale uważał, że i tak nie ma wyjścia i trzeba z nimi współpracować.

Natomiast ta druga strona – polska. Wiele sytuacji uległo zmianie. Kiedy do Jana Ciechanowskiego dotarły informacje na temat tego, że rozmawia się na konferencjach o granicach Polski (znajdujemy to w jego dzienniku „Defeat in Victory”), on wstrząśnięty uświadomił sobie, że Amerykanie bardzo oględnie zadają pytanie: Czy istotne jest, że Polska nie będzie skłonna ustąpić w żadnej mierze, w kwestiach terytorialnych? Rozpoczął się wówczas podział w obozie polskim. Jedni uważali, że trzeba rozmawiać z aliantami, niezależnie od tego jacy oni są, to znaczy, oczekującymi na kompromis polsko-sowiecki. Stanisław Mikołajczyk będzie do należał do tej grupy. Drudzy stwierdzali, że nie można rozmawiać, bo nic nie można ugrać. Jedni są pryncypialni, a drudzy uważają, że nic z tego nie będzie. Rok 1943, 1944 to przełom, który pokazuje, że Amerykanie będą skłonni porozumieć się ze Stalinem w sprawach Europy



Środkowo-Wschodniej. Po drugiej stronie zaczął się dramatyczny spór o to, jak daleko można się posunąć. Różne koncepcje, po śmierci generała Sikorskiego, będzie prezentować premier Mikołajczyk. Inaczej na sprawy będzie patrzył generał Kazimierz Sosnkowski. Często, gdy mówimy o „zdradzie zachodu”, to o 1939 roku wspomina się, że Francja i Anglia zawiodyły Polskę, ale gdy dotyka się 1943 roku albo 1945 roku (konferencja Wielkiej Trójki), to personalnie przypisuje się to Rooseveltowi.

**Dr Mirosław Habowski:** Polacy ulegli urokowi pod wpływem doświadczeń I wojny światowej. Rzeczywiście, Wilson, który był idealistą, przy okazji wiele dla Polski zrobił. Chociaż jak zauważył jeden z francuskich polityków, mówił on jak Jezus Chrystus, ale postępował jak David Lloyd George. W polskiej perspektywie, między amerykańskim i brytyjskim przywódcą były zauważalne różnice. Polacy mogli mieć wobec premiera Wielkiej Brytanii różne zastrzeżenia. W ogóle taki obraz Brytyjczyków, którzy nie uznają trwałych przymierzy, mógł skłonić do zrodzenia się przekonania, że Brytyjczycy zdradzą Polaków, a Amerykanie będą wierni zasadom. Jednak faktycznie okazało się, że przy całym realizmie, Winston Churchill był momentami gruboskórny, a Roosevelt był sympatyczny. To również mogło powodować tą błędną politykę. Jednak państwo polskie miało dość ograniczone możliwości zdobywania informacji, takich jakimi zwykle dysponuje niepodległe państwo. Polacy w dużej mierze utracili ten aparat, możliwość niezależnego pozyskiwania wiadomości na temat tego, co się dzieje na świecie. Takie czynniki mogły mieć wpływ. Natomiast z perspektywy czasu byli mądrzejsi. Możemy się dziwić, bo teraz parę sygnałów było, gdy Związek Sowiecki po ujawnieniu sprawy katyńskiej zerwał stosunki dyplomatyczne z Polską, to Ameryka nie podjęła się misji reprezentowania w Moskwie interesów Rzeczypospolitej. To był bardzo mocny sygnał.

**Dr Jan Pajor:** Czynnikiem, który mógł również w pewien sposób wpłynąć na takie, jak się okazało błędne, postrzeżenie, było być może to, że Polacy na emigracji mieli na co dzień do czynienia z Brytyjczykami, a nie z Amerykanami. Mówiłem o wizytach kolejnych premierów w USA. Były to jednak tylko pojedyncze wyprawy, natomiast na co dzień polscy politycy kontaktowali się z Brytyjczykami, Amerykanie zaś przekazywanie złych wiadomości bardzo chętnie zostawiali Londynowi. Być może, z tego właśnie wynikało przekonanie o tym, że to właśnie Brytyjczycy ograniczają Polaków i nie są im przychylni, a zarazem wierzone, że po drugiej stronie Atlantyku, w Waszyngtonie, jest ta przychylność.

**Dr Mirosław Habowski:** Niektórzy politycy, to nie jest jakieś złudzenie. W okresie Jałty jest taka korespondencja między Georgem Frostem Kennanem a Charlesem Eustisem Bohlenem, czyli wcześniejszym ambasadorem. Kennan wzmiankuje w niej: „wiemy, z kim mamy do czynienia i podzielmy się wpływami w Europie. Oddajmy tam strefę wpływów, na wschodzie, Sowietom, ale trzymajmy ich z dala od naszej strefy wpływów.” Tu już nie idealizm, tylko taki realizm, albo po prostu daleko posunięty cynizm. Bez złudzeń.



**Dr Marcin Fatalski:** Wywołany przez pana Kennan był wtedy trochę zmarginalizowanym sowietologiem. Ostentacyjnie mówił, kto jest tam, po drugiej stronie. On był wielkim wielbicielem kultury rosyjskiej. Surowym, jednoznacznym i bezwzględny krytykiem systemu sowieckiego. To podejście do ZSRS było uwarunkowane tym, że Amerykanie mieli też bardzo oględną i słabą wiedzę, jako opinia publiczna, o tym, co się tam działo, w okresie międzywojennym i później zresztą także. Bardzo dużo było wiadomo o III Rzeszy, skąd przeciekały informacje, tym bardziej, że polityka tego państwa była ostentacyjna. Natomiast ufano w koncepcję zakładającą, że Stalin to tyran, gdzieś daleko funkcjonujący i odcięty. Wierzano, że to specyficzna kultura, mająca swoje realia. W sumie to wszystko dawało taki obraz kraju, który rządzi się swoimi specyficznymi prawami. Jest jeszcze jedna kwestia. Roosevelt, jeden z największych prezydentów Stanów Zjednoczonych, był bardzo złożonym człowiekiem. Amerykanie w swoich ocenach patrzą na niego z własnej perspektywy. Sam Jan Karski powiedział: „Mamy do niego różne pretensje, ale pamiętajmy, że on był prezydentem amerykańskim i na różne sprawy patrzył z amerykańskiego punktu widzenia.” Jeden z jego doradców, admirał William Daniel Leahy, po powrocie z Jałty powiedział: „Panie prezydencie przecież te postanowienia jałtańskie można rozciągnąć stąd do Władystoku”, a Roosevelt na to odpowiedział: „Ja to wiem, tylko nic więcej nie mogłem zrobić.”. To jest właśnie taka sytuacja, że miał on nadzieję, że zastane realia będą wyglądały inaczej, może nastąpi coś na kształt finlandyzacji, może to nie będzie taka stalinizacja, jaka nastąpiła po II wojnie światowej. On jednak nie mierzył się już z tym problemem, tylko jego następcy.

**Dr Jan Pajor:** Uzupełniając to, co pan doktor powiedział. Fakt, że Roosevelt znajduje się zawsze w czołówce amerykańskich prezydentów, jest zrozumiałe. Po pierwsze, przeciętny on wielki kryzys gospodarczy, a po drugie wygrał II wojnę światową. To są osiągnięcia, które na pewno bardzo windują jego akcje. Zresztą kolejne wybory, także te w 1944 roku, pokazały, jakim cieszył się poparciem. Jeśli chodzi o wybory z 1944 r., to w ich trakcie Roosevelt miał obawiać się między innymi tego, że Polonia amerykańska odwróci się od jego osoby, jeśli poinformuje ją o postanowieniach podjętych wstępnie w Teheranie. Dlatego wolał milczeć na ten temat. Z tego okresu pochodzi słynne zdjęcie będące przykładem realizmu albo wręcz cynizmu politycznego, na którym Roosevelt sfotografował się z przewodniczącymi polskich organizacji polonijnych na tle mapy II Rzeczypospolitej w przedwojennych granicach.

W tym momencie chciałbym już przejść do okresu PRL. Po II wojnie światowej Polska znalazła się w radzieckiej strefie wpływów. Komuniści dzięki wsparciu ZSRS doszli do władzy. W tym pierwszym okresie, stalinowskim, kontakty amerykańsko-polskie niby przez cały czas podtrzymywano, ale faktycznie były one raczej sporadyczne. Amerykanie przyjęli taką linię postępowania, że z jednej strony skrytykowali wybory, które odbyły się w styczniu 1947 roku, stwierdzając, że nie były one demokratyczne i nie odpowiadały założeniom jałtańskim, ale z drugiej strony utrzymywali stosunki z władzami, które zostały w nich wyłonione. Niemniej stosunki bilateralne były w tym czasie bardzo ograniczone. Sytuacja zmieniła się w 1956 roku, w momencie odwilży i przemian, które zaszły wówczas w Polsce. Chciałbym skoncentrować się na okresie od 1956 do 1980 roku. Jaką wówczas rolę odgrywała Polska w polityce amerykańskiej? Jakie były kalkulacje amerykańskie? Co Amerykanie chcieli osiągnąć? Czy im się to udało?



**Dr Marcin Fatalski:** Zgadzam się, że po 1956 roku Amerykanie mogli spojrzeć inaczej na sprawy Europy Środkowo-Wschodniej. Wcześniej poziom stalinizacji, skonsolidowania grupy państw uzależnionych od ZSRS, był kolosalny. Warto wspomnieć tylko jedną rzecz z tamtego wcześniejszego okresu. Proszę zważyć, że gdy Amerykanie uświadomili sobie iż Europa Wschodnia jest stracona a kontrola Moskwy została rozciągnięta definitywnie na długie lata, zaczęli grać kartą granicy polsko-niemieckiej. Wypowiadali się na ten temat dość dwuznacznie usiłując umocnić swoją pozycję w Niemczech, w których wtedy sytuacja była niejednoznaczna. Państwo to było podzielone na strefy okupacyjne, ale jeszcze nie definitywnie na dwa państwa. Ten podział nastąpił dopiero później. Grając o Niemców, mówili o kwestii granicy odsuniętej do traktatu pokojowego, który nie był podpisywany. Komuniści wykorzystywali to natomiast wywołując lęki w Polsce, ponieważ – spójrzmy na tych Amerykanów, którzy mieli Polskę wspierać, a okazuje się, że udzielają pomocy Niemcom i mówią dwuznacznie o Ziemiach Odzyskanych. Później, zostawiając tę kwestię na boku, sprawa jest dość złożona, dlatego że z amerykańskiego punktu widzenia Europa Środkowo-Wschodnia stanowiła pewne wyzwania koncepcyjne. Amerykanie na różnych etapach zimnej wojny bardzo różnicowali do niej swój stosunek oraz koncepcje postępowania wobec ZSRR. W latach pięćdziesiątych XX wieku rządili republikanie z Dwightem Davidem Eisenhowerem na czele. Doszli oni do władzy pod hasłem frontalnej krytyki polityki Roosevelta. Wspomniano wcześniej Kennana, który był ojcem koncepcji, doktryny powstrzymywania komunizmu. Richard Nixon nazwał ją tchórzliwą szkołą powstrzymywania komunizmu, bo nie należało go powstrzymywać, ale wypierać komunistów jeśli tylko istnieje taka możliwość. Właśnie stąd wzięła się koncepcja doktryny wyzwalania. Później doszło do rewolucji węgierskiej. Czy ta wojownicza, bardzo retorycznie antykomunistyczna administracja Eisenhowera, która miała tak bardzo odróżniać się od tchórzliwej szkoły powstrzymywania komunizmu poprzedników, zrobiła cokolwiek? Nic nie zrobiła. Zresztą, obiektywnie rzecz biorąc niewiele mogła zrobić, nie ryzykując otwartej konfrontacji z Sowietami. Oni próbowali różnych koncepcji, ale czasami właściwie wszystko sprowadzało się do tego, że funkcjonował jakiś rodzaj *status quo*.

Jednym z krytyków tej polityki Eisenhowera, Johna Fostera Dullesa, sekretarza stanu, był Polak, Zbigniew Brzeziński, który w latach pięćdziesiątych XX wieku był symbolem antykomunizmu amerykańskiego. On widział inaczej te kwestie. Postulował budowanie jakiegoś rodzaju mostu, wierzył w to, że problemy narodowościowe rozsądzą imperium sowieckie. W związku z tym uważał, że trzeba grać na poczuciu odrębności komunistów w Europie Środkowo-Wschodniej i budować z nimi odrębne relacje. To był nieco inny sposób myślenia. Można pryncypialnie mówić, że będziemy z komunizmem walczyć i wyrwiemy z objęć Moskwy uzależnione od niej kraje, ale w praktyce to nie działa. Poddaliśmy tę koncepcję polityki testowi i doznaliśmy zawodu, w związku z czym musimy budować ją inaczej.

Nikomiu, poza nielicznymi osobami, nie przychodziło do głowy, że ten kolos, jakim jest Związek Sowiecki, może sam w sobie się zawalić i uwolnić świat od komunizmu. Myślano o tym, że można próbować, z czasem, gdy ten system będzie ewoluował, wyrwać kraje środkowo-europejskie spod dominacji Moskwy. Tym posłużyła ta polityka, która w latach sześćdziesiątych XX wieku została nazwana *bridge building*, czyli budowania mostów. Odbywało się to za pośrednictwem różnego rodzaju programów, a także wymian. Chodziło o to, żeby Amerykanie pojawili się w Europie Środkowo-Wschodniej i żeby ludzie stamtąd znaleźli się w Stanach Zjednoczonych. Żelazna kurtyna straciłaby wtedy swoją szczelność, jaką charakteryzowała





się w latach pięćdziesiątych XX wieku. Generalnie taka była koncepcja polityki w latach sześćdziesiątych, zaś w latach siedemdziesiątych XX wieku przeszła ona do jeszcze innej fazy, być może z punktu widzenia Europy Środkowo-Wschodniej mniej chwalebnej, bo przecież to była epoka *détente*, czyli odprężenia w stosunkach wschód-zachód. Wtedy Amerykanie właściwie uznali, że Związek Sowiecki istnieje i trzeba nauczyć się z nim żyć.

Nie wchodząc w powody, dlaczego tak wtedy postąpiono, Stany Zjednoczone z różnych powodów znalazły się w pewnego rodzaju defensywie. Wietnam – cel ropy naftowa. Skończyło się na tym, że jakby uznano obecność Sowiecką w Europie Środkowo-Wschodniej. Prezydent Gerald Ford, następca Richarda Nixona, posunął się do wyartykułowania tego, czego mówić nie musiał, nawet żeby zapewnić przyjemne stosunki z dygnitarzami środkowoeuropejskimi. Powiedział, że nie widzi szczególnie silnych objawów podporządkowania Polski Związkowi Radzieckiemu. Wtedy panowało takie przeświadczenie, że te systemy mogą zacząć współistnieć przy poszanowaniu swoich stref wpływów. Sowieci nie mają wstępu do wpływów Amerykanów, na przykład do Ameryki Łacińskiej. Przypomnijmy poparcie Ameryki dla zamachu stanu Augusto Pinocheta w Chile w 1973 roku, przewrotu generałów argentyńskich w 1976 roku. Tam nie było miejsca na komunizm albo jakikolwiek inny rodzaj rewolucji. Natomiast skoro Amerykanie nie pozwalają na obecność u siebie, to również do pewnego stopnia akceptują dominację Moskwy w Europie Środkowo-Wschodniej, zwłaszcza, że twierdzono, iż ten system nieco się ucywilizował. Uznano, że to już nie jest epoka stalinowska, czas masowych zbrodni. To były lata siedemdziesiąte XX wieku, w Polsce rządził Edward Gierek, technokraci. Wydawało się z perspektywy amerykańskiej, że to jest jakoś akceptowalne, w kontekście faktu, że nie istnieje zagrożenie, nie do pomyślenia jest trzecia wojna światowa. Cezurą jest rok 1980 roku, czyli ponowne dojście republikanów do władzy, Ronalda Reagana. *Détente* to też republikanie. Brońmy się przed partyjnym widzeniem polityki amerykańskiej. Bywało tak, że demokratą potrafił być stanowczy wobec Moskwy, a republikanie powściągliwi.

**Dr Jan Pajor:** Akurat 1980 rok wyznaczyłem z myślą o historii Polski. Jeśli chodzi o historię Stanów Zjednoczonych, to rzeczywiście administracje wywodzące z różnych się partii prowadziły w tym okresie podobną politykę wobec Polski. Stawiały na stopniową współpracę i dzięki temu powolne otwieranie się, liberalizację Polski, a następnie kolejnych państw Europy Środkowo-Wschodniej. Odniosę się też do wspomnianych wydarzeń węgierskich z 1956 roku. Myślę, że z perspektywy amerykańskiej kryzys sueski przykrył to, co działo się na Węgrzech, został uznany za istotniejsze wydarzenie.

**Dr Mirosław Habowski:** Warto opisać ówczesny system międzynarodowy, który mocno wpływał na Polskę. To była zimna wojna, czyli dwa bloki. Kanał Sueski, konflikt w Wietnamie oraz przewrót w Argentynie i Chile wpływały na naszą sytuację. Jest jeszcze jeden bardzo ważny element, a mianowicie działania Amerykanów, Kissingera i Nixona oraz jego wpływ na rozbięcie bloku komunistycznego poprzez nawiązanie stosunków z Chińską Republiką Ludową. To oczywiście również oddziaływało na relacje wewnątrz bloku komunistycznego osłabiając



go. Wpływ na sytuację Polski może nie był bezpośredni, ale należał on do ważnych czynników ogólnej sytuacji w środowisku międzynarodowym. Chińska Republika Ludowa miała już wcześniej różne, nienajlepsze zatargi i relacje ze Związkiem Sowieckim. Rok 1980 to głównie Polska, ale mniej więcej w tym samym czasie doszło do zmiany na fotelu prezydenta Stanów Zjednoczonych. Jimmy'ego Cartera zastąpił Ronald Reagan. Amerykańska polityka wkrótce potem mocno się zmieni. Pod koniec tego okresu miała miejsce inwazja ZSRS na Afganistan gdzie antysowiecką partyzantkę popierali nie tylko Amerykanie, ale także chińscy komuniści.

**Dr Jan Pajor:** Panowie oczywiście trafnie wskazywali, że na stosunki polsko-amerykańskie w wielkim stopniu wpływała rozgrywka zimnowojenna i to, co działo się nawet w najbardziej odległych zakątkach świata. Polityka tworzenia pewnego wyłomu w bloku wschodnim poprzez współpracę z Polską skończyła się jednak w momencie wprowadzenia stanu wojennego, na co administracja Reagana zareagowała w sposób zdecydowany.

Chciałbym przejść do następnego przełomowego momentu w relacjach polsko-amerykańskich, czyli do roku 1989 i przemian, jakie wówczas miały miejsce nad Wisłą. Interesuje mnie, jak były one postrzegane nad Potomakiem? Jaką politykę prowadziła wówczas dyplomacja amerykańska? Na pierwszy rzut oka, pytanie wydaje się banalne, skoro od początku zimnej wojny jej celem było wyzwolenie państw bloku wschodniego spod dominacji ZSRS. Może wydawać się oczywiste, że Stany Zjednoczone chciały, żeby przemiany w Polsce zachodziły jak najszybciej. Ten sposób myślenia byłby zasadny jeszcze na początku lat osiemdziesiątych XX wieku, jednakże w połowie tej dekady sytuacja się skomplikowała, gdyż na czele Związku Sowieckiego stanął Michaił Gorbaczow, z którym USA, czy szerzej państwa zachodnie, potrafiły znaleźć wspólny język i wypracować pewne porozumienie. W związku z tym w Waszyngtonie zaczęto się obawiać, że zbyt szybkie przemiany w Polsce mogą wymknąć się spod kontroli i promieniować na pozostałe państwa bloku wschodniego, co może bardzo mocno osłabić pozycję sowieckiego przywódcy. Drugi dylemat, przed którym już nie raz stała amerykańska dyplomacja, był klasyczny dla USA. Z jednej strony jako państwo demokratyczne, republikańskie, Stany Zjednoczone powinny popierać tego typu przemiany. Z drugiej jednak strony w przypadku zbyt szybkich przeobrażeń o rewolucyjnym charakterze mógł pojawić się problem destabilizacji i braku porządku, czego Waszyngton zdecydowanie chciał uniknąć. Jak zatem amerykańska dyplomacja rozwiązała te dylematy w 1989 roku?

**Dr Mirosław Habowski:** Przyznam, że wysoko oceniam rządzącego jedną kadencję prezydenta Georga Busha, który przez Amerykanów nie jest zbyt doceniany i eksponowany jako przykład dobrego prezydenta. Uważam go za znakomitego polityka, który musiał się poruszać w bardzo skomplikowanej rzeczywistości. Myślę, że radził sobie z tym całkiem dobrze. Trzeba było tak wspierać przemiany w Polsce, a od pewnego momentu także na Węgrzech, żeby jednocześnie nie spowodować silnej reakcji Związku Sowieckiego. Militarnie, bez problemu ZSRS mógłby załatwić problem na sposób z 1956 roku. Politycznie i ekonomicznie kosztowałyby to go natomiast bardzo dużo, niemniej konsekwencje mogłyby być dla nas fatalne. Cel amerykański również nie zostałby zrealizowany. Można zauważyć poparcie, ale bardzo ostrożne. Z jednej strony obawa przed konsekwencjami w polityce sowieckiej – na przykład Dick Cheney złożył wizytę w Polsce, co raczej nie zachęciło nas do tego abyśmy naciskali na jakiegokolwiek wyprowadzanie wojsk radzieckich. Nie mówił on, żeby Polacy nic nie robili, ale też nie naciskał na to ani nie przedstawił jakiegokolwiek zachęt do tego typu działań. To samo sygnalizowali Tadeuszowi Mazowieckiemu także inni amerykańscy politycy. Chodziło



również chodzi o swego rodzaju ostrożność wypływającą z sytuacji budżetu amerykańskiego. Polacy mieli bardzo duże oczekiwania, trwali w micie dobrej, bogatej Ameryki, tymczasem zaś spotkało ich bolesne starcie z możliwościami budżetowymi Stanów Zjednoczonych. Departament skarbu nie był entuzjastą dużych wydatków obawiając się pewnych nacisków na redukcję długu. Dla Polski też było to bardzo ważnym czynnikiem. Istniały obawy, że może dojść do jakiejś precedensowej sytuacji, która przyniesie potem dalsze negatywne konsekwencje dla Stanów Zjednoczonych. Także w tym wymiarze Amerykanie musieli być bardzo ostrożni. Program, jaki George Bush, przedstawił, zaraz po swoim objęciu urzędu, w okresie rozmów okrągłego stołu, w Hamtramck, na zamieszkałym przez Polaków przedmieściu Detroit, werbalnie i politycznie był bardzo zachęcający, ale ekonomicznie jego propozycje wyglądały umiarkowanie. Z jednej strony silne wsparcie deklaratywne, polityczne, dla aspiracji Polaków. Z drugiej jednak dążono również do tego, żeby wspierać rozwiązania kompromisowe w relacjach między władzą komunistyczną, a „Solidarnością”. Z trzeciej strony natomiast zauważalna była bardzo silna troska, nawet jeśli są naciski poufne, żeby na zewnątrz eksponować, że Stany Zjednoczone nie ingerują w wewnętrzne sprawy Polski. W realnej polityce prezydentowi Bushowi udało się to osiągnąć w bardzo wysokim stopniu.

**Dr Marcin Fatalski:** Podobnie jak pan doktor Habowski, również cenię tego przywódcę. On przegrał wybory prezydenckie, ponieważ kryterium sytuacji wewnętrznej było decydujące – ekonomia, podatki. Natomiast w kontekście polityki międzynarodowej jemu przyszło odpowiedzieć na to, co pan przed chwilą zarysował, to znaczy schyłek komunizmu. Dla Amerykanów pytanie było tego rodzaju: Czy się uda przeprowadzić to bezboleśnie? Dla nich kluczową kwestią było utrzymanie stabilności w tej części świata. Stąd ich intencją było dokonanie zmiany politycznej w Polsce w taki sposób, aby nie wywołać irytacji po stronie Moskwy i wzburzenia czegoś, co byśmy nazwali siłami starego porządku – różnie można je było identyfikować – twardogłowych, w samej Moskwie (przypomnijmy pucz Giennadija Janajewa). Można było myśleć o bardzo żywotnym Nicolae Ceaușescu, który postulował interwencję w kwestiach polskich. Obawiano się, że zbyt intensywne przemiany nad Wisłą mogą uruchomić reakcję ze strony sił na miejscu. Zastanawiano się w jakim stopniu Czesław Kiszczak z generałem Wojciechem Jaruzelskim będą w stanie je kontrolować, gdyby te siły próbowały wyrwać się spod kontroli. O tym wszystkim deliberowano w Stanach Zjednoczonych. Uważano, że trzeba przeprowadzać te przemiany w bardzo powściągliwy i powolny sposób. Do często przytaczanych historii przeszła opowieść, jak to wcześniej pełniący funkcję ambasadora, a później ambasador amerykański John Roger Davis junior nie był tym Davisem, który niegdyś tak się nie popisał w Związku Sowieckim. Tłumaczył polskim opozycjonistom, jak mają głosować, żeby Jaruzelski został prezydentem, a żeby część z nich nie oddała tego głosu, którego nie chcą oddać – aby zachować *quorum*. Amerykanie uważali, że gwarancją tych przemian jest prezydentura Jaruzelskiego, a ponieważ wiedzieli, że istnieje silny opór przed poparciem tej kandydatury w środowisku posłów Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego, to przedstawiciel amerykański tłumaczył, w jaki sposób można to zrobić. Przypomnijmy, że właściwie Polska dopiero wkraczała w erę gier parlamentarnych, kiedy odpowiednio się podliczało głosy i szacowało, jak wygląda *quorum*. To dopiero były początki tego, w czym być może jesteśmy już okrzepli, a w czym byli już zaprawieni Amerykanie i to wszystko wychodziło. Oni wyraźnie dali do zrozumienia, że ich wolą jest kontynuacja przemian w warunkach prezydentury



Jaruzelskiego. W ich przekonaniu gwarantowała ona akceptację sił starego porządku dla nowego kierunku. Polska była pierwszym krajem. Wspomniano przed chwilą o Węgrzech, później był kolejny kraj. Dramatycznie to zakończyło się w Rumunii. Z różnych powodów podchodzono do tego powściągliwie.

**Dr Jan Pajor:** Moment wyboru generała Wojciecha Jaruzelskiego na prezydenta bardzo dobrze pokazuje nastawienie Stanów Zjednoczonych. Wśród środowisk solidarnościowych był przeciwko temu duży opór, żeby po porażce starych sił, a spektakularnym zwycięstwie „Solidarności” w wyborach czerwcowych głosować na Jaruzelskiego. Wówczas Amerykanie rzeczywiście wywierali wpływ na przebieg wydarzeń. Starali się doprowadzić do porozumienia i uspokoić sytuację, żeby przemiany zachodziły, ale nie wymknęły się spod kontroli. Nastawienie USA stanowi kolejny argument w naszej polskiej dyskusji na temat zasadności Okrągłego Stołu i późniejszych przemian, zachodzących w umiarkowanie szybkim tempie. Oprócz tych wszystkich niewiadomych, o których mówiliśmy, nastawienia Związku Sowieckiego i pozostałych państw bloku wschodniego, dochodzi jeszcze właśnie stanowisko Stanów Zjednoczonych, które starały się tonować nastroje i wcale nie dążyły to tego, żeby „Solidarność” zagrała *va banque* i starała się o przejęcie całej władzy.

Przejdźmy do czasów współczesnych. Pierwszorzędną rolę, jeśli chodzi o politykę bezpieczeństwa Polski po 1989 roku, odegrało polskie uczestnictwo w NATO, a także sojusz polsko-amerykański. Na ile możemy być dzisiaj pewni, że będzie on trwał i że w chwili próby Amerykanie rzeczywiście wywiążą się ze swoich zobowiązań? Jest na pewno kilka sygnałów, które mogą rodzić pewne wątpliwości. Wiemy, że w realiach Stanów Zjednoczonych kolejne administracje zmieniają czasami kierunek polityki. Pamiętamy zawirowania dotyczące tarczy antyrakietowej, które pojawiły się, w momencie gdy w Białym Domu zamieszkał Barack Obama. Kolejny niepokojący sygnał to powracające co jakiś czas próby resetu i porozumienia się z Rosją, mogące rodzić wątpliwości, co do trwałości naszego sojuszu z Amerykanami. Wreszcie, niepokojem mogą napawać ostatnie wydarzenia w Afganistanie i małe zorganizowane wycofanie się stamtąd Stanów Zjednoczonych. Zdaniem wielu komentatorów, rozpocznie się teraz okres testowania Waszyngtonu przez jego przeciwników, z jakich jeszcze miejsc wojska amerykańskie mogą się jeszcze wycofać. Prosiłbym o komentarz na temat trwałości sojuszu amerykańsko-polskiego.

Moje drugie pytanie jest nieco powiązane z pierwszym. Jakie stanowisko powinna zająć Polska względem narastającej rywalizacji amerykańsko-chińskiej, zwłaszcza gdyby ta rywalizacja miała się zaostriżyć? Ostatnio do publicznej wiadomości została podana informacja o powstaniu kolejnego paktu Wielka Brytania–Stany Zjednoczone–Australia, który wszyscy interpretują jako skierowany przeciwko Pekinowi. Jak w sytuacji walki dwóch państw, które chcą stać się hegemonem światowym, powinna zachować się Polska?



**Dr Marcin Fatalski:** To są powiązane ze sobą kwestie dlatego, że jeżeli wybieramy Stany Zjednoczone jako strategicznego sojusznika i czynimy się ich wiernym koalicjantem w kontekście rywalizacji z Chinami, pole manewru dla Polski staje się ograniczone. W Europie Środkowo-Wschodniej stanowisko wobec postawy Stanów Zjednoczonych nie jest aż tak jednoznaczne, jak chcielibyśmy to widzieć. W okresie prezydentury Donalda Trumpa, Polska uchodziła i starała się o to, żeby mieć reputację bardzo bliskiego sojusznika Waszyngtonu. Po objęciu urzędu przez Joe Bidena sytuacja ta uległa pewnej zmianie. Chociaż na poziomie strategicznym współpraca jest sprawą fundamentalną. Nikt jej nie kwestionuje i nie podważa jej wartości albo walorów. Mogą natomiast występować pewne różnice, co do poszczególnych aspektów polityki.

Postawił pan pytanie niesłychanie trudne, to znaczy na ile możemy liczyć na wywiązanie się naszego sojusznika z jego zobowiązań. Pozyskaliśmy najlepszego koalicjanta, jakiego tylko można było skłonić do współpracy we współczesnym świecie. To nie jest tylko militarny wybór, ale także cywilizacyjny. Polacy są w takiej części Europy, gdzie jakiegoś wyboru trzeba dokonać. Jeżeli nie Zachód i nie Stany Zjednoczone, to pozostaje inny wybór. Jeżeli wiążemy się z Amerykanami, to liczymy na to, że wywiążą się oni ze swoich zobowiązań. Tak działa cała koncepcja sojuszu, to znaczy jesteśmy bezpieczni nie tyle dlatego, że Stany Zjednoczone wciąż demonstrują siłę w tej części Europy, a dlatego, że mogłyby ją zademonstrować, gdyby przyszło co do czego. Jeden z polskich polityków był kiedyś w Stanach Zjednoczonych i tam senator amerykański zapytał go: Czy pańskim zdaniem my przyjdziemy z pomocą w razie potrzeby? Sam był ciekawy odpowiedzi Polaka. Nie dlatego, że chciał usłyszeć potwierdzenie, tylko był zainteresowany reakcją, bo sam widział z perspektywy amerykańskiej, że jest to region, który ma inny charakter dla Waszyngtonu niż, na przykład, kraje Zatoki Perskiej, takie jak Kuwejt. To jest zupełnie inna kategoria polityczna. Skoro już się tak zdarzyło, że Stany Zjednoczone intencjonalnie znalazły się tutaj i zbudowały swoją obecność polityczną i ekonomiczną, to zakładamy, że będą o nią dbać. Szczególnie, że jest wola polityczna w tej części Europy, przynajmniej w Warszawie, żeby pozostawać w kręgu sojuszu północnoatlantyckiego, zachodniej kultury politycznej i związków ekonomicznych. Ten problem oceny polityki amerykańskiej w dużej mierze wynika z faktu, że w ogóle funkcjonujemy w czasach pewnej przemiany politycznej. Stany Zjednoczone są mocarstwem, które może czasami rozgrywać politycznie swoich sojuszników. Przypomnijmy sobie interwencje w Iraku. Zachód odwrócił się wtedy od Amerykanów, Niemcy. Stany Zjednoczone posłużyły się Europą Środkowo-Wschodnią. Zbudowano wtedy koncepcję, której użył Donald Rumsfeld, Europy, lepiej rozpoznającej rzeczywiste zagrożenia i intencje. Mnie w takich sytuacjach zawsze przychodzi do głowy sytuacja z okresu międzywojennego, kiedy Francja utraciła swojego sojusznika na Wschodzie, jakim była Rosja carska, bo tam powstał Związek Sowiecki i uczyniła Polskę swoim zastępczym koalicjantem. Z perspektywy amerykańskiej Polska bywa zastępczym sojusznikiem, szczególnie w sytuacji, gdy Waszyngton ma problem w relacjach bilateralnych, z którymś ze swoich europejskich kluczowych partnerów. Trzeba sobie jedną rzecz wyraźnie powiedzieć: Dla Stanów Zjednoczonych najważniejszym europejskim sojusznikiem są Niemcy, zarówno ze względu na potencjał i dlatego, że cała integracja i Unia Europejska jest zogniskowana wokół tego państwa. Układając nasze stosunki z Amerykanami, miejmy świadomość, że trudno byłoby je budować, w sytuacji dobrych relacji między Waszyngtonem a Berlinem, omijając stolicę Niemiec. Tak to wygląda. Taka jest *real politic*, zwłaszcza, że dla Amerykanów podziąły na Starym Kontynencie czasami bywają niezrozumiałe z ich odległej



perspektywy, to znaczy różnice zdań, które mogą wystąpić na gruncie europejskim. Dla nich to takie kissingerowskie pytanie: Jaki jest numer telefonu do Europy? Oni chcą z kimś tu rozmawiać. Mieć partnera, z którym mogą się dogadać i układać sprawy światowe, jeśli można tak powiedzieć. W kontekście Afganistanu, oceniam to jednak jako do pewnego stopnia historię izolowaną, dlatego, że oni się wycofywali, a to, że przybrało to charakter tak dramatyczny i momentami kompromitujący supermocarstwo, jakby ono przegrało, to wynika z faktu, że oni nie przewidzieli przebiegu wypadków. Można by dyskutować, dlaczego tak się stało. Niemniej Amerykanie dają także wyraz temu, że Europy Środkowo-Wschodniej nie chcą opuszczać.

Niezależnie od tych dążeń, częstego resetu z Rosją, w Białym Domu siedzi jednak człowiek, który wielokrotnie dał wyraz swojemu sceptycyzmowi wobec Rosji Władimira Putina. Prezydent Joe Biden nigdy nie był entuzjastą idei, że może być to partner przygotowany do jakiegokolwiek resetu i przebudowy stosunków międzynarodowych. To go odróżniało od innych polityków, którzy w pewnym okresie decydowali o amerykańskiej polityce. Skłonność do resetu wynika z faktu, że oni raz na jakiś czas podejmują próbę ułożenia tych stosunków na nowo. To tak jakbyśmy dyskutowali o Afganistanie. Kiedyś już podejmowali próbę budowania państwa w innych warunkach kulturowych i cywilizacyjnych aczkolwiek im nie wychodziło. To były lata sześćdziesiąte XX wieku. Później wydawało się, że ta idea umarła, ale wskrzesił ją na nowo, ku zaskoczeniu świata, przedstawiciel partii republikańskiej, w dodatku neokonserwatystów, czyli George Bush junior. Pewne idee po prostu wracają, w nadziei na to, że w zmienionych warunkach pojawi się inny polityk po tamtej stronie i te relacje będzie można budować na nowych zasadach. Nic nie jest w historii, polityce, dane raz na zawsze.

Ten sojusz musi być ożywiany. Musi być wola z obu stron, żeby go podtrzymać. Możemy myśleć, póki co, że jesteśmy w ramach tej struktury. Żyjemy w czasach przebudowy porządku międzynarodowego, a więc ten obraz, który teraz widzimy, nie jest ostatecznym. To jest pewien rodzaj przejścia. Mam nadzieję, że będziemy stale i konsekwentnie w sojuszu z szeroko rozumianym Zachodem.

**Dr Jan Pajor:** Rzeczywiście, te kwestie, czyli sojuszu, jego trwałości i rywalizacji amerykańsko-chińskiej, mogą być powiązane. Jeśli ta rywalizacja będzie narastała, to siłą rzeczy zainteresowanie Stanów Zjednoczonych nie będzie się kierowało ku Europie Środkowo-Wschodniej, tylko ku innym częściom świata. Być może w Waszyngtonie pojawi się też wówczas taka myśl, żeby w jakiś sposób porozumieć się z Rosją. Nawet jeśli dzięki temu USA nie zyskałyby sojusznika przeciwko Chinom, to przynajmniej zagwarantowałyby sobie neutralność Kremla w tym sporze.

**Dr Mirosław Habowski:** Chciałbym zwrócić uwagę na dwie tendencje w amerykańskiej nauce o stosunkach międzynarodowych, które zapewne są refleksją wynikającą z pewnych dyskusji, które się tam toczą. W marcu – kwietniu 2020 roku Graham Allison w *Foreign Affairs* napisał rocznicowy artykuł o Jałcie, w którym twierdził, że po zimnej wojnie amerykańscy politycy odrzucili koncepcję stref wpływów. Dowodził, że one nie istnieją i podkreślał, że to jest pewien błąd, bowiem strefy wpływów się skończyły, ale nie całkowicie, bo powstała jedna globalna strefa wpływów Stanów Zjednoczonych. Ten moment się kończy. Trzeba w polityce Waszyngtonu powrócić do takich koncepcji znanych z Jałty. Pogodzić się z istnieniem stref



wpływów wokół innych mocarstw. To jest pierwszy element, który musimy brać pod uwagę. Nie jest tak, że oni chcą się tego wyzbyć – w 1945 roku też nie chcieli tego zrobić. Zakładają, że może zaistnieć taka sytuacja, że będą musieli wyzbyć się takich ambicji.

Druga sprawa. Profesor John Mearsheimer, który jest znanym naukowcem, ale nie funkcjonującym w głównym nurcie polityki, zwraca uwagę na pewne rzeczy, które na pewno amerykańscy politycy czytają. Ten politolog uczestniczył, na przykład w dyskursie na temat pomysłu rozwiązania NATO, bo przecież cel został zrealizowany. Czy powinno ono istnieć dalej? Był on jednym z najbardziej stanowczych zwolenników dalszego trwania paktu północnoatlantyckiego. Tak samo, gdy parę lat temu zaczęto podkreślać, że pokój w Europie jest utrzymywany dzięki Unii Europejskiej, to John Mearsheimer całkiem przytomnie podchodził do tego ze sceptycyzmem mówiąc, że dałoby się utrzymać pokój bez niej, w czym miał on bardzo dużo racji. Politolog zwrócił uwagę na fakt, że trwałość NATO, czyli sojusz amerykańsko-europejski będzie zależał od tego, czy Europa pomoże Stanom Zjednoczonym walczyć z wrastającą potęgą Chińskiej Republiki Ludowej. Ma on bardzo duże wątpliwości, czy państwa Starego Kontynentu przezwyciężą swoje pokusy wykorzystywania korzyści ekonomicznych ze współpracy z Pekinem. Amerykanie będą to traktowali jako zagrożenie dla swoich interesów. Pojawia się w tym miejscu przestroga, że jeżeli Europa nie będzie spełniała przyjaznej funkcji w konfrontacji z Chinami, to NATO może umrzeć. Wydaje się, że jest to główny czynnik. Polska nie jest traktowana jako podmiot samodzielny, tylko jako część szerszego zjawiska, Europy albo Europy Środkowej. Mogą zaistnieć dwie tendencje. Całkowite odpuśczenie Europy przez Amerykanów albo próba jej instrumentalnego wykorzystania, taka powtórka z 2003 roku. Nie stara Europa, która nie chce pomagać Waszyngtonowi w walce z Chińczykami, ale nowa Europa, która taką gotowość reprezentuje. To już pytanie do amerykańskich strategów, jak się zachowają w ramach dalszego rozwoju sytuacji. To może być bardzo dynamiczne. Pojawiające się zjawiska mogą uruchomić pewne okoliczności, które obecnie ciężko nam sobie wyobrazić.

Mearsheimer jest jeszcze ważny z jednego względu. Formułuje on swoją myśl w kontekście Ukrainy, ale nie ukrywa, że Stanom Zjednoczonym do konfrontacji z Chinami przydałaby się pomoc rosyjska. Wobec tego należy się liczyć z rosyjskimi interesami na Ukrainie. Pytanie, czy tylko tam? To nie wynika z jakiejś prorosyjskości albo antyukraińskości Mearsheimera. On w latach dziewięćdziesiątych XX wieku radził Kijowowi nie wyzbywać się broni atomowej. To efekt patrzenia na to, jakie są interesy amerykańskie i kto jest ich głównym konkurentem, wrogiem Stanów Zjednoczonych, oraz tego jak wzmocnić swoją siłę w kontekście tego, co uważa się za główne zagrożenie dla interesów Waszyngtonu.

**Dr Jan Pajor:** Wspomniany wcześniej Graham Alison napisał książkę wydaną w języku polskim, dotyczącą tego, czy Stany Zjednoczone i Chiny są skazane na wojnę i czy uda im się ewentualnie uniknąć pułapki Tukidydesa. Zastanawiam się, jak potoczą się dalsze losy i czy w związku z tym Polska nie będzie częścią współczesnej wojny peloponeskiej, chcąc potwierdzić, że jest wiarygodnym i rzetelnym sojusznikiem Stanów Zjednoczonych. Ale to już tylko dywagacje.

Glosa 7.

**Mirosław Habowski**

Instytut Studiów Międzynarodowych  
Uniwersytet Wrocławski

## STOSUNKI POLSKO-AMERYKAŃSKIE



**S**tosunki państwa średniej wielkości, jakim jest Polska, z globalnym supermocarstwem, jakim są Stany Zjednoczone Ameryki, z racji wielkości partnera należą do kluczowych zagadnień polityki zagranicznej sąsiada w tym układzie państwa. Dodatkowo, znaczenie relacji z USA są w przypadku polskim wzmocnione silnymi pozytywnymi emocjami, jakie budzi ten kraj w polskiej perspektywie. Z tych powodów dobre stosunki polsko-amerykańskie wydają się czymś oczywistym i kontynuacja takiego stanu rzeczy może być postrzegana jako niczym niezagrożona. Jednak doświadczenie historyczne uczy, że w świecie polityki nic nie jest na zawsze. Już obecnie można dostrzec kilka negatywnych tendencji, które w przyszłości mogą położyć się cieniem na wzajemnych stosunkach. Im właśnie chciałbym poświęcić swoją uwagę.

Wśród zagrożeń możemy wymienić zarówno takie, które mają charakter subiektywny, co do pewnego stopnia umożliwiają ich korektę. Istnieją jednak także uwarunkowania obiektywne, które mogą w przyszłości doprowadzić do wzajemnego rozczarowania partnerem.

Pierwszym czynnikiem subiektywnym, który rzuca się w oczy nawet niezbyt bystremu obserwatorowi jest momentami jawnie lekceważący Polskę stosunek amerykańskich polityków i dyplomatów do naszego państwa. Ambasador Georgette Mosbacher zrobiła bardzo wiele, by pokazać, że USA nie traktują Polski w kategoriach partnerskich czy przyjacielskich. Oczywiście, o różnych naciskach na polskich decydentów, płynących z amerykańskiej ambasady, wiedzieliśmy już poprzednio, jednak w ostatnich latach nawet nie starano się tego ukrywać. Kontrast z sytuacją z 1989 r., gdy prezydent G. Bush stanowczo podkreślał, że USA nie mają prawa do ingerowania w wewnętrzne sprawy Polski, a także nie chcą w sposób negatywny wpływać na relacje Polski z sąsiadami (wiadomo, że chodziło zwłaszcza o relacje z ZSRS) jest oczywisty. A przecież oddziaływanie ambasady amerykańskiej było już wtedy, w ostatnich miesiącach istnienia PRL, jeszcze przed rozpoczęciem rządów przez premiera Tadeusza Mazowieckiego, znaczące. Ambasador John Davis nie chwalił się publicznie swoimi działaniami, zmierzającymi do wyboru Wojciecha Jaruzelskiego na prezydenta PRL, tylko poufnie instruował parlamentarzystów „Solidarności” jak mają głosować, by społeczeństwo sądziło, że głosowali oni przeciw, ale w efekcie, żeby W. Jaruzelski prezydentem został. Jak poważna jest to interwencja w wewnętrzne sprawy państwa, świadczą amerykańskie spory o poprawność wyboru Donalda Trumpa na prezydenta USA i formułowania zarzutów (słabo udokumentowanych), że był to efekt działań Rosjan.

W latach 90. XX wieku udawało się wyciszać różne konfliktowe sytuacje we wzajemnych stosunkach, takie jak spory o połowy ryb czy aresztowanie i postawienie przed amerykańskim sądem dyrektorów polskich przedsiębiorstw z branży przemysłu zbrojeniowego. Ten ostatni przypadek może być uznany za typowy przykład trafności diagnozy Grahama Allisona, że po 1989 roku, gdy USA głosiły anachroniczność koncepcji stref wpływów, faktycznie rościły sobie pretensje do traktowania całego świata jako swojej strefy wpływów. Mimo jednak tak oczywistej ingerencji USA w relacje handlowe Polski z państwami trzecimi, władzom III RP udało się skutecznie zminimalizować wagę tego wydarzenia, a władze amerykańskie publicznie się takimi działaniami nie chwaliły.



Należy więc przyjąć, że to nie amerykańskie naciski są nowością we wzajemnych stosunkach, ale ich bezceremonialne formułowanie, które w ostatnich miesiącach było formułowane już nie na poziomie ambadorskim, ale wręcz chargé d'affaires. Kontynuacja takiego stylu prowadzenia polityki wobec Polski, w którymś momencie może przynieść negatywne owoce.

Zwłaszcza, że w stosunkach polsko-amerykańskich istnieje kolejny spór. USA formułują wobec Polski bezpodstawne roszczenia finansowe, przedstawiając się jako prawny reprezentant (niektórych, wyselekcjonowanych według kryteriów rasowych) obywateli II Rzeczypospolitej Polskiej, zamordowanych przez Niemców w czasie II wojny światowej (słynna ustawa 447). W celu skutecznego wyegzekwowania owych roszczeń, w USA jawnie formułuje się fałszywe oskarżenia wobec Polski o rolę odegraną przez nasze państwo w okresie II wojny światowej. Stany Zjednoczone Ameryki nie zachowują także stosownego dystansu do sporów polsko-izraelskich w sprawach historycznych (które wszakże nie są wywołane w celach poznawczych, tylko politycznych i ekonomicznych). Było to bardzo widoczne w kontekście poprawki do ustawy o IPN, która została zdecydowanie zaatakowana przez polityków i dyplomatów izraelskich, a po cichu także przez amerykański Departament Stanu USA. Uzmysłowiło to zapewne wielu Polakom, jak pozbawione realnej treści były zapewnienia George'a Friedmana o znaczeniu Polski dla USA. Przypomnijmy te słowa napisane w 2011 roku: „W ciągu następnego dziesięciu lat stosunki Ameryki z Polską mogą pełnić dwojaką funkcję: zapobiegać przymierzowi rosyjsko-niemieckiemu lub je osłabiać albo, jeśli to się nie uda, stworzyć dla niego przeciwwagę. Stany Zjednoczone bardzo potrzebują Polski, ponieważ nie mają alternatywnej strategii równoważenia sojuszu Rosji z Niemcami. Przyjaźń z Ameryką może stać się polską racją stanu i będzie służyć ochronie przed sąsiadami. Pojawia się jednak szczególny problem. Wielka Brytania i Francja nie pomogły Polsce na początku drugiej wojny światowej, choć wcześniej jej to zagwarantowały. Obawa przed zdradą spowoduje, że Polacy chętniej zwrócą się do wroga, niż zdecydują się na przymierze z niepewnym partnerem. Z tego powodu prezydent Stanów Zjednoczonych musi działać zdecydowanie i bez wahania, a to oznacza podjęcie decyzji wiążących pod wieloma względami”. Decyzje takie, jak wiemy, nie zapadły. A sam Friedman otwarcie solidaryzował się ze stanowiskiem Izraela przeciwko Polsce. Tak więc interes jednej grupy lobbystycznej w USA okazał się ważniejszy niż kwestia równoważenia sojuszu niemiecko-rosyjskiego!

Jak widzimy obecnie, administracja prezydenta Bidena przyjęła inną strategię: uznania przywódczej roli Niemiec w Europie, a nawet akceptacji współpracy (przynajmniej gospodarczej) Berlina z Moskwą. Jeżeli połączymy to z głosami czołowych amerykańskich uczonych, jak np. Stephena Walta, iż sprawy bezpieczeństwa w Europie należy pozostawić Europejczykom, Grahama Allisona, że USA muszą zaakceptować istnienie na świecie wielu stref wpływów (a jako wzór takiej akceptacji mogą być ustalenia jałtańskie), czy też Johna Mearsheimera, piszącego o konieczności dobrych stosunków amerykańsko-rosyjskich dla powstrzymania wzrostu potęgi Chin, to widzimy, jak wiele zagrożeń dla pozytywnego rozwoju stosunków polsko-amerykańskich istnieje. Podkreślmy w tym miejscu, że przywołani badacze nie mają żadnych antypolskich uprzedzeń, a ich wnioski wypływają z badań nad warunkami, w jakich będzie realizowana amerykańska polityka zagraniczna. Moim zdaniem, są one dla Polaków znacznie cenniejsze niż kreślące przed nami cudowne wizje potęgi książki G. Friedmana. Pozwalają bowiem pozbyć się, by przywołać słowa byłego ministra spraw zagranicznych Radosława Sikorskiego, „fałszywego poczucia bezpieczeństwa” (cytat z pamięci).

Choć przywołane opinie amerykańskich politologów to sfera uwarunkowań subiektywnych, wpływających na stosunki polsko-amerykańskie, to przecież wynikają one z badań twardych, materialnych jej uwarunkowań. To zaś kieruje naszą uwagę na sferę obiektywną. A tutaj mamy sytuację coraz szybszego wzrostu potęgi Chińskiej Republiki Ludowej, która zastępuje USA na pozycji globalnego lidera. Rodzi to wiele skutków dla stosunków polsko-amerykańskich. Jeszcze w 2011 roku Friedman widział w Polsce potencjalną przeszkodę dla współpracy rosyjsko-niemieckiej. Teraz jednak Polska ma potencjalnie szansę (?)



na odgrywanie roli kluczowej części jednego z głównych szlaków chińsko-zachodnioeuropejskiej wymiany handlowej i pominięcie w ten sposób przeszkody dla chińskiej ekspansji gospodarczej w postaci panowania USA na oceanach. Z pewnością pokusa przyłączenia się do wznoszącej się potęgi w Polsce może narastać, a amerykańskie naciski (zapewne w najbliższym czasie skuteczne), by tego nie robić, mogą zwiększać irytację polskich środowisk gospodarczych. Czy Amerykanie zdecydują się w jakiś sposób zrównoważyć swoimi inwestycjami atuty Chin? Wydaje się, że nie, a zasady, jakie sformułowano w kontraktach zbrojeniowych dla polskiej armii, wręcz potęgują takie wrażenie.

Można przypuszczać, że dalszy wzrost potęgi Chin spowoduje poważne przewartościowania w ocenie znaczenia dla USA poszczególnych regionów świata. Tendencja do wzrostu znaczenia Dalekiego Wschodu będzie narastała. Zapewne Amerykanie będą mocno zaangażowani we wspieranie państw, które mogą konkurować z ChRL w Azji, np. Indii i Japonii. Można się obawiać, że z perspektywy USA stosunki z Polską staną się przede wszystkim funkcją ich stosunków z Chinami, a w mniejszym stopniu z Niemcami, Rosją i Izraelem.

Pozostając w kręgu uwarunkowań obiektywnych, należy także pamiętać, że Polska ma znaczenie dla USA tylko o tyle, o ile państwo to ma status globalnej superpotęgi. Nie ma natomiast żadnego znaczenia dla bezpieczeństwa terytorium USA. Oznacza to, że istnienie wolnej Polski ma dla USA ograniczone znaczenie.

Jakie możliwości wpływu na sytuację ma Polska? Na obiektywne trendy w środowisku międzynarodowym są one mocno ograniczone. Nie jesteśmy w stanie ani powstrzymać wzrostu potęgi Chin, ani zatrzymać upadku znaczenia Stanów Zjednoczonych. To ostatnie muszą zrobić same elity amerykańskie, które znajdują się w wyraźnym kryzysie, a na dodatek w ostatnim okresie zakwestionowały szereg fundamentalnych zasad, które budowały prestiż Ameryki (jej „soft power”): wolna konkurencja przestała być dogmatem, gdy zaczęły ją wygrywać przedsiębiorstwa chińskie; pomoc państwa dla prywatnych przedsiębiorstw nagle okazała się słuszną, gdy widmo bankructwa dotknęło amerykański sektor bankowy; stan amerykańskiej demokracji nie prezentował się w korzystnym świetle w okresie ostatnich wyborów prezydenckich, a wolność słowa została ostentacyjnie złamana przez główne amerykańskie stacje telewizyjne oraz portale internetowe w stosunku do ciągle jeszcze wtedy urzędującego prezydenta USA Donalda Trumpa. W ten sposób amerykańskie elity same pozbawiły się potężnego oręża w wojnie propagandowej przeciwko Chinom. I w tej sferze Polska nic zrobić nie może. Mamy natomiast pewne (niewielkie) możliwości wpływu na sytuację w sferze subiektywnej. Amerykańscy partnerzy powinni otrzymać jednoznaczny (choć oczywiście dyplomatycznie sformułowany) sygnał o niedopuszczalności niektórych amerykańskich praktyk wobec Polski – zarówno tych ze sfery realnej, jak też symbolicznej. W poufnych dyskusjach obie strony powinny wyważyć wzajemne interesy. Oczywiście, klucz do utrzymania dobrych stosunków mają Amerykanie. Jeżeli jednak teraz przegapimy ten moment, to już za kilka lat może się okazać, że to Chińczycy mają lepsze technologie, lepsze towary, a ponadto nie zmuszają nas do zmiany swej tożsamości kulturowej i cywilizacyjnej.

## STUDIA PRZYPADKÓW



Debata pt. „Polska dyplomacja naukowa – dokonania i wyzwania”  
odbyła się 23 września 2021 roku.

## DYPLOMACJA NAUKOWA

W dyskusji udział wzięli:

**prof. Marek Konarzewski** (Uniwersytet w Białymstoku),

**prof. Patryk Pleskot** (Instytut Pamięci Narodowej)

oraz dr Monika Szkarłat (Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie).

Rozmowę poprowadziła

**dr hab. Katarzyna Marzęda-Młynarska** (Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie).

**Dr hab. Katarzyna Marzęda-Młynarska:** Mam zaszczyt moderować dzisiejszą dyskusję, której tematem wiodącym jest dyplomacja naukowa Polski. Dzisiaj przed naszym krajem stoi wiele wyzwań, chociażby w kontekście transformacji energetycznej. To skłania do konstatacji, że dyplomacja naukowa, nauka, technologia, innowacje – to przyszłość. I dlatego warto o tym dyskutować. Natomiast odnosząc dyplomację naukową *stricte* do działalności dyplomatycznej trzeba powiedzieć, że pomimo, iż dzisiaj mówimy o dyplomacji naukowej jak o zjawisku nowym – pojęcie dyplomacji naukowej pojawiło się w dyskursie w 2010 roku – to w przypadku działań polskiej służby dyplomatycznej, nauka w dyplomacji była obecna już w okresie międzywojennym. Przykładowo w 1925 roku przy Ministerstwie Spraw Zagranicznych powołano Radę Naukową, której celem było utrzymywanie współpracy z instytucjami naukowymi w Polsce, inicjowanie badań, a także ewidencjonowanie prac uczonych, które były interesujące dla resortu.

Naszą dzisiejszą dyskusję chciałabym zogniskować wokół kilku tematów. Wyodrębniłam ich pięć. Po pierwsze, chciałabym poznać państwa opinie na temat samej koncepcji dyplomacji naukowej, ponieważ pojawia się tutaj wiele różnych podejść i interpretacji. Jak państwo rozumiecie tę koncepcję i czy jest zasadne, bo w dyskursie naukowym pojawia się ten wątek, traktowanie dyplomacji naukowej jako czegoś, co jest odrębne od aktywności w sferze szeroko rozumianej dyplomacji publicznej.

Drugi wątek, który chciałabym poruszyć, to państwa ocena dyplomacji naukowej Polski w okresie trzydziestu lat od polskiej transformacji. Tutaj mam konkretne pytanie, czy wiedza ekspercka, nauka, była ważnym elementem wsparcia dla procesów decyzyjnych w Rzeczpospolitej i budowy jej wizerunku, czy polskiego *soft power*?

Po trzecie, chciałabym porozmawiać na temat tak zwanego „kontentu”, czyli tego, co powinno stanowić główny element w dyplomacji naukowej, w tym przede wszystkim, jakie osiągnięcia naukowe, jakie wątki związane z szeroko rozumianą nauką powinny stanowić główną oś działań polskiej dyplomacji naukowej?

W kolejnym wątku chciałabym poruszyć kwestię relacji między dyplomacją naukową a dyplomacją historyczną, która również ostatnio podlega instytucjonalizacji. Czy dyplomacja historyczna mieści się w dyplomacji naukowej, czy też nie? Jakie jest państwa zdanie na ten temat.

Ostatnia kwestia wątek, którą chciałabym poruszyć, dotyczy relacji między nauką a polityką. Jest to bardzo ciekawy temat, dotyczący przede wszystkim korzystania z wiedzy, dorobku naukowego i doświadczenia naukowców w procesach decyzyjnych. Czy taką zależność, czy też relację, Państwo dostrzegacie? Czy wiedza ekspercka, naukowa, jest wykorzystywana w Polsce do optymalizowania procesu decyzyjnego?



Tak w skrócie wyglądają tematy, które chciałabym poruszyć.

Przechodząc więc do pierwszego punktu, czyli do państwa zdania i opinii na temat koncepcji dyplomacji naukowej. Jak państwo rozumiecie tę koncepcję?

**Dr Monika Szkarłat:** Dyplomacja naukowa jest rzeczywiście bardzo różnie definiowana. Jest to pewnego rodzaju konglomerat różnych aktywności, które mają miejsce na przecięciu świata nauki i szeroko rozumianej polityki zagranicznej. W przypadku państw, polityki międzynarodowej, czy aktorów niepaństwowych, bo również oni są tutaj coraz bardziej aktywni, jest to na pewno też nowy wymiar dyplomacji, co jest bardzo ciekawe z punktu widzenia badaczy stosunków międzynarodowych, szczególnie tych, którzy zajmują się ogólnie dyplomacją oraz jej ewolucją i instytucją. Jak wspomniała pani doktor, pewnych aktywności można dopatrzyć się w działalności polskiego MSZ w okresie międzywojennym, natomiast ja bym poszła jeszcze dalej, dlatego że my w tym momencie skupiamy się na pojęciu dyplomacji naukowej, które stało się w ostatnich latach bardzo modne. W literaturze anglosaskiej mówi się, że to jest taki *buzzword*, czyli pojęcie – wytrych, posiadające bardzo duży potencjał dyskursywny, ale przecież te praktyki są znane od setek lat. Współpraca naukowa, kontakty naukowe były zawsze swego rodzaju pasem transmisyjnym, szczególnie dla społeczności, narodów, państw, które na przykład były w konflikcie lub w trakcie kryzysu w relacjach bilateralnych. Z analitycznego punktu widzenia to bardzo ciekawe, że termin ten pojawił się i jest często używany. Natomiast z perspektywy samej praktyki, czy praktyk, które się na nią składają, to oczywiście trzeba zaznaczyć, że nie odkrywamy Ameryki, bowiem tak naprawdę od dawna funkcjonuje on w obiegu międzynarodowym. Myślę, że dyplomacja naukowa dlatego teraz ma swój czas, ponieważ jest pewnego rodzaju wskaźnikiem poziomu znaczenia, czy docenienia nauki w stosunkach międzynarodowych, w polityce międzynarodowej. Jeśli chodzi o relację pomiędzy polityką a nauką, na przykład na poziomie państwa i państwowych ośrodków decyzyjnych, to wydaje mi się, że to również jest jeden z mierników. Możemy szacować *a priori*, że dyplomacja naukowa danego państwa będzie w ogóle efektywna, analizując relacje pomiędzy polityką a nauką, zaufanie do wiedzy eksperckiej, czy naukowej ze strony ośrodka decyzyjnego oraz szeroko pojętych elit politycznych i społecznych w danym państwie.

Jeżeli chodzi o pytanie o relację pomiędzy dyplomacją naukową a dyplomacją publiczną, to ja bym jednak bardziej łączyła dyplomację naukową z tym, co obecnie pojawia się coraz szerzej w dokumentach, szczególnie europejskich i w literaturze, czyli z dyplomacją gospodarczą, czy ekonomiczną oraz tym, co z tego połączenia powstaje i jest teraz często używane, czyli dyplomacją innowacyjną. Zwolennicy tego podejścia odchodzą od łączenia dyplomacji naukowej z dyplomacją kulturalną bądź publiczną. Ja akurat stoję po stronie takiego podejścia: dyplomacja innowacyjna. To jest, moim zdaniem, kierunek rozwoju dyplomacji naukowej.

**Dr hab. Katarzyna Marzęda-Młynarska:** Rzeczywiście, jeżeli chodzi o tę współpracę i wymianę naukową, to możemy mówić, że mamy do czynienia z procesami ciągłości zmiany. Ciągłości, ponieważ być może nie jest ona nowym zjawiskiem, natomiast zmiany w tym sensie, że skoro pojawia się nowe pojęcie do opisu jakiegoś zjawiska, to znaczy, że owo zjawisko jest jakościowo różne od tego, co było wcześniej. Natomiast, rzeczywiście, ta kwestia jakby przypisania do dyplomacji naukowej czy publicznej, czy do dyplomacji ekonomicznej zależy od tego,



jaki mamy cel. Jeżeli jest nim budowanie pozytywnego wizerunku państwa poprzez komunikowanie o osiągnięciach, postępach i o jakości nauki, to bliżej jest do dyplomacji publicznej, bo tu jest to, co trwałe – wizerunek państwa. Natomiast jeśli ma to służyć na przykład modernizacji naszej gospodarki, czy rozwiązywaniu problemów, o jakich wspomniałam, chociażby w kontekście transformacji energetycznej, to bliżej temu do dyplomacji ekonomicznej, bo to jest konkretna wiedza, konkretna technologia oraz konkretny cel.

Teraz poproszę pana profesora Pleskota o jego opinię, jak rozumie dyplomację naukową i gdzie sytuuje tę dyplomację. Czy bardziej po stronie wizerunku państwa, czy raczej po stronie dyplomacji ekonomicznej i rozwiązywania konkretnych problemów gospodarczych?

**Prof. Patryk Pleskot:** Myślę, że te różne problematyki się nie wykluczają, tylko się uzupełniają. Tworzą pewną złożoną całość. Chciałbym się od razu wytłumaczyć, że nie jestem specjalistą w dziedzinie dyplomacji naukowej, jestem historykiem Instytutu Pamięi Narodowej i wykładowcą na Uniwersytecie Rzeszowskim. Promowałbym tę opcję, że dyplomacja historyczna wpisuje się w dyplomację naukową, bo tutaj, mówiąc szczerze, mam jakieś pole do wypowiedzi. Zgadzam się z tym, co powiedziały moje przedmówczynie, że mamy do czynienia z pewnymi nowymi formami, nową jakością. Moim zdaniem, jeżeli popatrzymy na samą istotę dyplomacji naukowej, tak czy inaczej rozumianej, to w sumie ona realizuje na podstawowym poziomie cele najbardziej charakterystyczne dla klasycznej dyplomacji gabinetowej. Może będę tutaj manifestował stanowisko neorealistyczne w analizie stosunków międzynarodowych, ale pomimo zmieniających się narzędzi i form, na arenie międzynarodowej nadal chodzi, rzecz jasna, przede wszystkim o to, by zawierać sojusze i wchodzić we współpracę, ale też żeby realizować własne cele w optyce narodowej, państwowej, czy ewentualnie sojuszniczej. Moim zdaniem tutaj dyplomacja naukowa nie różni się, w tym takim najbardziej pierwotnym znaczeniu, od klasycznej dyplomacji. Trzeba coś dać, trzeba coś brać. To jest zasada, która zawsze się sprawdza.

Proszę państwa, nawet kiedy rozejrzemy się wokół siebie, dostrzeżemy efekty dyplomacji naukowej. Sam jej doświadczyłem, chociażby przez to, że pisałem doktorat we Francji. Francuzi płacili mi stypendium. W efekcie przygotowałem dysertację, która dotyczyła stosunków polsko-francuskich, wymiany naukowej i intelektualnej. W aspekcie tego Francuzi w jakiś sposób realizowali swoją politykę naukową, wykorzystując takie narzędzia jak stypendium, pobyt w Paryżu, możliwość obrony doktoratu. Potem powstała z tego książka oraz artykuły, które promują w jakiś sposób kwestie wymiany polsko-francuskiej, bo doktorat dotyczył właśnie wymiany polsko-francuskiej. W ten i podobny sposób sami stajemy się obiektami czy celami dyplomacji naukowej.

Może powiem lekko prowokacyjnie – tak, by pojawiły się tutaj nawiązania historyczne, że za czasów PRL też uprawiano dyplomację naukową, która polegała – i to należałoby ująć w cudzysłowie – na tym, że wywiad PRL starał się wykraść po prostu różnorodną technologię z Zachodu. I był w tym całkiem skuteczny. Nie oszukujmy się, kwestie działalności wywiadowczej, wykradania technologii – jeżeli nawiązujemy do innowacyjności – to one istnieją po dziś dzień i pewnie istnieć będą. Jednocześnie istnieje pozytywny aspekt: to właśnie





wymiana naukowa, wymiana personalna, wymiana między uczelniami, między jednostkami. W PRL też się to działo, mimo wszystko. Chociażby wspomniani przeze mnie Francuzi fundowali stosunkowo dużo stypendiów dla humanistów polskich; własne programy stypendialne rozwijali również – zwłaszcza w latach siedemdziesiątych – Amerykanie i Niemcy. W związku z tym widzę tutaj dwie sprzeczne tendencje. Z jednej strony staramy się wypromować coś, co mamy do zaoferowania; pokazać, że to właśnie my tutaj jesteśmy innowacyjni, my mamy tę technologię i osiągnięcia. Z drugiej strony staramy się jednak czerpać z tego, co mają inni i wykorzystywać to na własny sposób.

Chciałbym ponadto już teraz poruszyć inne wątki, które być może później będą jeszcze rozwinięte. W sprzężeniu dyplomacja naukowa – dyplomacja historyczna, szczególnie w kwestii technologii, widać dwie ścieżki czy dwie płaszczyzny innowacyjności: w dziedzinie nauk ścisłych oraz nauk humanistycznych. Z jednej strony wspieranie własnej innowacyjności; promowanie się, pokazywanie, że my właśnie tutaj coś mamy i możemy się tym pochwalić na bazie osiągnięć technicznych i technologicznych. Z drugiej strony w dziedzinie nauk humanistycznych toczy się swego rodzaju „walka o duszę”, czy o świadomość opinii międzynarodowej: chodzi o promowanie własnej wizji rzeczywistości i własnej wizji przeszłości. Tutaj już jako pracownik Instytutu Pamięci Narodowej wkładam kamyczki do własnego ogródka, ponieważ jednym z założeń działań tej instytucji jest właśnie promowanie wizji historii Polski, pokazywanie pewnego obrazu naszego kraju, który chcemy, żeby był dostrzegany na świecie. Obie płaszczyzny mają tak naprawdę komplementarny charakter, są to dwie strony tego samego medalu. Mamy zatem kwestie innowacyjności, potencjału technologicznego (i finansowego) nauk ścisłych, ale też zagadnienie postrzegania Polski jako członka współczesnej społeczności międzynarodowej, ale mającego taką, a nie inną tradycję i historię, która też wyjaśnia pewne postawy i kroki, które podejmujemy dzisiaj. Jak rozumiem, te wątki zostaną jeszcze rozwinięte.

**Dr hab. Katarzyna Marzęda-Młynarska:** Rzeczywiście, będziemy szczegółowo omawiać związki istniejące pomiędzy dyplomacją naukową a dyplomacją historyczną, czy polityką historyczną. Pan profesor zwrócił uwagę na istotną kwestię, że te dwie „dyplomacje” łączą się, natomiast ich cel jest nieco inny. Osobiście widziałabym rolę dyplomacji historycznej, czy polityki historycznej raczej, po pierwsze, w budowaniu wizerunku państwa i komunikowaniu świata swojej narracji historycznej, z drugiej zaś, w kontrowaniu innych narracji, które gdzieś zawładnęły mainstreamem, , wynikający z nich sposób myślenia i patrzenia na pewne wydarzenia historyczne jest bardzo trudny do zmiany bez aktywnej roli instytucji państwowych i podmiotów pozarządowych.

**Prof. Marek Konarzewski:** Po pierwsze wydaje mi się, że warto wspomnieć o tym, z jakiego powodu nauka stała się tą częścią aktywności społeczności ludzkiej, która zawitała do dyplomacji. Stało się to dlatego, że kwintesencją nauki jest współpraca, a kwintesencją nauki współczesnej jest współpraca międzynarodowa. Bez niej nie ma możliwości rozwijania nauki. W związku z tym niejako w naturalny sposób nauka wkroczyła do dyplomacji albo dyplomacja do nauki. Tu możemy rozmawiać o tym, gdzie ta konwergencja się zaczęła i w jakim momencie jesteśmy, ale z pewnością ta absolutnie podstawowa fundamentalna cecha nauki jako działalności społecznej spowodowała, że obydwie dziedziny się spotkały. To jest jedna rzecz.



Drugi aspekt równie ważny, szczególnie w dzisiejszych czasach, sprowadza się do tego, że bardzo wiele z tego, czym zajmuje się nauka, jest neutralne politycznie. Są to tematy, które łatwiej przełamują różne opory, czy wątpliwości polityczne niż jakiekolwiek inne pole aktywności ludzkiej, tej która wymaga współpracy. Często nauka jest takim podstawowym polem, na którym w ogóle można rozmawiać z partnerami, z jakimi, być może z innych powodów, nie chcielibyśmy się spotykać i dopiero potem, po ociepleniu relacji, po odbudowie pewnego zaufania i na takim gruncie możemy się kłócić dalej. Wracając do samego początku naszej tej dyskusji, chciałbym zwrócić uwagę na dwa, jak sądzę, fundamentalne aspekty aktywności naukowej, które sprawiają, że jest ona tak bliska dyplomacji.

Teraz dwa zdania na temat tego, gdzie dyplomację powinniśmy lokować, czy bardziej w dyplomacji publicznej, czy też bliżej dyplomacji ekonomicznej. Mam z tym problem. Mówię tutaj jako praktyk, zajmowałem się tym przez wiele lat. Przyznaję szczerze, że w polskich warunkach to jest wciąż dyplomacja publiczna, z różnych powodów, o których być może będzie jeszcze okazja wspomnieć. Natomiast, jak to w ogóle powinno wyglądać w idealnym świecie? Wydaje mi się, że źle by było, gdybyśmy próbowali to troszeczkę, na zasadzie akademickiej, szatkować. Dlatego, że to rzeczywiście jest bardzo dynamiczna dziedzina, która czasami ma wiele wspólnego i powinna mieć wiele wspólnego z dyplomacją publiczną, szczególnie wtedy, kiedy chodzi o sprawy wizerunkowe. I tu myślę, że dyplomacja historyczna, jeżeli w ogóle tego przymiotnika można tu używać, pewnie ciąży właśnie w tę stronę, a też w bardzo wielu momentach skłaniamy się ku tej części bardziej technokratycznej, o której pani doktor Monika Szkarłat wspominała. Zdarza się też, i to wcale nierzadko, że w konkretnych działaniach spotykają się wszystkie te trzy dziedziny czy aktywności, z których każdą z osobna można byłoby rozpatrywać tutaj jako część dyplomacji. Przykładowo, jeśli na rozmawiamy o spuściźnie Marii Skłodowskiej-Curie, to niewątpliwie budujemy polski wizerunek a jednocześnie niewątpliwie spotykamy się na gruncie nauk przyrodniczych, a więc jest to technokracja. Jednocześnie możemy również próbować budować na tym projekty, które będą sięgać zdecydowanie dalej, w stronę ekonomiczną. To jest tylko jeden przykład a jest znacznie więcej. Rekapitułując, wydaje mi się, że właśnie współpraca i do pewnego stopnia neutralność, przynajmniej w znacznej części, są dwoma czynnikami, które sprawiają, że dyplomacja naukowa powstała i ma się dobrze.

**Dr hab. Katarzyna Marzęda-Młynarska:** Wątek, do którego pan profesor nawiązał, odnośnie apolityczności, czy neutralności politycznej nauki, to jest właśnie nauka dla dyplomacji. Znamy z historii wiele sytuacji, kiedy z powodów politycznych poszczególne kraje ze sobą nie rozmawiały na stopie oficjalnej, natomiast współpracowały w różnych inicjatywach naukowych. Podam tutaj chociażby przykład Arktyki, gdzie państwa ze sobą współpracowały, mimo że nie utrzymywały oficjalnych relacji. Z drugiej strony, rzeczywiście, mamy do czynienia ze zjawiskiem dyplomacji dla nauki, czyli wykorzystywania instrumentów, którymi dysponuje aparat państwowy po to, żeby rozwijać współpracę naukową, czerpać z tego, co inni już osiągnęli, uczyć się i przyciągać do siebie naukowców, innowacje i technologię.



Przechodzimy w ten sposób do drugiego tematu. Osadzimy tę dyskusję w kontekście Polski. Chciałabym poprosić państwa o wypowiedź, jak państwo oceniacie dyplomację naukową Polski z perspektywy czasu. Czy patrząc wstecz na trzydzieści lat od transformacji ustrojowej, wiedza naukowa, ekspercka była ważnym elementem wsparcia dla procesów decyzyjnych? Jak wygląda dzisiaj polski potencjał naukowy? Czy jest on wykorzystywany na tle innych państw? Jeżeli nie, to jak wzmocnić obecność nauki? Jak wzmocnić widoczność Polski na arenie międzynarodowej w tym obszarze i czy w ogóle jest to możliwe, biorąc pod uwagę fakt, że nasz kraj jest jednak państwem średniego rzędu i ma ograniczone zasoby w porównaniu do innych państw, przodujących w dyplomacji naukowej?

**Dr Monika Szkarłat:** To jest bardzo szeroki zakres pytań i wydaje mi się, że aż tak dużo czasu nie mamy, aby przeanalizować nawet sam okres transformacji społeczno-gospodarczej i jaki udział w tym względzie miał komponent naukowy. Moim zdaniem, w kontekście analizy dyplomacji naukowej, warto skupiać się na tym momencie, kiedy instytucje państwa zaczęły uświadamiać sobie, że prowadzą dyplomację naukową i zaczęły te procesy nazywać, kategoryzować oraz ujednoczyć właśnie pod tym konkretnym terminem, pojęciem, czy kategorią. Jeśli chodzi o Polskę, ma to krótką historię, bowiem posiłkując się dokumentami, które wspominają o tym pojęciu, sprowadzają się one do roku 2015 i w kolejnych latach, rzeczywiście, ten termin był bardzo często eksploatowany. Powstawały dokumenty strategiczne i polityczne, które nakreślały cele i instrumenty dyplomacji naukowej Polski. Część z nich ujrzała światło dzienne, inne zaś nie znalazły swojego miejsca i swojej implementacji. W związku z tym, w kontekście zarysowania celów, to jak czytamy w tych dokumentach, kluczowe było skupienie się przede wszystkim, używając triady podziału celów, na dostępie, współpracy, wpływach, nasze cele ogniskowały się głównie wokół tych dwóch pierwszych, czyli szeroko pojętym dostępie do infrastruktury badawczej, zasobów ludzkich, szeroko pojętej myśli technologicznej i innych podmiotów. Chciałabym dodać jeszcze do tego, o czym mówiliśmy wcześniej, bo dywagujemy cały czas o państwach, które prowadzą, czy też nie prowadzą dyplomacji naukowej, ale nie zapominajmy, że ten nowy wymiar dyplomacji to są przede wszystkim aktorzy niepaństwowi. W tym kontekście bardzo ciekawa jest zmiana ról odnośnie aktywności aktorów niepaństwowych, bo one też mają swoją dyplomację naukową. Kolejna grupa celów to współpraca. Można powiedzieć, że tak naprawdę to są dwa obszary dominujące, jeśli chodzi o Polskę, a przede wszystkim skupienie się na internacjonalizacji polskiej nauki, czyli tym co w 2010 roku w taksonomii, składającej się ze wspomnianych trzech elementów, określono jako dyplomację dla nauki. Natomiast ta część, określona jako wpływ, w wypadku Polski, nie jest obszarem dominującym, aczkolwiek występują pewne przykłady działań w tym względzie. Nie możemy porównywać się w tym aspekcie na przykład do Francji, Wielkiej Brytanii, czy Stanów Zjednoczonych, które kładą bardzo duży nacisk na ten trzeci element, czyli generowanie wpływu, a tak naprawdę instrumentalizację nauki dla celów realizacji polityki zagranicznej oraz innych sektorów polityki państwa. Może być to też polityka gospodarcza, czy każda inna polityka sektorowa, ale wtedy bardziej można mówić o instrumentalizacji nauki. Ważne jest to w kontekście Polski i celów, takich uświadomionych przez instytucje i to też istotne, jakie instytucje brały w tym udział, dlatego, że jest to też wyróżnik nowych wymiarów dyplomacji – nie jest to tylko Ministerstwo Spraw Zagranicznych, bowiem oddaje ono wręcz pole innym instytucjom, i w wypadku Polski przeważają tak zwane działania



oddolne, co nie jest tylko naszą charakterystyką. Mogą je prowadzić instytucje, które funkcjonują w obiegu naukowym, na przykład akademie nauk, czy instytuty badawcze, mogą to być też uczelnie, jak i zespoły naukowców bądź indywidualni naukowcy. Z drugiej strony ta koordynująca rola jest właśnie pełniona przez instytucje, przede wszystkim takie, jak resort nauk. W niektórych państwach będzie to też, na przykład, resort zajmujący się przedsiębiorczością, innowacyjnością, czy rozwojem technologicznym. Bierze więc tutaj udział znacznie szerszy zakres podmiotów, nawet na poziomie krajowym. Natomiast MSZ jest albo zwoleńnikiem tych wszystkich działań, albo instytucją, która po prostu je koordynuje, lub też udziela pewnego wsparcia w kontekście, przede wszystkim, tego wymiaru zewnętrznego, czyli służby dyplomatycznej, konsularnej, która jest dopełnieniem tych wszystkich aktywności. Nie możemy też zapominać o tym, że Polska jako członek Unii Europejskiej funkcjonuje w jej strukturach. Mam nadzieję, że będzie jeszcze możliwość poruszenia tego tematu, dlatego że dosłownie kilka miesięcy temu, w lipcu 2021 r., Komisja Europejska bardzo mocno zaktywizowała się, jeżeli chodzi o własną koncepcję dyplomacji naukowej i wykorzystanie do tego delegacji zagranicznych, które są powoływane przez Dyрекcję Generalną do spraw Badań Naukowych i Innowacji, natomiast funkcjonują w ramach struktury delegacji zagranicznych Europejskiej Służby Działań Zewnętrznych. Pojawia się więc tutaj jeszcze dodatkowy wymiar zarządzania na poziomie ponadnarodowym, który nawet w kontekście sumarycznej oceny dyplomacji naukowej Polski jest bardzo ważny i będzie istotny w przyszłości.

**Dr hab. Katarzyna Marzeda-Młynarska:** Rzeczywiście, patrząc na rolę MSZ, tworzy ono raczej ramy instytucjonalne, do tego, aby współpraca naukowa mogła się rozwijać. Natomiast wątek, o który pytałam, dotyczący podsumowania trzydziestu lat transformacji, dotyczy także Unii Europejskiej. W tym kontekście pojawia się kwestia wykorzystania mechanizmów, jakie oferuje wspólnota, chociażby w odniesieniu do polityki grantowej, nadawania tonu w zakresie tematyki badań, która jest preferowana. Patrząc bowiem, jak wygląda ten bilans, można stwierdzić, że nie jest on dla nas zbyt korzystny. Chciałabym teraz prosić o wypowiedź pana profesora Pleskota. Jak pan ocenia te trzydzieści lat oraz dyplomację naukową Polski, pomimo, że jak powiedziała pani doktor Monika Szkarłat, w sensie formalnym, dyplomacja naukowa pojawiła się w dokumentach rządowych dosyć niedawno?

**Prof. Patryk Pleskot:** Dla historyka perspektywa analizy trzydziestu lat jest rzeczywiście kusząca. Wychodząc najpierw od kwestii promowania nauki, osiągnięć techniki, technologii, czy innowacyjności, wyrażę pogląd, że aby je promować, trzeba mieć przede wszystkim czym się chwalić. Pamiętajmy, jaki był punkt wyjścia transformacji ustrojowej i przejścia z PRL do III RP. Mieliśmy do czynienia z całkowitym upadkiem państwa w wymiarze politycznym, gospodarczym, społecznym, naukowym, przynajmniej od strony materialnej. Startowaliśmy niemalże od zera. Henryk Samsonowicz, minister edukacji narodowej, wspominał, że nie umiał prowadzić w zasadzie żadnej polityki, w momencie kiedy objął tekę w rządzie Tadeusza Mazowieckiego, ponieważ musiał codziennie podpisywać setki dokumentów z waloryzacją pensji, które gwałtownie rosły wskutek hiperinflacji. Na tym skupiała się cała jego działalność, nie miał czasu na refleksje nad reformą oświaty, dekomunizacją itp. Spójrzmy na genezę systemowej wymiany naukowej z zagranicą w III RP: kiedy pierwsi studenci zaczynają wyjeżdżać na Zachód, kiedy już mogą? To tak naprawdę dopiero połowa, czy nawet druga połowa lat dziewięćdziesiątych XX wieku. Co więcej: jeżeli polski student



wyjechał wtedy do Stanów Zjednoczonych, to nie po to, aby studiować, tylko w celu podjęcia pracy, na przykład, w ramach programu *work and travel* i na przysłówkowym zarabianiu na życie na zmywaku. Z takiego poziomu startujemy. W związku z tym nasze oczekiwania muszą uwzględniać ten wyjątkowo marny punkt wyjścia.

Jak słusznie zauważyła pani moderator, jako państwo średnie powinniśmy mieć też średnie oczekiwania. Zapewne nie przegonimy w potęgę naukowej Stanów Zjednoczonych, czy innych państw większych od nas. Zwracam jednak wciąż uwagę na ten niski poziom startu. Trudno jest prowadzić dyplomację – jakkolwiek, nie tylko naukową czy historyczną, kiedy właściwie nie ma się właściwie szczególnych argumentów do podjęcia działań. Potrzeba pójścia naprzód zbiega się bowiem z koniecznością posiadania funduszy. O te było jednak trudno, skoro musieliśmy budować elementarne zręby rzeczywistości społecznej i materialnej na ruinie upadłego systemu. Skoro przez większość istnienia III RP procent PKB przekazywany na szeroko rozumianą naukę był (bo pewnie musiał być) bardzo niewielki, to jak możemy mówić o rozwoju, innowacyjności, czy nowych technologiach. Jest to bardzo po prostu utrudnione.

Natomiast jeśli chodzi o płaszczyznę sprzedawania (w neutralnym tego słowa znaczeniu) wizerunku Polski na arenie międzynarodowej, odnoszę wrażenie, że w 1989 roku i w pierwszych latach po wprowadzeniu nowego ustroju w zupełnie naturalny, odruchowy wręcz sposób, skupiliśmy się jako Polacy głównie na sobie: nie tylko na patrzeniu w przeszłość, próbach rozliczania, czy usprawiedliwiania przeszłości komunistycznej, lecz także na trudnej nauce elementarnej funkcjonowania w nowej, kapitalistycznej rzeczywistości. Jeżeli wychodziliśmy na zewnątrz z naszymi oczekiwaniami, czy potrzebami, to raczej głównie po to, żeby dochodzić sprawiedliwości dla nas samych. Zwracano się do Rosji, żeby potwierdziła winę za zbrodnię katyńską i udostępniła jej dokumentację, podejmowano kwestię potwierdzenia granic polsko-niemieckich po zjednoczeniu Niemiec w 1990 r. Tego typu sprawy były dla nas kluczowe jako podstawowych interes państwowy, narodowy.

Mam wrażenie, że to się zaczęło zmieniać w tym znaczeniu, że zależy nam teraz zależy nie tylko na realizowaniu własnych, wewnętrznych potrzeb, w ramach realizowania dyplomacji naukowej, kulturalnej czy historycznej. Wciąż, rzecz jasna, zwracamy uwagę na to, żeby załatwiać własne sprawy, czy sprzedawać to, co dla nas ważne (tak jak zresztą robią wszyscy), lecz także staramy się zauważać to, co z naszej przeszłości czy doświadczeń może być istotne i inspirujące dla świata. Nastąpiła zmiana, pewne przejście zainteresowań. Zjawisko to widać w różnych (i różnie skutecznych) próbach instytucji państwowych tworzenia wizerunku Polaków i Polski jako narodu i państwa stawiającego na pierwszym miejscu wolność. Ostatnio prezes IPN, Karol Nawrocki stwierdził, że drugie imię Polski to wolność. Oczywiście, to jest tylko hasło, ale stanowi ono próbę promowania pozytywnego wizerunku; podobnie jak np. akcja „Poland First to Fight” promowana przez Muzeum II Wojny Światowej.

Należy jednak zauważyć, że w przypadku Polski kwestia wizerunkowa – podobnie jak sprawy gospodarki, technologii, czy nauki mają swój ciężki bagaż przeszłości; przeszłości odziedziczonej po komunistach. Takie wydarzenia jak „kampania syjonistyczna” i protesty z marca 1968 r., sprawiły, że Polska wchodziła w 1989 roku w okres demokracji z łatką państwa antysemickiego, której zresztą do dzisiaj się nie pozbyła. Bardzo trudno walczyć z takimi ugruntowanymi przez dekady skojarzeniami.



**Dr hab. Katarzyna Marzęda-Młynarska:** Relacje między dyplomacją historyczną a dyplomacją naukową będziemy poruszać troszkę później, natomiast podsumowując to, co Pan powiedział, sądzę, że nieuniknione było nowe spojrzenie na historię po 1989 roku. Odniosę się tylko do tego, co Pan powiedział o „pustyni”, która pojawiła się, jeśli chodzi o możliwości materialne polskiej nauki. Moim zdaniem wybór kierunku polityki zagranicznej (Polska już w 1991 roku podpisała układ stowarzyszeniowy ze Wspólnotami Europejskimi) oznaczał, że w Zachodzie upatrywano szansy na modernizację Polski oraz podniesienia poziomu współpracy naukowej i jej umiędzynarodowienia, poprzez otwarcie się tamtejsze państwa, również poprzez członkostwo w Unii Europejskiej.

**Prof. Marek Konarzewski:** Ja jednak inaczej to ujmę. Po pierwsze, chciałbym nie rekapitułując ostatnich trzydziestu lat, bo nie sposób dokonać tego w krótkiej wypowiedzi. Odwróćmy raczej pytanie, by zastanowić się, czy dyplomacja polska wykorzystała te szanse i potencjał, który sprawia, że dyplomacja naukowa jest takim istotnym narzędziem w arsenale aktywności zagranicznej wielu państw. Oczywiście, odpowiedź jest negatywna. Nie byliśmy w stanie z tego skorzystać. Powodów jest wiele. Ja, dosłownie skupię się tylko na kilku.

Po pierwsze, nie mieliśmy, wbrew temu, co tutaj troszkę wybrzmiało w państwa wypowiedziach, możliwości strukturalnych, przede wszystkim, instytucjonalnych. One teoretycznie zawsze były, w MSZ również. Wiem, co mówię, ponieważ resort ten opuściłem kilka miesięcy temu. Jeżeli spojrzymy na kluczowe placówki dyplomatyczne, to w nich zawsze funkcjonowało stanowisko radcy do tego rodzaju spraw i tutaj, między innymi, zawsze było portfolio takiej osoby. Dyplomacja naukowa, nawet jeżeli nie nazywała się w ten sposób, jeszcze wtedy, to, proszę mi wierzyć, w dokumentach państwowych dyplomacja naukowa pojawiła się co najmniej w 2008 roku, lub być może nieco wcześniej (ja tego nie śledziłem). Nie chodzi tutaj jednak o konkretne daty, ale o sam, powiedzmy, *modus operandi*, który był bardzo efemeryczny. Od czasu do czasu pojawiała się osoba bądź grupa osób, gdzieś, w którymś resorcie, w MSZ lub w ministerstwie nauki, które zauważały, że jest takowa potrzeba i przez czas, w którym te osoby piastowały stosowne funkcje, rzeczywiście coś się działo. Potem, jak to w polityce, te osoby odchodziły. Pamięć instytucjonalna w Polsce jest niezwykle krótka i efekt był taki, że to wszystko, po prostu, mówiąc krótko, nie funkcjonowało w późniejszym czasie aż do kolejnego podobnego epizodu i tak dalej. Niestety, ten stan trwa do dzisiaj. My nie mamy instytucjonalnie, na poziomie resortu, żadnego mechanizmu, który pozwalałaby na wykorzystywanie potencjału, jaki daje dyplomacja naukowa. To tak krótko, może będą jeszcze okazje, aby ten temat rozwinąć. Natomiast zgadzam się z tym, co powiedziała pani Monika Szkarłat, że tak naprawdę dyplomacja naukowa w okresie przynajmniej ostatnich dwudziestu lat, była głównie uprawiana przez podmioty funkcjonujące poza centralnymi instytucjami. W tym przypadku najbardziej wyraźna jest działalność Polskiej Akademii Nauk, chociażby ze względu na utrzymywanie stacji zagranicznych, które faktycznie, prawdę powiedziawszy, wypełniały właśnie tę lukę. Oprócz tego należy wspomnieć o aktywności większych polskich uniwersytetów, które również miały możliwość współpracy naukowej o znacznie szerszym spektrum niż ta oferowana przez urzędy centralne. To miało miejsce, aczkolwiek może nie nazywaliśmy tego jeszcze dyplomacją naukową. Natomiast to, co dzieje się dzisiaj, to wciąż brak pewnego systemu, który umożliwiłby nam wykorzystanie potencjału, który już w tej chwili jest na tyle poważny, że mógłby być znacznie efektywniej użyty w projektowaniu naszych interesów w polityce zagranicznej, a przecież dyplomacja polega na użyciu tych wszystkich środków, które są tak skutecznie wykorzystywane przez państwa znacznie większe od nas,



takich jak Francja, Stany Zjednoczone, Wielka Brytania i tak dalej. Można zadać sobie pytanie, jak one to robią? To są bardzo dobre wzorce i tutaj niczego nie trzeba wymyślać, wystarczyłoby część z nich spolonizować i zaimplementować u nas. Wydaje mi się, że można to z powodzeniem zrobić. Myślę, że trzeba byłoby zacząć od tego, żeby do jakiegoś stopnia zinstytucjonalizować dyplomację naukową, czyli upewnić się, że dłużej niż przez kilka, przynajmniej w niektórych placówkach dyplomatycznych, będą funkcjonować takie stanowiska, które pozwolą na budowę takich sieci współpracy (bo budowa takich sieci trwa wiele lat. Bardzo łatwo je stracić, natomiast odtworzyć je jest niebywale trudno). Trzeba mieć zaplecze intelektualne na uniwersytetach w postaci badaczy, którzy będą się tym zajmować. Moja radość jest wielka, że w Polsce już się to zaczęło. Mamy wreszcie osoby, które chcą się zajmować tym profesjonalnie. To jest zasób intelektualny, bez którego dyplomacji naukowej nie da się robić. Wreszcie, co jest ważne, że trzeba mieć odbiorców tej aktywności w postaci zarówno uczelni, jak i przede wszystkim instytucji centralnych, które będą w stanie skonsumować tę wiedzę i możliwości, które stwarza dyplomacja naukowa. Proszę mi wierzyć, tego nam jeszcze brakuje. Z jakich powodów możemy o tym rozmawiać – mam tutaj pewne przemyślenia, ale chyba nie jest to moment, żeby o tym mówić.

Konkludując, wydaje mi się, że w ostatnich trzydziestu latach nie byliśmy w stanie wykorzystać potencjałów drzemiących w polskiej nauce w aspekcie dyplomacji naukowej. Najlepszym przykładem jest to, że w kolejnych programach ramowych Unii Europejskiej wkładaliśmy więcej funduszy niż byliśmy w stanie z tego wyciągnąć. Dlaczego? Bo były one źle wynegocjowane z naszego punktu widzenia. Kto powinien to negocjować? Oczywiście, ci wszyscy, którzy się zajmują dyplomacją naukową. Jest to najlepszy przykład na to, jak, niestety, nie wykorzystaliśmy tych szans. W innych dziedzinach być może się trochę lepiej nam to udało.

Gdy wrócimy, na przykład, do budowy wizerunku, to uważam, że przynajmniej niektóre działania prowadzone na przestrzeni ostatnich kilkunastu lat były bardzo zasadne i celowe, chociażby docieranie do autorów podręczników akademickich historii w różnych częściach świata po to, żeby poprzez nich wpłynąć na treść ich syntez. Jest to doskonały sposób na budowanie wizerunku. Ja brałem udział w tych działaniach, wiem jak się to robi, jak jest to trudne i jednocześnie jak bardzo jest potrzebne oraz skuteczne, aczkolwiek pod warunkiem, że wie się do kogo trzeba dotrzeć i ma się osoby, które potrafią to zrobić. No właśnie, takich dyplomatów naukowych, których nawet nie trzeba z imienia i nazwiska takimi nazywać, ale jak się ich uda pozyskać do takiej działalności, to efekty tego mogą być czasami zdumiewające.

**Dr hab. Katarzyna Marzęda-Młynarska:** Pan profesor nawiązał do dyplomacji publicznej. Jednak departament dyplomacji publicznej pojawił się w strukturze MSZ w 2008 roku. Oczywiście w sferze polityki historycznej, w sferze narracji historycznej jest jeszcze wiele do zrobienia i będziemy o tym jeszcze mówić. Być może remedium na problemy, o których Pan mówił jest wola polityczna, która przełoży się na konkretne rozwiązania instytucjonalne, a te z kolei, w perspektywie czasu, zaowocują powołaniem profesjonalnej grupy osób zajmującej się dyplomacją naukową. Podsumowując, Pan profesor poruszył bardzo ważny problem. Po pierwsze, jakie są powody, że bilans tych trzydziestu lat nie jest pozytywny, a po drugie, co zrobić, aby to zmienić. Każdy z Państwa ma swoje doświadczenia i przemyślenia. Chciałam zatem zapytać, jak tę sytuację odwrócić?



**Dr Monika Szkarłat:** Ja chciałabym dodać pewną uwagę. Myślę, że będzie ona łączyć się z tym, o czym powie pan profesor – o remedium – bo wydaje mi się, że nie tylko powinniśmy skupiać się na tym, co można zrobić w MSZ bądź w MSZ, ale także na międzyresortowej koordynacji, ponieważ, tak naprawdę, działamy w ramach obejmujących dwie polityki, które mają bardzo różny *timing*, naukę i politykę zagraniczną, czy międzynarodową. Tego nie może robić jedno ministerstwo, powiedziałabym nawet, że tego nie mogą robić tylko i wyłącznie instytucje centralne. W państwach, które mają bardzo zaawansowane systemy świadomej dyplomacji naukowej, mówi się bowiem również o poziomie subpaństwowym, gdzie władze regionalne, czy społeczności lokalne, również posiadają na przykład biura zagraniczne i w ramach ich działania pojawia się właśnie element promocji nauki na obszarze konkretnego regionu. Wydaje mi się, że w Polsce ma to miejsce wyłącznie w województwie pomorskim, w którym takie biuro posiada Pomorski Urząd Marszałkowski. Funkcjonują również organizacje międzynarodowe, zrzeszające na przykład akademie nauk z poszczególnych państw. Trzeba jednak schodzić w dół, ponieważ niezbędne są również agencje wykonawcze, wykonujące naprawdę bardzo dobrą i ważną pracę też w wypadku Polski, zarówno Narodowe Centrum Nauki, które działa bardziej od strony budowania doskonałości naukowej. Narodowa Agencja Wymiany Akademickiej zajmuje się aspektem wpływu oraz promocji nauki. No i właśnie, schodząc w dół, te poszczególne jednostki, które są zainteresowane działalnością badawczo-innowacyjną. Mogą być to również innowacyjne firmy posiadające komponent badawczo-innowacyjny. One też powinny wchodzić w ten dialog. Państwa, czy rządy bardzo często popełniają błąd kopiując coś, co dobrze funkcjonuje w innych krajach. Przykładowo, jak patrzeć na Francję, widzą, że tam to działa. Francuzi mają dokument, czyli strategię dyplomacji naukowej z 2013 roku – to napiszmy sobie swoją. To nie jest potrzebne. Brytyjczycy nie mają niczego takiego, ale na przykład posiadają tradycję resortowych doradców naukowych, jak również głównego naukowego doradcy rządu. Tu właśnie jest ten kontekst związku polityki z nauką, doceniania wiedzy eksperckiej. Rozwiązania mogą być bardzo różne, nie trzeba tego zapisywać w dokumencie, ale ja, gdybym miała coś doradzić naszemu rządowi, to na pewno byłby to powrót do szeroko rozumianej koordynacji międzyresortowej.

**Dr hab. Katarzyna Marzęda-Młynarska:** Myślę, że ta dyskusja, która przetoczyła się w kontekście dyplomacji ekonomicznej oraz uporządkowania dyplomacji ekonomicznej, dowartościowania regionu, powołania jednostek do promocji ekonomicznej na poziomie lokalnym, to jest też dobry przykład. Tak jak powiedziałam, rola polityczna i dostrzeżenie problemu są kluczowymi elementami, które mogą ten proces zainicjować bądź przyspieszyć, jeżeli został już zainicjowany.

**Prof. Marek Konarzewski:** Zgodzę się z tym, że postulat współpracy resortowej jest zbożny i absolutnie jedynie słuszny. Proszę wyczuć odrobinę ironii w moim głosie, bo byłem świadkiem różnych usiłowań połączenia aktywności ministerstw, głównie nauki i spraw zagranicznych i wychodziło to bardzo różnie. Na pocieszenie mogę powiedzieć, że jest to bolączka nie tylko polska, silosowość resortowa jest bowiem znaną przypadłością wszystkich centralnych administracji. Żeby nie tylko psioczyć i nie mówić, że nam się nic nie udaje, to proszę



pamiętać, że mamy w tej chwili naprawdę kilka elementów, które są bardzo istotne i aktywne. I rzeczywiście, gdyby udało się scalić je w jeden system, to w bardzo krótkim czasie zobaczylibyśmy ogromny postęp, jeżeli chodzi o efektywność wykorzystania narzędzi oferowanych przez dyplomację naukową. Z jednej strony wspomniana Akademia Nauk z siecią baz zagranicznych, z drugiej strony nasze agendy w Brukseli, czyli znowu, biuro Polskiej Akademii Nauk, dedykowane afirmacji współpracy polskich instytucji działających pod egidą Akademii Nauk z partnerami w unii, szczególnie w kontekście programów unijnych. Biznes Science Polska, to znowu przyczółek już bardziej technologiczno-biznesowy, ale wciąż dedykowany tym samym sprawom w Brukseli. W Polsce wreszcie doczekaliśmy się Narodowej Agencji Wymiany Akademickiej, która jest dedykowana właśnie temu, żeby sprzyjać umiędzynarodowieniu polskiej nauki. Tego nam bardzo, bardzo brakowało, to jest ten ostatni brakujący element systemu finansowania, który niejako domknął reformę nauki prowadzoną przez ostatnie trzydzieści lat.

Czego wobec tego brak? No cóż, brak jest wciąż tej woli politycznej, o której przed chwilą pani Młynarska wspomniała, ale woli politycznej na poziomie długotrwałego działania, pewnej ponadpartyjnej zgody, że to jest jeden z tych kierunków, który powinien być realizowany w horyzoncie dekad, a nie pewnej aktywności, będącej niestety wielką przypadłością polskiego zarządzania. Jak to powinno być zrobione? Mamy przecież do tego narzędzia, w Ministerstwie Nauki istnieje bowiem Departament Współpracy Międzynarodowej, który w zasadzie powinien się tym zajmować. Mamy Departament Dyplomacji Publicznej i Kulturalnej, czyli departament MSZ o bardzo szerokim spektrum działania. W tym przypadku nazwa jest nieco myląca, bo tam, proszę mi wierzyć, również mieszczą się działania z zakresu dyplomacji naukowej. W MSZ jest oprócz tego Departament Współpracy Ekonomicznej, w zasadzie dedykowany innowacyjności, o której tutaj też wspomnieliśmy. Są te elementy, potrzebne jest jednak jakieś decyzyjne miejsce, które byłoby w stanie skoordynować ich działania, ale nie zarządzać, bo to się nie uda. Z utęsknieniem czekam, aby wreszcie gdzieś się to przebiło do rządzących. Nie na zasadzie, jak powiadam, jednokadencyjnej aktywności, która się potem kończy wielkim rozczarowaniem i szczerze powiedziawszy stratą potencjału budowanego z trudem i za duże pieniądze, w czasie kiedy właśnie aktualnie rządzący są przekonani do tego rodzaju inicjatyw. To jest ta zasadnicza bolączka, z którą się borykamy od bardzo dawna.

Ja jestem akurat chyba tą osobą, która może powiedzieć, że na przestrzeni ponad dekady widziałem górki i dołki w takim zarządzaniu dyplomacją naukową w Polsce. Ostatnie kilka lat było, jak sądzę, bardzo dobre pod tym względem, ale nie mogę powiedzieć, żeby kolejne kilka lat, można było opatrzyć tym samym przymiotnikiem. Tutaj niebawem potrzebna jest pewna stabilność w wykorzystaniu tego narzędzia, jak każdego narzędzia dyplomacji. Pomimo posiadania potencjału, bez niej się to po prostu nie uda. Nie wspominałem tutaj jeszcze chociażby o takich istotnych elementach jak posiadanie przez Polskę stacji polarnych na obydwu biegunach. Jesteśmy jedną z nielicznych potęg polarnych na świecie. Można przytoczyć wiele podobnych przykładów. Naprawdę możemy pochwalić się dużym potencjałem. Natomiast, jak wspominałem, brakuje nam pewnego dostrzeżenia tego faktu oraz poszanowania i wykorzystania wynikających z tego możliwości.



**Prof. Patryk Pleskot:** Oczywiście, wizja remediów jest łatwiejsza niż ich realizowanie. Chciałbym odnieść się do tego, co na początku mówił profesor Konarzewski, czyli kwestii potencjału. Moim zdaniem ten potencjał tłumiony jest od dłuższego czasu przez pewną słabość. Nie zapominajmy, że przez ostatnie trzydzieści lat, a zwłaszcza w okresie po wstąpieniu Polski do Unii Europejskiej, nastąpił bardzo poważny odpływ profesjonalistów w najróżniejszych dziedzinach, w wyniku migracji nie tylko zarobkowej, ale również intelektualnej. To nie są dziesiątki ani setki, tylko tysiące naukowców, którzy zaczęli się gdzieś na świecie oraz tysiące studentów, którzy wybrali na miejsce swojej kariery naukowej nie Polskę, tylko inne, oferujące lepsze możliwości, kraje. W ten sposób samoistnie powstała sieć, czy grupa intelektualistów i specjalistów o polskich korzeniach (a często i polskiej tożsamości kulturowej), ale niezwiązanych z żadnymi polskimi instytucjami. Być może to właśnie wśród nich można szukać owego potencjału: próbować do nich dotrzeć, potraktować ich trochę jak „wtoczki”, które mogą nam otwierać pewne możliwości, jakieś drzwi. Nie wiem, mówiąc szczerze, jak to zrobić, ale moim zdaniem ten potencjał emigracyjny jest duży, i to zarówno ze strony naukowej, jak i wizerunkowej. Na ogólniejszym planie żyje przecież na świecie około 20 milionów ludzi posiadających polskie korzenie. Wynikające z tego możliwości są w dużej mierze niewykorzystywane. Być może jest już na to za późno, a stopień akulturacji Polaków w poszczególnych społeczeństwach okazał się stosunkowo szybki. Moim zdaniem warto byłoby jednak chociaż spróbować wykorzystać z jednej strony potencjał lobbystyczny osób o polskich korzeniach, z drugiej zaś strony potencjał naukowy w postaci naukowców legitymujących się polskim pochodzeniem, którzy już działają w najróżniejszych zakątkach świata i to naprawdę w licznych gronie. To jest kierunek, który bym dostrzegał. Nie wiem jednak niestety do końca, jakie konkretne mechanizmy należałoby tu zastosować.

Chciałbym jeszcze zwrócić uwagę na sprawę komercji. Państwo powinno – co może oczywiście – wchodzić w różne formy współpracy z podmiotami komercyjnymi w celu kreacji wizerunku; wykorzystywać te dziedziny, często czysto komercyjne, w których Polacy są mocni. Chociażby strefa gier komputerowych, gdzie rzeczywiście polskie firmy mają dużo do powiedzenia. Czy nie udało by się na przykład w „Wiedźminie” przemycić jakiś wątków, nawiązujących do historii Polski? Popatrzmy na z pozoru tak błahe rzeczy, jak popularne kreskówki rosyjskie czy francuskie, gdzie regularnie przemycane są elementy kultury danego kraju. Na tej podstawie dzieci oglądające takie bajki na całym świecie, dowiadują się, jak piękny jest Paryż, jaki ciekawy jest folklor rosyjski. Znam ten efekt z autopsji. Można byłoby pójść nawet taką drogą, która na pierwszy rzut oka jest mało poważna, ale dającą możliwość zrealizowania poważnych zamiarów i celów. Oczywiście, możemy powiedzieć, że kiedy, państwo zaczyna się wtrącać (mówiąc brzydko) do działań komercyjnych, nie zawsze musi się to skończyć pozytywnie, ale może po to właśnie konieczne jest uprofesjonalnienie dyplomacji publicznej, by taka symbioza prywatno-publiczna była korzystna dla obu stron.

**Dr hab. Katarzyna Marzęda-Młynarska:** Jeżeli chodzi o współpracę z podmiotami komercyjnymi, to czasami różnie to wychodzi. W latach dziewięćdziesiątych podjęto inicjatywę budowy polskiej marki i współpracowano w tym celu z wybitnymi specjalistami z zakresu promocji i marketingu. Państwo wydało dużo pieniędzy na te programy, i nic z tego nie wynikało. Strategii nie dokończono, i polska marka, jako taka, nie istnieje.



Chciałabym teraz, abyśmy przeszli do kontentu. Od jakiegoś czasu dyskutuje się o zjawisku tak zwanych dyplomacji szczegółowych. Ostatnio dużo mówi się na temat dyplomacji historycznej. Zainaugurowano prace nad strategią dyplomacji historycznej, powołano Radę Dyplomacji Historycznej, podjęto wątek budowania narracji historycznej poza granicami kraju, zarówno w kontekście walki z negatywnymi, krzywdzącymi stereotypami oraz propagowania pozytywnego wizerunku, który jest obecnie mocno eksponowany. Jak państwo widzicie, relacje między dyplomacją naukową a dyplomacją historyczną? Czy są to zupełnie rozbieżne sfery? Czy jednak można znaleźć jakieś elementy wspólne? Wspomnę tutaj chociażby o inicjatywie, która wydaje się bardzo istotna zarówno w kontekście dyplomacji naukowej, jak i dyplomacji historycznej, jaką jest organizowanie Kongresów Zagranicznych Badaczy Dziejów Polski, posiadających formę naukowego, historycznego przekazu, z dala od publicystyki, która często nacechowana jest dużymi emocjami.

**Dr Monika Szkarłat:** Wypowiedziałam się na ten temat na początku dyskusji. Dla mnie są to dwa odrębne wymiary dyplomacji, co być może jest związane z moimi zainteresowaniami naukowymi, oscylującymi wokół tak zwanej dyplomacji dla nauki, czyli po prostu umiędzynarodowienia nauki. Stąd też, jeżeli miałabym tu widzieć jakikolwiek związek, to pewnie bardziej patrzyłabym na historię jako po prostu na przedmiot, na dziedzinę nauki, która może być, w ten czy inny sposób, umiędzynarodawiana. Jeśli chodzi o związek, to ja łączę dyplomację historyczną zdecydowanie bardziej z dyplomacją kulturalną, czy szerzej, publiczną. Tam bym upatrywała tych korelacji. Dla mnie, z punktu widzenia analizy celów, może rzeczywiście niedeklarowanych przez instytucje państwa, mówię tutaj o Polsce, czy zapisanych, to te cele dyplomacji naukowej Polski, rzeczywiście ogniskują się wokół przede wszystkim umiędzynarodowienia nauki, promocji potencjału naukowego Polski.

Tutaj też kilka słów *ad vocem*, jeśli chodzi o tą społeczność, diasporę polską za granicą. Oczywiście, to też pojawiło się już w dokumentach, mam tutaj na myśli program Kierunki Promocji Polski za granicą, który nadal chyba obowiązuje, bo jego cezura czasowa obejmowała okres 2017–2027. Nie wiem jednak, jak on jest realizowany i czy w ogóle podejmowane są działania w celu wprowadzania jego założeń. Wiadomo mi natomiast, że między innymi NAWA, jedna z agencji wykonawczych, posiada pewne instrumenty, programy, które są kierowane do diaspory. Jeżeli mielibyśmy szukać jakiegokolwiek korelacji efektywności tego typu działań, możemy spojrzeć na indeksy, czy rankingi, na przykład związane z atrakcyjnością polskiej nauki dla doktorantów zagranicznych. W ostatnim Europejskim Rankingu Innowacyjności za 2020 rok (wydanym w 2021 roku), zajęliśmy przedostatnie miejsce przed Grecją. Jeśli chodzi o atrakcyjność państwa dla zagranicznych doktorantów, kraje będące liderami tej listy, czyli Luksemburg, Szwajcaria, na piątym miejscu znalazła się chyba Francja, później Wielka Brytania, więc jak na razie nie do końca wszystko tutaj funkcjonuje dobrze. Dlaczego? Myślę, że rację ma w swojej analizie profesor Marek Kwiek, który w jednym z ostatnich swoich raportów, w konkluzjach dotyczących stanu umiędzynarodowienia polskiej nauki, diagnozuje tenże zły stan tym, o czym mówił profesor Konarzewski. Brak kontynuacji, brak pamięci instytucjonalnej, brak stabilności polityki państwa, a przede wszystkim brak długoterminowego stabilnego źródła finansowania. Naukę i jej umiędzynarodowienie finansuje się z pieniędzy publicznych państwa, a granty zewnętrzne, na których opiera się to w najlepiej



funkcjonujących systemach, stanowią tylko i wyłącznie dodatek. Przede wszystkim skupiałabym się na takiej kontynuacji strategii, określeniu pewnych celów, żeby to dla wszystkich było jasne i precyzyjne. Trochę odeszłam od tematu głównego, czyli relacji demokracja historyczna – naukowa. Ja zdecydowanie jestem bliżej połączenia tego z dyplomacją gospodarczą, a to dlatego, że jesteśmy tu, gdzie jesteśmy, czyli w Unii Europejskiej, gdzie funkcjonuje jednolity rynek. Powiązanie to, jak Komisja Europejska też wyjaśnia, ma ścisły związek z polityką innowacyjności i to właśnie dyplomacja naukowa ma być jednym z jej instrumentów. Ostatnio w dokumentach pojawił się kolejny, obecnie modny, termin, czyli tak zwana autonomia strategiczna Unii Europejskiej. Jednym z jej elementów jest autonomia technologiczna, rozumiana szeroko, również jako potencjał naukowy, co Unia Europejska rozumie jako zdolność zarządzania współzależnościami w środowisku międzynarodowym, która jest niezwykle cenną umiejętnością w rzeczywistości, w jakiej funkcjonujemy.

**Dr hab. Katarzyna Marzęda-Młynarska:** Pozwolę sobie na dwa słowa komentarza odnośnie rankingów innowacyjności i atrakcyjności. Myślę tutaj o zmianie jaką przeszedł polskie wyższe uczelnie. Od dwóch lat funkcjonujemy w systemie szkół doktorskich. Jest to zupełnie nowa filozofia, jeśli chodzi o studia doktoranckie. W związku z tym sądzę, że przyjdzie jeszcze czas, aby ocenić szkoły doktorskie, a w tym ich aktywność i atrakcyjność dla studentów zagranicznych. Natomiast niskie wskaźniki innowacyjności, utrzymują się od wielu lat i tutaj również nie ma rozwiązań systemowych. Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie jest doskonałym przykładem tego, że na polskich uczelniach powstaje bardzo wiele ciekawych wynalazków i patentów, ale rzadko są one komercjalizowane, na czym wizerunkowo skorzystałby uniwersytet. Problemem jest brak systemowych rozwiązań, w tym ściślejszego powiązania świata nauki, uniwersytetu i świata biznesu. Dopiero tworzy się strategię, czy działy zajmujące się komercjalizacją.

**Prof. Patryk Pleskot:** Nie chciałbym długo mówić, ponieważ jest to tylko jeden z tematów, który tutaj poruszamy. Mnie jednak w tym wątku interesuje specyficzna kwestia, a mianowicie relacje między samą nauką a dyplomacją historyczną. Jest takie pojęcie, którego nie lubię: „polityka historyczna”. Mnie jako naukowcowi-historykowi to określenie mocno zgrzyta, bo albo uprawiamy politykę, albo historię jako naukę. Jako naukowcy jesteśmy zobowiązani zachować obiektywizm (na tyle, na ile to możliwe). Nie można w badaniach przemilczać faktów, czy zjawisk, które wydają się nam niekorzystne z punktu widzenia politycznego. Natomiast jako obywatel muszę wyrazić zrozumienie dla tego, że państwo powinno prowadzić swoją politykę historyczną, czy – mówiąc ładniej – dyplomację historyczną. Dlaczego? Bo smutna prawda jest taka, że inne państwa po prostu taką politykę prowadzą. Jeżeli nie będziemy jej stosować, inni narzucą nam swoją narrację. To smutne i mogę się z tym wewnątrznie nie zgadzać, ale tak już po prostu jest. Można się więc obrazić i unieść dumą, ale można też podjąć rękawicę. W tym kontekście istnieje, rzecz jasna, również zjawisko współdziałania między różnymi państwami, czy narodami, ale często dochodzi do zderzania się różnych, co najmniej niekompatybilnych narracji w ramach uprawiania polityki historycznej. Oczywiście w ramach Unii Europejskiej dostrzec można tendencje do szukania porozumienia, podejmowania prób przezwyciężania zaszłości historycznych i budowania wspólnej tożsamości europejskiej. Jestem daleki od lekceważenia tych zjawisk, niemniej nie udało się stworzyć jednolitej narracji historycznej, czego najlepszym przykładem jest chociażby kwestia postrzegania na Zachodzie naszej perspektywy analizowania stosunku do ratowania ludności żydowskiej w czasie II wojny światowej. Problemy tego typu potęgują się w starciu z narracjami



państw spoza Unii, w dodatku niezycliwych. Wystarczy wspomnieć wypowiedzi „dożywotniego” prezydenta Białorusi Aleksandra Łukaszenki, w których twierdził, że Białostoczczyzna jest tak naprawdę białoruska; czy słowa innego „dożywotniego” prezydenta – Władimira Putina, który w swym niedawnym, głośnym artykule prasowym wpisał się w linię propagandy stalinowskiej, wysuwając argumenty usprawiedliwiające agresję Rosji Sowieckiej na Polskę 17 września 1939 roku.

W obliczu tego typu narracji trudno nie zrozumieć, że dyplomacja, a nawet polityka historyczna jest konieczna. Jako naukowcowi może mi się to bardzo nie podobać, ale muszę przyznać, że państwo polskie musi prowadzić taką politykę i w jej ramach starać się pokazać to, co leży w interesie naszej polityki zagranicznej. Nie chcę tutaj wchodzić w szczegóły. Oczywiście, jest to zadanie bardzo trudne – trzeba tu wrócić do początku i przypomnieć, że jesteśmy państwem średnim i z tego względu mamy średnie możliwości. Co więcej, we wzmiarkowanej już przeze mnie sytuacji, w której istnieją pewne wgrane w pamięć społeczną negatywne skojarzenia związane z historią Polski, tym trudniej przebić się z własnym przekazem, chociażby najlepiej udokumentowanym i przekonującym z punktu widzenia nauki. Corocznie na całym świecie, od Lizbony po Nowy Jork, pojawia się kilkaset artykułów, w których pada określenie „polskie obozy śmierci”. Jeśli używa go sam prezydent Stanów Zjednoczonych Barack Obama, no to jak z tym walczyć? Przypomina to walkę z wiatrakami, ale nie pozostało nam nic innego, jak ją podejmować.

Konieczne jest tutaj przede wszystkim wyjście poza polskie podwórko, próba dotarcia do zachodnich mediów i społeczeństw. Nie można tego uczynić posługując się językiem polskim, tylko trzeba to robić w mowach obowiązujących w poszczególnych krajach. W tym kontekście bardzo mi się podoba inicjatywa „Opowiadamy Polskę światu”, którą prowadzi organizacja pozarządowa Instytut Nowych Mediów (INM) a ostatnio w projekt ten zaangażował się również Instytut Pamięci Narodowej. Statystyki prowadzone przez INM doskonale obrazują zasięg akcji: na przykład informacje, na temat czterdziestolecia Solidarności, miały podobno prawie miliard wyświetleń na całym świecie. To oczywiście nie oznacza, że nagle miliard ludzi zaczął myśleć o „Solidarności” i o Polsce; i to w sposób, jaki chcemy. Jest to jednak ta sfera działań, w której możemy próbować podejmować tę rękawicę i próbować się przebić z własną narracją.

Polityka historyczna, jak już mówiłem, jest zderzeniem dyskursów. Skoro inni to robią, to my też powinniśmy. A czy są to działania podejmowane w ramach polityki, czy dyplomacji naukowej, albo też dyplomacji publicznej, a może po prostu polityki zagranicznej, to już możemy sobie szufladkować tak, jak nam jest wygodnie.

**Dr hab. Katarzyna Marzęda-Młynarska:** Tutaj chciałabym zwrócić uwagę na dwie kwestie. Po pierwsze, według mnie, istnieje coś takiego, jak europejska narracja historyczna, w której wątki historii są zredukowane do pewnych „uniwersalnych” faktów i na to nie tylko my zwracamy uwagę. Przykładowo, Szwedzi przeszli od myślenia o swoim państwie, jako o kraju nie wspierającym Adolfa Hitlera w czasie II wojny światowej, do krytycznego spojrzenia na własną przeszłość, przychylając się do uniwersalistycznej narracji europejskiej, stawiającej na



pierwszym miejscu jest Holokaust, jako doświadczenie ogólnoeuropejskie, w której narodowa narracja patriotyczna, bohaterska, została zredukowana do minimum. Polska narracja historyczna jest mało widoczna pomimo, że można zaobserwować rosnące zainteresowanie nią wśród badaczy z zagranicy. W związku z tym myślę, że powinniśmy przedstawiać i promować własne spojrzenie.

Jeżeli chodzi o drugą kwestię, to myślę, że nasze członkostwo w Unii Europejskiej, dało nam nowe możliwości w zakresie promowania własnej narracji historycznej. Dobrym przykładem w tym kontekście jest przyjęta w 2019 roku rezolucja w sprawie znaczenia europejskiej pamięci historycznej dla przyszłości Europy, która dała odpór pisaniu historii na nowo na przykład przez prezydenta Federacji Rosyjskiej. Natomiast kwestia walki z krzywdzącymi stereotypami, to jest taka praca u podstaw, pozostająca w gestii polskich dyplomatów, którzy mają obowiązek reagować na ich przejawy. Sprzyja temu rozwój technologii komunikacyjnych, w tym mediów społecznościowych, które pozwalają na bardzo szybką reakcję. Myślę jednak, że przeciwdziałanie negatywnym stereotypom oraz komunikowanie i promowanie własnej narracji historycznej, to dwa odrębne problemy.

**Prof. Marek Konarzewski:** Ja się tutaj do końca z panią nie zgodzę, dlatego, że gdyby ci dziennikarze, nadużywający tej nieszczęsnej frazy, nauczyli się historii w sposób poprawny, to nie mielibyśmy tego problemu. A więc wracamy znowu do źródeł, czyli do tego, że powinniśmy docierać do tych instytucji, które tę wiedzę w głowę wkładają, czyli do uniwersytetów. Tutaj dyplomacja historyczna jest jak najbardziej na miejscu. My to robimy nie zawsze udanie, bo powiedzmy sobie szczerze, to jest chyba najbardziej kosztowny fragment dyplomacji naukowej. Żeby tutaj być skutecznym, trzeba byłoby rzeczywiście podjąć trud umieszczenia, na przykład, na czołowych uniwersytetach amerykańskich, bo tu w zasadzie o USA mówimy, katedr, które byłyby na tyle silne pod względem intelektualnym, że promieniowałyby narracją, wiedzą i w ten sposób wpływały na zmianę nastawienia w percepcji interpretacji historii. Nie mówię o tym, żebyśmy coś przeinaczali, a raczej właśnie stwarzali klimat, w którym będziemy postrzegani w sposób bardziej pozytywny. To chodzi o proporcje, po prostu, bo powiedzmy sobie szczerze, że w większości podręczników historii w Stanach Zjednoczonych istniejemy zaledwie w postaci paru linijek. Takie próby pojawiły się trochę ponad dziesięć lat temu. Próbowaliśmy, niestety ze skutkiem dosyć umiarkowanym, stworzyć katedrę nauk historii na wydziale Uniwersytetu Columbia. Były też zupełnie niedawne podobne próby na Uniwersytecie Georgetown w Waszyngtonie. To jest jedna z możliwości.

Wspomnieliście państwo o naszej diasporze. Stanowi ona naprawdę ogromny potencjał. Moje doświadczenia są jedynie dobre, bardzo wielu ludzi wyjeżdżających za granicę, jest bardzo chętnych do współpracy z Polską. Mamy programy powrotowe, które oferuje NAWA, ale wiele z tych osób w tej chwili już jest na takim etapie swojej kariery, że nie będzie chciało wrócić do kraju. Jest to wciąż ogromny zasób, z którego powinniśmy korzystać. To są również instytucje, wspomnę o Fundacji Kościuszkowskiej, znów nawiązując do Stanów Zjednoczonych. To jest ten element naszej infrastruktury, naszej, naprawdę naszej, która jest do wykorzystania, ale wróć w tym miejscu do początku tej dyskusji. To musi być spięte w konsekwentny sposób, który będzie pozwalał nam na realizację tych celów, chociażby wizerunkowych,



w sposób skuteczny i stanowczy. Jeszcze raz użyję tutaj tego terminu – dyplomacja historyczna – jeżeli by ją wydzielać w ogóle, na pewno jest do zrobienia, pod warunkiem jednak, że będziemy chcieli poświęcić na ten cel naprawdę duże środki finansowe. Katedra na Uniwersytecie Columbia, kosztowała kilka milionów dolarów. Mówimy o tego typu wydatkach, jeżeli nasze działania mają być skuteczne. Trzeba więc, niestety, od razu powiedzieć, że jest to drogie przedsięwzięcie, aczkolwiek powinno ono być realizowane. Proszę mi wierzyć, że po paru ładnych latach spędzonych w Stanach Zjednoczonych, gdzie widziałem jak nasi szacowni zachodni sąsiedzi bardzo skutecznie doprowadzili do rozdzielenia dwóch pojęć: nazizmu i Niemiec w takiej potocznej wiedzy o przeszłości. Widzę, jak to jest skuteczne. I to jest przykład nieszczęśliwy dla nas w sensie historycznym, z którego powinniśmy czerpać, jak sądzę, dobre natchnienie do tego, jak to skutecznie zrobić.

**Dr hab. Katarzyna Marzęda-Młynarska:** Słowo podsumowania i uzupełnienia. Niemcy Zachodnie budowały swoją narrację historyczną od zakończenia II wojny światowej. Miały one możliwości i audytorium, mogły powoli zmieniać sposób postrzegania swojego państwa. Natomiast Polska dopiero po 1989 roku mogła wyjść na zewnątrz ze swoją narracją historyczną. Absolutnie zgadzam się z tym, że najważniejszy z punktu widzenia zmiany świadomości jest proces edukacyjny. Tylko pamiętajmy o tym, co na początku naszej dyskusji powiedział profesor Pleskot, a mianowicie, że jest to polityka, motywowana interesami i że jeżeli chcemy coś zmienić, to nie znaczy, że zrobi się to samoczynnie.

Na początku lat dziewięćdziesiątych powoływano komisje podręcznikowe polsko-izraelskie, które miały dokonać wspólnej interpretacji historii II wojny światowej, szczególnie Holokaustu. Pierwszy raport do niczego nie doprowadził, więc wznowiono prace komisji i znowu zakończyło się to fiaskiem. Innym przykładem są zmieniające się akcenty w przedstawianiu konfliktu z lat 1939-1945 we współczesnych Niemczech. Polska ma ogromny problem z tym, jak zbudować narrację, która pogodzi to, co my myślimy o sobie, jak postrzegamy naszą przeszłość, z tym, jak postrzegają ją Niemcy, Żydzi, czy jakieś inne państwa. Natomiast jeśli chodzi o to, co pan profesor wspomniał o Stanach Zjednoczonych, to system amerykański inaczej funkcjonuje i tam się funduje katedry, profesury. Ktoś to finansuje. Tutaj rzeczywiście, jeżeli chcemy być widocznymi, to nie można trzymać się za portfel, tylko po prostu trzeba wydać pieniądze i konsekwentnie finansować badania, żeby przebić się szerzej ze swoją narracją.

Został nam ostatni temat, taki, powiedziałabym, z pogranicza. Mniej merytoryczny w kontekście dyplomacji naukowej, ale myślę, że bliski sercu każdemu, kto ma związek z nauką. Dotyczy on relacji pomiędzy nauką a polityką. Czy nauka ma wpływ na politykę? Czy wiedza naukowa jest wykorzystywana przez decydentów? Czy istnieje jakaś forma wsparcia ze strony świata nauki dla procesów decyzyjnych? W innych państwach, i tutaj znów powołam się na przykład Stanów Zjednoczonych, to co „wyprodukują” politolodzy amerykańscy, znajduje później przełożenie w konkretnych działaniach. Jak państwo widzą ten problem, czyli nauka – polityka? Czy nasi politycy boją się naukowców, że nie współpracują z nimi blisko? Czy coś się zmienia w tej kwestii?



**Dr Monika Szkarłat:** Ta relacja jest oczywiście częścią dyplomacji naukowej. Według taksonomii *Royal Society* to jest część *science in diplomacy*, czyli nauka w dyplomacji, akurat tutaj ograniczone do takiego wąskiego wykorzystania wiedzy eksperckiej w realizacji celów polityki zagranicznej państwa, ale oczywiście, dyskusja i analizy wychodzą znacznie dalej. Obecnie jesteśmy, można powiedzieć, w doskonałym momencie do rozmowy na temat relacji pomiędzy nauką a polityką, zarówno w wymiarze państwa, jak i w wymiarze międzynarodowym, bowiem pandemia odsłoniła pewne rzeczy. Ten czas kryzysu dokonał wielu prze wartościowań, dlatego dyskusja na temat tej relacji powraca na światło dzienne. Tutaj, naturalnie, istnieje wiele wymiarów, ponieważ należałoby, oczywiście, zacząć od pytania, o to,





jakie jest w ogóle zaufanie do nauki, wiedzy naukowej, eksperckiej, a przechodząc do analizy, a także o to, co my rozumiemy przez wiedzę ekspercką, naukową?

Dla przykładu, ostatnio w jedenastu państwach członkowskich Unii Europejskiej przeprowadzono badania opinii publicznej związane właśnie z okresem pandemii, w których zapytano respondentów o to, czy ufają różnego rodzaju gremiom doradczym, które doradzały ich rządowi w walce z wirusem SARS-CoV-2. Pomimo tego, że autorzy na początku mieli pewnego rodzaju nadzieje, że pandemia spowoduje, iż społeczeństwa europejskie nabędą większego zaufania do nauki, wcale tak się nie stało. Jednym z krajów, które zostały poddane analizie w ramach tego badania była Polska i co ciekawe, z wypowiedzi respondentów wynikało, że nie ufają oni Radzie Medycznej przy premierze. Były to osoby, które nie popierały obecnego rządu, dlatego właśnie, że uważali, że ciało to i wchodzący w jego skład naukowcy utracili neutralność bądź też doszło do polityzacji nauki, czyli w jakiś nie do końca kontrolowany i zdrowy sposób przeszli na drugą stronę. Tak to można byłoby to ująć. Pojawia się więc tutaj właśnie ten drugi kontekst upolitycznienia nauki, to znaczy, jak daleko powinny sięgać związki między polityką a nauką. To jest kolejny element. Poza tym bardzo ciekawym kontekstem, szczególnie właśnie w okresach kryzysu jest to, że znajdujemy się w takim momencie, który przez Silvio Oscara Funtowicza i Jerome'a Raymonda Ravetz'a był określany jako postnormalna nauka, postnormalna rzeczywistość, gdzie tak naprawdę nie ma pewności, co do sytuacji, w której obecnie się znajdujemy, gdzie dostępność informacji jest ograniczona i nie możemy jej dobrze ocenić oraz zbadać. Jest czas na podejmowanie decyzji, dla ośrodka decyzyjnego, ale jest on bardzo krótki, przez co funkcjonuje on w permanentnym napięciu. I to jest bardzo ciekawy kontekst tej relacji pomiędzy polityką a nauką. Interesującym zjawiskiem z perspektywy kontekstu międzynarodowego jest również funkcjonowanie grup, czy wspólnot epistemicznych. W wielu bowiem strukturach regionalnych, na przykład, w strukturach współpracy regionalnej w regionie Morza Bałtyckiego, czy w Arktyce, stają się one aktorami samymi w sobie, zostają ekspertami, którzy doradzają międzyrządowym strukturom powołanym przez państwa i dzięki posiadaniu specjalistycznej wiedzy wchodzą w obrót międzynarodowy. I tu powstaje pytanie, czy ta wiedza jest rzeczywiście całkowicie neutralna oraz oparta tylko i wyłącznie na faktach, czy też może dochodzić do pewnego rodzaju upolitycznienia, czy wzięcia pod uwagę interesów innych podmiotów, chociażby biznesowych, które też mogą mieć wpływ, na przykład, na finalny kształt przeprowadzanych ekspertyz? Ja widzę tutaj dużo niezwykle interesujących wątków, które w tym miejscu sygnalizuję.

Debata pt. „Kryzysy migracyjne w Europie w XX i XXI w.”  
odbyła się 4 listopada roku.

## WSPÓŁCZESNE KRYZYSY MIGRACYJNE W EUROPIE

W dyskusji udział wzięli:

**prof. Marek Kornat** (Uniwersytet Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie, Instytut Historii Polskiej Akademii Nauk),  
**dr Marta Jaroszewicz** (Uniwersytet Warszawski)  
oraz **red. Michał Bruszewski** („Tygodnik Solidarność”).

Rozmowę poprowadził

**red. Maciej Wolny** (wPolsce.pl).



**Maciej Wolny:** Temat dzisiejszej dyskusji jest bardzo ciekawy i niezwykle interesujący, a także obszerny i złożony. Myślę, że ciekawe będzie porównanie kryzysów migracyjnych w XX wieku z tym, co dzieje się obecnie, ponieważ w zasadzie z każdej strony mamy dzisiaj wiele informacji na temat różnych rodzajów migracji. Często kwestia ta dotyczy naszego bezpieczeństwa. Temat debaty jest następujący: „Kryzysy migracyjne w Europie w XX i XXI wieku”. Jest to bardzo rozległe zagadnienie. Skupimy się na kilku blokach tematycznych, które określają cały obszar naszych dociekań tego dotyczących. Emigracja podczas I lub II wojny światowej i niezwykle istotny w tym polski aspekt; budowa państwa Izrael, zimna wojna i jej wpływ na ruchy emigracyjne na świecie, ze szczególnym uwzględnieniem Europy; współczesne konflikty zbrojne w kontekście migracji i polityka państw przyjmujących emigrantów w XX i XXI wieku – jak to było kiedyś, a jak jest dzisiaj? W tym miejscu wyróżnimy Stany Zjednoczone, Unię Europejską, Polskę i Białoruś, czy chociażby Turcję. Chcę zaznaczyć, że te wątki, również współczesne, i te dotyczące przeszłości, będą się w naszej debacie trochę ze sobą przeplatały. Będziemy w pewien sposób łączyć ze sobą przeszłość i terażniejszość. Chciałbym, abyśmy zaczęli bardzo ogólnie, aczkolwiek nakreślając przy tym temat migracji zarówno w ujęciu współczesnym, jak i w kontekście XX wieku.

Pierwsze pytanie dotyczy tego, które rejony świata są dzisiaj najbardziej obciążone różnorodną migracją, jeżeli możemy to tak ująć, od zarobkowej, legalnej lub nie, po uchodźczą, które kraje najczęściej wybierają emigranci?

**Dr Marta Jaroszewicz:** Będę prezentować perspektywę współczesną. Musimy być bardzo uważni, żeby uniknąć ahistorycznej oceny sytuacji, bo migracje są procesem społecznym, na który największy wpływ miał proces modernizacji i globalizacji. Moim zdaniem nie możemy, a jeżeli już, to bardzo mądrze, odnosić się do wydarzeń z XIX wieku czy okresu nowożytnego w aspekcie tego, co ma miejsce w okresie globalizacji. Globalizacja to przede wszystkim, dostępność nowoczesnych środków transportu, czyli zwiększona mobilność a także, przede wszystkim, turystyka. Warto też pamiętać, że migracje dotyczą procentu mobilności globalnej, aczkolwiek czymś innym jest podróżować kilka miesięcy statkiem, a zupełnie inną kwestią jest przemieszczanie się samolotem. To po pierwsze, a po drugie trzeba nadmienić o dostępności środków komunikacji. Proszę sobie przypomnieć, na przykład czytając wspomnienia dawnych migrantów, że ludzie decydujący się na wyjazd z kraju często nie mieli szans zobaczyć później rodziny ani z nią porozmawiać. Obecnie żyjemy w przestrzeni międzynarodowej. Na świecie, według szacunków Międzynarodowej Organizacji ds. Migracji, na świecie jest ok. 280 milionów migrantów. Większość z nich, wbrew pozorom nie wybiera kierunku południe – północ a południe – południe, w związku z czym najwięcej migracji odbywa się pomiędzy



krajami Azji Południowo-Wschodniej lub Ameryki Łacińskiej. Tylko niewielki procent migracji z południa skierowany jest do krajów zachodnich. Co jeszcze nowego pojawiło się po II wojnie światowej? O ile przez większość XIX wieku, aż do II wojny światowej, w świecie zachodnim, centrum migracji były Stany Zjednoczone, to po 1945 roku rolę tę przejęła Europa Zachodnia. Wraz z chwilą wstąpienia do Unii Europejskiej w procesie tym uczestniczy także Polska.

**Maciej Wolny:** Zadam teraz pytanie ogólne. Z jakich krajów najczęściej pochodzą emigranci, ludzie, z jednej strony, szukający lepszego bytu, ale także osoby, które uciekają przed konfliktami, ratując swoje życie i szukając pomocy? Jakie kraje możemy wskazać w tym kontekście?

**Michał Bruszewski:** Może warto też powiedzieć, z jakich krajów w przyszłości będą odbywały się migracje. Pamiętajmy bowiem o jednej kwestii – bardzo ważną sprawą jest to, że zauważamy w badaniach i statystykach, że do tego problemu będziemy wracać. Prawdopodobnie aktualny kryzys migracyjny nie jest ostatnim. Wielu ekspertów twierdzi, że te poważne są dopiero przed nami. Ja oczywiście nikogo nie chcę straszyć, ale spójrzmy na taką sytuację: otóż z danych Organizacji Narodów Zjednoczonych wynika, że do 2050 roku liczba mieszkańców Afryki ma się podwoić, do 2,5 miliarda. A jak dzisiaj wygląda kontynent afrykański? W Etopii toczy się wojna o Tigray, w Mozambiku dochodzi do ataków ISIS, Francuzi wycofują się z Mali a w Nigerii atakuje Boko Haram. Oprócz tego palące są problemy ekonomiczne etc. Oznacza to, że wraz z boomem demograficznym oraz brakiem zaspokojenia potrzeb tych ludzi i udzielenia im pomocy w miejscu ich życia, będą oni decydować się na pewien *exodus* i podróże, często bardzo ryzykowne. Niektórzy nazywają to „wędrówkami ludów”. Jeżeli mówimy o uchodźcach, emigrantach, co bardzo często jest to ze sobą mieszane, to należy pamiętać, że uchodźcy, w sensie *stricte* definicji prawa międzynarodowego pochodzą z państw, gdzie po pierwsze, trwają konflikty zbrojne albo prowadzi się prześladowania polityczne, czyli, na przykład, Afganistan, gdzie aktualnie władzę przejęli Talibowie i wprowadzają swój zamordyzm szariatu, Syria, w której pół miliona ludzi zginęło na wojnie, co jest absolutną hekatombą. Także sytuacja w Iraku, gdzie jeszcze, całkiem niedawno, toczono wojnę z tzw. Państwem Islamskim oraz w innych państwach, na terenie których rozgrywają się konflikty. Pamiętajmy jednak o tym, że znaleźliśmy się w swego rodzaju pułapce. Oficjalnie bowiem na świecie nie ma wojen, czyli sytuacji, w których jedno państwo wypowiada konflikt drugiemu. Natomiast mówimy o bardzo wielu konfliktach oraz o sytuacjach, gdzie dochodzi do starć zbrojnych, w których giną ludzie. I to jest pierwsza rzecz.

Druga kwestia to mieszanie uchodźców wojennych lub uchodźców wewnętrznych z emigracją ekonomiczną. Przez to, że my jakby nie wypowiadamy się dokładnie w tej sprawie, w sposób precyzyjny, obecnie bardzo często jest tak, a mogę to powiedzieć, bo często byłem w obozach dla uchodźców ONZ dla w Iraku (np. Jazydów), że skupiamy się na osobach, które płacą tysiąc dolarów, żeby dostać się na teren Białorusi, a przecież cały czas w północnym Iraku są ludzie tak biedni, że nie stać ich na taką podróż i bardzo często żyją w obozach dla uchodźców. I choć mówimy tutaj o uchodźcach, bardzo często mieszamy te kwestie. To samo dotyczyło na przykład losów chrześcijan, czy to w Afryce, czy na Bliskim Wschodzie, grupy najbardziej poszkodowanej i prześladowanej przez ISIS i wszelkich islamistów, zazwyczaj zbyt biednej, żeby gdziekolwiek wyjechać. Trzeba pamiętać, że w Libanie, którego populacja wynosi pięć milionów, żyje milion uchodźców. Bardzo często w Europie mówi się o pomocy uchodźcom



i ludziom potrzebującym, ale w jakim stanie jest obecnie Liban? Czy świat zachodni pomaga temu państwu? Na ten moment kraj ten przeżywa pewien kolaps rządowy, dochodzi do protestów ulicznych, był problem ze sformowaniem rządu. Tak naprawdę mówi się, że Liban jest na równi pochyłej. W związku z tym, rozprawiając o przeszłości i o terażniejszości, niestety musimy także pamiętać o przyszłości.

Oczywiście nie chcę tutaj pisać czarnych scenariuszy, ale w tym wstępie chciałem dodać, że spoglądając na analizy i statystyki jawi się to jako istotny problem. Przykładowo, weźmy pod uwagę badania ośrodka amerykańskiego Pew Research Center, który stworzył symulacje dotyczące różnych przebiegów rozwoju islamizacji Europy, w zależności od tego, jaki będzie *exodus* i migracja. W jednym z tych scenariuszy do 2050 roku, na przykład 30% populacji Szwecji zostało zakwalifikowane jako muzułmanie a między 17 a 20% w Niemczech, we Francji i w Wielkiej Brytanii. Widać tutaj więc duży problem, szczególnie w sytuacji, kiedy w Europie widoczny jest spadek urodzeń i inne problemy demograficzne. Migracja jest palącą kwestią i może się okazać, że świat bardzo się zmieni. Nawet nie mamy pojęcia, jak bardzo.

**Maciej Wolny:** Przedstawili państwo dosyć szeroki zarys tego, jak kryzys migracyjny wygląda w XXI wieku. Teraz chcę przejść do XX stulecia, które stanowi zdecydowanie bardziej obszerne zagadnienie. Zaczniemy od wybuchu I wojny światowej, podczas której Polski nie było na mapach świata, ale w zasadzie od samego początku tego konfliktu jej ziemie były jednym z głównych terenów działań militarnych. Sprowokowało to dużą falę emigracji przymusowych z terenów, które znajdowały się pod zaborami. Jakie były kierunki tych ruchów i jakie ich oblicze?

**Prof. Marek Kornat:** Chciałbym nawiązać do tego, co powiedzieli moi przedmówcy. Istotnie, jeżeli spojrzymy na realia międzywojennej Europy lub w ogóle świata, to w pierwszej połowie XX stulecia trudno sobie wyobrazić spontaniczne, masowe przemieszczenia ludności, bo one są możliwe jedynie w świecie, który się globalizuje. To jest bardzo ważne, a pamiętajmy, że w dobie międzywojennej mamy do czynienia raczej z systemem zamkniętych państw narodowych, a także imperiów, które istnieją i też oczywiście pilnują w sposób skrupulatny swoich granic. Mam na myśli chociażby kolonialne mocarstwa europejskie. Dzisiaj więc spotykamy się z zupełnie inną rzeczywistością i jakością w stosunku do czasów, o których chcę parę słów powiedzieć.

Kiedy cofniemy się do lat I wojny światowej bądź Wielkiej Wojny, bo i takie określenie, a może i nawet lepsze, funkcjonuje w obiegu międzynarodowym (używają go zwłaszcza Francuzi), Polska istotnie nie istnieje, zbliża się jednak do niepodległości próbując o nią walczyć. Polska jest produktem koniunktury geopolitycznej. Z całą pewnością mamy do czynienia na jej ziemiach z masowym przemieszczaniem ludzi. Zauważam, przede wszystkim to, co jest historikom dobrze znane, a mianowicie masową ewakuację prowadzoną przez państwo rosyjskie po roku 1915. Przypomnijmy, że 3 maja doszło do wielkiej ofensywy mocarstw centralnych na froncie wschodnim i zepchnięcia do defensywy Rosji, która rok wcześniej w czasie bitew



nad jeziorami mazurskimi utraciła kwiat swojej armii. W tych warunkach w Piotrogradzie (jak przemianowano Petersburg we wrześniu 1914 roku) zapadła decyzja o ewakuacji ludności z terenów zachodnich rubieży imperium, w głąb Rosji. Ten proces, jak szacują historycy, objął, plus minus, dwa do trzech milionów ludzi. Co prawda dane te są nieprecyzyjne, jednak gros tych osób stanowili Polacy, często będący urzędnikami rosyjskimi i tak dalej. Spowodowało to, że Rosja stała się bardzo dużym skupiskiem ludności polskiej podczas zmagających wojennych. Należałoby dodać, że najpierw ewakuowano ludność z terytorium dawnego Królestwa Kongresowego, które, jak wiadomo, istniało od czasu Kongresu Wiedeńskiego, jako związane wieczystą unią dynastyczną z Rosją, ale uległo scaleniu z Imperium Rosyjskim wskutek polityki rusyfikacyjnej po klęsce Powstania Styczniowego. Potem objęło to terytoria, które my, Polacy, nazywaliśmy ziemiami zabranymi, a więc wschodnie terytoria dawnej Rzeczypospolitej, inkorporowane do Rosji w rezultacie zaborów. Tam też ludność polska stanowiska takie, które należy określić jako wyższe, powiedzmy prestiżowe, na przykład inżynierowie na kolei. To jest ważny element kultywowania państwa. Tych ludzi, jeśli tylko się dało, ewakuowano wraz z rodzinami w głąb Rosji. To jest masowa migracja. Potem ci ludzie znaleźli się w bardzo ciężkiej sytuacji, kiedy, poczynając od lutego 1917 roku, Rosja wkroczyła w fazę olbrzymich perturbacji wewnętrznych. Dla ścisłości należy powiedzieć, że przynajmniej od połowy roku 1916 Imperium Rosyjskie weszło w stadium niezwykle głębokiego kryzysu, ale dopiero 1917 rok przyniósł rewolucję – najpierw lutową, potem okres półrocznej dwuwładzy i chaosu wewnętrznego a w końcu przewrót bolszewicki w stolicy państwa. W związku z tym ludzie ci udając się w głąb Rosji niespodziewanie dla siebie ludzie znaleźli się w katastrofalnej sytuacji. Optymistycznie można powiedzieć, że było wśród tych Polaków duże poczucie więzi społecznych, rozwinął się ruch samopomocy społecznej, wspierający tych, którzy znaleźli się w ciężkim położeniu. To jest bardzo ciekawa karta historii, która pomimo wiedzy historyków o tych faktach dopiero teraz jest badana źródłowo. Dodałbym jeszcze, że Niemcy, drugie nasze ościenne mocarstwo zaborcze, również nie były dalekie od planu przesiedlania, ale to im w znacznej mierze nie wyszło, z takich, a nie innych powikłań wojennych.

Chciałbym w tym miejscu wspomnieć o dwóch kwestiach. Po pierwsze, przed I wojną światową w snuty przez Berlin planach przyszłej wojny pojawił się pomysł, aby wykorzystać nadchodzącą wojnę z Rosją, która zbliżała się wielkimi krokami, przynajmniej na kilkanaście lat przed kryzysem lipcowym 1914 roku zapoczątkowanym przez strzały w Sarajewie. Mianowicie zastanawiano się jak wykorzystać sytuację, którą wytworzy wojna niemiecko-rosyjska, aby doprowadzić do *exodusu* Polaków. Mówiąc krótko i najprościej, do tego, żeby wraz z przemieszczaniem frontu uciekli oni z tych terytoriów, które należały przed 1914 rokiem do Rzeszy Niemieckiej. Mówiąc dzisiejszym językiem, miałyby wtedy miejsce czystka etniczna, nie doszło jednak do tego na większą skalę.

Druga sprawa to fakt, iż Niemcy mieli plan, który był rozważany w Wielkim Sztabie Generalnym, zakładający oderwanie od Polski tak zwanego pasa granicznego na terenie Królestwa Kongresowego. Byłby to teren szerokości około pięćdziesięciu kilometrów, z którego przy granicy Rzeszy Niemieckiej z Rosją masowo wysiedlanoby Polaków. Do realizacji tego założenia nie doszło, bo Niemcy przegrały z Rosją, a w 1914 roku musiały porzucić koncepcję negatywnej polityki polskiej („*negative polisch politik*”), i przejść do budowy państwka polskiego w systemie niemieckim Mitteleuropy. Nie wspominałem jeszcze o tym, co jest najstraszniejsze, to znaczy przesiedlania Ormian, które wywołało ludobójstwo.



**Maciej Wolny:** Ja chcę tutaj jeszcze dopytać o kwestię dotyczącą okresu międzywojnia. Warto wspomnieć, że lata 1914–1920 skutkowały zniszczeniem w zasadzie 30% majątku narodowego na ziemiach polskich. Z drugiej strony w wyniku I wojny światowej możliwe stało się odtworzenie państwa polskiego. Polacy z różnych stron świata chcieli wracać do swojej ojczyzny, uczestniczyć w trudnym procesie odbudowy państwa. Na jaki okres przypada największe nasilenie powrotu ludności cywilnej, żołnierzy i jeńców wojennych do Rzeczypospolitej?

**Prof. Marek Kornat:** Oczywiście przypada to na okres 1918–1922. Pokój ryski z 18 marca 1921 roku z Sowietami dał możliwość repatriacji, w związku z czym na masową skalę Polacy wracali z Rosji. Szczerze mówiąc, w tym raj na ziemi, który stworzył Włodzimierz Lenin, nie mieli oni czego szukać, dla nich było to niezwykle zrzędzeniem losu i to był plon i owoc naszego zwycięstwa pod Warszawą, zakończony kompromisowym wszakże pokojem. Dodajmy przy tym, na marginesie, że zwycięstwo było jednoznaczne, a pokój był kompromisowy.

**Maciej Wolny:** W tym roku mija dziesięć lat od rozpoczęcia wyniszczającej wojny domowej w Syrii. W tym miejscu wracamy do czasów współczesnych, ale mówiliśmy przed momentem o powracających Polakach. Mówiąc jednak o Syrii, kiedy na fali protestów w ramach arabskiej wiosny ludów wszczęto antyrządowe powstanie, w tle politycznych rozgrywek wielkich mocarstw Syria w 2021 roku nadal jest daleka od zaprowadzenia jakiegokolwiek stabilności. W nawiązaniu do repatriacji, chcę zapytać, czy młode pokolenie Syryjczyków wychowanych za granicą, na uchodźstwie, będzie chciało wrócić do swojej ojczyzny po zakończeniu wojny domowej, co stanie się wcześniej czy później?

**Dr Marta Jaroszewicz:** Chciałabym, abyśmy pomyśleli nieco bardziej współcześnie, to znaczy, jakie teorie migracji przynoszą teraz pojęcia poza globalizacją, tą nowoczesnością, przejściem demograficznym? Jest teraz takie pojęcie, transnacionalizm, transnarodowość. Polega to na tym, że ludzie żyją jednocześnie w kilku krajach. Epidemia COVID-19 powoduje, że jesteśmy coraz bardziej obecni w przestrzeni multimedialnej niż fizycznej. Chcę powiedzieć, że już teraz coraz więcej emigrantów wybiera życie w kilku miejscach naraz, szczególnie jeśli chodzi o młodych ludzi.

Przechodząc do tematu bardziej nam bliskiego, oczekiwaliśmy większej liczby powrotów Polaków z Wielkiej Brytanii, a tak się nie stało, między innymi ze względu na możliwości, jakie dają nam nowoczesne technologie w zakresie komunikacji. Teraz można mieszkać za kanałem La Manche i mieć przez cały czas nie tylko relacje z Polską ale nawet funkcjonować w jej przestrzeni społecznej i politycznej. Powoduje to, że młodzi ludzie raczej rzadko wracają do kraju. To o czym teraz mówimy, tak globalnie również, ale bardziej w kontekście zachodu, to powroty osób starszych, którzy wracają na emeryturę. Jest to zauważalne w Europie Zachodniej i Południowej. Jeśli spojrzymy na Stary Kontynent po 1945 roku to możemy doliczyć się iluś tam fal emigracji. Pamiętajmy, że pierwsza fala emigracji do Niemiec, Francji, Belgii była



skierowana z Europy Południowej, z Włoch, z Portugalii i Hiszpanii. Rzeczywiście, obserwuje się dzisiaj powroty do tych krajów, jakby na emeryturę. W Polsce jest jeszcze zbyt wcześnie, żeby o tym mówić, ale wydaje się, że taki proces również może nastąpić. Tym niemniej teoria emigracji pokazuje, że powroty młodych ludzi są rzadkością. Oczywiście tych teorii jest wiele, badacze starają się je sprawdzać, jednak życie przynosi ciągle nowe czynniki, przez co nie ma jednej teorii emigracji, tylko większa liczba koncepcji teoretycznych, które na siebie zachodzą. Jedna z nich mówi o pewnym okresie, zakładając że ruchy te zmieniają się w zależności od momentu dziejowego. Powiedzmy, że jeżeli migrant przekroczy pewien czas przebywania w kraju, do którego przyjechał, to raczej już nie wróci. Kiedyś mówiło się o pięciu latach, że po tym okresie, w cyklu jakby życiowym tego człowieka, jeśli on zostaje, to pewnie wróci do swojej ojczyzny dopiero na emeryturę, kiedy skończy pracę w tym nowym kraju. Teraz badania wskazują na skrócenie tego czasu, na przykład do dwóch lat. Jeżeli chodzi o obywateli Ukrainy w Polsce, Ośrodek Badań nad Migracjami prowadzi badania na temat ich skłonności do osiedlania się w Polsce, które wskazują, że są pewne zmiany, na razie jeszcze bardzo delikatne, jakby zniuansowane, i nie można jeszcze wysnuć jednoznacznych wniosków na ten temat. Niemniej widać już, że okres stałego pobytu obywateli Ukrainy w Polsce się wydłuża. I rzeczywiście, w zależności jak długo dana osoba przebywa nad Wisłą, na pytanie o plany migracyjne, odpowiada zazwyczaj, że zostanie w Polsce. To wszystko, jeśli mówimy o pokojowych czasach, modele te dotyczą bowiem, przede wszystkim, migracji ekonomicznej.

W przypadku migracji kryzysowej natomiast jest tak, że na przykład w sytuacji odbudowy państwa, jeśli diaspora jest silnie związana ze swoim krajem pochodzenia (możemy na przykład mówić tu o Armenii, dosyć dobrze zbadanej, o Palestynie, o Izraelu, o Irlandii, myślę, że o Polsce również, o krajach bałtyckich), to w takich momentach przełomu, jak u nas na przykład 1989–1991 rok, istnieje tendencja do powrotu, szczególnie wśród najbardziej zaangażowanych osób przykładowo w celu udziału w nowych i już niepodległych rządach, po jakiejś zmianie reżimu politycznego. Ważnym aspektem jest też pojawienie się dzieci. Ludzie będąc na obczyźnie albo i już nie, często uważają kraj zamieszkania za swój, wychowują tam potomstwo. W takich sytuacjach raczej jest mało prawdopodobne, że wrócą oni do ojczyzny, a jeśli nawet tak się stanie, to jak wcześniej powiedziałam, to dopiero na emeryturę.

**Maciej Wolny:** Tutaj chcę jeszcze wrócić do Syrii. O jakiej skali emigracji możemy mówić w kontekście syryjskim na przestrzeni dziesięciu lat wojny domowej?

**Michał Bruszewski:** Wrócę tutaj do mojej pierwszej wypowiedzi, że bardzo często zapominamy o uchodźstwie wewnętrznym, które jest nieco na marginesie prawa międzynarodowego. Bo jeżeli jesteśmy przy Syrii, to trzeba mieć na względzie, że faktycznie minęła już dekada od wybuchu arabskiej wiosny. Ja akurat jestem tym publicystą, który jest krytyczny wobec tych wydarzeń i zaraz powiem dlaczego. Mówiąc jeszcze chwilę o syryjskich uchodźcach, zauważmy, że ich liczba dochodzi do pięciu milionów, ale mamy też siedem milionów uchodźców wewnętrznych i to dopiero pokazuje skalę zjawiska. Rozprawiając o uchodźstwie, w przypadku *stricte* definicji uchodźstwa wojennego, bardzo często zapominamy, że dużo większe jest właściwie uchodźstwo wewnętrzne. Musimy zauważyć, że na przykład w Iraku, kiedy atakowało ISIS, ludzie musieli uciekać ze swych domów i ratować życie, bo za chwilę dżihadysty by po prostu do nich wtargnęli. Brali oni to, co było pod ręką i ruszali do



pierwszego bezpiecznego miejsca, na przykład do Irbilu w północnym Iraku, gdzie się zatrzymywali, w zasadzie na gołej ziemi i nie wiedzieli co dalej ze sobą począć. Wtedy pojawiały się organizacje humanitarne, między innymi polskie, katolickie, które tym ludziom pomagały. Osób tych w większości w ogóle nie było stać, żeby przekroczyć granicę irackiego Kurdystanu, żeby na przykład uciec do Turcji. Mówimy o uchodźcach w Turcji, ale pamiętajmy też o tych, którzy nie mogli się w ogóle dostać do tego kraju, bo byli zbyt biedni.

Pani doktor w swojej wypowiedzi powiedziała o migracji europejskiej z Polski. Ja bym tutaj zaakcentował jedną rzecz, która moim zdaniem jest bardzo ważna. Musimy pamiętać o pewnych różnicach kulturowych, oczywiście one kiedyś występowały na Starym Kontynencie, ale Europa jakby zapomniała o tych swoich korzeniach, a są to więzy krwi. Na Bliskim Wschodzie i w Afryce Północnej odgrywają one bardzo ważną rolę, więc ważna jest rodzina. Jeżeli ktoś emigruje lub ucieka do jakiegoś państwa, to jest wielce prawdopodobne, że będzie chciał tam ściągnąć swoją rodzinę lub ją wspomagać, a w tej sytuacji bardzo często dotyczy to rodzin wielopokoleniowych.

Dlaczego ja jestem wobec wiosny arabskiej krytyczny? Zauważmy jak po tych dziesięciu latach wygląda Bliski Wschód i Afryka północna. Pomimo, że ludzie szli do walk z hasłami demokracji, to większość z państw ogarniętych tym ruchem, demokratycznymi się nie stała. Niedawno rozwiązano parlament w Tunezji, która była pokazywana jako jeden z nielicznych krajów mogących wskazywać, że wiosna arabska wygrała. W Libii w zasadzie cały czas trwa wojna domowa i przez państwo to przebiegają mafijne szlaki przerzutowe ludzi do Europy. Sytuacja, w której kraj jest pogrążony w konflikcie, nie ma władzy, administracja nie kontroluje terytorium, jest idealna dla organizacji przestępczych handlujących ludźmi oraz grup terrorystycznych. Kolejna sprawa to Egipt, gdzie też doszło do zmian. Ostatecznie okazało się, że były one potrzebne, żeby rządzić państwem, doszło jednak do kolejnego zamachu wojskowego. Inny pucz wybuchł w Sudanie. W Syrii, poszczególne ugrupowania szły do arabskiej wiosny z hasłem obalenia Bashara al-Assada, a on dalej rządzi krajem, aczkolwiek mniejszym, bo okrojonym, na przykład o północnej Syrii, gdzie do tej pory nie wyjaśniono sprawy prowincji Idlib. Całkiem niedawno miały miejsce walki w syryjskim Kurdystanie, gdzie Turcja przejęła konkretne terytorium, a więc cały czas można mówić o sytuacji zagrożenia. Tym samym kolejne te państwa za sprawą destabilizacji przyniesionej przez arabską wiosnę, niestety stały się obecnie bardzo łatwym punktem dla działania różnych grup przestępczych, które przeczują emigrantów.

Moim zdaniem kluczowe są dwie kwestie. Pierwsza z nich to pomoc ekonomiczna. Ja to już mówię w zasadzie od ponad pięciu lat – pamiętamy – jak ten kryzys migracyjny wyglądał na samym początku, jaka była percepcja elity europejskiej na migrantów. Mówiono, że wszystkich należy przyjąć i te społeczeństwa, które zadawały pytania, były traktowane jako pozbawione serca, przy czym w żaden sposób nie rozwiązywało to przyczyn tej migracji. Jej przyczyny są w zasadzie dość łatwe do sklasyfikowania. Mam wrażenie, że podejście do otwierania granic się zmieniło. Otóż przed elitami europejskimi, stoi tak naprawdę bezalternatywny scenariusz: albo państwa bogate wyasygnują środki finansowe, stworzą jakiś nowy plan Marshalla dla takich krajów, jak na przykład Irak, czy też dla państw w Afryce, który spowoduje, że mieszkającym w nich ludziom będzie się żyło godnie, albo kolejne pokolenia po prostu nie będą widziały dla siebie perspektyw w swoich ojczyznach i będą chciały stamtąd migrować.



Zauważę również w tym miejscu, że Kościół katolicki to właśnie robi prowadząc misje w Afryce, budując szkoły, szpitale i tak dalej. Elity europejskie zdają się tego nie widzieć i zamiast wspomóc to dzieło zwalczają Kościół. Potem jest wielkie zdziwienie, że ludzie chcą stamtąd uciekać. Czego te osoby potrzebują? No właśnie pewnego bezpieczeństwa, stabilizacji, pracy, edukacji bo możliwość zdobycia wykształcenia też jest bardzo ważna. To jest ten drugi czynnik, żeby ludzie nie dali się nabierać na oszustwa. Powinno się przeprowadzić w tym celu ogromną kampanię informacyjną.

**Maciej Wolny:** Myślę, że jeszcze nawiążemy do wiosny arabskiej. Tymczasem chcę wrócić do XX wieku. Pan profesor zobrazował nam, jak wyglądała sytuacja podczas I wojny światowej oraz dwudziestolecia międzywojennego. Wybuch II wojna światowej ponownie zatrzęsł społeczeństwami Europy, przede wszystkim Polski i spowodował masowe przemieszczenia ludności między państwami. Gdzie Polacy szukali ratunku, jakie były kierunki i skala ich ucieczek przed niemieckim, a później rosyjskim okupantem?

**Prof. Marek Kornat:** Zanim odpowiem na pytanie, chciałbym powiedzieć parę słów o okresie międzywojennym. To chyba jest potrzebne. Wcześniej jednakże, chciałbym się również odnieść do tego, co mówił pan redaktor. W całej rozciągłości zgadzam z moim przedmówcą. Nasuwa mi się na myśl tylko jedna wątpliwość. Plan Marshalla ma sens wtedy, gdy jest rząd. Natomiast przekazanie pieniędzy przestępcom, to rozwiązanie, które doprowadzi do pogorszenia sytuacji. Jeżeli w Libii istnieje kilka ośrodków uznających się za rząd, a przynajmniej tak pisały media, to możliwa jest tam jedynie ponadpaństwowa akcja humanitarna.

Wracając do pytania. W okresie międzywojennym, zanim rozpoczął się najstraszniejszy z dotychczasowych konfliktów, czyli II wojna światowa, Europa i świat zanotowały określone doświadczenia w zakresie masowego przesiedlania ludzi. Należałoby wspomnieć w tym miejscu, o tym, że wojna grecko-turecka w latach 1921-1922 zakończyła się pokojem w Lozannie. Oprócz swojej traktatowej formy miał on jeszcze dodatkową konwencję, która przewidywała przesiedlenia ludności na masową skalę, pierwsze w historii zadekretowane umową między państwami. Półtora miliona Greków z Azji Mniejszej zostało wysiedlonych do Grecji. Oni tam nie mogli zostać, ponieważ w otoczeniu muzułmańskim i warunkach zaostrzenia antagonizmu, wcześniej lub później zostaliby poddani eksterminacji. Obawiano się tego, w związku z czym tych ludzi trzeba było ewakuować do Grecji, stamtąd zaś trzeba było przenieść pół miliona Turków. Oto doświadczenie konwencji lozańskiej.

Chciałbym wspomnieć na marginesie, że Związek Sowiecki, rządony przez Stalina, w latach międzywojennych był olbrzymim laboratorium zbrodniczej eksterminacji. Tak było. Przesiedlanie ludzi na masową skalę dotyczy wielu narodowości: Polaków, Niemców, a nawet Koreańczyków, czy Irańczyków zamieszkujących irańskie pogranicze. Finów z Karelii również to dotknęło. To są ćwiczone na masową skalę ćwiczone przesiedlenia w rozumieniu eksterminacyjnym. Jeśli chodzi o okres II wojny światowej, to biorąc pod uwagę Polskę, jako centrum naszej uwagi (Polska nie jest jedynym miejscem, gdzie ludzie doświadczają takich rzeczy), to należy mówić o dwóch sprawach. Pominę przemieszczenia osób narodowości niemieckiej, wysiedlania na masową skalę na mocy uchwał konferencji poczdamskiej. Jeżeli chodzi o Polaków, to przede wszystkim na mocy paktu Ribbentrop-Mołotow doszło do podziału



Rzeczpospolitej pomiędzy dwa mocarstwa totalitarne – Rzeszę Niemiecką i Związek Sowiecki. Państwa te przeprowadzają wielkie przesiedlenia ludności na masową skalę. Niemcy z terytoriów inkorporowanych do Rzeszy, dekretem Adolfa Hitlera z października 1939 roku, wysiedlają Polaków, na przykład do Generalnego Gubernatorstwa, traktowanego jako tymczasowy rezerwuwar ludności polskiej, która w przyszłości, po zakończeniu wojny, również miała być poddana działaniom eksterminacyjnym. Historycy są zgodni co do tego, że z Wielkopolski wysiedlono ponad trzysta tysięcy ludzi. Pewnie, że były potem jeszcze większe liczby. Z kolei jeśli chodzi o terytoria wschodnie, to do dzisiaj nie ma jednoznacznej opinii, jaka była skala tego zjawiska. Z terytoriów zagarniętych przez Związek Sowiecki na mocy drugiego paktu Ribbentrop-Mołotow, tego z 28 września 1939 roku, który nosił nazwę traktatu o granicach i przyjaźni. Z tego terytorium w latach 1940–1941, w trzech falach deportacyjnych wysiedlono... pytanie: ile? Rosyjscy historycy stawiają tutaj liczbę trzysta pięćdziesiąt tysięcy, bliższe jednak wydaje się pięćset tysięcy. Kiedyś mówiono nawet o jednym milionie, a nawet półtora miliona. Sądzę, że to jest akurat przesadzone. To są na masową skalę przeprowadzane deportacje w głąb Związku Sowieckiego, na Daleki Wschód. Działania te niewątpliwie miały doprowadzić do depolonizacji terytoriów wschodnich Rzeczypospolitej, zdobytych po 17 września 1939 roku. To są te najważniejsze zagadnienia. Z powodu czasu pomijam kwestię żydowską, która była jeszcze bardziej skomplikowanym zagadnieniem.

Nie da się ukryć, że w okresie międzywojennym Niemcy poważnie rozważali pomysł masowej deportacji ludności żydowskiej na przykład do Afryki. Potem rząd III Rzeszy postanowił przystąpić do jej eksterminacji. To są znane fakty. Gdy skończyła się II wojna światowa nastąpił wielki proces przesiedlania osób narodowości polskiej z terytoriów wschodnich, które zagarnął Związek Sowiecki. Uzyskał on na to sankcje mocarstw zachodnich, podczas konferencji w Jałcie, uchwałą i przyjęciu linii Curzona jako granicy wschodniej Rzeczypospolitej. Te przesiedlenia objęły przynajmniej dwa miliony ludzi. W Związku Sowieckim pozostało jeszcze sporo osób narodowości polskiej. Dotrwali oni tam jakoś do 1946 roku., kiedy nastąpiły dalsze przesiedlenia. Nie wszyscy rzecz jasna. Ostatnia fala to, jak się przyjmuje, około pięćdziesięciu tysięcy Polaków, którzy wracają po 1956 roku. Władysław Gomułka wynegocjował w tej sprawie układ z Nikitą Chruszczowem. Te dwa miliony Polaków z terytoriów wschodnich zostało przesiedlone na tak zwane Ziemie Odzyskane, które Polska otrzymała w wyniku postanowienia rozgraniczenia z Niemcami, na linii Odry i Nysy Łużyckiej. Nie sposób nie wspomnieć o tym, co dzisiaj jest w centrum uwagi, na przykład Niemców. Mam na myśli uchwałę konferencji poczdamskiej z 2 sierpnia 1945 roku. Chodzi o masowe wysiedlenie ludności niemieckiej z terytoriów przekazanych pod administrację polską. Z Sudetów i z Węgier. Polska nie była jednak stroną tego paktu, była to bowiem arbitralna decyzja trzech mocarstw sojuszników

**Maciej Wolny:** Wracamy do XXI wieku, do czasów współczesnych a dokładniej do 2014 roku i do kwestii, którą poruszyła już pani doktor Jaroszewicz. Wspominała pani o Ukrainie i o tym, jak wygląda sytuacja migracyjna Ukrainy. Możemy powiedzieć, że do 2014 roku trend migracji zarobkowej Ukraińców nieznacznie, ale stabilnie się zmniejszał. Tymczasem w 2014 roku nastąpiła diametralna zmiana. Doszło do aneksji Krymu i wojny w Donbasie. Jak zmieniła się dynamika i charakter migracji na Ukrainie, w następstwie tych wydarzeń?



**Dr Marta Jaroszewicz:** Jeśli można, chciałabym coś dodać do wypowiedzi obu panów, *à propos* uchodźstwa wewnętrznego. Również w dużym stopniu, o tym będziemy mówili, w przypadku Ukrainy. To nie jest regulowane przez prawo międzynarodowe i to jest wina państw, które tego nie chcą. To nie jest tak, że organizacje międzynarodowe nie próbowały. Są tylko *guiding principles*, czyli takie wiodące zalecenia, dotyczące tego, jak należy traktować uchodźców wewnętrznych. Natomiast państwa nie chcą dalszych regulacji, które by je ograniczały, jeśli chodzi o te przemieszczenia wewnętrzne.

Druga rzecz. Okres historyczny pierwszej, drugiej wojny światowej, międzywojnie. Najczęściej tutaj mówi się o przymusowych przesiedleniach ludności, czyli o czynniku geopolitycznym, etnicznym. To nie są przesiedlenia ekonomiczne, to są przesiedlenia, które następują tylko dlatego, że ktoś należał do jakiegoś narodu, nie powinien, i tak dalej. To nas różni od Europy Zachodniej, w dużym stopniu. Ta geopolityczna historia, zupełnie inne doświadczenie migracyjne. Warto też pamiętać, że do końca II wojny światowej Polska była krajem wielonarodowym. Poza kwestią mniejszości żydowskiej, eksterminacji, Holokaustu, warto wspomnieć o roli, jaką odgrywała Ukraina w II Rzeczypospolitej i trudnych relacjach między Polakami i Ukraińcami, które się tragicznie zakończyły. Również trzeba pamiętać o tym, że białoruska tożsamość narodowa rodziła się inaczej, w trudnych warunkach. Białorusini w II Rzeczypospolitej walczyli o swoje prawa. Wbrew pozorom, to, co Polska może wnieść do globalnej nauki, historii, myślenia, to pokazanie politycznych uwarunkowań migracji. Nie tylko ekonomicznych. Problem polega na tym, że teoria migracji głównie powstawała w Europie Zachodniej. Koncentruje się ona na migracji zarobkowej. Zaczyna się w 1945 roku w Niemczech albo we Francji od historii *gastarbeiterów*, migrantów, którzy przyjeżdżali do pracy budować dobrobyt tych krajów. Większość pojęć i około siedemdziesięciu procent literatury migracyjnej dotyczy migracji zarobkowej. Tą kalką operujemy również mówiąc o migracji ukraińskiej. Gdyby nie wybuch wojny w Donbasie i aneksja Krymu przez Rosję, to trajektoria migracyjna wyglądałaby zupełnie inaczej. Od 2007, 2008 roku Polska wprowadziła bardziej liberalną politykę wobec obywateli Ukrainy, jeśli chodzi o migrację czasową, opartą na oświadczeniu pracodawcy o zamiarze zatrudnienia cudzoziemca. Trudno się to tłumaczy naszym zachodnim kolegom i koleżankom. Jednym słowem, Polska otwiera się za namową rolników, którzy nie mają już rąk do pracy przy zbiorach.

Podsumowując, Polska otwiera się na czasowych migrantów z Ukrainy, tworzy nowe instrumenty pracy czasowej, którą można wykonywać bez pozwolenia. To rośnie do 2013 roku i dotyczy mniej więcej trzystu tysięcy osób rocznie. Jeżeli porównać 2012 i 2013 rok, widać jednak, że dużej dynamiki wzrostu nie ma. Dalej to już by nie postępowało. Należy pamiętać, że Ukraina również jest w bardzo złej sytuacji demograficznej, gorszej niż Polska. Do migracji prowadziła wojna w Donbasie i utrata trzydziestu procent potencjału gospodarczego, niemniej to jednak nie jest tak, że migranci ukraińscy pochodzą głównie ze wschodniej Ukrainy albo z terenów okupowanych. To kwestia ogólnego kryzysu gospodarczego i obawy o przyszłość.

Kiedyś, na przykład w XIX wieku, państwa mogły mieć większy wpływ na to kogo gdzie wysłać. Obecnie są to natomiast indywidualne decyzje migrantów. Trzeba brać pod uwagę, że człowiek planuje swoje życie. Może założyć, że chce wyjechać, o czym szeroko traktuje literatura przedmiotu. Wspomina się w niej o tym, jak państwa nie doceniają indywidualnych determinacji migrantów, którzy są gotowi zaryzykować życie dla swojego planu wyjazdu do innego kraju. Jeżeli chodzi o Ukrainę, to wówczas właśnie coś takiego się stało, że kolejny rok z rzędu rosła migracja. Mówi się w tym kontekście o niepewności przyszłości. Ukraińcy mówili o tym, że nie są pewni, w jakim kraju będą żyły ich dzieci albo nie wiedzą, czy wojna nie



rozprzestrzeni się dalej. To jest niespotykane na skale światową. W 2019 i 2020 roku odnotowaliśmy największy przyrost migracji czasowej na świecie, co może konkurować ze Stanami Zjednoczonymi i migracją czasową z Meksyku. Mówimy w tym miejscu o dwóch milionach Ukraińców, mieszkających i pracujących w Polsce. Zwykle podkreśla się, że są to emigranci zarobkowi. I faktycznie, oni są zarobkowi w sensie dokumentów, bowiem nie posiadając potwierdzenia podjęcia pracy nie mogliby wjechać do Polski. Wykorzystują mechanizm emigracji czasowej, bo ten jest dostępny i stosunkowo prosty. Natomiast to nie znaczy, że nie mają skomplikowanych motywacji imigracyjnych. To nie znaczy, że wojna nie odcisnęła na nich piętna, które było duże, ale to jest o wiele trudniej udowodnić. Aparat pojęciowy niekoniecznie jest w stanie to wszystko objąć. Uważam, że dla Polski sytuacja ta jest pozytywna w sensie demograficznym i zapotrzebowania na siłę roboczą. Jednakże dla Ukrainy jest to jakby podwójna tragedia. O tym też powinniśmy pamiętać projektując politykę wschodnią. Z jednej strony wojna i ciągły brak stabilności przyszłości, a z drugiej kryzys gospodarczy i utrata dwóch milionów ludzi w wieku rozrodczym oraz zasobów pracy.

**Maciej Wolny:** Pozostajemy w XXI wieku, ale przenieśmy się w inny rejon świata. Tragedię ludzką oglądaliśmy również w kontekście Kabulu, który został zajęty przez Talibów 15 sierpnia 2021 r. Finalizowała się wówczas, trwająca od maja, kampania przejmowania całego Afganistanu, związana z wycofywaniem się stamtąd sił Stanów Zjednoczonych. Amerykanie tam mieszkali przez dwadzieścia lat wojny. Jak tę wojnę można oceniać? Przypomnijmy, że konflikt w Afganistanie był reakcją na zamachy z 11 września 2001 roku. Jak pokazuje teraźniejszość, w ciągu dwudziestu lat nic nie wygrano. Jak na przestrzeni tych dwóch dekad wojny w Afganistanie kształtowała się sytuacja migracyjna w tym regionie?

**Michał Bruszewski:** Jeżeli chodzi o słowa pani profesor odnośnie Ukrainy. Zgadza się z tą oceną. Wojna o Donbas jest pewnym instrumentem polityki rosyjskiej, która wiąże ukraińską państwowość. Ja zawsze porównuję to do tego, jak Paweł Jasienica pisał o okresie rozbiórów Rzeczypospolitej. Porównywał on to do osoby, która jest w ruchomych piaskach. Jeżeli się szarpie to się zapada, a jeżeli przestaje się ruszać to również się zapada, tylko trochę wolniej. To jest taki instrument, który powoduje że to państwowość ukraińska musi wydawać pieniądze na front w Donbasie i angażować te siły. Tamtejsze społeczeństwo jest zmęczone wojną. W państwie, gdzie jest konieczny szereg reform i zmian, Donbas przez cały czas wiąże ręce Kijowa. Rozmawiałem z księdzem, który pełni posługę na Ukrainie. Opowiedział mi on o tym, jak spotkał się z ukraińską młodzieżą, z różnych roczników. Zapytał ich: kto z was wiąże swoją przyszłość z państwem ukraińskim i zostanie na miejscu? Na palcach jednej ręki można było policzyć osoby, które podniosły dłoń. Młodzież ukraińska planuje wyjechać. Oczywiście, to mogą być osoby z zachodniej Ukrainy. Pośrednim skutkiem tego jest, że oni nie czują się bezpiecznie w swoim państwie przez wojnę, o której się mówi, i w której cieniu toczy się życie. Ludzie, którzy mieszkają przy linii frontu, mają bardzo ciężką sytuację. Widziałem to na własne oczy pod Donieckiem. Natomiast, w ogóle, mieszkańcy Ukrainy, a zwłaszcza młodzi ludzie, nie wiążą swojej przyszłości z ojczyzną, w której żyją. W związku z tym wyjeżdżają. To jest pośredni skutek wojny. W pewnym sensie to są też ofiary tego konfliktu.



Natomiast jeśli chodzi o sam Afganistan, to jest klasyczny przykład, który możemy rozważać odnośnie wspomnianego przeze mnie nowego planu Marshalla. Nie zawsze można pomagać za pośrednictwem rządu. Obecnie w Afganistanie rządzą Talibowie. Nie mówimy już o Islamskiej Republice Afganistanu – tej proamerykańskiej, którą wspieraliśmy. Mówimy o Islamskim Emiracie Afganistanu. Talibowie wprowadzają swój zamordyzm. Bardzo trudno sobie wyobrazić, żeby jakkolwiek humanitarna pomoc, czy wsparcie, szło przez ręce oddziałów, które jeszcze niedawno zajmowały się atakami terrorystycznymi na ludność cywilną. W Afganistanie cały czas żyje tysiące rodzin, które straciły bliskich po atakach Talibów. To jest jeden przykład. Rząd Talibów będzie prawdopodobnie izolowany na arenie międzynarodowej. Zupełnie innym przykładem jest Irak i rząd w Bagdadzie albo rząd kurdyjski w Irbilu. To są przykłady elit politycznych, z którymi można się dogadać i je wspomagać. Polska ma z nimi dobre relacje, ponieważ w stolicy Iraku oraz w Irbilu doskonale pamiętają to, że w momencie walki z ISIS Warszawa udzieliła pomocy. Te relacje są dobre. Jeżeli pomagać, to roztropnie. Zgadza się z panem profesorem, że jeżeli nie ma takiego partnera, to wtedy mogą stać się nim organizacje humanitarne. Właśnie dlatego mówiłem o Kościele katolickim. Tak to wygląda. Jeśli chodzi o Afganistan, istnieje pewien paradoks, dlatego, że mówimy o długoletniej wojnie, która trwała na terenie tego kraju, ale również o pewnym „boomie” demograficznym. Afgańczycy są bardzo młodym społeczeństwem. Trzeba pamiętać, że po przejęciu władzy przez Talibów gospodarka Afganistanu będzie wyglądała jeszcze gorzej niż do tej pory. Wielu ekspertów zaocznie uwierzyło, że to nie jest ten Taliban 1.0. Zrobili jedną, drugą konferencję prasową, podczas których powiedzieli, że dziewczynki będą mogły się uczyć oraz że chcą, aby Afgańczycy zostawali w kraju. Teraz widać, że pomimo tego kobietom zakazano wychodzić z domu a studia i szkoły ograniczono. Ponadto atakowana jest ludność hazarska i szyicka.

Trzeba również zauważyć, że na Bliskim Wschodzie możemy mówić o mozaice etniczno-religijnej. Pan profesor mówił o historii, o migracjach. To jest też w pewnym sensie historyczne dziedzictwo Afryki, czasów kolonialnych, po których poszczególne państwa wybijały się na niepodległość. Czy możemy mówić o jednym organizmie państwowym, bo wyrysowano mu odgórnie granice? W jednym organizmie państwowym mogą istnieć różne etnosy, grupy, które walczą ze sobą od pokoleń. Przykładem tego jest chociażby podział Bliskiego Wschodu w umowie Sykes-Picot. W zasadzie przez pozostałości tej historii, gdzie mocarstwa kolonialne spotykały się nad mapą i kreśliły przez dany region takie linie, aby surowce i strefy wpływów były po tej stronie, po której oni chcą. Świat do dzisiaj bardzo słono za to płaci.

Natomiast ta przyszłość, w kwestii Afganistanu, już teraz, pod kątem kryzysu imigracyjnego wygląda źle i mówi się przy tym o uchodźcach. Afganistan, tak jak wcześniej Syria, bez względu na to, kto i jakim szlakiem migruje, będzie tematem numer jeden. Chyba, że zaraz pojawi się inna kwestia, która zostanie podchwycona przez media. Wtedy inna narracja będzie wykorzystana. Na ten moment, na pewno, Afganistan będzie odmieniany przez wiele przypadków, w związku z emigracją. Pamiętajmy, że w Afganistanie mieszkają Tadžycy i Uzbegy. To jest bardzo trudna dyskusja geopolityczna, ponieważ mówimy o Tadżykistanie albo Uzbekistanie, które prowadzą taką, a nie inną politykę. Mówimy też o państwach zachodnich, które prowadzą taką, a nie inną politykę. Oczywiście byłoby, że jeżeli sprawa dotyczy emigrantów, uchodźców, wtedy Tadžycy albo Uzbegy, ze względu na bliskość kulturową, językową, rodzinną, powinni zostać osiedleni właśnie tam, a przynajmniej tymczasowo, dopóki rządzą Talibowie. To jest jednak bardzo trudna dyskusja, wchodzimy bowiem na tematy geopolityczne, finansowe i już się pojawia konflikt.



Wróć do tematu Libanu. Bardzo często błędy popełnione przez wpływowe państwa pokutują tym, że bardzo trudno rozładować jakieś napięcia. Każde państwo, któremu zaproponuje się, żeby przyjęło jakąś grupę uchodźców albo imigrantów, może powiedzieć – no dobrze, Liban przyjął i co dzieje się w Libanie? Jak pomogliście Libanowi? Niestety, będzie zawstydzająca cisza.

**Maciej Wolny:** Wróćmy teraz do XX wieku. Dwie kwestie, dwa tematy. Po II wojnie światowej, w 1948 roku, powstało państwo Izrael. Jednak sama idea utworzenia tego niepodległego kraju sięga znacznie dalej. Możemy tutaj wspomnieć o pierwszym światowym kongresie syjonistycznym w sierpniu 1897 roku. Wtedy przyjęto rezolucję, która dotyczyła dążenia Żydów do utworzenia własnego państwa na terenie Palestyny. Co doprowadziło do tego, że Żydzi zapragnęli suwerenności, a następnie podjęli działania na arenie międzynarodowej w celu realizacji tego zamierzenia? Jak wyglądał proces konstruowania tożsamości izraelskiej, w kontekście napływu ludności z różnych stron świata? Jakie grupy emigrujących Żydów były najliczniejsze?

**Prof. Marek Kornat:** To jest bardzo złożona kwestia. Nawiążę do tego, co pan powiedział. Istotnie, idea państwa Izrael, państwa żydowskiego, nie może nie być wiązana ze światową grupą syjonistyczną. O tym mówiono i pisano. Ten ruch z pewnością pojawił się pod wpływem takiego fenomenu jak nowoczesny nacjonalizm, który jest właściwością XIX wieku. Zrodził się również ruch syjonistyczny w Europie, który stawiał sobie za cel stworzenie narodowej siedziby dla Żydów w Palestynie. Żydzi funkcjonowali w diasporze przez stulecia, od czasów katastrofy i klęski, jaką w pierwszym wieku było nieudane powstanie antyrzymskie, stłumione przez cesarza Tytusa. Pod koniec XIX wieku pojawiła się jednak idea takiego państwa. Układ Sykes-Picot (jego sygnatariuszami byli dyplomaci reprezentujący rządy Francji i Wielkiej Brytanii) w tajemnicy przewidywał rozbiór państwa tureckiego. Terytoria na Bliskim Wschodzie, które były częścią Imperium Osmańskiego, zostały podzielone przez te dwa wojujące mocarstwa. Turcja była aliantem mocarstw centralnych, to znaczy Rzeszy Niemieckiej i Austro-Węgier. Później, w konsekwencji tych uzgodnień w listopadzie 1917 r. doszło do tego, co nazywamy deklaracją Balfoura. Brytyjski minister spraw zagranicznych, lord Arthur James Balfour, złożył publiczne oświadczenie, że Wielka Brytania uznaje potrzebę stworzenia narodowej siedziby dla Żydów. Nie zostało tam użyte słowo „państwo”, ale było wiadomo, że to w tym kierunku miało zmierzać. Od tej chwili można mówić o procesie kształtowania się idei państwa żydowskiego, która nie jest już tylko ideą. Ideę można bowiem wyrazić w jakiejś książce, eseju albo na wiecu. W przypadku tych wydarzeń zaczęły natomiast następować konsekwencje bardzo realnie oddziałujące na bieg historii. Wielka Brytania istotnie ustanowiła Palestynę terytorium mandatowym, w myśl postanowień paktu Ligi Narodów. Te mandaty rozdzielono podczas konferencji pokojowej w Paryżu. Od tej chwili rozpoczął się napływ ludności żydowskiej z Europy do Palestyny, który również samym Brytyjczykom przyniósł poważne problemy. Dochodziło do starć i konfliktów z miejscową ludnością muzułmańską. To był bardzo niespokojny teren międzywojennego świata. Przyjmuje się, że do Palestyny wyemigrowało ponad pół miliona Żydów w okresie pomiędzy deklaracją



Balfoura a wybuchem II wojny światowej. Byłoby ich dużo więcej, gdyby nie blokowanie tego przez Wielką Brytanię, aby nie dopuścić do dopływu na tyle szerokiego, aby uniemożliwić utrzymanie spokoju na tym terytorium. Wielka Brytania stosowała różne środki ograniczania imigracji żydowskiej, na przykład imigrację kwotową, czyli wpuszczanie określonej liczby ludzi tylko w danym roku. Nasze relacje historyczne polsko-żydowskie, z różnych powodów nie są najlepsze. Cokolwiek jednak nie sądzić by o tym, jak wyglądało się położenie Żydów na terytorium II Rzeczypospolitej, to Polska międzywojenna dokładała wszelkich starań dla wsparcia ruchu syjonistycznego. Nie z powodów altruistycznych, ale aby nadwyżka ludności żydowskiej przeniosła się z Polski do Palestyny. Nie ma to nic wspólnego z zamysłem gnębienia albo eksterminacji. To było normalne myślenie europejskie, mieszczące się w ówczesnych standardach. Polska dyplomacja, wywiad, sztab generalny wspierały te działania. Ze'ew Żabotyński, czyli lider światowego ruchu syjonistycznego w latach trzydziestych XX wieku był w kontakcie z naszym Ministerstwem Spraw Zagranicznych i sztabem głównym. Polska w tym względzie działała dla interesów państwowych wszystkimi środkami, także dyplomatycznymi, jednak blokada Palestyny była nie do przezwyciężenia. Imperium Brytyjskie było jak najdalej od pomysłu, aby posłuchać kraju średniego, nie mającego rangi mocarstwa, jakim była Polska. Tak kształtuje się geneza Izraela.

**Maciej Wolny:** Chciałbym jeszcze dopytać o jedną kwestię związaną z okresem XX wieku a mianowicie o zimną wojnę. Chociaż II wojna światowa oficjalnie się zakończyła, a przynajmniej w ujęciu militarnym, to doszło do konfliktu dwóch mocarstw – Związku Radzieckiego i Stanów Zjednoczonych, które przez lata prężyły muskuły w politycznym wyścigu o pierwszeństwo. W zasadzie to nadal to czynią, poczynawszy od technologii wojskowych za zakończony na podboju kosmosu. Na czas samej zimnej wojny Europa została podzielona żelazną kurtyną. Jak ta bariera, izolująca państwa Związku Radzieckiego przed kontaktem, oddziaływaniem państw zachodnich, wpłynęła na ruchy migracyjne w Europie?

**Prof. Marek Kornat:** Zimna wojna to okres fenomenu emigracji, emigracji politycznej z krajów znajdujących się pod dominacją sowiecką, które oddzielała żelazna kurtyna od wolnego świata, jak to powiedział Churchill w 1946 roku. Największa z tych migracji to migracja polska. Miała ona spore znaczenie w naszej narodowej historii, ale także była czynnikiem międzynarodowym. Oczywiście nie doszło do wydarzeń, które mogły by ją zaktywizować. W kulminacyjnej fazie zimnej wojny, mam na myśli kryzys koreański i wojnę w Korei w 1950 roku, poważnie rozważano pomysł, aby stworzyć polskie oddziały emigrantów, które zostałyby użyte na froncie. Oczywiście, gdyby wybuchła III wojna światowa. Do tego jednak nie doszło. Niemniej, na przykład, dzisiaj uważany za politycznego realistę, Jerzy Giedroyc, był jednym z tych, którzy tę myśl komentowali i analizowali na łamach miesięcznika „Kultura”. W czasach zimnej wojny żelazna kurtyna była szczelna – Jej symbolem jest mur berliński – jednakże czasami przepuszczała ona ludzi. Wymienię w tym miejscu chociażby sporą emigrację Węgrów. Po nieudanym, zdławionym krwawo przez Sowietów, powstaniu, jesienią 1956 roku, przedostawali się oni przez Austrię na zachód. To była też w znacznej mierze emigracja intelektualna. To jeden przykład, drugim jest zaś nasza emigracja w dobie stanu wojennego. To jest również bardzo ważny fenomen. Trudno również nie wspomnieć o rzeczach, które już niekoniecznie się dobrze kojarzą – inna imigracja, ruska. Z paszportem w jedną stronę, albo z Czechosłowacji po kryzysie 1968 roku. Musimy także wspomnieć o emigracji z Polski w okresie stanu





wojennego, o emigracji ludności żydowskiej z PRL w warunkach kryzysu z 1968 roku. Głównie miała ona swoje znaczenie jako emigracja polityczna, ale również, zwłaszcza migracja z okresu lat osiemdziesiątych XX wieku, posiadała uwarunkowania ekonomiczne. Za opóźnienie cywilizacyjne krajów bloku wschodniego, zwłaszcza permanentny przyrost gospodarczy PRL po rządach Edwarda Gierka oddziałuje na położenie życiowe ludzi. Pamiętajmy o tym, co na początku zostało powiedziane, czasy zimnej wojny to okres, kiedy mamy do czynienia z zamkniętym systemem pilnie strzeżonych granic, z żelazną kurtyną, która dzieli Europę. Nawet kryzys humanitarny, gdyby taki się przydarzył, nie wywołałby masowego exodusu. To jest inna epoka historyczna niż te czasy, o których mówimy teraz. Na granicy się strzela, nie ma możliwości jej przekroczenia, ponieważ tak się chce. Mówię o krajach bloku wschodniego. Wypuszczanie ludzi na masową skalę do tak zwanego „wolnego świata” nie było na rękę tamtejszym reżimom, obnażałoby to bowiem jego słabość i groziło propagandowo rozmaitymi niekorzystnymi zjawiskami. Emigracja ludzi powodowałaby przybywanie coraz większych skupisk w diasporze. Wrogów tego reżimu. Mamy do czynienia z usiłowaniami zablokowania emigracji za wszelką cenę i wykorzystywaniem w tym celu wszystkich możliwych środków. Oczywiście, istniały od tego odstępstwa. Niektórych dysydentów wypuszczono ze Związku Sowieckiego. Generalnie, najbardziej symbolicznym, emblematycznym modelem zakopania państwa totalitarnego jest mur berliński, który jednocześnie jest też symbolem najbardziej drastycznych środków, które państwo totalitarne stosowało.

**Maciej Wolny:** Teraz przejdźmy do czasów współczesnych a w zasadzie do polityki państw przyjmujących migrantów w XX i XXI wieku. Chciałbym zacząć od bardzo bieżącego problemu, czyli od tego co dzieje się na granicy z Białorusią. Wiemy o falach migrantów, którzy są przez służby białoruskie wpychane do Polski. Mamy również do czynienia z sytuacjami bardzo niebezpiecznymi, gdy dochodzi do kolejnych prowokacji. Na przestrzeni ostatnich dni polscy żołnierze zauważyli trzy osoby umundurowane z bronią długą, które miały ją później przedawać i oddalić się na stronę białoruską. Dzisiaj (4 listopada 2021 r.) Ministerstwo Obrony Narodowej podało informację, że przy próbie przepchnięcia 250 migrantów na stronę polską, białoruscy żołnierze zagrozili polskiemu mundurowym, że oddadzą do nich strzały. Dzieje się to obok tego kryzysu migracyjnego i jest bardzo niebezpieczne, chociażby w kontekście zagrożenia konfliktem militarnym. Nie chcemy tego, staramy się to od siebie odsunąć, ale o tym też trzeba wspomnieć. Nawiązując do sprawy Białorusi, jak wypada porównanie tego, do czym mamy do czynienia teraz, z czasami jeszcze sprzed kilkunastu miesięcy, czy kilku lat?

**Dr Marta Jaroszewicz:** Oczywiście, to jest wielkie zaskoczenie. Dla mnie, ponieważ zajmuję się szerzej Europą Wschodnią, największym symbolem państwa totalitarnego jest tak zwana *sistiema*. *Sistiema* była systemem zasieków, który bronił granicy zewnętrznej Związku Sowieckiego i został częściowo zdemontowany po jego rozpadzie. To były zasieki, cały czas kontrolowany system gołej ziemi i świetlnych oznak. Ukraińcy rozebrali go, a Białorusini zdecydowali się zachować. W tym sensie granica białoruska była dla Polski dosyć bezpieczna. Z polskiej strony w zasadzie nie było żadnych umocnień, pozostawały jedynie te białoruskie. Jeśli chodzi o relacje pragmatyczne, to kontakty graniczne polsko-białoruskie rzeczywiście przez ten cały czas się odbywały. Dochodziło do spotkań pełnomocników, nawet pomimo największych kryzysów politycznych. Ta linia została jednak przekroczona przez Białoruś. To bardzo niebezpieczne. Nie można całkowicie zlikwidować relacji z państwem sąsiedzkim



żadnych relacji, nawet na wypadek reagowania kryzysowego. Dla mnie też ważne jest ratowanie życia i oddzielenie kwestii konfliktu od kryzysu humanitarnego. Nie lubię pojęcia „wojna hybrydowa”, bo ono oznacza wszystko i nic. Oddzielenie kwestii agresji ze strony Białorusi od ludzi, którzy wykorzystują ten szlak do realizacji swoich indywidualnych decyzji migracyjnych. Nie jest ważne, czy oni uciekają przed wojną, czy też są migrantami ekonomicznymi. Najważniejsze jest to, żeby w bezpieczny sposób przedostali się dalej albo zostali zawróceni, żeby nie umierali w tych lasach.

**Maciej Wolny:** Jaka jest ocena dzisiejszej polityki migracyjnej Polski?

**Dr Marta Jaroszewicz:** Uważam, że należy to jakoś rozwiązać. Wbrew pozorom kryzys z 2015 roku. wiele nas nauczył. Trzeba spojrzeć na przypadek grecki albo włoski. Trzeba też wziąć pod uwagę jak Polska radziła sobie z migracją Czeczenów w latach dziewięćdziesiątych XX wieku. Myślę, że można to rozwiązać w sposób humanitarny. Z jednej strony, mamy prawo nie wpuszczać wszystkich, ale z drugiej musimy też szanować prawa człowieka.

**Maciej Wolny:** Do tego też wzywa Kościół katolicki w Polsce. Chciałbym dopytać, cytując wpis z facebooka pana redaktora Witolda Repetowicza: „Właśnie udało mi się powstrzymać kolejną rodzinę Kurdów z Syrii przed nieprzemyślaną decyzją o przylocie na Białoruś. Dobrze, że się w porę o tym dowiedziałem, zanim wsiedli w samolot. A sytuacja wygląda w Syrii tak, że Assad się dogadał z Łukaszenką (co nie może dziwić) i samoloty będą latać non stop między Damaszkiem i Mińskiem (oczywiście pełne tylko w jedną stronę), a ludziom w Syrii wciśka się mega kit, że wszystko pójdzie jak z płatka za jedyne 4 tys. dolarów. Dodam jeszcze jedno: osoba z tej samej syryjsko-kurdyjskiej rodziny kilka miesięcy temu legalnie przyleciała do Polski na studia (w czym jakoś tam też pomogłem) i nie płaciła nikomu 4 tys. dolarów. Po prostu nóż sam się otwiera w kieszeni jak się to wszystko słyszy co się tam dzieje”. Z jakim zagrożeniem mamy dzisiaj do czynienia ze strony reżimu Aleksandra Łukaszenki?

**Michał Bruszewski:** Trochę nawiązałem do tego w mojej wcześniejszej wypowiedzi. Tutaj jest kilka poziomów dyskusji. Przez to, że część mediów bardzo spłyciła ten temat spłyciła, trudno teraz o nim rozmawiać. Kwestie humanitarne powodują, że trochę ciszej mówi się o tym, o czym pisali białoruscy dziennikarze, którzy Łukaszenkę „patrz na ręce”, czyli operacji „Śluza”. Jeżeli mamy do czynienia z zaplanowanym działaniem jakiegoś rządu, to ludzie z tych możliwości korzystają, w tym przypadku skorzystali na przykład z transportu lotniczego z Iraku na Białoruś i bezwiednie stali się zakładnikami polityki eskalowania na granicy polsko-białoruskiej. Przypomnijmy, że Litwini mieli wcześniej podobny problem. Migrantów postawiono na granicy, gdzie są teraz blokowani kordonem przez białoruskie służby od wschodu. W gruncie rzeczy ich obecność służy temu, żeby każdego dnia eskalować napięcie



w mediach. To absolutnie oznacza, że intencje były takie, żeby do tego właśnie doprowadzić. To jest sytuacja skandaliczna. Przede wszystkim ofiarami są ci ludzie. Oni zostali oszukani. To jest to, o czym mówiłem odnośnie edukacji. Bardzo ważnym jest, żeby na miejscu edukować – na przyszłość przy zwalczaniu kryzysów migracyjnych. To jest taki sam proceder, jak handel ludźmi. Migrantom zabiera się ich paszporty, gdzieś się ich wysyła i instrumentalnie wykorzystuje, ale są też mafie handlujące ludźmi, które na przykład oferują przerzut do Europy, faktycznie jednak osoby, które chciały się tam dostać z ich pomocą, często Europy na oczy nie widzą. Kobiętom zabiera się paszporty, a następnie łądzą one w domach publicznych, mężczyźni zaś sprzedaje się na targach niewolników w Libii. To jest kolejny z paskudnych przypadków. Ludzie, w sensie ekonomicznym, wyasygnowali pewną kwotę, ale są biedni, ponieważ pozostają zakładnikami tej całej sytuacji, ze strony Łukaszenki.

Oczywiście, pomoc humanitarna jest bardzo ważna. Nie chcę pisać czarnych scenariuszy, ani przedstawiać kasandrycznych wizji, ale niestety w tym przypadku widzę rozwój sytuacji w czarnych barwach. Jeżeli bowiem wszystko jest celowym działaniem Łukaszenki, to z premedytacją nie wpuszcza on pomocy humanitarnej na stronę białoruską, która jest blokowana. Niewątpliwie więc zależy mu na pozostawianiu tych ludzi na granicy oraz wykreowaniu pewnego obrazu, jaki będzie utrwalany przez białoruskie media przyjeżdżające na granicę i przedstawiające całą sytuację. W ogóle nie mówi się o tym, że uchodźcy polityczni z Białorusi byli i nadal są przyjmowani przez Polskę, która wspierała ich i respektowała prawo międzynarodowe. W tej sytuacji ludzie dali się oszukać i są w następstwie tego dramatycznej sytuacji. Mają wizę białoruską wbitą w paszportcie, który im zabrano. Gdyby przykładowo na Bliskim Wschodzie zgłosili się do przedstawicielstwa dyplomatycznego jakiegoś zachodniego państwa, to jest wielce prawdopodobnym, że dostaliby możliwość podróży do tegoż kraju. Niestety, ta zaplanowana kampania propagandowa dotarła do nich wcześniej niż kontrkampania. To jest bardzo ważne, aby edukować i w ten sposób zapobiegać takim sytuacjom. Można także usiłować blokować transport kolejnych grup wysyłanych na Białoruś. W handlu ludźmi chodzi o bardzo duże pieniądze. W tym przypadku, niestety, życie ludzkie zostało nie tylko zepchnięte na margines, ale jest także cynicznie wykorzystywane przez stronę białoruską.

**Maciej Wolny:** Chciałbym dopytać o trochę inny, szerszy kontekst, a mianowicie o politykę migracyjną Unii Europejskiej. Teraz widać, że nieco się ona zmieniła na przestrzeni ostatnich lat. Bruksela stała się ostrożniejsza, co widać właśnie na przykładzie kryzysu migracyjnego na granicy polsko-białoruskiej. Mam pytanie o 2015 rok i o politykę otwartych ramion. Dlaczego tamta strategia okazała się porażką?

**Dr Marta Jaroszewicz:** Ja nie uważam, że okazała się ona porażką. Myślę, że to zależy, z jakiego punktu widzenia patrzemy na tą politykę. Niewątpliwie, nastroje antyimigranckie w Europie zbierają swoje żniwo. Partie, które głoszą hasła antyimigranckie stają się coraz bardziej popularne. W tym sensie społeczeństwa niekoniecznie są gotowe na tak duży napływ imigrantów. Myślę, że kopenhaska szkoła bezpieczeństwa jest bardzo mądra. Obecnie kładzie się nacisk na tak zwane bezpieczeństwo kulturowe. Społeczeństwa niekiedy obsesyjnie są przywiązane do kwestii swojej tożsamości i to jest obecnie najważniejsze. Nie są to kwestie zbrojeń, bezpieczeństwa militarnego, ekonomicznego, tylko kwestie kulturowe. To należy uwzględnić. Jednakże z drugiej strony, Angela Merkel podjęła taką, a nie inną decyzję



i to pozwoliło jej rządzić przez kilka kolejnych lat oraz odejść ze stanowiska z opinią jednego z najlepszych kanclerzy Niemiec. To oznacza, że ocena tej strategii wcale nie jest taka jednoznaczna. Jeśli chodzi o wskaźniki ekonomiczne, to dowodzą one, że Berlin był w stanie poradzić sobie w pewnym stopniu z napływem uchodźców, bowiem dosyć duży ich odsetek znalazł zatrudnienie. Integracja ekonomiczna była dosyć dobra, wyższa niż się spodziewano i wyższa niż w innych krajach. W sensie ekonomicznym było to więc sukcesem. Porażka polegała natomiast na braku akceptacji tej polityki przez niektóre społeczeństwa. Z tym jest bardzo różnie w Europie – w tym czasie Polska, Czechy, Węgry, kraje grupy wszechradzkiej, sprzeciwiły się polityce relokacji. Nie to jest jednak w tym wszystkim najistotniejsze. Najważniejszym jest natomiast to, że od tamtej pory Unia Europejska nie jest w stanie przyjąć żadnego dokumentu wspólnotowego. Pakt Migracji Azylu od 2015 roku jest w trakcie dyskusji i nie może zostać zatwierdzony. Czy brakuje konsensusu? Jeśli nie ma zgody na pewne decyzje na najwyższym szczeblu, to trudno mówić o jakiegokolwiek unijnej polityce imigracyjnej. Jedyne, co Unii Europejskiej udało się wynegocjować w tym względzie, to porozumienie z Turcją. Miało ono zresztą dwie strony i nie było kompleksowym rozwiązaniem sytuacji. W tym sensie jest to porażka, natomiast na poziomie ekonomicznym, demograficznym, już nie można o niej mówić.

**Maciej Wolny:** Czy można zgodzić się z tezą, że nie możemy określać polityki Unii Europejskiej z 2015 roku wyłącznie w kontekście porażki? Mam również pytanie o utrzymanie rodzimych wartości. Jak utrzymać kulturę europejską, chrześcijańską, łacińską w naszym europejskim domu, gdy pomagamy osobom posiadającym inną religię, kulturę? Czy to problem, czy przeciwnie? Jak uzyskać kompromis w tej kwestii?

**Michał Bruszewski:** Moim zdaniem recenzją tego, jak elity europejskie oceniają politykę otwartych granic jest to, że zmieniły ją na przestrzeni lat. Spójrzmy co się dzieje przy okazji kryzysu na granicy polsko-białoruskiej. Wcześniej doszło do kryzysu na granicy grecko-tureckiej. Wówczas nie było takich głosów, jednym chórem, żeby te granice otwierać. Wręcz przeciwnie. Przypomnijmy, że Angela Merkel w pewnej sytuacji musiała z dogadać się z prezydentem Recepem Tayyipem Erdoğanem, żeby uchodźcy z Bliskiego Wschodu zostali na terytorium Turcji i nie wjeżdżali do Europy. Sztambuł wsparto finansowo, aby utrzymał swoje granice zamknięte. To pierwsza rzecz. Kolejna: zobaczmy, jaka nastąpiła przemiana w łonie francuskich elit. To jest najlepszy przykład. Przecież Emmanuel Macron, który był w partii socjalistycznej, jest człowiekiem lewicy i popiera otwarte granice, obecnie jest w awangardzie europejskiej, politycznej krucjaty islamistycznej. Paryż wprowadza prawo, na podstawie którego zamyka się organizacje muzułmańskie. Zupełnie inaczej obecnie mówi się o tej sytuacji niż kilka lat temu. To jest efekt obniżenia poziomu bezpieczeństwa, który odczuły na sobie europejskie społeczności. To jest, niestety, fakt. Kolejne zamachy terrorystyczne z udziałem między innymi osób, które do Europy dostały się wraz z falami migrantów. Organizacje terrorystyczne cynicznie wykorzystywały zamieszanie z tym związane. Służby europejskie powinny o tym doskonale pamiętać. Przy weryfikacji tak ogromnej masy ludzi jest bardzo prawdopodobne, że zostaną popełnione błędy. Ludzie nie posiadają dokumentów. Służby, które tak naprawdę nie miały kadr, które nie odróżniają dialektów języka arabskiego, ludzi z różnych państw i ich motywacji, nie są w stanie się z nimi porozumieć. Organizacje terrorystyczne na tym żerują.



Mamy jednak także mniej drastyczne przykłady, czyli brak perspektyw dla tego pokolenia, które do Europy przyjechało i się radykalizuje, jest sfrustrowane. Nie sztuką jest przyjąć ludzi, a potem zamknąć ich w obozie dla uchodźców i podzielić w taki sposób: trzydzieści procent do tego państwa odeślemy, trzydzieści procent do innego, a trzydzieści procent jeszcze gdzieś indziej. W obozach dla uchodźców w Europie zamykano w jednym obozie Jazydów i na przykład sunnitów, czy inne grupy etniczne. Na wyspach greckich dochodziło do walk na kamienie między ich przedstawicielami tylko dlatego, że ktoś nie uszanował drobniaków związanych z ich wyznaniem czy kulturą. Bardzo wiele błędów popełniono w polityce przyjmowania imigrantów i uchodźców, ale również w tych politykach, o których dyskutowaliśmy a więc geopolityce wobec regionu, czy interwencji na Bliskim Wschodzie, chociażby na przykładzie Afganistanu. Tak naprawdę zanim się nauczono tego, jakie są różnice kulturowe i religijne, to okazało się, że kolejne kryzysy zaczęły po sobie następować. Popełniono wiele błędów. Inaczej to sobie wyobrażano. Elity europejskie zmieniły swoją politykę, bo widziały, czym ona skutkowałą

**Maciej Wolny:** Chciałbym zapytać teraz o pewną receptę w kontekście przeszłości i czasów współczesnych. Czy możemy postrzegać dzisiejszą migrację poprzez pryzmat przeszłości? Wracamy w pewien sposób do tematu, który pani doktor Jaroszewicz poruszyła na samym początku naszej debaty. Czy porównywanie wielkich fal migracji znanych z historii do tego, co dzieje się dzisiaj, szczególnie w Europie, ma jakieś uzasadnienie? Media bardzo często wykorzystują te kwestie. Bardzo często zestawiają ze sobą pewne wydarzenia, czasami, mam wrażenie, nie rozumiejąc pewnych szczegółów tych kryzysów migracyjnych. Różnic, które wydarzyły się na przestrzeni lat.

**Dr Marta Jaroszewicz:** Zajmuję się migracjami około piętnaście lat. Gdy zaczynałam się tym interesować naukowo był to temat techniczny, który mało kogo interesował. Z jednej strony było to złe. Obecnie wszystkich on absorbuje. Frustrujące natomiast jest to, że każdy się o tym wypowiada nie posiadając podstawowej wiedzy. To nie jest tak, że każdy może się sam leczyć. Cieszę się, że ta debata miała miejsce. Nie jest tak, że wszyscy mogą dyskutować o migracjach, a jeśli przez debaty tego rodzaju ludzie mieliby większą wiedzę, to by nie zaszkodziłoby. Zastanawiając się nad tym, czego możemy się nauczyć z historii pamiętajmy, że żyjemy w innej epoce. Chodzi mi tutaj o globalizację, nowoczesność, ale również o tak zwane przejście demograficzne, które polega na tym, że posiadamy zupełnie inne wzorce reprodukcyjne. Chodzi o dzietność i śmiertelność na Zachodzie i na Południu, co jest niejaki impulsem do zwiększenia migracji. Trudno porównywać dwa kraje, które są w tym samym momencie, poziomie przejścia. Nie przeszły jeszcze, nie było przejścia demograficznego. Polska przejście demograficzne przeszła w okresie PRL. To po pierwsze. Po drugie, należy pamiętać o globalnych nierównościach. One rosną, ale kiedyś ich nie mierzono. W tym sensie nawet nie chodzi o globalne nierówności, tylko o to, że wszyscy wiedzą i czują, że one istnieją. Potencjalni migranci z biednych krajów niegdyś nie mieli świadomości, że są takie globalne nierówności, a obecnie każdy o tym wie. *Global oportunities*, czyli nie mamy równych szans na świecie. To jest widoczne. Nigdy też, tak jak obecnie, państwo narodowe,



mimo wszystko nie było w stanie samo tego rozwiązać. Tutaj trzeba większego współdziałania międzynarodowego, procesów globalnych (funkcjonowanie korporacji, przepływ kapitału, tanie linie lotnicze). Podkreślanie, że w XIX wieku wielu ludzi podróżowało, jest ahistoryczne, jeśli nie uwzględnia się czynników cywilizacyjnych.

**Maciej Wolny:** W ramach podsumowania chciałbym poprosić pana redaktora o porównanie migracji z przeszłości do tych obecnych. Mam również pytanie, o to, co wiemy o ludziach przy polskich granicach? Czy możemy stwierdzić, czy trzeba im pomóc, czy też nie? Jak pan się ustosunkuje do tych dwóch kwestii?

**Michał Bruszewski:** To cyniczna gra Łukaszenki. Co wiemy o tych ludziach? Trzeba uważać na informacje propagandy białoruskiej. Jednakże, jak się widzi dyskusję, debatę w Polsce, w polskich mediach, to można dostrzec, że są w niej wykorzystywane całe fragmenty z informacji podawanych przez media Łukaszenki. Charakterystyczna dla niej jest bardzo krótka pamięć, amnezja i szum informacyjny. Ja przypomnę, że jeszcze przed tą całą sytuacją, przed tym kryzysem, doszło do porwania samolotu i przejęcia osoby na terytorium Białorusi. Potem tamtejsza miała używanie na ten temat. To jest trochę taka „mgła wojny”. Takiego terminu kiedyś używano, gdy było trudno o informacje. Z tego co wiemy o obecnych migrantach początkowo mówiono, że są to uchodźcy z Afganistanu. Zasadniczo raczej są to osoby z Iraku, irackiego Kurdystanu. To są ofiary oszustwa, związanego z handlem ludźmi. Wmówiono im, że przez terytorium Białorusi dotrą do Europy, ewentualnie staną się azylantami w państwie Łukaszenki, bądź będą mogły pracować lub o występować o pomoc w Europie Zachodniej. Ludzie znajdujący się na granicy musieli kompletnie nie mieć świadomości, jak wyglądają takie procedury. Tak jak powiedziałem, gdyby zgłosili się oni do jakiegokolwiek placówki dyplomatycznej państwa zachodniego w Iraku, to prawdopodobnie mogliby odbyć podróż do kraju Europy Zachodniej, osiedlić się tam, pracować, uzyskać jakiś azyl. Na Białorusi wpadli natomiast w pułapkę. Czy tym osobom należy pomagać? Oczywiście, trzeba to robić, ale nie oznacza to przepuszczania ich przez polską granicę. Pomoc humanitarna w tym przypadku jest bardzo ważna, zwłaszcza, że ludzie ci, tak naprawdę, zostali wystawieni. Oni nie mogą wrócić. Zorientowali się, jak wygląda ich sytuacja i najchętniej wróciliby do Mińska a następnie zgłosili się do ambasady jakiegoś zachodniego państwa. Jest to jednak blokowane. Pamiętajmy, że aby dotarła do nich pomoc humanitarna zgodę na jej wpuszczenie na swoje terytorium musi wyrazić strona białoruska, Mińsk natomiast na to nie zezwala. Forsowanie białoruskiej granicy z pomocą humanitarną? Eskalacja tej sytuacji temu właśnie służy. Bez względu na kolejne ruchy, widzimy zaprogramowaną działania w celu eskalowania tego konfliktu. Jest to bardzo trudna sytuacja. Widzę to bardzo negatywnie. Obawiam się, że ci ludzie będą nadal wystawiani, co cały czas ma służyć grze Mińska. To jest niebezpieczne dla życia tych osób oraz niesie za sobą niebezpieczeństwa geopolityczne.



W kwestii podsumowania. Paralela z historią i obecną sytuacją. Moim zdaniem kryzysy migracyjne będą się pojawiały. Jedynym rozwiązaniem jest sprawienie, żeby ludzie dążący do opuszczenia swoich krajów, poczuli się godnie i bezpiecznie w swojej ojczyźnie, aby takiej ryzykownej podróży nie musieli podejmować. Jeżeli będą mieli alternatywę – zostać na miejscu albo ryzykować swoje życie, to pozostaną na miejscu. Tyle, że jeżeli pobyt w macierzystym kraju będzie dla nich ryzykowny, to będą szukać sposobności do wyjazdu. Na pewno pomoc finansowa i edukacja. W przeciwnym wypadku dojdzie do kolejnych kryzysów migracyjnych.

Głosa 8.  
**Michał Bruszewski**  
„Tygodnik Solidarność”

## **KRYZYSY MIGRACYJNE – JAK EFEKTYWNIE POMAGAĆ?**



Zgodnie z danymi podawanymi przez ONZ, szacowana liczba ludności kontynentu afrykańskiego ma w roku 2050 osiągnąć 2,5 miliarda ludzi, co oznacza w zasadzie podwojenie obecnego stanu. Jedną tylko Nigerią ma mieć ponad 410 milionów obywateli, wyprzedzając ludnościowo USA w analogicznym okresie. Jak wygląda dzisiaj kontynent afrykański? W Etiopii trwa wojna o Tigray, w Mozambiku atakuje ISIS, w Nigerii zamachy przeprowadza Boko Haram, z Mali wycofują się Francuzi, z innych „afrykańskich frontów” ewakuują się także amerykańskie jednostki wojskowe. Widzimy więc równoległe, podążające ręką w rękę, zjawiska na omawianym terytorium: z jednej strony boom demograficzny, z drugiej – eskalację militarno-społeczną z już istniejącymi nierozwiązanymi problemami ekonomicznymi. W raporcie Polskiego Centrum Pomocy Międzynarodowej „Afryka dziś i jutro” czytamy, iż nominalny produkt krajowy brutto wszystkich krajów tego kontynentu jest szacowany jako mniejszy od PKB Francji. A mówimy tylko o jednym – afrykańskim – kontynencie. Wszelako niestabilną sytuację mamy także w Azji. Nie przez przypadek więc ośrodki badawcze oraz eksperci alarmują w sprawie przyszłych kryzysów migracyjnych, dotyczących zwłaszcza Europy.

Jeden z amerykańskich think-tanków, Pew Research Center przeprowadził symulację islamizacji Europy, zakładając różne scenariusze skali wzrostu muzułmańskiej populacji Starego Kontynentu. Jako cezurę badania także przyjęto rok 2050. W badaniu: „Muslims in the UE, Norway and Switzerland in 2050: High Migration Scenario” efekty okazały się szokujące. Europę ma w 2050 roku – według badania – zamieszkiwać 75 mln muzułmanów, co w skali kontynentu ma stanowić 14% europejskiego społeczeństwa. Nie jest to jednak proporcjonalne rozłożenie. W Szwecji muzułmanie mają stanowić: 30,6%; w Niemczech 19,7%; we Francji 18,0%; w Wielkiej Brytanii 17,2%. Polska obok Litwy jest w tym badaniu najmniej zislamizowanym krajem z 0,2% muzułmanów. Z badań różnych ośrodków wynika, iż kryzysy migracyjne następujące w dużym natężeniu od 2015 roku są zjawiskiem wręcz cyklicznym, a nawet jeżeli szacunki są krytykowane jako przesadzone, to wskazują one na faktycznie istniejący problem i ogromne zmiany cywilizacyjne, których społeczeństwo nie jest świadome.

## KTO MIGRUJE?

Wymienione wyżej liczby nakładają się na ludzkie decyzje o podjęciu migracji. Europejski kierunek nie jest przypadkowy. Instytut Gallupa przeprowadza badania poziomu szczęśliwości danych nacji lub obywateli danych państw w tzw. „World Happiness Report”. I chociaż w wielu lokalizacjach geograficznych takie badanie może być trudne do przeprowadzenia, przez co efekty analiz mogą budzić wątpliwości, pokazują one wyraźny trend. W badaniu z roku 2021 z 20 najszczęśliwszych państw świata 13 leży geograficznie w Europie: Finlandia, Dania, Szwajcaria, Holandia, Szwecja, Niemcy, Norwegia, Austria, Irlandia, Czechy, Belgia, Wielka Brytania i Francja. Jakże są najniešťęśliwsze państwa? Afganistan, Zimbabwe, Rwanda oraz Botswana, czyli Bliski Wschód oraz Afryka. Naczelną przyczyną migracji jest więc wola migranta, by poprawić swoje życie. Dotyczy to zarówno uchodźcy politycznego lub wojennego, uciekającego przed prześladowaniami lub śmiercią od kuli, jak i emigranta ekonomicznego wędrującego po lepszą pracę. Prawo międzynarodowe nieprzypadkowo jednak wyraźnie rozróżnia obie grupy.



Uchodźca – zgodnie z Konwencją Genewską z 1951 roku i protokołem nowojorskim z 1967 roku – to osoba, opuszczająca teren swojego zamieszkania ze względu na prześladowania. Zagrożeniem życia uchodźcy może być konflikt zbrojny, jak i prześladowania polityczne. Szkoda, zgodnie z definicją, musi wyraźnie naruszać prawa człowieka. Przywilejem uchodźcy jest niewydanie go drugiej stronie przez państwo przyjmujące. Za państwo przyjmujące uznaje się pierwszy bezpieczny kraj, do którego uchodźcy się udają, bardzo często w dramatycznych okolicznościach. W tym państwie ubiegają się o azyl. W ramach procedury dublińskiej sprawdza się, czy inne państwo europejskie nie odpowiada za rozpatrzenie danego wniosku o azyl. Prawo międzynarodowe, jak wszystko, co stworzył człowiek, jest ułomne, ale jego naruszanie tworzy jeszcze niebezpieczniejsze precedensy. Wiedza na jego temat powszechnie nie jest bardzo niska. Żerują na tym mafie przerzutowe, parające się handlem ludźmi lub służby specjalne, organizujące operacje takie jak białoruska „Śluza”. Poruszanie się przez wiele państwowych granic, zwłaszcza drogą lotniczą, sugeruje, iż podróżujący w którymś z państw transferowych otrzymał turystyczną wizę, co przekreśla jego szanse na uzyskanie statusu uchodźcy, a także powoduje inflację terminu „uchodźca wojenny” lub „uchodźca polityczny”. Ponadto pamiętajmy, iż XXI wiek obrodził w wyjątkową hipokryzję w postaci oficjalnego, nominalnego braku wojen. Pomimo tego, iż konflikty zbrojne się toczą na naszych oczach (w Syrii zginęło ponad 500 tys. ludzi), państwa nie wypowiadają sobie oficjalnie wojen, a terytoria państw objętych walkami nie są oficjalnie w stanie wojny. Sprowadza to tylko większe ryzyko np. w międzynarodowym ruchu lotniczym. Paradoksalnie oficjalnie istnieją uchodźcy wojenni, ale oficjalnie nie ma wojen.

Z badań Międzynarodowej Organizacji Pracy ONZ wynika, że liczba pracowników migrujących w 2017 roku wyniosła 164 miliony na całym świecie, stanowiąc 2/3 ogólnej liczby osób migrujących. Migracja definiowana oficjalnie jako migracja z powodów demograficznych, ekonomicznych lub klimatycznych przewyższa uchodźstwo wojenne oraz polityczne. Oprócz dwóch omawianych grup jest jeszcze trzecia, która na fali dyskusji o kryzysach migracyjnych została najbardziej zepchnięta na margines, mianowicie uchodźcy wewnętrzni zwani akronimem „IDP” (Internally Displaced Persons), tzw. przesiedleńcy. To bardzo często uchodźcy wojenni, którzy uciekli do bezpieczniejszego miejsca, ale w ramach granic państw, na którego terytorium toczy się konflikt zbrojny. Są oni często zbyt biedni, by uciec za granicę, a konflikt zbrojny zaskoczył ich przez co trafiają bez dobytku do obozów dla uchodźców, nie rzadko nawet nieformalnych obozów, przypominających koczowiska. Jako reporter byłem w omawianych obozach dla uchodźców. Na fali trwającej od 2011 roku wojny domowej w Syrii odnotowano emigrację około 5 milionów syryjskich uchodźców, ale około 7 milionów stanowią uchodźcy wewnętrznie przesiedleni. To pokazuje proporcje zjawiska, która jest podobna przy okazji innych konfliktów zbrojnych. Widać to w statystykach ONZ, gdzie na 79 milionów ludzi na całym świecie, którzy zostali siłą zmuszeni do opuszczenia swoich domów, 26 milionów stanowią oficjalnie uchodźcy. Zatem z trzech omawianych grup: uchodźców, uchodźców wewnętrznych oraz emigrantów ekonomicznych, najbardziej poszkodowaną i najbardziej objętą ryzykiem utraty życia i zdrowia jest grupa tzw. przesiedleńców. I tutaj kolejny paradoks, w obecnym statusie prawa międzynarodowego oraz praktyce międzynarodowej jest to grupa najbardziej wypchnięta na margines wszelkich zabezpieczeń. Widzą to polskie organizacje humanitarne (katolickie oraz świeckie), które w pierwszym rzędzie starają się pomóc właśnie tej grupie. Pomimo szerokiej dyskusji o kryzysach migracyjnych, paradoksalnie los tzw. przesiedleńców się nie poprawia.



## JAK POMAGAĆ?

Wyciągając wnioski z powyższych danych powinniśmy niwelować nie tyle skutki, ale przyczyny, które do tych skutków prowadzą. Z jednej strony, są to zagrożenia w postaci prześladowań militarnych oraz politycznych, z drugiej – niepewność ekonomiczna. Utrzymanie obecnego statusu na świecie będzie prowadzić do zwiększenia się migracji na kierunkach, o których już wspominałem, ponieważ patologie tylko się pogłębiają. Zauważmy, iż polityka multikulturalizmu, na bazie której elity europejskie otworzyły zewnętrzne granice Unii Europejskiej dla migracji z Azji oraz Afryki nie tylko, że „wędrówek ludów” nie zatrzymały, a wręcz go pogłębiły. „Dzięki uchodźcom można zarobić lepiej niż na handlu narkotykami” – to zdanie ujawnione przez włoskie media pochodzi z podsłuchu zainstalowanego na telefonie jednego z mafijnych bossów – Salvatore Buzzi’ego. Handel ludźmi jest jedną z gałęzi przestępczego biznesu, a przerzucanie migrantów jest kwalifikowane przez służby policyjne właśnie jako taki proceder. Obecnie w służbach europejskich ważnym programem jest tzw. „bezpieczna migracja”, czyli zabezpieczenie migrantów przed patologiami występującymi dzisiaj. Najczęściej ma to postać zabierania paszportu migrantom przez grupy przestępcze i nakaz „odpracowania” kwot za przerzut, i to pomimo wysokich sum, które migranci płacą wcześniej przemytnikom. Kobiety często trafiają do domów publicznych, mężczyźni są sprzedawani jako niewolnicy na targach np. w Libii. Wielu z nich na oczy nie zobaczy Europy. Migranci są w grupie najwyższego ryzyka jako najbardziej narażeni na zostanie ofiarami handlu ludźmi. Jedyną drogą do niwelowania przyczyn migracji jest realna stabilizacja regionu, z którego migranci uciekają. Zapewnienie ekonomicznego poziomu życia na godnej stopie (w przypadku emigracji ekonomicznej), zabezpieczenie przed prześladowaniami (w przypadku uchodźców wojennych), budowa infrastruktury, czyli mieszkań, szkół, szpitali, urzędów, miejsc pracy (w przypadku tzw. przesiedleńców). Specjaliści ds. pomocy humanitarnej zawsze podkreślają, by pomagać nie tyle efektywnie, a efektywnie. Oczywiście pomoc może się zmieniać w zależności od regionu lub państwa. Nie można abstrahować na miejscu od uwarunkowań geograficznych, narodowych, religijnych, kulturowych i politycznych. Za przykład na potrzeby tego artykułu podam Irak, o którego terytorium podróżowałem.

## WSPÓŁPRACA NA PRZYKŁADZIE IRAKU

W Iraku partnerem dla państw zachodnich, w tym Polski, jest demokratyczny rząd iracki w Bagdadzie oraz regionalny rząd kurdyjski w Irbilu. Z uwagi na pomoc Warszawy dla Kurdów oraz Irakijczyków, walczących przeciwko tzw. Państwu Islamskiemu, takie kontakty nie są problematyczne i potwierdzają moją tezę. Kryzys migracyjny na granicy polsko-białoruskiej spowodował nie tylko odwołanie lotów z Bagdadu do Mińska, ale także zwijanie białoruskich konsulatów na terenie Iraku oraz Kurdystanu. Elity bliskowschodnie mają świadomość, iż w ramach białoruskiej operacji „Śluza” oszukani zostali obywatele Iraku oraz Kurdowie, co z perspektywy każdego państwa, którego obowiązkiem jest chronić swoich obywateli, jest niedopuszczalne. Z uwagi na interwencję wojskową państw zachodnich w Iraku w 2003 roku, a następnie ataki ISIS obowiązkiem najzamożniejszych państw świata jest obecnie odbudowa Iraku oraz Kurdystanu tak, aby mieszkający tam ludzie nie musieli migrować. Musi to być jednak realna pomoc, a nie puste słowa, które spowodują następne (po wojnie) obniżenie wiarygodności Zachodu i właśnie migrację z kraju bez perspektyw. Zachód w tej pracy miałby partnera na miejscu, ponieważ rządowi na Bliskim Wschodzie nie zależy na migracji własnych obywateli, którzy są podatnikami, mogą służyć w wojsku lub tworzyć miejsca pracy (jako przedsiębiorcy lub konsumenci). Oczywiście są wyjątki, inne niż Irak, np. Islamski Emirat Afganistanu, rządzony od sierpnia 2021 roku przez talibów. Izolacja międzynarodowa rządu, który stawia na zamordyzm szariaty oraz ucisk mniejszości etniczno-religijnych (np. szyickich Hazarów) jest w tym wypadku oczywista.



Ogromną rolę odgrywa edukacja. Zachód powinien wspierać lokalny rząd w Bagdadzie oraz w Irbilu w pracy edukacyjno-informacyjnej, w nowoczesnej przystępnej formie z poszanowaniem lokalnej kultury tak, by Kurdowie oraz Irakijczycy wiedzieli o tym, że mogą stać się ofiarami oszustwa. Z informacji publikowanych przez media wynika, iż Irakijczycy muszą płacić minimum 1000 dolarów za podróż na teren Białorusi, gdzie przed transferem obiecuje się im azyl „w Unii Europejskiej”. Paradoksalnie część podróżujących via Białoruś mogłaby uzyskać wiarygodne informacje o azylu, w którymś z zachodnich państw Europy, zgłaszając się do placówki dyplomatycznej państw członkowskich UE właśnie na Bliskim Wschodzie. Wylot do Mińska był najgorszą decyzją, jaką mogli podjąć. Z białoruską wizą turystyczną w paszporcie w zasadzie przekreślono im jakąkolwiek możliwość na pozytywne rozpatrzenie procedury azylowej. Co warto podkreślić, że względu na prześladowania reżimu Aleksandra Łukaszenki, Rzeczpospolita Polska przyjęła wcześniej uchodźców politycznych z Białorusi.

## ZROZUMIENIE NA BLISKIM WSCHODZIE

Polska, wbrew licznym błędom Zachodu wobec regionu MENA (Bliski Wschód oraz Afryka Północna), wciąż ma w tym regionie duży kapitał zaufania. Pracowały na to całe pokolenia orientalistów, dyplomatów, biznesmenów, księży, pracowników humanitarnych, a także żołnierzy (wspierających np. armię Iraku w pokonaniu tzw. Państwa Islamskiego). Widać to także w bliskowschodnich mediach, gdzie Polska wcale nie jest wyklonana, a zrozumienie geopolityki jest wyższe niż w większości anglosaskich artykułów. Na jednym z kurdyjskich portali czytamy: „Białoruski politolog Valery Karbalevich powiedział AP, że wspierany przez Moskwę reżim Łukaszenki wydaje się próbować wykorzystać migrantów do „przestraszenia” Unii Europejskiej (UE) i zyskania wpływu, aby zachęcić UE do zniesienia sankcji nałożonych w zeszłym roku. Ten ostatni kryzys migracyjny ma miejsce zaledwie trzy dni po nowym porozumieniu wojskowym między Białorusią a Rosją”. Kurdowie doskonale wiedzą, że ich rodaków oszukał reżim Łukaszenki, nie Polska.

Czy z dramatycznego kryzysu możemy więc wyciągnąć pozytywne państwotwórcze działania? Tak, powinno nim być dyplomatyczne pogłębianie relacji Polski z krajami Bliskiego Wschodu bez oglądania się na inne państwa (zarówno ze Wschodu, jak i z Zachodu). Wycofanie się Amerykanów, w beznadziejnym stylu, z Afganistanu w sierpniu 2021 roku, spowodowało tylko dodatkowe obniżenie – i tak niskiej – wiarygodności Zachodu w tym regionie. Bliski Wschód odgórnie został przemianowany w poligon mocarstw i pole proxy-wars, czyli zastępczych wojen. Rządy od Morza Śródziemnego po Zatokę Perską mają tego o wiele większą świadomość niż nam się wydaje. Nie mogą się zamykać na świat, z drugiej jednak strony nie chcą tracić resztek suwerenności, wchodząc w układy z mocarstwami. Polska jako europejski partner inwestycyjny oraz humanitarny jest dla nich potencjalnym oknem na świat, partnerem bez tego całego bagażu, związanego z geopolityką i drenażem surowców.

Wiem, że dzisiaj mamy miliony ekspertów od migracji i uchodźców, ale ja konsekwentnie będę powtarzał to, co na wykładach i w publicystyce głoszę od lat. Przed Zachodem bezalternatywny scenariusz: albo na Bliskim Wschodzie i Afryce powstaną szkoły, szpitale, miejsca pracy i godne warunki życia, albo przed nami kolejne kryzysy migracyjne. W pierwszej kolejności obowiązek zadośćuczynienia mają mocarstwa, które ściągnęły na inne narody wojnę, pożogę i represję. Polska, na szczęście, w bezwzględnej kolonizatorskiej historii nie uczestniczyła. To mocarstwa dzieliły strefy wpływów tak, że dzisiejsze granice wielu państw na świecie zamknęły w jednym krajowym organizmie zwalczające się grupy etniczne i religijne. Cynicznie zaprogramowano przyszłe kryzysy, na których zarobią choćby przemytnicy broni. Jak się okazuje, także przemytnicy ludzi. Ważne też, by zaistniały kryzys migracyjny nie kładł się cieniem i nie psuł relacji dwóch wielkich narodów o podobnej historii: Kurdów i Polaków.



Reasumując, Polska powinna kontynuować swoją politykę międzynarodową nastawioną na odbudowę zniszczonych wojnami regionów, zakładając, iż tylko taka jest możliwość powstrzymania emigracji. Przede wszystkim jednak zasadność takiej polityki muszą zrozumieć mocarstwa uwikłane w represjonowanie i zubażanie ludności Bliskiego Wschodu oraz Afryki. Ważna jest także akcja informacyjna, by ludność omawianych obszarów nie ulegała oszustwom mafii lub służb specjalnych, które obiecują im bezpieczną podróż i azyl w Europie Zachodniej, *de facto* wystawiając ich życie i zdrowie na ryzyko.

*Autor jako reporter wojenny był w Iraku oraz na wschodniej Ukrainie. Pisząc dla chrześcijańskich oraz konserwatywnych mediów specjalizuje się w pomocy humanitarnej Kościoła katolickiego.*

Wydawnictwo prezentowane Czytelnikowi stanowi podsumowanie trzeciej edycji dużego projektu Fundacji im. Janusza Kurtyki w Warszawie pt. „Historia, prawda, terażniejszość. Jak prowadzić stosunki międzynarodowe w kontekście przeszłości? 3.0”. Polegał on na zorganizowaniu w 2021 roku cyklu debat, które podejmowały tematykę relacji Polski z Francją, Wielką Brytanią i USA. Dwie dodatkowe dyskusje dotyczyły polskiej dyplomacji naukowej oraz współczesnych kryzysów migracyjnych w Europie. Każda rozmowa poruszała międzynarodowy kontekst prezentowanej tematyki, nakreślając jej szerokie tło historyczne, diagnozując węzłowe problemy stosunków Polski z partnerami, a także formułując odpowiednie recepty dla instytucji publicznych. Po raz kolejny fundacja mogła gościć znamienitych ekspertów z różnych dziedzin.



FUNDACJA IM.  
JANUSZA KURTYKI

# *HISTORIA* **PRAWDA** **TERAŻNIEJSZOŚĆ** 3.0

JAK PROWADZIĆ STOSUNKI MIĘDZYNARODOWE  
W KONTEKŚCIE PRZESZŁOŚCI?

Fundacja im. Janusza Kurtyki  
02-521 Warszawa, ul. Rakowiecka 37  
[www.fundajakurtyki.pl](http://www.fundajakurtyki.pl)  
e-mail: [nauka@fundajakurtyki.pl](mailto:nauka@fundajakurtyki.pl)

ISBN 978-83-949511-7-7

© Copyright by Fundacja im. Janusza Kurtyki, Warszawa 2021

Egzemplarz bezpłatny



ISBN 978-83-949511-7-7

